

DOLINAMI RZEK



DOLINAMI RZEK

TEGOŻ AUTORA

SĄ DO NABYCIA W KSIĘGARNI F. HÖSICKA W WARSZAWIE.

1. **Pieśni ludu** (zebrane w latach 1861—1891) z towarzyszeniem fortepianowem do melodyi ludowych Z. Noskowskiego, r. 1892, str. 361, cena rs. 1 kop. 50.
2. **Skarbiec strzechy naszej**, r. 1894, str. 356, cena kop. 60.
3. **Księga rzeczy polskich (Słownik rzeczy starożytnych)** r. 1896, str. 537, cena rs. 1.
4. **Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni**, z 40-ma rycinami, str. 385, cena rs. 5, w oprawie rs. 6—7.
5. **Geografia historyczna ziem dawnej Polski** z 64 rycinami i mapą, r. 1900, str. 387.
6. **Białowieża w albumie**, z 28 widokami, r. 1903, cena kop. 80.
7. **Encyklopedya staropolska illustrowana** na welinie, z 1000-cem rycin i melodyami (obejmująca w czterech tomach całokształt dawnej polskiej kultury, obyczaju, ustroju społecznego i ekonomicznego, praw, urzędów, zabytków, ubiorów, kunsztów, zabaw, łowiectwa i wogóle życia publicznego, rycerskiego i domowego, w kilku tysiącach artykułów alfabetycznie ułożonych), cena w oprawie ozdobnej, tylko do ukończenia druku, rs. 12.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

DOLINAMI RZEK

OPISY PODRÓŻY

WZDŁUŻ NIEMNA, WISŁY, BUGU I BIEBRZY

PRZEZ

ZYGMUNTA GLOGERA

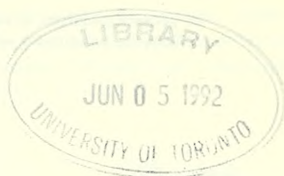


I pełnemi piersiami w swojszczyźnie dalekiej
Napiję się powietrza i wód z każdej rzeki,
Syrokomla.



WARSZAWA
NAKŁAD FERDYNANDA HÖSICKA
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Апрѣля 1902 г.



NIEMEN

(Z PRZEDMOWĄ ELIZY ORZESZKOWEJ).

Niemnie, domowa rzeko moja! gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?
. . . .
Niemnie, domowa rzeko, gdzież są tamte zdroje,
A z nimi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Adam Mickiewicz.



PRZEDMOWA.

Z Grodna do Kowna. Ośm dni podróży »żeglarskim szlakiem Jagiełły«. Czas tak krótki i szlak niedługi, dostarcza nam przecież mnóstwa wrażeń i tłumu widoków. Jakto? Nie nad Renem, nie w saskiej Szwajcaryi, nie w południowej Francyi, lecz po tym skromnym naszym Niemnie płynąc, doświadczyć możemy mnóstwa wrażeń i spotykać tłum widoków! A tak, dla wielu, niestety, rzecz ta wyda się niespodziewaną i niemal nieprawdopodobną, jednak jest ona zupełnie prawdziwą.

Podróżując z p. Glogerem, zwiedzamy stare i w dziejach znane miasteczka, przechadzamy się po kwiecistych łąkach i ciemnych, jodłowych borach, po resztkach puszcz odwiecznych, w których niegdyś rozlegały się trąby monarszych polowań, które Sarbiewski już opiewał:

»Wre szczera ochota,
Od szczekania brytanów rozlega się puszcza,
Usta spaliła spiekota.....«

Zaznajamiamy się z nadwodną ludnością orylów, prowadzących po Niemnie baty i wiciny, poznajemy jej odrębne cechy, zarobki, sposób życia, narzędzia, któremi pracują. Tu drogę nam zastępują z wód wyłaniające się ogromne kłody czarnych dębów, tam wody te wrą i szumią na potężnych »rapach«, z których każda nosi oddzielną, często charakterystyczną i malowniczą nazwę, jako to: Most dyabelski, Bicze, Biczęta, Gog, Kocioł, Szklanka i t. d. Bardzo ciekawym jest fakt, o którym w czasie przebywania rap opowiada p. Gloger, że dzieło oczyszczania i przyspasabiania do żeglugi Niemna przedsiębranem było już za Zygmunta Augusta przez Mikołaja Tarłę ze Szczekarzowic, chorążego przemyskiego i, że ziemianie litewscy tak dobrze rozumieli podówczas ważność rozpoczynającej się roboty (dodajmy też, że tak wysoko pracę cenili), iż zamierzali Tarle wznieść pomnik kamienny, gdyby jej dokonał. Lecz dokonaną ona nie została ani wtedy, ani następnie za Stanisława Augusta, który, zachęcony przez Tyzenhauza, oczyszczenie Niemna z głazów poruczył Komisyi skarbowej, a specyalnie biegłemu w matematyce i mechanice Franc. Narwojszowi, Jezuicie, pro-

boszczowi grodzieńskiemu. Przez trzy lata z pomocą sprowadzonych z Anglii nurków, Narwojsz pracował i pracy całkowicie dopełnić nie zdołał, wskutek czego znowu pomnik dla niego zamierzony i już w nadpis Krasickiego zaopatrzony nigdy nie stanął.

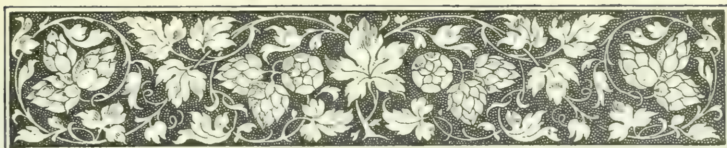
Jedną z najciekawszych stron podróży po Niemnie, stanowią mistrzowsko malowane wnętrza nadbrzeżnych karczem, chat chłopskich, domków mieszczańskich. W tych siedliskach ludzkich, w najrozmaitszy sposób budowanych, meblowanych i ozdabianych, spotykamy też ludność rozmaitą: Rusinów, Litwinów, Tatarów i t. d. Jednak co do tej rozmaitości szczepów, jeden kawał ziemi zamieszkujących, p. Gloger czyni bardzo trafną uwagę, iż nie jest ona tak absolutną, jakby się to zrazu zdawać mogło. »Mieszanie się ludności we wszystkich prowincyach i warstwach odbywało się ciągle, w tysiączny sposób (napady wojenne, osiedlanie jeńców wojennych, porywanie niewiast, kolonizacye, małżeństwa i t. d.) a na przestrzeni (pomiędzy Dnieprem, Dźwiną i Karpatami) niema dziś podobno człowieka, któryby w długiej linii zapomnianych wiekami przodków nie otrzymał krwi ze wszystkich prowincyi i plemion«. Wiekowe mieszanie się plemion nie spowodowało zatarcia się różnic językowych, ani wielu innych cech prowincyonalnych, lecz może im ono ułatwić zgodne pożycie wspólne. Wogóle »podróż po Niemnie« nasuwa uwagę, że umysły podróżników dzielą się na dwa rodzaje: jedne dlatego, aby wzruszenia i ciekawości doświadczyć, a z kolei czytelnikom ich udzielić, potrzebują widoku rzeczy rzadkich, ogromnych, nowością lub wspaniałością swoją uderzających wyobraźnię, porównać zaś je można do wód leniwych, które przez silne tylko uderzenia w ruch wprawionemi być mogą. Umysły zaś drugiego rodzaju w otoczeniu napozór najzwyklejszem i powszedniem, wśród zjawisk, które innym wydają się stare i nieme, wynajdują i krzeszą dla myśli i dla fantazyi obfite źródła wiedzy i piękności. Są to instrumenty o strunach licznych i tak wysubtelnionych, że najlżejsze dotknięcie wystarcza, aby śpiewały.

Do tych drugich umysłów, niepotrzebujących cudów ani gromów, aby język życia ludzi i rzeczy rozumieć, należy pan Gloger. Podróż jego posiada ten lot myśli i to serdeczne ciepło, które zdradzają uczonego, ukazując w nim poetę. Zakończenie zaś jej chętnie i głęboko wyryłabym w umyśle każdego dorastającego młodzieńca.

Eliza Orzeszkowa.



Ogólny widok Grodna.



Świst pary przerwał mi pasmo mych myśli ze świata przeszłości. Wyjrzałem przez okno wagonu. Był jasny, tchnący świeżością wiosny i chłodem rosy poranek. Tylko tuman gorzkiego dymu lokomotywy, cisnąc się przez otwarte okno, nie wiem dlaczego, przypomniał mi z koncertu nad koncertami:

»Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem
»I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem!«

Dojeżdżaliśmy do Grodna. Pociąg nasz, niby ptak prujący powietrze, przebiegał po wyniosłym moście nad masztami wicin litewskich. W dole wił się w głębokim jarze płowy Niemen, a kilka secin białych drewnianych domków piętrzyło się na urwistych i stromych wybrzeżach rzeki. Wieżyce siedmiu świątyń wybiegły nad stary gród Erdziwiłła i Witolda, jako wybiega duch idei ku wyżynom i panuje nad poziomym zgiełkiem mrowiska ulicznego. Ale kto chce lubować się pięknymi widokami przyrody i odetchnąć wonią drzew i ziół, niech nie siada na wóz ciągnięty stalowym Pegazem berlińskiej masztarni Borsiga i pędzony piekielną siłą wrzątku. Na szczęście byłem u kresu niewolniczej podróży kolejowej, bo pociąg nasz, przebywszy szybko most na Niemnie i ogromny przekop góry miejskiej, stanął przed dworcem grodzieńskim.

We drzwiach ciasnego budynku panował tłok straszliwy, ponieważ dwa przeciwne sobie prądy spieszących się ludzi usiłowały energicznie wywalczyć sobie pierwszeństwo. Sala ogólna wrzała zgiełkiem wielojęzycznym i napełniona była powietrzem, z którego nawet człowiek głuchy i niewidomy mógłby odgadnąć obecność kilku narodowości.

Dniem pierwej przybył do Grodna towarzysz naszej dalszej podróży, mój krewny Gustaw J. dla najęcia lub kupna łódki do zamierzonej żeglugi po Niemnie. Wiedząc, którym pociągiem przybędę, wysłał na kolej faktora hotelowego (we wszystkich hotelach grodzieńskich usługują żydkowie), aby mnie zawiadomić, gdzie mam zajechać. Usłużny cicerone, choć mnie nigdy nie widział, ale z rysopisu poznał od razu i wymieniwszy moje nazwisko, uważał mnie już za własność hotelową. Despotycznie usadził moją osobę do blaszanej, haniebnie trzęsącej, brzęczącej i zabłoconej, jednokonnej dryndulki, w której siedział już jakiś dość gruby

o rudych, sumiastych wąsach jegomość. A że i ja nie należałem nigdy do ludzi wiotkich, więc przy wsiadaniu wyraziłem wątpliwość, czy pomieścimy się obydwa. Żydek zapewnił, że na taką doróżkę grodzieńską zabiera często nie dwóch, ale pięciu pasażerów. Więc objąwszy pozytywną kibić rudego szlachcica, jak Budrys »laszkę synowę«, żeby nie zlecieć do rynsztoku, podążyłem do hotelu na ulicę Brygidzką, gdzie ciągnęła nas dość szybko chuda i wierzgająca, bo smagana ciągle po kościach przez nielitościwego woźnicę wielka szkapa.

Od dworca do hotelu Gwirca podążaliśmy przez przedmieście Horodnicę, gdzie, za czasów Stanisława-Augusta, Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski, założył całe miasteczko fabryczne. Typowe z XVIII wieku murowane domki dla fabrykantów, powznoszone szczytami do ulicy, jak wszystkie domy starych wiosek naszych dotąd przypominają tutaj głośnego w swoim czasie Tyzenhauza.

Krewniaka mego zastałem w wielkim kłopocie. Przez cały dzień szukał na wybrzeżach Niemna łódki do kupienia lub najęcia i nie znalazł ani na lekarstwo. Były tylko *wiciny* ogromne i *baty* nie wiele od nich mniejsze, ale *czajki* ani jednej. Faktor hotelowy przekładał mu wymownie, że do Kowna daleko prędzej i wygodniej, a co najważniejsza, daleko taniej zajedzie koleją niż wodą, a widząc upór podróżnego posądzał go o zboczenie umysłowe lub o jakiś cel tajemniczy z interesem kontrabandy połączony. Gdy zobaczył i drugiego towarzysza przybyłego z takim samym uporem, utwierdził się w mniemaniu swego ostatniego podejrzenia. Nie zadaliśmy sobie trudu wyprowadzić z błędu usłużnego faktora i to nam dopomogło, że w godzinę znalazła się już *czajka* do nabycia za rubli 10.

Potrzebowaliśmy wioślarza, więc nasz opiekun hotelowy przytrzymał zaraz na ulicy jakiegoś flisa, szukającego w mieście zarobku i przyprowadził do umowy. Flis był to człowiek średniego wzrostu i wieku, ciemny blondyn, barczysty, o przyjemnym wyrazie twarzy, bosy, w połatanej siermiędze z szarego samodziału, zażywający często tabakę z brzozowej tabakierki. Nazywał się Wiktor Mazurkiewicz, mówił czysto po polsku, był włościaninem i mieszkańcem z odległej o pół mili od Grodna, na granicy Królestwa położonej, wsi Łosośny. Miał żonę i kilkoro dzieci, a posiadając niewiele gruntu zajmował się orylką i ciesielką. Wziął nas za litewskich ziemian, prowadzących wiciny ze zbożem, lub *płyty* drzewa Niemnem do Królewca, a dowiedziawszy się, że ani wicin, ani drzewa nie posiadamy, zaczął tak samo namawiać nas do podróży koleją. Faktor, który zdawał się już być wtajemniczonym w naukowe cele naszej podróży, tłómaczył teraz orylowi, że panowie, gdy nie mają co robić, wymyślają sobie podobne wędrówki »dla rozweselenia swoich nudności«. Wiktor z dobrodusznością przyjął podobne wyjaśnienie i zażądał za kierowanie naszą łódką cztery złote dziennego wynagrodzenia, na co najchętniej przystaliśmy.

Kupiona czajka okazała się starą, dziurawą i cieknącą, a jak Wiktor z powagą znawcy dowodził, że nie była więcej warta jak »dwa talary«. Trzeba więc było najpierw kupić: konopie, gwoździe, smołę szewcką, garnek do jej roztopienia i zająć się naprawą, do której Mazurkiewicz, wyciągnąwszy łódkę na ląd jako »człowiek wodny« wziął się po mistrzowsku.

»Bez zapasu smoły — mówił — ani rusz w taką drogę« — Więc ognisko nad Niemnem rozniecił, pakułami dziury i szpary w dnie i bokach łódki utykał i smołą gorącą zalewał, a tak był pełen wiary w skuteczność tego środka, że nawet pachwiny między palcami u swoich bosych nóg, żeby skóra w czasie długiej podróży wodnej nie popękała, zawczasu smołą sobie namaścił.

My tymczasem przebrawszy się w szarą płócienną odzież i wielkie słomiane kapelusze, obejrzawszy raz jeszcze z troskliwością obecność i legalność naszych pasportów, podobni z nakrycia głowy do flisów, a z sukni do niemieckich owczarzy, poszliśmy na miasto zaopatrzyć się w papier, ołówki, zapałki, chleb, cukier, cytryny, »kaszę krakowską« i rondelek do jej gotowania. Wiedzieliśmy bowiem, że w wielu ustroniach nadniemeńskich, na szlaku zamierzonej podróży naszej, żyjących dotąd w sielankowej prostocie epoki Palemona, możemy nie napotkać podobnych przedmiotów zbytku i postępu. Podług starego przysłowia, które przed 300 laty zapisał Rysiński: »Jakie odzienie, takie uczczenie«, gościnne kramarki grodzieńskie wciągały nas gwałtem z ulicy za łokcie do swoich ciasnych kramnic, a dopiero po kilku słowach rozmowy, prosiły siedzieć na worku z mąką, lub na kulawym, bez deski zydelku z czasów conajmniej saskich, lub podskarbiego Tyzenhauza.

Objuczeni »pokupkami« powróciliśmy upakować je do walizek podróżnych w hotelu. Wiktor, ukończywszy pod wieczór naprawę czajki, pobiegł do Łosośny pożegnać się z rodziną i przynieść sobie z domu zapas chleba, tabaki i buty na święto.

Ranek w d. 7 czerwca 1872 r. był taki sam piękny i jasny, jak w dniu poprzednim. Zalecający się wschodnim nieporządkiem hotel Gwirca przy ulicy Brygidzkiej, miał się stać przy pierwszym blasku jutrzenki greckim *Jolkos*, z którego tym razem podlascy Argonauci mieli na tej samej co wczoraj brzęczącej dryndulce, ciągniętej przez tęż samą kościstą szkapę, biczowaną przez tegoż samego woźnicę w sarafanie i pod opieką tego samego żydka hotelowego wyruszyć przez puste ulice śpiącego jeszcze Grodna do wylepionego smołą Argo, spuszczonego na płowe fale Chronosu przez Mazurkiewicza z Łosośny. Żartowaliśmy sobie, że w dzisiejszej wyprawie Argonautów, ja byłem Jazonem, Gustaw, mój krewny, a starszy wiekiem, nadawał się do roli Herkulesa, który wpływem swoim oddziałał statecznie w zajściach Greków z pięknemi Lemnoskami. Mazurkiewicz był oczywiście owym Argusem, który Argonautom okręt budował i w żegludze towarzyszył, a ze względu na ciężkie czasy dzisiejsze zastępował 47 towarzyszów starożytnej wyprawy. Złotem runem miały dla nas zostać wykopaliska przedwiekowe i notatki ludoznawcze. Zresztą nie żądaliśmy nic więcej, kwitując z legendowej uprzejmości mieszkanek wyspy Lemnos, które wytępiwszy ongi swoich mężów, długi czas podejmowały gościnnie szczęśliwych podróżników starej Grecyi.

Dość stromy zjazd od miasta ku Niemnowi, przypomniał mi lata pacholęce, w których o mil kilkanaście stąd mieszkając, słyszałem jednak nieraz opowiadania o smutnych wypadkach na przeprawie pod Grodnem. Mostu bowiem żadnego wówczas jeszcze nie było, tylko prom, do którego się zjeżdżało ze sromotnie spadzistej góry. Dziś nie byliśmy już narażeni na żadne podobne niebezpieczeństwo.

Chuda szkapa ledwie ciągnęła z góry brzęczącą dryndę z czworgiem ludzi, ich zapasami podróżnemi, walizkami, motykami do kopania i torbami na wykopaliska.

Zapewne inaczej wyglądać musiał orszak Władysława Jagiełły, gdy stary król ten r. 1418 w towarzystwie nadobnej, młodej małżonki Elżbiety z Pilicy i poważnej rady senatu koronnego, otoczony świetnym dworem z Polaków i Litwinów złożonym, odpływał na statkach Niemnem, z zamku grodzieńskiego do Wielony, za Kowno, na głośny w dziejach zjazd polityczny z Küchmeisterem, wielkim mistrzem krzyżackim.

Jakże mizerną wydała nam się teraz nasza *czajka,* której losy nasze mieliśmy za chwilę powierzyć. Miała ona długości łokci 7, czyli stóp 14, a szerokości 3 stopy. Każdy jej bok składał się tylko z jednej deski grubej na cal, szerokiej na cali 12, za to na dno użyto w pośrodku półtrzeciej deski takiej. Wiktor nie urządził wcale ławki do siedzenia, bo lada chybnięcie byłoby wtedy niebezpiecznem. Porobił tylko na dnie łódki bezpieczniejsze tureckie siedzenia, ze słomy i naszych burek podróżnych. Co najgorsza, że czajka po naprawie przeciekała prawie tak samo, jak pierwej. Wiktor jednak, wylewając wodę *korczakiem* (mała drewniana szufelka), zapewniał, że przeciekanie jest rzeczą zwykłą, że wszystkie czajki na Niemnie przeciekają, a nasza będzie coraz mniej przeciekała i, że tylko od czasu do czasu będziemy z niej wodę wylewali.

Odjazd Jagiełły z Grodna musiał się wielce różnić od naszego. Monarchę zapewne żegnał tłum ciekawego ludu; kasztelan czy horodniczy zamku grodzieńskiego, rycerstwo, szlachta, rajcowie miasta. Nas nikt, oprócz dwóch żydków, tych samych, których na wstępie do Grodna spotkałem t. j. właściciela dryndulki i sługi hotelowego. Ten ostatni znosił ochoczo nasze tłómoczki i węzełki z doróżki i układał na piasku nadbrzeżnym, ale gdy mu poleciłem, aby pakunki te pownosił na czajkę — »Przepraszam panów — odrzekł — ja mam i żonę i siedmioro dzieci, to coby oni biedni na świecie zrobili, żebym ja się do takiej wody dostał?« To mówiąc odsunął się z pewnym wstrętem od łódki ku dryndulce i ciekawie przypatrywał z doróżkarzem, jak to z nami będzie, gdy powsiadamy.

I rzeczywiście po wniesieniu rzeczy do czajki, wejściu Gustawa i nareszcie mojej osoby, okręt nasz tak głęboko się zanurzył, że tylko cztery cale pozostawało od poziomu wody do krawędzi bocznych łódki. A jednak, pomyślałem sobie, na tych wątłych kilku deskach musimy bystrym Niemnem żeglować 40 mil wodnej drogi do upamiętnionej przez wielkiego wieszcza doliny »tulipanów i narcyzów« — i pomieścić jeszcze zdobycze spodziewane, wykopaliska, minerały i co Bóg nadarzy znaleźć ciekawego na tej drodze.

»Po rodzonej naszej rzece
W obce strony nieś mię łodzi!
Niech cię trzyma Pan w opiece,
Niech cię burza nie uszkodzi!

Mojej ziemi łąki, gaje!
Niechaj wami wzrok napieszczę!

Jak obaczę cudze kraje,
Bym was kochał więcej jeszcze«.

Gdy inni szukają źródeł Nilu w skwarze zwrotnikowego słońca, gdy odkopują gruzy Troi lub giną wśród lodów podbiegunowych, ja, ku tobie podążam, domowy Niemnie, by wyspowiadać nurty twoje i ustronia wybrzeży twoich, by skosztować chleba i soli pod strzechą nadniemeńską i pogwarzyć z rzeszą siół twoich. Wiem, że z dalekich i niebezpiecznych pielgrzymek odnieść można ko-



Most kolejowy w Grodnie.

rzyści, że świat cały ludzi partych szlachetną żądzą wiedzy nagradza sławą powszechną. Ale ja sławy nie szukam, a korzyści pragnę przedewszystkiem swojskich dla ziomków moich.

Na końcu łódki, gdzie bywa u większych statków rudel, zajął miejsce nasz Wiktor, jako fizyczny motor całej wyprawy, sternik i wioślarz zarazem. Ja, jako główny balast zająłem środek, t. j. najszersze miejsce łódki. W przednim nosie obrał sobie stałe siedlisko Gustaw. Resztę wolnej przestrzeni w czajce zajęły dwa tłomoczki, puzdro ze spiżarnią, teki, motyka i zapasowe wiosło. Wiktor mając od-

bić od lądu, zdjął czapkę i przeżegnał się pobożnie. My uczyniliśmy to samo, co na naszym flisie zrobiło wrażenie dobrej nadziei i otuchy w pomyślność podróży.

Była godzina czwarta rano i Grodno marzyło jeszcze snem głębokim, gdy pierwsza z jego murów, a prawdopodobnie i pierwsza wogóle po Niemnie wyprawa archeologiczno-etnograficzna opuszczała miasto. Już czajka nasza o fale Niemna pluska, bystry nurt miejscami lejkowato wirujący na powierzchni wody, unosi ją w dół rzeki, ku zachodowi, a wiosło sternika już nie gruntuje ziemi.

Cóż za wspaniały widok poza nami! W łożysku głębokiej doliny ocknął się już ze snu szmaragdowy Niemen, ale dymi jeszcze oparami mgły porannej. Nad

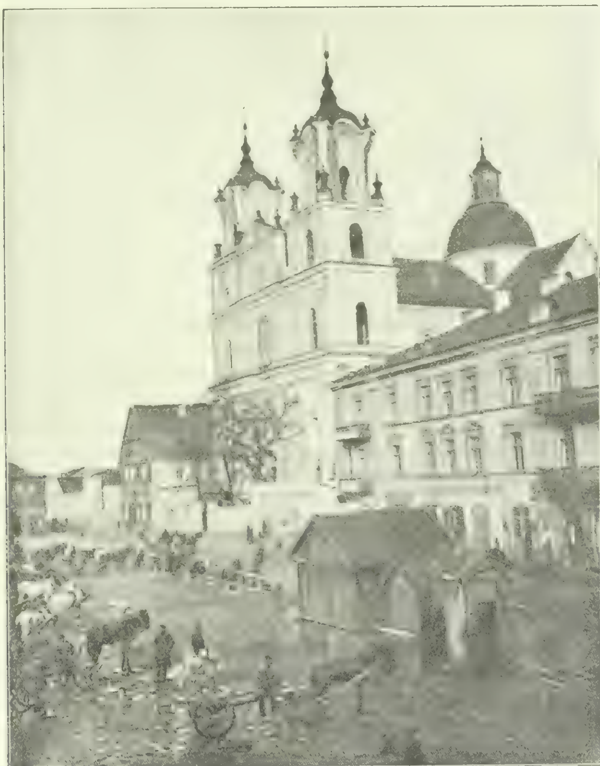


Zamek Batorego w Grodnie.

nim zawisł piękny most żelazny kolei Petersbursko-warszawskiej, wsparty na kilku szarych, granitowych filarach, tak wyniosłych, że najwyższe maszty wicin, przepływając, nie potrzebują schylać swoich wierzchołków w jego czeluściach. W złotej powodzi rannego słońca kąpały się strome wybrzeża Niemna i urwiska góry zamkowej z granitowemi szczątkami murów witoldowych. Zdala dolatywały wśród ciszy porannej odbite po wodzie wołania orylów i z niw zamiejskich śpiew skowronków.

Widok Grodna nasunął w myślach moich cały szereg wspomnień dziejowych. Więc najpierw chwile sejmu w r. 1793 i abdykacyi Stanisława Augusta, która tu

nastąpiła we dwa lata później Poza tymi obrazami, wstecz, widnieje kilkonastoletnia epoka świetności Grodna za Antoniego Tyzenhauza, zakończona smutnym podskarbiego upadkiem. Starostwo grodzieńskie było na Litwie jedną z czterech niezmiernie rozległych »ekonomii«, stanowiących dobra stołowe królewskie. Podskarbi nadworny litewski, czyli minister skarbu litewskiego, Tyzenhauz, zarządza-



Fara grodzieńska i dom zwany Batorówką

jący temi dobrami, zapragnął uczynić z nich ognisko przemysłu krajowego a przedewszystkiem ogniskiem takiem chciał mieć Grodno.

Trudno jest dać wiarę, żeby w przeciągu niespełna lat 15-tu z lichego półżydowskiego miasta, bez żadnego naukowego i przemysłowego ruchu, można było utworzyć siedzibę oświaty i przemysłu, zabudować gmachami, zaludnić rękodziel-

nikami. Podskarbi wysyła do Anglii Downarowicza, żeby zbadał cały postęp agronomiczny w tym kraju. Dla przygotowania dobrych rachmistrzów zakłada szkołę buchalterską pod kierunkiem najbieglejszego w tej sprawie Baranowicza. Ponieważ Litwa nie miała weterynarzy, Tyzenhauz sprowadza z Montpellier biegłego w leczeniu ludzi i zwierząt profesora Zyliberta, któremu porucza założenie szkoły medyko-chirurgicznej i weterynarskiej. W szkole tej uczono weterynaryi, między innymi 6-ciu chłopców z włości królewskich na koszcie skarbowym. Szkoła mierników, czyli geometrów, zostawała pod dyrekcyą Markiewicza; budowniczych, pod kierunkiem Włocha Sacco. Tyzenhauz zakłada na Horodnicy za miastem fabrykę: bielizny stołowej, sukna, muślinów, wstążek, atłasu, aksamitu, pasów litych, powozów. Kopie kanały, osusza bagna, buduje drogi, mosty, domy zajezdne, uspławnia rzeki, zakłada huty, garbarnię, olejarnię; młyny, piwowarnię, składy towarów, gisernię, dom handlowy, ogród botaniczny, bibliotekę, orkiestrę i t. d. Gdy środki pieniężne na tak rozliczne i różnorodne przedsiębiorstwa okazały się niedostateczne, majstrzy, sprowadzani z zagranicy, nie wszyscy dobrzy, kraj do podobnie gwałtownego postępu nieprzygotowany, a sam podskarbi jako pan polski zbyt samowładny i nie fachowy, wielkie jego dzieło musiało runąć. Tyzenhauz umarł też prawie w niedostatku wśród Warszawy, pochowany w dobrach swoich Żołudku na Litwie. Podobno nie ma dotąd nigdzie tablicy grobowej, choć zostawił po sobie magnatom polskim nieocenioną pamiątkę i przykład, aby praca dla społeczeństwa była bardzo rozważna i więcej na zimno obliczona, niż gorączkowa, gwałtowna.

I biegłem znowu myślą w dalszą przeszłość, kiedy król Batory przemieszkiwał w pałacu trybunalskim i do wspaniałego kościoła jezuitów (dziś parafialnego) chadzał galeryą, która się ponad ulicą wznosiła. W Grodnie też ciężko zachorował, a nielitościwej śmierci anioł tu zamknął mu powieki i chmurą żałoby zasuł słońce ówczesnych nadziei. Na tle żałobnych wspomnień myśl moja cofnęła się znowu o wiek prawie cały nad łoże śmiertelne Kazimierza Jagiellończyka, który na zamku grodzieńskim r. 1492 ostatnich dni życia swego dokonał.

Na 250 lat przedtem pierwsza na ziemiach tutejszej Rusi nawała dziczy mongolskiej zrównała z ziemią gród nadniemeński kniaziów Hlebowiczów. Grodno było od wieków miejscem obronnem, skoro już pod r. 1128 znajdujemy w latopisach Rusi powyższą jego nazwę, od grodu, czyli warowni zamkowej biorącą swój początek. Takim to grodom, którymi były zwykle strome góry nadrzeczne nadające się do łatwiejszego obwarowania ręką ludzką, winny swój początek wszystkie miasta i stolice dawnej Słowiańszczyzny i Litwy. Przy zamku i pod jego ochroną osiadali pierwsi rzemieślnicy, rodziny rycerzy, powstawały przy trakcie wodnym targowice. Jednem słowem zawiązywało się miasto, na które przechodziła nazwa grodu, a w czasach późniejszych i obwarowanie całego obrębu przed napaściami nieprzyjaciół.

W mieście stawiano świątynie. Latopisowie Rusi zanotowali, że za kniaziów Hlebowiczów r. 1183 pogorzało Grodno od pioruna wraz z »cerkwiami murowanemi«. Oczywiście w cerkwiach pogorzały dachy i wiązania drewniane, ale nie ściany murowane. Istniejąca dotąd na krańcu zachodnim miasta w miejscowości

zwanej Kołożą, pod wezwaniem świętych: Borysa i Hleba, nosząca wybitny charakter budownictwa z pierwszych wieków chrześcijaństwa na Rusi, a będąca najstarszym zabytkiem budownictwa na Litwie, jest właśnie jedną i jedyną z tych, o których latopis *hypacowski* pod rokiem 1183 wspomina.

Gdy wódz Tatarów, podobno Kajdan, zburzył Grodno t. j. zamek drewniany i miasto, gdy Jerzy, syn Hleba, poległ w obronie Grodna, a spustoszona i prawie bezludna dzielnica kraju stała otworem dla każdego, wówczas książę litewski Erdziwiłł zajął grodzieńszczyznę, która stała się odtąd dzielnicą bałwochwalczej Litwy. Kusiła się wprawdzie Ruś o odebranie Grodna podczas wspólnej na Jadźwingów wyprawy Daniela, księcia halickiego, z Bolesławem Wstydliwym — ale nadaremnie. Od r. 1284 Grodno litewskie stało się celem częstych napaści Zakonu krzyżackiego. Czy za panowania pogan w Grodnie, które trwało do chrztu Jagiełły i Witolda, t. j. przez półtora wieku, cerkiew na Kołoży służyła do modłów chrześcijanom miejscowym, czy władcom pogańskim, na to nie mamy żadnych świadectw. To jednak pewna, że poganie uszanowali świątynię chrześcijańską, skoro od pierwotnych do naszych czasów przetrwała. Prawdopodobnie nie wnosili nawet do niej swoich bogów, bo obyczajem litewskim mieli poświęcone dla nich gaje, a nie bożnice, i chrześcijanom pozostawili cerkiew w ich ręku, kult bowiem wiary pogan dążył do utrzymania własnych wierzeń, ale nie narzucał ich nikomu.

Gdy za Jagiełły powróciło znowu panowanie chrześcijaństwa, a wielki książę Witold postawił w Grodnie okazałą farę gotycką dla katolików, urosło z czasem podanie ludu, że Kołoża, jako sięgająca doby pogańskiej, była świątynią pogan litewskich, a garnki w jej ścianach wewnętrznych, dla akustyki wmurowane, że były popielnicami, przeznaczonemi na prochy zmarłych.

Dopłynąwszy podnóża Kołoży, przybiliśmy do prawego brzegu Niemna i wysiadłszy poczęliśmy wdrapywać się na jej strome urwisko, gdy nasz Wiktor wylewał tymczasem wodę naciekającą do czajki. Pragnąłem dopełnić rysunku starej budowy, naszkicowanego jeszcze w r. 1867, gdym po raz pierwszy był w Grodnie. Rajzbretu, ani stolika nie było, więc zastąpiła go teczka podróżna, położona na plecach siedzącego »w kuczki« Gustawa, który podjął się chętnie tej usługi artystycznej i spełniał ją o tyle idealnie, o ile nie kichał, mając dość silny katar. Ja rysowałem siedząc za nim także »w kuczki«, a czynność nasza w tych pozach dość długa i nieruchoma zwabiła gromadkę kobiet z przedmieścia.

Kołoża przedstawiała już wówczas ruinę. Do r. 1839 służyła zakonowi ojców Bazylianów i posiadała słynący cudami obraz Bogarodzicy. W lat kilkanaście później, skutkiem powolnego, ale ciągłego osypywania się stromych stoków wybrzeża w koryto Niemna, południowa ściana cerkiewki i połowa frontowego szczytu po drzwi wielkie, runęły ku rzece. Odtąd ruiny stały bez dachu przez ćwierć wieku, aż do czasu mojej podróży t. j. r. 1872, w którym miano przystąpić do odbudowania.

Świątynia w stylu bizantyńskim składała się z trzech naw, z których każda półkolisto w szczycie zaołtarzowym, na wschód zwróconym, zakończoną była. W półkolistem zakończeniu nawy środkowej, najszerszej i najdalej w szczycie

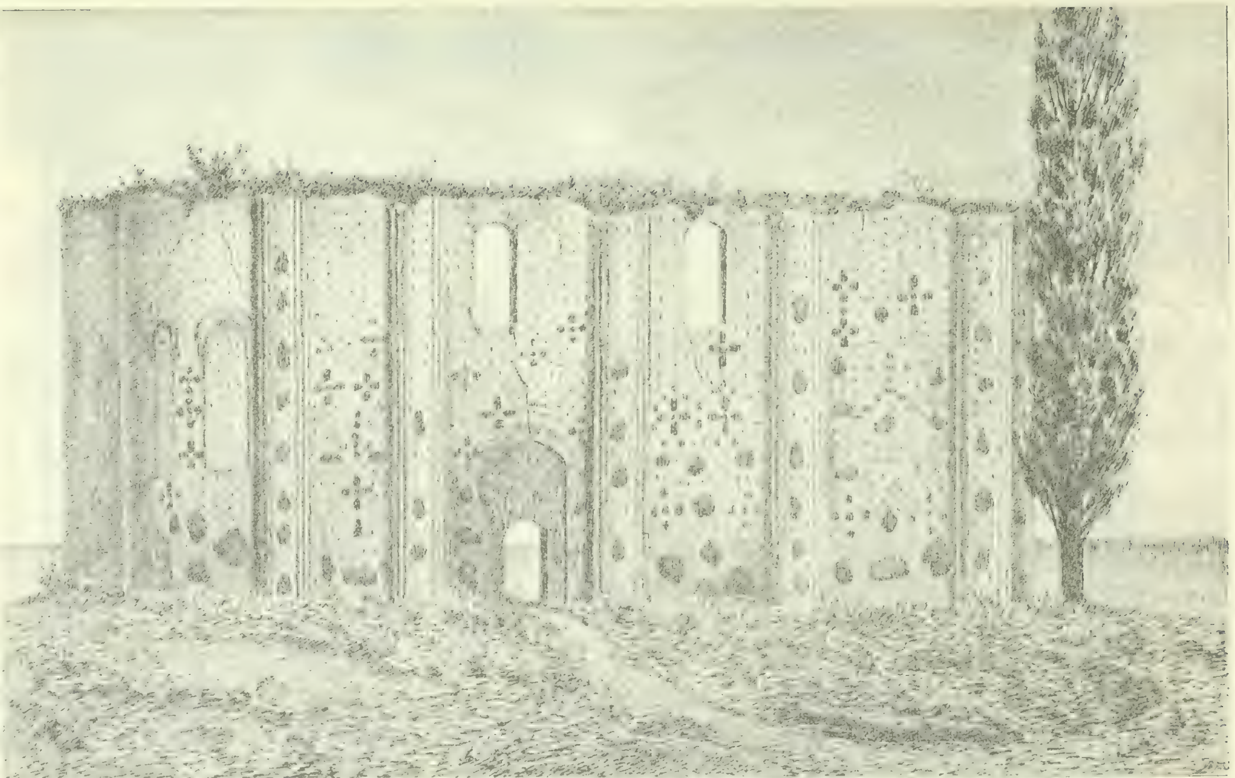
wysuniętej, mieścił się wielki ołtarz. W połowie świątyni znajdowały się dwa okrągłe filary pomiędzy nawą środkową, a bocznemi. Cała długość budowy łącznie ze ścianami wynosiła stóp polskich 73, a szerokość 44. W szczycie ołtarzowym, na połowie wysokości, widoczne były zewnątrz piękne gzemsy łukowe dziewięciu wielkich okien zamurowanych później, po trzy w każdej nawie. W miejsce tych okien pierwotnych zrobiono później po dwa okna w ścianach bocznych, o nader płaskich łukach i wysoko umieszczone. Jedno też znajdowało się we froncie świątyni nad głównymi drzwiami. Drzwi pierwotnie było troje: główne, wprost ołtarza i dwoje bocznych w połowie budynku, wszystkie jednakowej wielkości. Wewnątrz grubych ścian ukryte były w kilku miejscach wązkie schody i korytarzyki tajemne. Cegły użyte do budowy miały zaledwie grubość dwucalową. Ale za to między ich warstwami kładziono na cal grubo wapna, do którego sypano niezmiernie mało piasku. Widocznie robota była może najpierwszym murem w kraju a murarze mało mieli doświadczenia, jakie wapno jest najmocniejszem.

W ścianach wewnętrznych uderzają swoją oryginalnością wielkie garnki wmurowane poziomo otworami do środka, dla akustyki. Były to tak zwane *hołośniki*, jakie znajdowały się także w ścianach cerkwi św. Bazylego w Owruczu, wzniesionej około roku 1000-go przez Włodzimierza I. Miały one nadawać dziwny rezonans śpiewowi, który w obrządku wschodnim tak wielką odgrywa rolę. Niegdyś każdy ze zwiedzających świątynię, jeżeli był ciekawym tego rezonansu, mógł kilkakrotnie zagrzmieć głosem, za co składał pewną opłatę zwaną *hukowoje*. W ścianach świątyni kołożańskiej znajdowała się takich hołośników około setka pierwotnie. Dziś wróble gnieżdżą się rozkosznie w tych garnkach, a chłopcy wiejscy, przyniósłszy drabinkę, wybierali przy nas pisklęta.

Ściany zewnętrzne, nietynkowane, oryginalny przedstawiały widok, ponieważ ozdobione były krzyżami z pewnego rodzaju kafli, pokrytych polewą pięknej barwy zielonej, wiśniowej, cytrynowej i t. d. Krzyżów takich, o ile wnosić można było ze ścian pozostałych, znajdować się mogło na całej świątyni najmniej sto kilkanaście. Oprócz nich, zwłaszcza od dołu, wmurowano w ściany mnóstwo polnych głazów z gładką powierzchnią na zewnątrz.

Szkice Kołoży ukończyłem — Gustaw wyprostował się i odetchnął. Ze stosu gruzów wybrawszy kilka typów cegieł starożytnych, powróciliśmy do łódki, która pod ciężarem pierwszych nabytków naszych zdawała się zanurzać głębiej w wodę. Zygmuncie — rzekł, żartując mój towarzysz — jeżeli na samym wstępie tyle już mamy zdobyczy, to czy nie lepiej byłoby wrócić się do Grodna póki czas i nająć pod starożytności *wicinę*, albo *bat*, ot taki jak ten, który widzisz? Tu ukazał statek nieco mniejszy od wiciny, z ładunkiem kilkunastu sążeni kubicznych opałowej sośniny, ciągnięty w górę rzeki za długą linę przez 10-ciu pieszych ludzi. Na ten temat żartowaliśmy wesoło.

Bystry nurt unosi znowu naszą łódkę. W pobliżu Kołoży bałwani się w pewnym punkcie i rozbija swą pierś o głaz podwodny, dzieląc się na dwie bujne strugi fal niby dwa olbrzymie wąsy, ostrzegając zdala sterników, aby to miejsce niebezpieczne omijali. Mazurkiewicz, który znał Niemen wybornie, bo już 15 razy jako oryl przebywał drogę od Grodna do Kowna, objaśniał nas, że w mowie



Ruina na Kołoży w Grodnie.

flisów i ludu tutejszego każdy wielki kamień podwodny zowie się *rapą*, nie rafą, jak na Wiśle, i każdy ma nazwę oddzielną. Ta n. p rapa w pobliżu Kołoży nosi nazwę *Horodnianki*.

Teraz opuszczamy już Grodno na dobre, trawestując pożegnanie Child Herolda:

»Bywaj mi zdrowy, grodzie sędziwy!
Już w mglistej nikniesz powłoce,
Już Niemen szepce głębin swych dziwy,
Litewski słowik świergoce«.

Poniżej Grodna brzegi Niemna są bezdrzewne i obniżają się. Pierwszy las, który napotykamy na lewym brzegu, jest sosnowy, a majątek, do którego należy, nazywa się Augustówek. Głęboka cisza w naturze wróży upał. Na niebie żadnej chmurki, na ziemi najlżejszego wietrzyku, na wodzie żadnej fali. Moc skowronków śpiewa pod jasnem niebem, jakby radując się z wiosennej zieloności i pogody. W lesie kowała kukułka, a kukanie jej rozbrzmiewało się daleko po rosie doliny niemnowej. Wiktor opowiadał, że każdy człek na wiosnę chowa tu w kieszeni kilka groszy na *zieziulkę* (kukułkę), aby miał czem brzęknąć, gdy pierwszy raz kukanie posłyszy. Przypomniał mi tem białoruskie przysłowie »Schawaj try hroszy na ziaziulku«.

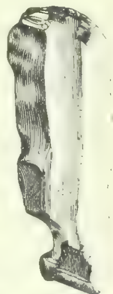
Kukułka nasza jest ptakiem najbardziej tajemniczej, demonicznej postaci. W pieśniach ukraińskich jest ona symbolem sieroctwa i wdowieństwa. Nie ma pary, bo była kiedyś kobietą i zabiła swego męża — dziś jest wróżką. Pokutuje w niej zaklęta dusza kniahini Zazuli, a lud mówi: »Zazula kuka, bo wybawienia szuka«. Coś mistycznego w pojęciach ludu leży w tem, że kukułka sama gniazda nie ściele, ale innym ptaszynom jaja swe podkłada. Zajęta jest sprawami swego zaklęcia, nie odbudowaniem gniazda i rodu. Więc podlatuje pod siedziby ludzkie do gajów i »wiśniowych sadów« i w czynieniu ciągłych wróżb szuka wybawienia. Tak się niepokoi sobą i ludźmi, że nawet w nocy przez sen kuka, a zawsze wróży dziewczętom, gdyż sama była dziewicą. Przepowiada im lata panieństwa i zamążpójścia. Jeżeli raz pierwszy zakuka dziewczynie, niosącej próżne konewki do wody, to próżno przejdzie jej rok, jeżeli zaś niosącej pełne, to spełni się za czem goni myślą i sercem. Gdy głodnemu zakuka na wiosnę, to będzie on głodny rok cały. Przepowiada lata doli i niedoli, starym — lata śmierci. W pieśni wielkopolskiej donosi dziewczynie o śmierci jej lubego:

»I usiadła na drzewinie,
Zakukała na kalinie,
Główkę w listek przytuliła,
Tak do matki przemówiła:
— Już nie siędzie Jaś za stołem,
Płacze Kasia za sokołem«.

W innej starej pieśni dziewica trawiona tęsknotą przemienia się w kukułkę, by ulecieć do swojej rodziny lub kochanka. Przy poległym młodym rycerzu sia-

dają trzy kukułki: u głowy, serca i nóg — matka u głowy, kochanka u serca, siostra u nóg. U matki płynie łez rzeka, u siostry sączy się struga, a gdzie kochanka, tam murawa sucha. Kochanka płakała dzień, siostra rok, matka... całe życie. Podobną pieśń śpiewa mazur nad Wisłą, Małorus nad Dnieprem i Litwin nad Niemnem, każdy w swoim dyalekcie.

O pół mili od Grodna wpada z lewego brzegu do Niemna rzeczka Łosośna, znana z poławiających się w niej pstrągów. A że pstrąg jest gatunkiem łososia, więc i nazwa rzeki stąd powstała. Łosośna, którą nasz Wiktor nazywał »Łososianką«, stanowi w tem miejscu granicę Królestwa z Cesarstwem. Nad rzeczką leży wieś Łosośna, rodzinna naszego poczciwego Mazurkiewicza. Bystra woda tej rzeczki poruszała niegdyś założone tutaj przez Tyzenhauza folusze, magle i blechy do tkalni horodnickich należące, a z podmytych wybrzeży wymulała szczęki z zębami przedhistorycznych mamutów i olbrzymie pnie drzew przedwiekowych. Wiktor twierdził, że to były kości »wielkoludów«, a kilka naiwnych rysów, jakiemi określił postacie podaniowych olbrzymów, przypomniały mi homerowego Polifema i cały ustęp o Cyklopach z dziewiątej pieśni Odyssei. O Łososiance mówił jeszcze, że na przestrzeni jednej mili obraca aż pięć młynów wodnych.



Od ujścia tej rzeczki, Niemen zmienia swój kierunek z zachodniego na północny i stanowi odtąd na przestrzeni mil kilkudziesięciu granicę pomiędzy gubernią Suwalską a Grodzieńską, Wileńską i Kowieńską. Mijamy na lewym brzegu wąwóz zwany »wileńskim rowem« i drugą od Grodna rapę Łososiankę. Nad nami pławi się w powietrzu upatrujący łupu wielki, drapieżny, o ciemnych piórach jastrząb, zwany przez lud zarówno nad Niemnem jak i Narwią *szulakiem*. Naprzeciw południowego krańca pięknie położonej wśród gaju wioseczki, zwanej Pyszki, napotkałem na prawym brzegu pierwsze w naszej podróży ślady przedhistorycznego pobytu człowieka w postaci znalezionych na lekkiej roli (między wybrzeżem a lasem) typowych okrzosków krzemiennych. Okrzoski takie odpadały przy obrabianiu krzemiennych narzędzi w czasach, kiedy jeszcze kruszców albo wcale nie znano, albo należały one do zamorskich rzadkości. Okrzoski płaskie długie, z ostrymi brzegami służyły zapewne za noże pierwotnym mieszkańcom nadniemeńskim i jeden z takich przedstawiamy tu w rysunku. Z innych, bądź robiono rozmaite drobne narzędzia, lub ostrza strzał, bądź odrzucano jako proste wióry i odpadki. Obok tych wszystkich szczątków, zmięszanych z piaskiem, na powierzchni znalazłem w skibach oranej roli czerepy prążkowanych grubych naczyń, wypalanych z gliny mięszanej z tłuczonym granitem, co w mniemaniu starożytnych dodawało mocy naczyniom.

Przez tysiące lat ludzie deptali po tych szczątkach prawiekowych, nie domyślając się, że były zabytkami po najdawniejszych mieszkańcach tej ziemicy. I dopiero dziwnym zbiegiem okoliczności wypadło mnie pierwszemu napotkać i wyszukać na ziemiach litewskich tak zwane »stacye krzemienne«, czyli siedliska pierwotnych mieszkańców z czasów powszechnego w starożytności użytku krzemienia.

Poza Pyszkami widać zwężony nagle Niemen, który szumi i bałwani się w tem miejscu na podwodnych głazach granitowych. Jest to niebezpieczna dla

statków i tratew rapa zwana *Hrymiaczką*, czyli grzmiącą. Drobna nasza czajka, jak łupina orzecha, puszczona na bystry potok, unosiła szybko trzech ludzi, z których wioślarz bacznie kierował małym statkiem, żeby prąd nie rozbił go w drzazgi na kamieniach, drugi zdawał się badać czy rzeczywiście grozi jakie niebezpieczeństwo, a trzeci zatopiony był cały w pakowaniu do pudełek krzemyków i czerep, zawijaniu osobliwszych okazów w papier i kładzeniu objaśniających napisów.

W pobliżu rapy Hrymiaczki znajduje się nad Niemnem wąwóz tego samego nazwiska. Ta łączność nazwy zwróciła moją uwagę na związek zupełnie inny, bo czysto fizycznej natury pomiędzy rapami i wąwozami. Oto w czasie potopowych kataklizmów i późniejszych wielkich powodzi, potężna siła wody wytoczyła z większych wąwozów głazy do koryta Niemna, tworząc z nich te podwodne barykady, które lud nazwał rapami. I w górach wąwozy zasute są skałami przez potoki. Wiktor objaśniał nas, że przy każdej rapie znajdują się niby wrota, kędy ścieśniona rzeka najgłębszy nurt posiada i statki przepływają. Nurt ten w mowie żeglarzy zowie się drogą, a od umiejętności sternika i doświadczenia orylów zależy los wicin, batów i tratew. Najgroźniejsze rapy zapowiadał nam pod Rumszyszkami i Dworaliszkami przed Kownem, gdzie szum Niemna słychać dalej niż głos człowieka. Mniej groźny kamień w rzece lub podwodna wysepka z kamieni i żwiru zowie się *solą* i *sołką*, niekiedy *usem*, czyli wąsem, od dwóch prądów rozchodzących się od *soły*, z biegiem wody niby dwa długie wąsy. Zdarzają się rozbicia statków i o *solę*, jeżeli sternik niebaczny. Jeżeli kamień podwodny jest wielki, lub sterczy nad powierzchnią, zwie się *wieliczem*. Miejsce zaś przy brzegu, poniżej głazów i mielizn, gdzie woda zatrzymana wiruje, zowie się *odwojem*.

Poniżej Hrymiaczki minęliśmy na prawym brzegu niewielki wąwóz zwany »żydowskim rowkiem«, którego semickość przypomniała mi górę Jarmułkę pod Szczawnicą. Na lewym brzegu inny parów zwie się Rapin. Dalej przybyliśmy do kopalni wapna, zwanej Miołą lub Mieławcem (od miału kredowego). Jest to wzgórze wapienne, dawniejszej niż dolina rzeczna formacyi, w której Niemen wydrążył sobie na przełaj koryto. Pokłady wapna wznoszą się na kilkanaście sążni nad poziom wody na brzegu prawym i tu właśnie w stoku góry znajduje się kopalnia, jako wielka kotlina śnieżnej białości, ożywiona pracą kilkudziesięciu ludzi, oprawiona w malownicze ramy zieloności lasu i zarośli. Robotnicy, jedni łamali białą, wilgotną opokę, inni taczkowali śnieżne bryły na brzeg Niemna, gdzie układali je w szychty, z których po wyschnięciu ładuje się wapno na statki lub wozy. Właśnie przy kopalni zastaliśmy bat naładowany kilkuset korcami tego wapna, mający płynąć z Niemna na »kanał augustowski« do Augustowa. Żydek właściciel batu i wapna zagadnięty, czy nie ma do zbycia kawałka deski, potrzebnej nam do położenia na przesiąkającem dnie łódki, zapytał nas, czy nie mamy śledzi do sprzedania? Z kłopotu wybawił nas Wiktor, który na piątek i sobotę nakupił sobie śledzi w Grodnie. Za śledzie więc dostaliśmy kawał deski, co przypominało handel zamienny w średnich wiekach.

Do pierwotnych murów cerkiewki na Kołoży zdaje się, że użytem już być musiało chude wapno tutejsze. W pokładach kopalni znalazłem mnóstwo oryginalnego kształtu gałęzistych krzemieni, a także paleontologiczne okazy mięczaka

Ananhites gibbus, wielkości gęsiego jaja. Krzemienie tutejsze, które łatwo odróżnić można od innych, znajdowałem później w korycie Niemna o kilka mil w dole rzeki.

Obfitość krzemienia w pokładach wapna dała mi pobudkę do szukania w pobliżu siedliska ludzkiego z czasów starożytnego użytku krzemienia. Jakoż o kilkaset kroków od kotliny wapiennej znalazłem na przeciwległym brzegu to, czego pragnąłem. Na piaszczystych nierównościach wywiewały teraz wiatry okrzoski krzemienne z czasów starożytnych. Były więc tu znowu i kawałki narzędzi, nożyków i (najliczniejsze) wiórki krzemienne, oraz szczątki glinianych, typowych naczyń. Z przedmiotów powyższych przedstawiam tutaj dwa tak zw. skrobacze (racloir) o tępych, łukowatych ostrzach i jeden tak zwany rdzeń, czyli *nukleus* t. j. środek bryłki krzemienia, z którego boków odłupywano podłużne blaszkowate szczadry, do krajania lub innych użytków służące. Znajdowanie takich rdzeni i okrzosków z krzemienia o wydatnych cechach miejscowych, stanowiło uderzający dowód, że były to wyroby tutejsze, gdzie tylko bowiem człowiek starożytny się zatrzymał, tam wyszukiwał sobie na miejscu krzemień i robił z niego potrzebne narzędzia.



Skrobacze.



Nukleus.

Słońce paliło żarem na piaszczystych wybrzeżach, ale na odpoczynek i posiłek południowy nie wiele chwil mogliśmy poświęcić, zamierzywszy bowiem w ciągu dni ośmiu dopełnić 40-milowej wędrówki (tyle mniej więcej długości ma kręte koryto Niemna od Grodna do Kowna), trzeba było posuwać się przeciętnie po 5 mil dziennie. Nie było więc czasu w ciągu dnia na kąpanie się, na drzemki i dłuższe odpoczynki. Na szczęście, od szkolnej ławy przywykłem obliczać się z każdą godziną, aby nie stracić jej na marne, więc podobny tryb życia w podróży nie przynosił mi przykrości. Gdzie wybrzeża były ciekawsze i piękniejsze, tam szliśmy pieszo lub przewoziliśmy się łódką z brzegu na brzeg. Płynąc Niemnem, robiłem notatki pomimo, że na wodzie, gdzie promienie słoneczne odbijają się od gładkiego jej zwierciadła, upał był o wiele dokuczliwszym. Kiedy brodziliśmy po rozpalonym piasku, szukając zabytków krzemiennych, Wiktor wylewał wodę z czajki lub drzemał, budząc się od czasu do czasu dla zażycia tabaki, a gdyśmy powracali obciążeni kamiennym łupem, zapewniał sumiennie, że pierwszy raz w życiu widzi takich panów, którzy zbierają po piasku »kamuszki i skorupki«.

Za Miołą minęliśmy dwie rapy, z których niżej położona ma być dla wicin wielce niebezpieczna. Dalej w pobliżu wsi Łuszkarów wpada z lewego brzegu

strumień Puszkarka. Jar jej szeroki uwydatnia przestwór czasu i potęgę działania wód na lądy, co razem złożyło się na wyżłobienie takich koryt. Rapa przy wsi Solnej Bali nosi także nazwę Puszkarki. W Bali istniał dawniej skarbowy skład soli wielickiej i stąd dodano nazwę Solnej. Skąd się tu wzięła nazwa biblijnej Bali (inaczej zwanej Segorą), pochłoniętej po przejściu Lota — jak mówi Pismo Święte — przez ogień i ziemię, tego nie wiem.

Niżej Puszkarki wpada do Niemna z lewego brzegu rzeczka Łabna, powyżej zaś na brzegu prawym ciągnie się bór sosnowy, podobno do dóbr Stanisławowo (ks. Lubeckich) należący. Za tym borem rozpościera się »okolica« zaściankowej szlachty, zwana Grądzicze czy Grądzickie, gniazdo zapewne Grądzkich.

Pod Kownianami napotkaliśmy pierwszą na Niemnie wysepkę. Jazon grecki, gdy wylądował na wyspie Lemnos, tak uprzejmie był przyjętym przez piękne lemnoski, że gościł u nich przez rok cały, a pamięć tej gościny przechowała się aż do naszych czasów. Ale po pustym ostrowie litewskim chodziła tylko długodzioba czapla i ta przed nami uciekła. Krzaki rosnącego na wyspie berberysu przypomniały mi lata dziecinne, gdy wyglądałem gości, przy których podawano konfitury berberysowe. Po kamykach, na brzegu wyspy biegały szybko, upędzając się za owadami lub wesoło świergocąc i pląsając w powietrzu ptaszki nieco większe od pliszek, ale do nich podobne, które Wiktor nazwał *bibikami*.

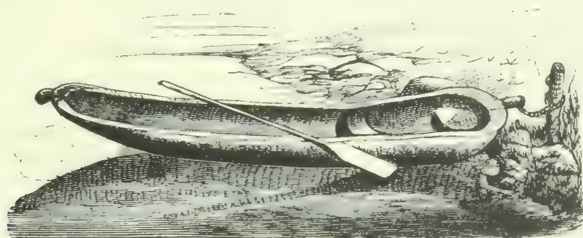
Do osobliwości nad Niemnem należy napotkany przez nas w Kownianach prom łyżwowy, chodzący przy linie, a do rzeczy najpospolitszych stara karczma z dziurawą strzechą, w której oprócz wódki niczego więcej dostać nie można, ale za to pełna rozczochranego drobiazgu semickiego. Na piaszczystych wyżynach pod wioską znalazłem ślady cmentarzyska z późniejszych już czasów, a w innem miejscu nie liczne wprawdzie, ale nie ulegające wątpliwości krzemienne szczątki narzędzi wykonanych ręką przedhistorycznego człowieka, wywiewane i zawiewane lotnym piaskiem. Poniżej Kownian napotkaliśmy drugą wyspę na Niemnie ze śladami poprzecznego, nie głębokiego przekopu.

Okolica uboga tu w lasy, a bogata jeno w piaski. Niemen poszerza się, lecz za to płynie wolniej brzegi tracą malowniczość. Pierwszy jednak nasz obiad spożyliśmy bardzo romantycznie w cienistym olszniaku, na miękkiej murawie, przy szmerze krynicy, oddychając aromatem małej, kwiecistej łączki. Obok w olszynie zawodził słowik, a nad nami świergotał skowronek, brakowało tylko zefiru, któryby ochłodził nasze uznojone ruchem i upałem, ku ziemi ciążące jak ołów członki.

Troskliwa matka moja zaopatrzyła nas hojnie na drogę w wyborne domowe wędliny, ale upał 30-stopniowy odbierał apetyt na podobne przysmaki. Przewoźnik nasz tymczasem położył przed nami olbrzymi bochen razowego chleba, wspaniały dar ziemi litewskiej dla jej gości, sól w tabakierce brzozowej (nie używanej do tabaki) i kubek zimnego nektaru, sączonego przez pierś ziemi rodzinnej. Nie tykając wędlin wzięliśmy się do chleba czarnego, który smakował nam jak piernik toruński. Gustaw marzył o bigosie i zrazach z kaszą, ale gdy tych nie było, zabrał się za moim przykładem do razowca. Wiktor spożywał swoje śledzie, powiadając, że gdy ryba wody zapragnie, tej w Niemnie nie zabraknie.

Pokrzepieni ruszyliśmy dalej na północ szlakiem Jagiełły z roku 1418. Przy

prawym brzegu, pod pięknym liściowym lasem kilku ludzi w odzieży brodząc po pas w wodzie, łowiło ryby. Gęsta sieć, której używali, służyła na połów drobiazgu i nazywała się *włókiem*, tak samo jak nad moją rodzinną Narwią. Wogóle Niemen nie łatwy jest do rybołóstwa i posiada mało rybaków. Stanowi on pod tym względem zupełną sprzeczność z częścią podlaską Narwi (od Suraża do Wizny), gdzie prawie wszyscy mieszkańcy wiosek nadbrzeżnych mają swoje »czółna« i zajęci są dniem i nocą tępieniem rodu rybiego. Niemnem przebyliśmy już blizko trzy mile od Grodna i dopiero spotkaliśmy pierwsze rybackie czółno i siatkę. Czółno było równie jak stare czółna na Narwi, z jednej kłody drzewa wyżłobione, tylko głębsze i na obu końcach miało zacięte czopy do ujęcia. Leżało na niem wiosło kształtu nie tak wysmukłego jak podlaskie lub mazowieckie, ale krótsze i szersze, więcej zbliżone do łopaty, na jakiej chleb wsadzany bywa do pieca i czarownice w pojęciach ludu jeżdżą na łyse góry sejmikować z dyabłami. Przyczyną tej różnicy kształtów jest może większa bystrość Niemna.



Czółno rybaków nadniemeńskich.

Na piaszczystem wzgórzu, przy ujściu rzeczki Hoży, leży na prawym brzegu wieś Hoża. Gromadka okopconych strzech stanowi rażącą sprzeczność z nazwą. Stara ta osada może i była niegdyś hożą, ale chyba za Witolda, który nieraz cwałował traktem z Wilna do Grodna (a razu jednego przebył, jak mówi Długosz, całą tę drogę we 24 godzin) lub za Kazimierza Jagiellończyka, który założył tu kościół, uposażony następnie (r. 1494) przez syna jego Aleksandra. Dzisiejszy dom boży wymurowany został nie tak dawno. Naprzeciw tej wioski Niemen opływa obszerną wyspę, osinowym laskiem porosłą, poniżej której znajduje się druga niewielka wysepka.

Około siół Plebańskie i Płaskowce, na brzegu lewym, tudzież w okolicy wsi Jaćwież na prawym, natrafiłem znowu na krzemienne ślady przeddziejowego pobytu człowieka nad Niemnem. Nazwa Jaćwież nadawana była osadom prusko-litewskiego plemienia Jadźwingów, których pierwotna siedziba leżała na północy Podlasia, w okolicach dzisiejszego Ełku, Rajgrodu i Augustowa, a którzy wyparci później orężem z Polski i Rusi, z nad górnej Narwi szukali schronienia u pokrewnej Litwy. — W pokładzie żwiru pod wsią Plebańskie znalazłem kopalne szczątki kostne jakiegoś zwierzęcia.

Jar Niemnowy przecinając nieprzepuszczalne głębsze warstwy gliniastego iłu, posiada na swych stokach mnóstwo zdrojowisk. Woda w niektórych miejscach takich kapie ze stromego urwiska jak deszcz ze strzechy, a brzeg nadrzeczny, gdzie ta woda spływa, jest grząski i trudny do przebycia. Gdzie na piaszczystej krawędzi las porasta, tam przez osuwanie się ziemi podmywanej z pod korzeni, niektóre drzewa pochyliły się nad wodę grożąc upadkiem do Niemna. I owe czarne dęby starożytne w nurtach jego, o których nam Wiktor prawi, musiały w tenże sposób runąć przed wiekami do niemnowej topieli. W okolicy ubogiej w pastwiska, którą teraz przebywamy, krowy i woły nauczyły się brodzić przy brzegach i zanurzając łeb do wody po uszy, wyciągać z niej rzeczne zielsko na pokarm.

Już pod zachód słońca przybyliśmy do Niemnowa, gdzie łączy się z Niemnem przez wpadającą do niego rzekę Hańczę, piękny 20-milowy kanał Augustowski, zbudowany w latach 1824—1839, kosztem kilkunastu milionów złotych, wydanych przez skarb Królestwa Polskiego. Ponieważ poziom wody kanału wyższy jest od poziomu Niemna o łokci szesnaście, zbudowaną jest przeto okazała, potrójna szluza cztery wielkie bramy dębowe posiadająca. Trzy komory jej na stoku od kanału do Niemna, jedna przy drugiej zbudowane, są oczywiście tak obszerne, że każda z nich pomieścić może berlinkę lub wicinę. Żałowaliśmy, że nie przybyliśmy wcześniej, gdy spuszczano z kanału na Niemen mnóstwo tratew z potężnych kloców drzewa, spławianego tędy z rządowych lasów augustowskich do Królewca. Wśród cienistego sadu, przy szerokiej alei, stoi dworek urzędnika kanałowego. Burty kanału także osadzone drzewami jak i jego rozszerzenie w rodzaju portu przy najwyższej szluzie. Ściany komor szluzowych zbudowane z ciosu, a nad jedną z bram znajduje się most zwodzony. Od tych szluz wodna droga kanałem, jeziorami, Hańczą, Nettą, Biebrzą i Narwią z Niemna do Wisły, czyli od Niemnowa do ujścia Narwi pod Nowo-Georgiewskiem wynosi mil $62^1/_2$.

O zmroku ruszyliśmy z Niemnowa na nocleg do gospody, położonej naprzeciw Przełomu. Poniżej Sieniewicz minęliśmy sporą wyspę i na lewym brzegu torfowisko bardzo ciekawe z tego względu, że stanowiąc wybrzeże, sięgało dość głęboko pod poziom nizkiego obecnie stanu wody w Niemnie. Tak przebywszy w długim dniu czerwcowym ósmą część zamierzonej drogi do Kowna, wylądowaliśmy pod dużą karczmą sieniewicką.

Rzęsiste światło w izbie karczemnej zapowiadało, że gazdowie tego przybytku, gwoli piątkowego wieczoru obchodzili starożytne święto Sabatu. Odgłos zgiełkliwej modlitwy kilkunastu talmudystów nie budził nadziei znalezienia cichego wywczasu i posiłku pod tym dachem. Przed karczmą stała gromadka gwarzących kmieci, których pozdrowiłem po chrześcijańsku, co dało im o nas dobre wyobrażenie i było wstępem do rozmowy. W tejże jednak chwili wysunęła się z gospody w świątecznej peruce i sterczącym jaskrawym na niej czepku ciekawa arendarzowa. Za nią przez wysoki próg sieni karczemnej przestąpił poważnie sam arendarz w czarnym długim żupanie, pończochach i pantoflach, przepasany kolorową chustką. Spojrzał badawczo na nas i na nasze walizki i udając człowieka domyślnego, oznajmił, iż wie dobrze, że jesteśmy inżynierami od Niemna. Ja widząc, iż taka godność bardzo wysoko nas podnosi w oczach arendarza, potwierdziłem ski-

nieniem głowy jego domysł. Żyd też kłaniając się, zapraszał nas uprzejmie do gospody.

Różnica ciężkości gatunkowej powietrza zewnątrz i wewnątrz domu musiała być olbrzymia. Niemiłe wyziewy szynkowanej, najgorszego gatunku wódki walczyły o pierwszeństwo z odorem obficie spożywanej cebuli. Dziwnem było, iż w podobnie trującym zaduchu potrafiły zachować życie i ruchliwość miliardy much i że tylko chyba dlatego owady te z izby karczemnej nie uciekły, że okna jej nie były nigdy otwierane. Ponieważ szynkownia była w obecnej chwili domem modlitwy, gospodarz zaprowadził nas do »alkierza« czyli sypialnej swojej za szynkownią izdebki, która do wszystkich zalet izby pierwszej, łączyła idealną ciasnotę. Dwa bowiem łoża z niebotycznemi piramidami puchowej pościeli, pod firankami podobnemi do baldachimów, tak dalece wypełniały całą przestrzeń alkierzyka, że na żaden sprzęt inny nie było już w nim miejsca. Tutaj to gościnny gospodarz ofiarował nam nocleg i z pewnem zgorszeniem i podziwem spojrzał na nas, gdyśmy zażądali jakiej szopy z sianem lub słomą do wywczasu.

Siana nie było, chyba w herbacie, którą popijaliśmy, jedząc wcale niezłe szabasowe gugle. Gdym położył na stole kompas kieszonkowy, arendarz wszystkowiedzący zapewnił mnie, iż pewien profesor z Królewca (zdaje się przez pruskie ministeryum wojny wydelegowany), który przed rokiem badał Niemen, miał taką samą »miarkę« do mierzenia głębokości i brodów tej rzeki. Dalej opowiadał nam, że zamożny obywatel tej okolicy Wołłowicz projektuje parową żeglugę, której główna stacya, podług arendarza, powinna być założona przed jego karczmą.

Jak człowiek tonący, który wydobył się z pod lodu na powietrze, tak my doznaliśmy podobnej rozkoszy wychodząc z karczmy pod gwiaździste niebo wspaniałego wieczoru nad Niemnem. Piersi nasze oddychały chciwie chłodem nocy. Obfita, zimna rosa pod promieniami księżyca okryła srebrzystym welonem dolinę szemrzącej rzeki, której łozy nadbrzeżne rozlegały się śpiewem słowików i gwarem żab, przeplatanym krzykami wodnego ptactwa. Jakże nie kochać tej przyrody, kiedy to wszystko takie swojskie, takie rodzinne, wykarmione sokami tej ziemi i wonią tych pól, i ten lud wiejski z wiarą do tych krzyżów przydrożnych i tradycyą obyczaju i ciepłem tych ognisk domowych.

Pomimo znużenia całodzienną wędrówką chciało się nam przechadzać bez końca i napawać widokiem nadniemeńskiego wieczoru. Więc poszliśmy ścieżką nieznaną między bujnem żytem i wrzącą śpiewem słowików gęstwiną, a ścieżka ta zawiodła nas niespodzianie w malownicze ustronie nad brzeg nieznanej nam rzeki. Dopiero teraz przypomniałem sobie, iż około Sieniewicz wpada do Niemna Czarna Hańcza. W szerokiej szybie wody odbijał się szafir pogodnego nieba, milionem gwiazd zasiany, a blask księżyca połączył mostem srebrzystym, lśniącym dwa przeciwległe brzegi rzeki. Niekiedy rzuciła się ryba z toni jak duch litewskiej ondyny, a taki sam widok musiał mieć wieszcz przed sobą, gdy pisał:

»Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,

Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce«.

Czarna Hańcza bierze początek z jeziora tejże nazwy, słynnego z sielaw, a położonego o mil stąd kilkanaście, przy granicy pruskiej. Płynie koło Suwałk, dalej przez wielkie jezioro Wigierskie i przerzyna rozległą, dawną puszczę grodzieńską, czyli t. zw. Perstońską, na północ której leżał »trakt zapuszczański«. Nazwę Hańczy naiwnie wywodzono od słów księcia litewskiego Trojdena, który party przez Mazurów, ustąpiwszy na lewy brzeg tej rzeki, miał zawołać po litewsku »gana cze!« — (dosyć tutaj), uznając ją za granicę z Mazowszem. Oczywiście jest to sobie bajeczka dziecinna, tak jak wszystkie wywody nazw od słów przypadkowo przez kogoś jakoby wyrzeczonych. W zeszłym wieku podskarbi Tyzenhauz budował na Hańczy tartaki i tamami podnosił wodę, dla większego usławnienia rzeki. Czy pozostały tego jakie ślady — wątpimy.

Korzystając z uroczej nocy, postanowiliśmy owinąwszy się w burki, przenocować w życie nad Hańczą. Ale rosa okazała się tak obfitą, że burki od niej przemakały, żaby zaś skakały po nosach, co nie było wcale przyjemnem. Powróciliśmy więc do łódki, w której nocował nasz przewoźnik twierdząc, iż nie pilnowaną mogliby ukraść oryle, gdyż w ich wodnym obyczaju zabranie rzeczy nie pilnowanej i nie uwiązanej nie uważa się za kradzież ani grzech, a nawet płótno na bielniku przez nikogo nie strzeżone i do ziemi nie przypięte sumienie orylskie pozwala zabrać z sobą. Usiłowaliśmy tedy zasnąć w czajce na falach Niemna, ale i to okazało się niemożliwem — z przyczyny chłodu nocy wiosennej nad wodą. Wszyscy dzwoniliśmy zębami, otulając uszy przed śpiewem natrętnych słowików w przyległych zaroślach. Wiktor pocieszał, że gdy jęczmień zacznie kłosy »wywijać« (mniej-więcej za dwa tygodnie), to słowiki zamilkną i noce chłodne miną niezawodnie.

Gustaw został na łódce, ja poszedłem szukać noclegu przy domostwie arendarza. W gospodzie zastałem nowych i trochę podejrzanych turystów, którzy sami nalewali sobie »siwuchę« z kwarty, bo gospodarz gwoli święta nie mógł własnoręcznie tego uskuteczniać. Do fetoru wódki i cebuli przybył jeszcze dym ich machorki. Prosiłem o wskazanie jakiej stajenki lub wozowni. Otworzono mi izbę w drugiej połowie domu, gdzie powitały mnie chóralnym okrzykiem przestrachu trzymane w kojcu prawnuczki kapitolińskich zbawicielek, tuczone zapewne na szmalec przez żonę arendarza. Nie darmo i na Litwie powstała bajeczka, że ptaki te były godłem Warpasa, pogańskiego bożka pobudki. Z drugiego kąta izby dochodziły jakieś stłumione jęki i ciężki oddech ludzki. Poszedłem do izby karczemnej zapytać, co to znaczy? Objaśniono mnie, że jest to chory chłopiec, syn wyrobnicy usługującej w gospodzie, że pewnie żyć nie będzie, bo już wszystkie baby sieniewickie wyczerpały swoje lekarstwa i uroki nad nim odczyniły, a on trzeci tydzień wije się na pościałce. Powróciłem i strudzony rzuciłem się na posłaną dla mnie słomę w środku izby na glinianem klepisku, między gęsiami i chorym chłopcem.

Zasnąłem, ale pomimo to słyszałem jeszcze stękanie chorego, alarm gęsi po każdem poruszeniu się mojem lub bieganiu szczurów, czy kun, które także gospo-

darowały w tej izbie. A w sennej wyobraźni przesuwały mi się różne mary i widoki. O wstrętnych zamilczę — miłe widziadło wspomnę. W miejscu starego karczmiska stał niby staroświecki dworek wiejski, a szlachetna dusza kapłanki tego ogniska otaczała chorego sierotę anielską opieką rozumnej myśli, serca i chrześcijańskiej ręki. Było to niby wspomnienie z dziecinnych lat moich, z nad Narwi.

Gdy zerwałem się ze słomy, słońce już zeszło, chory spał spokojnie, a gęsi przestraszone raz jeszcze podniosły przeraźliwy okrzyk trwogi, na co wszedł nasz arendarz, który miał zapewne sen szabasowy rozkoszny, że za tyle okazanaj inżynierom uprzejmości pozyska stacyę dla parowców pod swą karczmą.

Mogłem się teraz lepiej rozpatrzeć w okolicy. Niemen rozlewa się tu szerzej, a między jego korytem dzisiejszem i starą łachą, nad którą stała karczma, leżała spora wyspa, porosła od strony lądu gęstą łozą, a od Niemna chwastem szerokolistnym. Ten gaj łozowy był właśnie siedzibą takiego mnóstwa stadeł słowiczych, jakiego nigdy i nigdzie więcej w życiu mojem nie spotkałem. Słowiki miały tutaj raj prawdziwy, bo znalazły sobie za łachą wodną niezdobytą twierdzę, na którą tylko z żalem spoglądały koty arendarza. Ja zaś zauważyłem, iż wiele latorośli tej łozy zakończonych było szczególnym narostem, podobnym do miniaturowych, bo wielkości tureckiego orzecha, główek kapusty. Tego rodzaju kwiatu, czy też narośli, spowodowanych przez owady, zakładające sobie gniazda, nigdzie więcej nad Niemnem nie znalazłem.

Prawie wprost ujścia Czarnej Hańczy, na piaszczystych wzgórzach prawego brzegu Niemna, leży wieś Przełom, z drewnianym kościółkiem, słomą krytym, do którego tylko w święta doroczne przybywa kapłan celem odprawienia nabożeństwa dla parafian. Był tu w XIV wieku grodek, czyli zameczek litewski, a historycy Litwy domyślają się, że dzisiejszy Przełom jest w kronice Wiganda ową Perlą, pod którą Elner komtur Balgi krzyżackiej, stoczył roku 1378 na moście krwawą bitwę z Litwinami.

Obliczywszy zdobycze dnia poprzedniego, czyli wszystko cośmy: widzieli, słyszeli, znaleźli, odrysowali lub zapisali, a także doświadczyli, uznawszy sumę tego wszystkiego za dość pomyślną, ruszyliśmy w dalszą drogę, pozostawiając w Sieniewicach śpiącą rodzinę arendarza, milczące słowiki, a tylko kukającą kukułkę. Nad Czarną Hańczą leży wioska Warwiszki, pierwsza z prawdziwie litewską nazwą napotkana przez nas od Grodna. Końcówka *szki* odpowiada pospolitemu zakończeniu nad Wisłą na *ice* i na Rusi na *icze*. Wrona zowie się po litewsku *warna*, a nazwa wioski powstała zapewne od tego, że była to pierwotnie osada rodziny, której ojciec zwał się Wroną. Po polsku nazwano by ją od synów Wrony — Wronowicami; po litewsku została Warwiszkami.

Koło Przełomu widzieliśmy mnóstwo sążni przygotowanego do spławu na batach drzewa opałowego, to samo i przy karczmie warwiszkowskiej, gdzie po stosach dębowych klepek i sosnowych beczek na smołę, można było domyśleć się siedziby bednarza. Brzegi Niemna są tu bezleśne, piaszczyste, dość płaskie i smutne, zwłaszcza między Hożą i Przewałką, ale okolice dalsze posiadają jeszcze rozległe bory. Niemen dochodzi miejscami do kilkuset kroków szerokości, a wtedy bywa płytki przy brzegach i środkiem miewa mielizny. Gdy z powodu nadzwyczaj

płytkiej wody nie mogliśmy w jednem miejscu dotrzeć łódką do lądu i już mieliśmy zdejmować obuwie, Wiktor zaproponował nam, że nas na plecach swoich, jak mówią dzieci »nosita barana« powynosi. Jakoż uskutecznił to po kolei bez żadnego wysiłku. Wszak i Jazon w czasie wyprawy Argonautów do Kolchidy przenosił Junonę w postaci starej baby przez jakąś rzekę, przyczem, jak twierdzą starzy dziejopisowie i poeci, zgubił jeden trzewik.

O ćwierć mili poniżej Przełomu, koło małej wysepki osiedliśmy na mieliźnie, czyli jak mówią flisowie »na haku«. Dla naszej małej łódki nie można było nazwać tego przygodą, ale dla ładownych wicin i batów »hak« bywa prawdziwem nieszczęściem. Jeżeli pędzony prądem wody, wiatrem lub przez niebaczność sternika osiądzie wiekszy statek »na haku«, a ludzie nie zdołają go zepchnąć lub liną ściągnąć z mielizny, to nastąpić musi »lichtuga« (z niemieckiego *Leichtung* — ulżenie) t. j. przeładowanie części ciężaru na statek inny, zwykle bat mniejszy, rodzaj »szuhalei«, zwany stąd »lichtancem, lichtańczykiem«, co nieraz znaczny koszt za sobą pociąga. Aby nie siąść »na haku«, sternik powinien bacznie trzymać się »drogi« (głównego prądu), którą wprawne oko poznaje zdala po powierzchni wody. »Droga« rzadko się trzyma samego środka rzeki, ale zwykle przerzuca się od brzegu do brzegu, tworząc »buchty« i »kolana«. W miejscach wątpliwych i gdzie »soły« są mniej widoczne, oryle dla wzajemnej przestrogi zatykają na mieliznach gałęzie, a na brzegach, pod któremi idzie droga, słomianą wiechę. Gałąź taka zowie się »warą«, a wiecha »wiankiem«. Tak tedy w dniu drugim naszej podróży nie byliśmy już frycami na Niemnie, bo jak mówi litewskie przysłowie: »diena dieną mokin« — dzień jeden nauczycielem drugiego«.

Koło wsi Szaban napotkaliśmy w lesie majdan smolny, gdzie kilku czarnych jak kominiarze robotników uwijało się śród stosów węgli, popiołu i kłębów dymu, a wyglądali oni jak negrzy w dzikim lesie amerykańskim. Poniżej Szaban minęliśmy rapę, która nosi nazwę »Jewusi, Jewuśki«, czyli Ewusi. Czemuż nasza prababka Ewa nie miała krwi tak zimnej jak woda w Niemnie i serca tak twardego i niewzruszonego jak ta Ewusia niemnowa, a może dotąd ród ludzki nie pokutowałby skutkiem wygnania jej z raju.

Śladów przedhistorycznego pobytu człowieka szukaliśmy dziś nadaremnie. Zauważyłem tylko pod Szandubrami wśród kilkunastu przez naturę rozrzuconych głazów, jeden wielki, trójkątny, z płaskim bokiem, na wierzchu jak stół, czy ołtarz ofiarny. Okolica, którą przebywamy, była za dawnego podziału częścią powiatu Grodzieńskiego w województwie Trockiem. Czarna Hańcza uważaną była za etnograficzną granicę w Augustowskiem między Litwą i Mazurami. Ale na obu brzegach Niemna siedzieli zdawna w tej okolicy Rusini aż po Hańczę Białą, którą też Wiktor ukazał nam jako ludową granicę właściwej Litwy. Rusini mieszkają tu na glebie lichej i są ludem niezamożnym, mniej od litewskiego pracowitym i skrzętnym. Chętnie zajmują się wypalaniem smoły i dziegciu, polowaniem, tudzież orylką na Niemnie i kanale Augustowskim. Mężczyźni noszą długie świty z domowego, siwego samodziału, obszyte czarną tasiemką, a zapinane na takież pętliczki i guzy. Spodnie mają albo z takiegoż samodziału, albo z »partu«, czyli domowego, grubego płótna. Niewiasty noszą samodziałowe siwe »przyjaciółki« lub cieńsze,

sukienne, fałdowane z tyłu, a spinane na pasek. Na nogach mają płytkie trzewiki bez obcasów, ale latem w dzień powszedni lud zwykle, jak w całym kraju, chodzi boso.

Przy spotkaniu pozdrawiali nas wszyscy wyrazami: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!« i rozmawiali po polsku, lecz między sobą dyalektem białoruskim z domieszką niektórych wyrazów litewskich i polszczyzny. Zapisywałem niektóre wyrażenia spotkanych ludzi. Dziękując n. p. za podarek, mówili: »Niechaj Pan Bóg da panu długie panowanie«. Rusin w porównaniu do Mazura jest więcej ponury i śpiewa prawie zawsze na smutną nutę. Oto próbka dyalektu tutejszego w pieśni weselnej:

»Najechało hościkou (gości) połny dwor,
Aj, zaznaj, poznaj, kotory twoj?
Szto u zieleni, szto u czerwieni, to nie moj,
Szto u siweńku na woroneńku, to to moj,
Szto za stolikom i z pacholikom, to to moj«.

Obok tęsknych dum, płynących najczęściej z uciśnionego serca dziewicy, lud tutejszy ma i pieśni żartobliwe. N. p. jedna z weselnych tak żartuje ze swata:

»Kazali (mówili): swat pan, pan,
A na niom sołomien żupan,
Łukom opierezałsia,
Za szlachcica pisałsia,
A nohawicy z kostrycy,
A rukawicy z mietlicy i t. d.«

W pieśni dożynkowej, śpiewanej przed domem gospodarza przy oddaniu mu wieńca, wieśniacy żartują sobie z pana, pani i domowników:

»A nasza pani nie rada gościom,
Schowała się z jegomościom,
Plon niesiem, plon i t. d.«

Na piątej mili ku północy od Grodna, przy ujściu Białej Hańczy, zaczyna lud mówić po litewsku. Podobną granicę językową spotkałem w powiecie Lidzkim, nad Dzitwą. Tu na przełomie dwóch narzeczy leży przy ujściu Białej Hańczy wieś Świętojańsk, a dalej Przewałka. W Bugiedzie i Szabanach gwara jeszcze rusińska, a w Szandubrach i Gierdaszach już litewska. Tu i tam lud mówi też po polsku. Kobieta zapytana, jak daleko do Przewałki, odrzekła: »Niewielmi daleko«. Granica dwóch języków nie stanowi tu jednak granicy rodowej dwóch plemion. Krew i mowa to nie zawsze to samo. Całe szeregi wieków pracowały nad pomięszaniem krwi plemion nad Wisłą, Niemnem, Dźwiną, a jednak znaczne różnice językowe pozostały i utrwaliły się.

Przewałka była niegdyś starostwem, dziś fermą skarbową, dzierżawioną przez pana Jana Pileckiego, zasłużonego lekarza w Druskienikach. Kręty Niemen rozdziela się tutaj na dwa koryta: stare i nowe, tworząc kilka piaszczystych wysp.

W stromych burtach brzegowych nad wodą napotkaliśmy tysiączne otwory z gniazdami jaskółek ziemnych, czyli grzebułek *(Hirundo riparia L)*, które lud miejscowy nazywa *bierahulkami*. Otwory norek ziemnych, wygrzebanych przez te ptaszyny, nie mają więcej nad trzy cale średnicy i są tak gęste, że ściana wybrzeża wygląda jak rzeszoto. Nad wodą krążyły całe chmury grzebułek, zatrudnionych wśród wesołego świergotu polowaniem na owady, a co chwila wlatywały do swych gniazdek ze zdobyczą dla piskląt, ja zaś nie mogłem sobie wytłumaczyć, w jaki sposób nie myliły się w poznawaniu swych siedzibek.

Gdyby to było prawdą, co o litewskiem bałwochwalstwie napisali po ochrzczeniu Litwy: Stryjkowski, Łasicki, Malecki i inni, to wstępowalibyśmy teraz pod niebo gromowładnego *Peruna*, na wody któremi zawiaduje olbrzymi *Audrimpos* i *Upinc*, opiekunka rzek litewskich, a zwłaszcza *Nemonas* bożek Niemna, w którego głębiach mieszkają zwodnicze *Dugny* i *Ondyny*. *Wibilja*, *Bentis* i *Gużc* prowadzą szczęśliwie żeglarzy, którzy błagają *Bangpotisa* o wiatr pomyślny, *Pucisa* o chłodzący w czasie upału, *Poklusa*, aby nie zesłał nieszczęścia i *Gardoeldisa*, aby nie zawył burzą. Ten ostatni bożek odznaczał się podobno interesownością naszych czasów, bo przyjmował tylko w ofierze napełnione rybami naczynia głębokie i szerokie. Widocznie i Niemen bywał dawniej rybniejszy.

Profesor Mierzyński wykazał, że o powyższym olimpie poganie litewscy nic nie wiedzieli. Czcili oni tylko siłę, wytwarzającą płody wszelkie, t. j. Matkę, Opiekunkę ziemi, roślin, zwierząt, dając bóstwu nazwę *Zeminele*. Ta bogini ziemi Zeminele miała brata *Zempalisa*, który był tylko bóstwem zagrody, siedziby (sodibe) gospodarza. Na cześć jego tlił się wieczny ogień. Czciła także Litwa wogóle zjawiska sił przyrody, jak n. p. słońce, księżyc, gwiazdy, pioruny, ogień, góry, rzeki, wiatry i dęby starożytne, których wypruchniałe wnętrza uważała za mieszkania duchów. Wierzono w przechodzenie dusz w drzewa. Uważano śmierć za chwilę przejścia duszy z jednego ciała, które umiera, w ciało drugie, które się rodzi. Jadźwingowie nie dbali o życie, gdyż wierzyli, że dusza umierającego za sprawę szlachetną, przechodzi w ciało rodzące się. Każde zwierzę, każdy ptak, podług mniemania ludu litewskiego, był niegdyś człowiekiem, który za nieposłuszeństwo woli bogów został skazany w inne stworzenie na pokutę.

Tak więc zaroiły się w wyobraźni pogańskich Litwinów łąki, drzewa, gaje i gąszcze leśne duchami, nimfami i bożkami a podług sprawianych wrażeń były to duchy złe lub dobre, życzliwe lub szkodliwe. Istniały bóstwa oddzielne dla pewnych terytoryów i ziem. Niewiasty zbierały się na modły koło lipy, mężczyźni koło dębu. Ogień z drzewa brzozowego rozjaśniał ciemną przyszłość i służył do wróżby. Cała Litwa pokryta była świętemi drzewami, gajami, lasami, a cześć im okazywana uderzała każdego cudzoziemca. Nie ma też narodu, któryby więcej niż Litwini opiewał w pieśniach drzewa i wogóle roślinność. Boginią lasu na Litwie i Żmudzi była *Medeine*, a oprócz niej roiło się na Żmudzi mnóstwo bożków i duchów leśnych niewiadomego nam nazwiska. Były wyspy, które od lasow poczytywano za święte. Cześć dla wód i rzek była bardzo rozpowszechniona. Wiele rzek nosiło nazwę Świętych *(Szwenta, Szwentupis, Szwentupelis)*.

Chaty Litwinów i Rusinów nie różnią się tu niczem od siebie. Wszędzie ich

strzecha tworzy wielki okap, niby podsienie, gdzie kmieć zabezpiecza i zawiesza przed słotą narzędzia i porządki gospodarskie. Wszędzie te same o czterech szybkach małe okienka, zabytek owych czasów, gdy nie znając szyb szklanych, używano jeszcze błon pęcherzowych. Chat »kurnych« więcej jest u ludu litewskiego niż na Rusi grodzieńskiej. Dymniki, czyli kominy, często klecone są ze słomy, chróstu, lub desek oblepionych gliną, rzadko murowane z cegły.

Używane do uprawy roli sochy prawie nie różnią się od podlaskich. Socha litewska przypomniała mi opowiadanie Gwagnina z XVI wieku, że gdy pewien wojewoda sprowadził na Litwę pługi z żelaznym lemieszem, a wydarzył się przypadkiem nieurodzaj, wojewoda obawiając się zaburzeń ludu, do dawnego sposobu orania drewnianą sochą powrócić musiał. Spotkaliśmy orzących, którzy przykrywali woły swoją siermięgą dla ochrony od owadów. Lud używa tu małych, pojedyńczych z hołoblami wózków, jakby bryczek wybitych dranicami. Konie małe, ale zwięzłe i silne, podobne do rasy żmudzkiej, brodząc po wodzie u brzegów i łeb zanurzając po uszy, jak rogacizna żywiły się wodnem zielskiem.

Gleba tych okolic piaszczysta i uboga wymaga częstego ugorowania. Przy dobrem gospodarstwie społecznem wszystkie podobne obszary należałoby obsiać sosną lubiącą grunt lekki, urodzajne zaś ziemie w innych okolicach drzemiące jeszcze pod lasami, powinny być przemienione na pola. Wzrosłaby wówczas znacznie produkcya drzewa na piaskach i ziarna w okolicach urodzajnych. Przyjdzie do tego w przyszłości niezawodnie, ale dopiero gdy przeludnienie zmuszać będzie silniej do zwiększenia produkcyi chleba.

Na początku wieku XIII żył w Skandynawii czy Islandyi dość głośny dziejopis, poeta i podróżnik Snorri Sturluson. On to nawiedzając Litwę Niemnem, jako jej głównym i jedynie przystępnym traktem, wspomina nadniemeńską miejscowość *Misiri*. Nowsi historycy nasi twierdzą, że to musi być Merecz dzisiejszy. Któż wie jednak, ażali nie odmieniliby swego zdania, gdyby wiedzieli, że o trzy mile powyżej Merecza leży wioseczka zwana obecnie Mizery, którą na lewym brzegu Niemna poniżej Dzierżów mijamy. Że w Mereczu jest stara góra zamkowa, a w Mizerach jej niema, to jeszcze niczego nie dowodzi. Pomiędzy Mizerami i Druskienikami, w pięknej okolicy znajduje się na Niemnie wysepka. Niemcy założyliby pewnie na niej kręgielnię i piwiarnię, ozdobili baniami szklannemi i uczynili punktem wycieczek dla gości kąpielowych. Ja miłego jednak doznałem wrażenia, że znalazłem na niej tylko kwiaty litewskie i łozę, a zamiast katarynki słyszałem świergot bibików.

Jako wielbłąd ku słodkim źródłom libijskiej oazy, tak ja objuczony rozmaitemi skamieniałościami brnąłem, szukając zabytków krzemiennych po głębokim, gorącym piasku nadbrzeżnym do słono-gorzkich krynic druskienickich. Słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy wdrapawszy się na leśną górę nadbrzeżną, ujrzałem jak na dłoni prawie przeciwległe Druskieniki. Byliśmy zabłoceni, zapyleni i oblani potem po uszy, należało więc za pomocą pierwszej w Niemnie kąpieli przemienić się przed przybyciem do wód litewskich w ludzi niepodejrzanych. W miejscu obranem przez nas na kąpiel, dno Niemna pokrywała warstwa ostrego żwiru, po którym chodzić można było z trudnością, ale za to wyszukiwać łatwo skamieniałości wapienne z dziedziny paleontologii kopalnej. Kąpiel jednak byłaby

rozkoszną, gdyby nie to, że zaraz po wstąpieniu do wody usłyszeliśmy za górą silny grzmot, po którym wielkie krople deszczu zaczęły zrzadka pluskać na zwierciadlaną powierzchnię rzeki. Jakby kto dolał wrzątku do naszej kąpieli, tak wyskoczyliśmy nagle na wybrzeże, aby zabezpieczyć przed ulewą pootwierane walizki i porozkładane na trawie nasze rzeczy. Deszcz się wzmagał i grom drugi uderzył znacznie bliżej, a bór sosnowy nad naszemi głowami zaszumiał jak przed burzą. W gorączkowym pośpiechu chwytaliśmy co kto mógł na siebie i do walizek, co było przyczyną śmiesznej mieszaniny garniturów orylskich z wizytowemi. Uciekaliśmy na gwałt sieczeni ulewą do znanej mi z lat poprzednich najbliższej Niemna gospody w Janopolu przy przewozie naprzeciw Druskienik. Ale ciążyło nad nami jakieś fatum. Z karczmy w Janopolu sterczał tylko komin, bo przed paru tygodniami zgorzała od pioruna. Schroniliśmy się zatem do ziemlanki, zbudowanej przez jakiegoś biedaka na stoku wybrzeża. Przed rokiem będąc tutaj, widziałem z daleka tę ziemlankę i zadawałem sobie pytanie, jak też ludzie mogą mieszkać w takiej norze. Dziś, jako schronienie przed burzą, wydała mi się błogosławionym przybytkiem dobrej nadziei.

Byliśmy jednak przemoknięci do nitki. Widocznie zagniewał się na nas Gardoeldis, problematyczny litewski bożek burzy, żeśmy zamiast przejednać go ofiarą ryb w naczyniach głębokich i szerokich, jeszcze naśmiewali się z niego. Już to do Druskienik nie miałem szczęścia. Przypomniałem teraz sobie, jak w roku zeszłym 1871 przybyłem tu po raz pierwszy i wspomnienie to powtórzę.

Była to noc jesienna, a czarna jak grzech śmiertelny i deszcz lał także jak z wiadra. Pocztylion z Porzecza klnąc pod nosem (nie mogę zaręczyć, czy niepogodę samą tylko, czy i mnie), podjechał bryką pod pusty hotel i zostawiwszy mnie pod zamkniętemi drzwiami, dostawszy na piwo, uciekł szybko przed słotą. Domacawszy się klamki, zacząłem pukać silnie do ciemnego i zaryglowanego domu, co poruszyło jakiegoś kundla, który zaczął mnie zajadle atakować. Jak ów tedy biblijny Izraelita, który jedną ręką budował Jerozolimę, a drugą jej bronił, tak ja parasolem odpędzałem brytana i jednocześnie dobijałem się do drzwi. Skutkiem tego hałasu dało się po jakimś czasie słyszeć nieprawidłowe stąpanie wewnątrz domu. Widocznie istota ludzka, która szukała zapałek, zapalała latarnię i miała drzwi otworzyć, posiadała jedną nogę bosą, a drugą tylko uzbrojoną ciężkim butem. Poczem otworzył chwiejący się drab i mruknąwszy, że już hotel wyjechał stąd na zimę do Wilna i że teraz nikt po nocy się tu nie włóczy, chciał mi zamknąć drzwi przed nosem. Postawiłem czynny przeciwko temu opór i wciągnąłem za sobą walizkę, którą za drugi koniec wyrywał mi brytan na dworze.

Udobruchany nieco dozorca hotelu druskienickiego wprowadził mnie do dużego pokoju, gdzie zostawiwszy bez światła, mrucząc ciągle, zamknął mnie na klucz i zniknął w głębi domostwa. Zgłodniały i przeziębły, zamknięty w ciemnej i zimnej izbie, zacząłem przy pomocy zapałek badać moje siedlisko. Pokazało się, że mój numer był familijny, bo znalazłem drzwi do mniejszego pokoju, w którym stały dwa łoża bez pościeli i sofka. Na tej ostatniej więc złożyłem strudzone członki moje, a zgubiwszy w drodze rewolwer, postawiłem pod ręką na obronę podarty przez psa parasol. Zaledwie atoli zasnąłem, gdy znowu zaturkotało pod

oknami i zbudzony zostałem przez silne do hotelu kołatanie. Nastąpiło znowu to samo stąpanie w jednym bucie, mruczenie, otwieranie, gderanie, wpuszczenie gościa do pierwszego pokoju, wciąganie za nim ciężkiej walizy i zamknięcie na klucz. Współtowarzysz mojej doli tak samo obszedł swój pokój, a znalazłszy drzwi do mojej sypialni uchylone, zamknął je na haczyk. Zaprotestowałem wówczas, lecz to nagłe odkrycie towarzysza w ciemnym pokoju zrobiło widać sensacyjne na podróżnym wrażenie. Nie odrzekłszy nic, z mozołem wysunął szafę z kąta i drzwi moje nią zastawił. Potem się wysapał, a nie dowierzając sile barykady, obwarował szafę całym tuzinem ciężkich krzeseł i foteli. Opatrzył później drugie drzwi, szruby od okienic i zamieniwszy tym sposobem swoją izdebkę w małą warownię, począł coś rozwijać z papierów i zajadać. Pomimo wzajemnego niedowierzania spaliśmy smaczno obydwa do dnia białego, który potem rozproszył tę nieufność.

Wówczas było to po sezonie leczniczym. Dzisiaj zaś przybywaliśmy w chwili zjazdu licznych gości na letni sezon. Po pożarze, który w same Zielone Świątki roku zeszłego (1871) zniszczył trzecią część miasteczka, Druskieniki odbudowały się szybko. Park spacerowy rozrastał się, ale najmilszym był cienisty wąwóz bystrej Rotniczanki, która (odgraniczając gubernię Grodzieńską od Wileńskiej) wpada niedaleko zakładu leczniczego do Niemna. Silny spadek szumiącego tego potoku posłużył do urządzenia prysznicowych kąpieli, któremi rozkoszuje się wielu, uważając za najzdrowsze na Litwie. Jeszcze w roku zeszłym przechodziło się przez Rotniczankę tylko po desce, która przypominała przestrogę Rysińskiego, że:

»Kto po kładce mądrze stąpa,
Ten się rzadko w błocie kąpa«.

Obecnie zbudowano most w miejscu tradycyjnej kładki.

Sól nazywa się po litewsku *druska*. Gdzie więc tryskały słone źródła, tam Litwini nazwali osadę Druskienikami, a oprócz nadniemeńskich są i inne jeszcze Druskieniki. Słone źródła, ujście Rotniczanki i jeziorko o kilkaset kroków od tego ujścia (znacznie obszerniejsze dawniej), wszystko to było powodem wczesnego założenia osady tutejszej, znanej już kronikarzom krzyżackim pod nazwą Saltzeniken, lub Salzeniken. Miejscowe podanie mówi, że gdzie jest dziś jeziorko, tam było przed wiekami miasto zwane Rajgrodem, które dawno, bardzo dawno temu, zapadło się w ziemię. Któreż bo zresztą z jezior litewskich niema podania w tym rodzaju, począwszy od *Świtezi*. O jeziorze Wisztynieckiem lud powiada, że w jego miejscu stał niegdyś bór przepełniony barciami. W miejscu znów jeziora *Duś* miała się zielenić przed wiekami piękna łąka, na której noclegujący z końmi wieśniacy pewnego razu ostrzeżeni zostali przez anioła i zaledwie zdołali uciec przed falami wód, które zatopiły na wieki dolinę.

Zdaje się, że początkowem źródłem wielu podobnych podań były ślady przedwiecznych mieszkań najeziornych, t. j. całych wiosek pobudowanych na palach nad wodą w czasach starożytnych. Po odkryciach Kellera w Szwajcaryi nastąpiły podobne we wszystkich prawie krajach Europy, nie wyłączając Wielkopolski (jezioro Czeszewskie) i graniczącego z Litwą Mazowsza pruskiego (odkrycia Belduhn'a na jeziorze Czarnem i Tulewskiem, koło Ełku). Były czasy, w których mieszkania

najeziorne w całej Europie istniały, a więc niepodobna, żeby nie znajdowały się i na Litwie, posiadającej tyle jezior. Gdy znikły potem z ich powierzchni, pozostawiając ślady na dnie wód, wówczas powstały wieści o miastach zapadłych w miejscu jezior.

Dziejopisowie Litwy powiadają, że książęta litewscy zbudowali zamek drewniany przy ujściu Rotniczanki dla tamowania najazdów Zakonu. Według krzyżackiego kronikarza Dusburga, Niemcy pod wodzą wielkiego komtura Henryka Plotzeke pierwszy raz w r. 1312 uczynili wyprawę w okolicę Saltzeniken, szukając zemsty nad Litwą za wyprawę Witenesa do Warmii. Dusburg podaje, że było to w lipcu i, że Krzyżacy zdobyli wówczas oprócz druskienickiego dwa inne jeszcze zamki na Litwie, których załogi wycięli i 700 ludzi z Litwy uprowadzili w niewolę. Poszukiwania moje zeszłoroczne nie wykryły żadnego śladu starej warowni na płaszczyźnie Druskienik.

Włościanie litewscy podobno już od wieków leczyli się wodą druskienicką na kołtun. Dopiero atoli pod koniec XVIII wieku mineralne źródła tutejsze nabrały szerszego rozgłosu i chorzy przybywać zaczęli z dalszych okolic kraju, choć nikt jeszcze nie znał składu chemicznego wód powyższych, a porady lekarskiej udzielał jedynie włościanin Surmetis. Pierwszym naukowym badaczem wody druskienickiej był delegowany r. 1830 do tego profesor uniwersytetu wileńskiego Ignacy Fonberg, który rezultaty swoich badań ogłosił w *Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych* (r. 1835), oraz wydał oddzielnie *Opisanie wody mineralnej druskienickiej*. Wówczas Druskieniki zaczęły się szybko zabudowywać staropolskiemi dworkami dla gości, stając się w porze letniej ogniskiem życia całej Litwy. Zjeżdżali tu ludzie możni i literaci jak Eustachy i Konstanty Tyszkiewiczowie, Józef Kraszewski, Teodor Narbutt i wielu innych. Osób przybywało niekiedy do półtora tysiąca, landarami, koczami, brykami i budami żydowskiemi, a nieraz i piechotą, gdy najlepsze konie w słynnych piaskach okolicznych ustawały. O Druskienikach pisali wówczas: Wolfgang, Nahumowicz, Hryniewicz, Jan Pilecki, J. Kraszewski, Syrokomla i inni. W kilku powieściach polskich ważną odgrywają one rolę, istotnie bowiem skojarzyło się tutaj nie mało stadeł, a bawiono się towarzysko przez ćwierć wieku wybornie i serdecznie, bo bez zbytków. Wychodziło nawet w Grodnie przez trzy lata (1844—1846) jako organ tutejszych źródeł wydawane przez doktora Wolfganga czasopismo beletrystyczne p. n. »Ondyna Druskienickich wód«, zasilane przez Kraszewskiego, Narbuttów, Czeczota, Jaroszewicza, W. A. Maciejowskiego i wielu ziemian litewskich.

Tutaj zostając na kuracyi, zmarł roku 1846 Jan Czeczot, zasłużony zbieracz pieśni ludowych z nad Niemna i Dźwiny i sam poeta, druh serdeczny Mickiewicza i Zana, a później z Uralu bibliotekarz Adama Chreptowicza w Szczorsach.

W r. 1859 bawił przez lato w Druskienikach Syrokomla i kilka natchnionych improwizacyi tu wypowiedział, a między niemi piękny wiersz na obiedzie danym dla doktora Jana Pileckiego, którego imię związane jest z historyą Druskienik. Trafnie go scharakteryzował Syrokomla słowami, że »wszędzie tu widać jego czynną rękę, poradę jego głowy, natchnienie jego serca«.

Wieczorem, gdy niebo wypogodziło się po burzy, poszliśmy do parku posłu-

chać orkiestry p. Ebana, który w tym roku zastąpił zeszłoroczną Skrobeckiego. Że jednak była to sobota, cały więc taras na ogrodzie spacerowym tak był natłoczony tłumem starozakonnym, że nie mając gdzie usiąść, a czując znużenie dwudniowej, prawie bezsennej podróży, nie mogliśmy długo rozkoszować się darami niezbyt zresztą troskliwej o uszy swoich słuchaczów druskienickiej Polihymnii. Nocleg obraliśmy w hotelu zwanym Jagmina, który zalecał się osobliwszą strukturą, miał bowiem korpus drewniany bez piętra, ale za to dwa skrzydła murowane i piętrowe.

Nazajutrz była niedziela. Więc rano zmówiwszy pacierz w kościele druskienickim i pożegnawszy się z pełnym staropolskiej gościnności i serdeczności zacnym doktorem Janem Pileckim, wyprawiwszy Wiktora z łódką naprzód Niemnem, ruszyliśmy sami pieszo na poszukiwania krzemiennych śladów pobytu przedhistorycznych mieszkańców Litwy.

Na krawędzi wyniosłego (lewego) brzegu Niemna, naprzeciw druskienickiego spacerowego lasku, napotkałem wydmę piaszczystą, zasianą okrzoskami krzemiennemi, odłupywanemi przy obrabianiu narzędzi w starożytności. Okrzoski takie nadzwyczaj łatwo poznać i odróżnić od przypadkowych kawałków krzemienia lub łupanych przy krzesaniu ognia i wyrabianiu w nowszych czasach skałek do broni palnej. Tylko bowiem przez mozolną i długą wprawę dochodzili starożytni do umiejętności odszczepywania cienkich, długich, blaszkowatych, typowych trzasek. Gdzie tylko napotkałem takie trzaski, tam zwykle znalazły się i szczątki narzędzi krzemiennych i czerepy gliniane z odmiennych zupełnie niż dzisiejsze garnków i popielnic. W miejscowości, o której mowa, znalazłem nadzwyczaj subtelnie obrobione trójkątne ostrze od strzały łukowej. Wogóle wszystkie strzały krzemienne będziemy nazywali *bełtami*. Tak bowiem nazywali Polacy swoje strzały żelazne (obsadzone na pręcie drewnianym, zwanym *brzechwą*). Krzemienny bełt druskienicki przedstawiamy na rysunku. Oprócz tej strzały i innych szczątków narzędzi krzemiennych znalazłem także połówkę belemnitu, obrobioną do zawieszenia, czyli noszenia na sobie, zapewne jako ozdobę lub amulet.


Trójkątny bełt krzemienny.

Gdy zajęty byłem wyszukiwaniem tych ciekawych szczątków z najdalszej przeszłości Litwy, zaczęło mi się bacznie przypatrywać dwóch kąpielowych gości, którzy przechadzając się zabłądzili w to ustronie. Wiadomem jest, że gdy kto coś z ziemi podejmuje, to w człowieku, który na to patrzy z daleka, budzi się wrodzona ciekawość dowiedzenia się, co tamten znalazł? Pewien darwinista próbował nawet wytłómaczyć mi przez analogię, nie bez słuszności niektóre zwyczaje zwierząt, twierdząc n. p. że pies dlatego wącha pysk innego psa spotkanego, żeby się dowiedzieć, co tamten jadł? Więc też i owi zaciekawieni jegomoście zbliżyli się do mnie zwolna i zapytali, co ja znalazłem na tym jałowym piasku? Nie miałem czasu na rozprawę archeologiczną z nieznajomymi, bo Gustaw czekał na mnie już w czajce, która miała nas przewieźć do innej, ciekawszej jeszcze miejscowości. Ograniczyłem się zatem na pokazaniu woreczka pełnego krzemyków i czerepów glinianych i w milczeniu szukałem dalej. Starszy jegomość zobaczywszy moje

skarby, zmarszczył pogardliwie nos, spojrzał na mnie z politowaniem i odszedł z towarzyszem, wskazując palcem na swoje czoło, a ten wymowny giest nie potrzebował komentarzy, iż mię wziął za waryata.

A jednak ta marna garść skorup poniewieranych przez liczne wieki, dowodziła, że w tym zakątku Litwy mieszkali już ludzie w czasach bardzo, bardzo dawnych, że mieli zwyczaj przyrządzania gliny z tłuczonym granitem, że umieli wypalać garnki, a kształt ich zastosowywali oczywiście do potrzeb swego życia. Ozdoby wytłoczone na czerepie, to była cząstka ich myśli i pojęć etycznych. Bo ręka jest narzędziem ducha ludzkiego, który już w kolebce swojej cywilizacyi, w odludnym zakątku puszcz litewskich, przed lat tysiącem, lub dwoma tysiącami, pomimo krwawej walki o byt z drapieżnym zwierzem, dzikim sąsiadem, brakiem żelaza, głodem i klimatem, nie zaniedbał wytłoczyć piętno swoich pojęć etycznych nawet na garnku domowym.

Posuwając się w dół rzeki po lewym jej brzegu, minąwszy Janopol, napotkałem znowu prawie naprzeciw ujścia Rotniczanki małą wydmę ze szczątkami łupanego krzemienia. Starożytny mieszkaniec tego siedliska celował w wyrobie wązkich a prostych, o jednym brzegu ostrym krzemyków, którymi nakładano podłużnie fugowane ostrza kościanych grotów do dzid i oszczepów. Nie wiedziałbym, do czego mogły służyć znalezione tego rodzaju krzemyki, gdybym nie widział pierwej w bogatym zbiorze wykopalisk uczonego Bolesława Podczaszyńskiego, podobnego grotu kościanego, w którego brzegach rowkowanych pozostał jeszcze w jednem miejscu krzemyk taki sam, jak teraz znalezione. A i grot kościany pochodził z nad Niemna.

Dalej na tymże lewym brzegu rzeki, poza wioseczką Bałtoszyszkami, ciągną się wzdłuż wybrzeża lotne pagórki piaszczyste na przestrzeni około ćwierćmilowej. Była to miejscowość w czasach starożytnych więcej zaludniona, niż wszystkie dotąd napotkane. Znalazłem tu bowiam całą ćwierćmilową przestrzeń zasianą okrzoskami krzemienia i mnóstwem szczątków narzędzi i naczyń pierwotnych. Wśród tego wszystkiego znalazło się i kilkadziesiąt dobrze zachowanych drobnych narzędzi krzemiennych rozmaitego kształtu, a więc i przeznaczenia, z których 45 przedstawiam tu w podobiźnie.

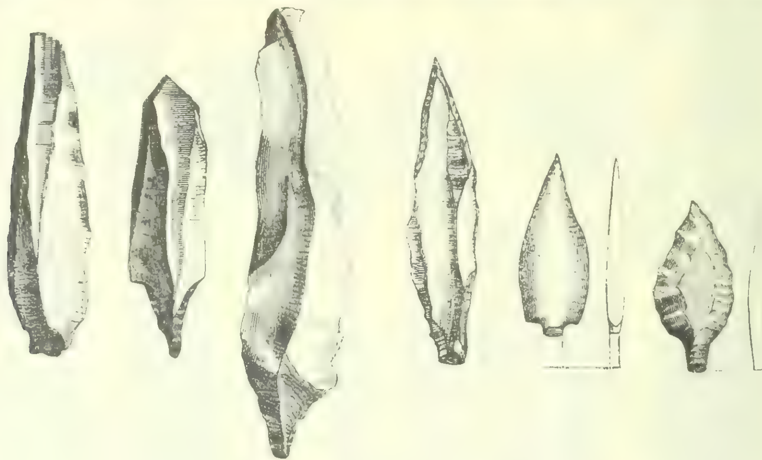
Jakie były instrumenta, którymi starożytni tak przedziwnie obrabiali powyższe przedmioty, tego dziś na pewno nikt nie wie. W czasach nieznajomości kruszców nie mogły być oczywiście metalowe. Były więc prawdopodobnie także krzemienne. Przed laty kilkunastu pewien kamieniarz w Kopenhadze, zachęcony przez jednego z archeologów duńskich, nauczył się tak wybornie za pomocą tylko krzemienia obrabiać inny krzemień, że w ciągu rozpraw o tym kunszcie na archeologicznym kongresie w Bononii przysposobił dla wszystkich uczestników pewną liczbę nożyków krzemiennych. Przekonali się wówczas wszyscy, że to, co się wydawało bardzo trudnem i zagadkowem, przychodziło z łatwością człowiekowi po nabyciu doświadczenia technicznego i wprawy, oraz obeznaniu się z wszystkiemi cechami łupliwości krzemienia. Hiszpanie gdy zdobywali Meksyk, widzieli i opisali jak Astekowie przygotowywali sobie w podobny sposób noże łupane z obsydianu czyli szkła wulkanicznego, posiadającego łupliwość tego rodzaju, co krzemień.



Narzędzia krzemienne znalezione pod Bałtoszyszkami.

W każdym razie życie nie było łatwem w czasach, gdy głównym materyałem na wszelkie narzędzia był krzemień i jak powiada Kraszewski o starożytnej Litwie, gdy walczyć tu trzeba było z naturą otaczającą i zdobywać na niej wszystko: okrycie, jadło, napój, spokój! Walczyć ze zwierzem, walczyć z chłodem, walczyć z wodą, z niedostatkiem wszystkiego, zdobywać nieustannie, bez spoczynku, bo spoczynek wiódł za sobą straszną *Giltinę* — śmierć.

O ćwierć mili poniżej tych najbogatszych miejscowości, jakie znalazłem nad Niemnem z czasów użytku krzemienia, napotkałem inną dość obfitą stacyę krzemienną, tuż za Gajlunami. I tutaj równie jak pod Bałtoszyszkami, wiatry wywiewały z piasku lub piaskiem zawiewały mnóstwo przedwiecznych okrzosków krzemiennych. Z liczby znalezionych tu narzędzi przedstawiam cztery, tudzież dwa



Narzędzia krzemienne znalezione pod Gajlunami.

bełty krzemienne czyli strzały wraz z rysunkiem ich profilów. U pierwszego, nader pięknego okazu, ułamany był trzonek. Drugi podobieństwem swego konturu do listka, przypomina opowiadanie pewnego podróżnika z życia Indyan, którzy na wzór do strzał obstalowanych u kowala, przynieśli mu liść jakiejś rośliny. Oprócz powyższych przedmiotów krzemiennych, znalazłem tu także część młotka kamiennego z wywierconym otworem i sporo skorup ze starożytnych naczyń glinianych. Między dzisiejszą wioską Gajlunami, a miejscem starożytnych siedlisk znajdowało się równolegle z brzegiem Niemna pasmo dużych kamieni, ugrupowanych tu prawdopodobnie ręką ludzką w odległej przeszłości, lecz w jakim celu, nie wiem. Parę symetryczniejszych grup tych kamieni, może grobów, odrysowałem w moim notatniku.

Człowiek, o ile żył więcej na sposób pierwotny, o tyle więcej wystarczał sam sobie. Wszak jeszcze dotąd w okolicach zapadłych kraju naszego znajdują się

wieśniacy, którzy tylko własną ręką budują sobie domy i robią sami wszystkie narzędzia rolnicze, wykręcają skóry na surowiec, tkają płótno i samodział, plotą łapcie i t. p., prawie niczego nie potrzebując z miast i fabryk. Jakby echem z zamierzchłych czasów była staropolska przestroga, że każdy szlachcic-rycerz musi umieć ukuć sam sobie miecz i podkowę. Tem bardziej więc pojęcie fabryk i rzemiosł było zupełnie obcem u ludzi posługujących się krzemieniem w starożytności. Sadyby ludzkie z owej epoki nie były wcale jakiemiś rękodzielniami narzędzi krzemiennych, ale tylko siedliskami ludzi, którzy wszędzie, gdzie się zatrzymali, robili sobie własnoręcznie narzędzia z krzemienia, znacząc tym sposobem krzemiennemi okrzoskami każdy ślad swego pobytu. To też gdzie tylko znalazły się takie okrzoski, tam prawie wszędzie i szczątki narzędzi z tego samego gatunku krzemienia, czerepy z naczyń glinianych i t. d., bo każdy wszystko to sporządzał przy swojem ognisku, dla własnego użytku.

Jaka przyczyna w tę okolicę ściągnęła większą ludność w owych czasach niż gdzieindziej (sądząc po ilości zabytków) i dlaczego brzeg lewy Niemna miał bez porównania liczniejsze wogóle siedliska niż prawy, tego nie umiem wyjaśnić, ponieważ oba brzegi posiadają jednakowe warunki fizyczne. Ale i nad Wisłą znalazłem coś podobnego, tylko, że tam przeciwnie, brzeg prawy posiadał w czasach użytku krzemienia daleko gęstsze zasiedlenie.

Prawie wszystkie siedliska w owej zamierzchłej epoce znajdowały się na piaszczystych pagórkach, w pobliżu wód, gdzie w surowym klimacie podczas zimy zapewne nory ziemne stanowiły możliwie suche i ciepłe mieszkanie, a rybna woda była spiżarnią i podczas lata gościńcem i warownią. W ostrym klimacie przy niedołężnem budownictwie, mieszkania w ziemlankach w czasie zimy były bezwzględną koniecznością.

Podczas licznych wędrówek moich po kraju nabrawszy doświadczenia w tego rodzaju poszukiwaniach, odgadywałem często z daleka, gdzie znajdowały się starożytne siedliska, a przybywszy na miejsce, zbierałem takie wióry krzemienne, o których już powiedział uczony angielski Lubbock, że nawet jeden znaleziony jest dla badacza przeszłości tak pewnym dowodem przedhistorycznego pobytu człowieka, jak dla Robinsona Krusoe były wyciśnięte na piasku stopy ludzkie. Związek siedlisk podobnych z wydmami piaszczystemi, z blizkością rzeki i ilością strzał znalezionych, utwierdza w przekonaniu, że mieszkańcy tych prastarych sadyb nie znali jeszcze rolnictwa, ale tylko łowiectwo, rybołóstwo i może pasterstwo. Rozmaitość kształtów i subtelne wykończenie wielu drobnych narzędzi krzemiennych wskazują wszakże, że ci pierwotni mieszkańcy Litwy posiadali już pewną rozmaitość zajęć, czyli potrzeb, oraz przedziwną biegłość w obrabianiu narzędzi, to jest pewną kulturę, nie ustępującą w niczem równoczesnym ludom Skandynawii i zachodu Europy.

Duży głaz wychylający się z Niemna, niedaleko Bałtoszyszek, nosi nazwę »niedźwiedzia«. Przypomniało mi to, że i nad Dunajcem, koło Czerwonego Klasztoru, górale nazywają podobne kamienie »niedźwiedziami«. Między Gajlunami i Liszkowem, przy zakręcie rzeki, widzimy na lewym brzegu grzązkie i pełne zdrojowisk wąwozy, zwane »Bobrowe nory«, a podanie ludu niesie, że miały tu być niegdyś bobrowe gony. Dziś bobrów ani śladu, ale znajdują się jeszcze żółwie,

o których mi mówiono, że dochodzą wielkością jarmułki żydowskiej, a przez lud litewski zwane są »warle« lub »raupezie«, ta ostatnia nazwa oznacza także ropuchę.

Zbliżamy się do Liszkowa, kędy na stromej nadbrzeżnej górze widać resztki zamku kamiennego pogańskiej Litwy. Po dniu równie skwarnym jak wczorajszy, zaczęło się równie jak wczoraj zbierać na burzę. · Ale szczęściem skończyło się pomyślnie tylko na grzmotach i błyskawicach, które malowniczo i efektownie oświetlały granitowe ruiny ostatniej baszty. Te gromy i błyskawice, zdawało się, że były echami ognistych dział krzyżackich, które przed pół tysiącem lat podobno tutaj właśnie po raz pierwszy zagrzmiały na ziemi litewskiej i napełniły mężne serca oblężonych Litwinów trwogą, a może i zwątpieniem w potęgę bogów litewskich i Peruna, który na gromy krzyżackie nie odpowiedział gromem niebios.

Pod Liszkowem wiele niebezpiecznych głazów podwodnych zalega łożysko niemnowe. Mają one swoją nazwę »Liszkowskie soły«, ale burząca się nad niemi woda ostrzega zdaleka żeglarza, kędy ma swój statek kierować. Wiktor nasz zajęty zażyciem podwójnej porcyi tabaki i opowiadaniem o skarbach ukrytych w tajemniczym lochu zamkowym, zagapił się tak fatalnie, że zaledwie zdołaliśmy uniknąć przewrócenia się łódki i bardzo niebezpiecznej kąpieli, a co najgorsza, zatopienia w Niemnie wszystkich mozolnych zdobyczy trzydniowej podróży naszej.

Liszków, w ludowym języku tutejszym »Liszkiawa«, jest wioską z pięknym kościołem, wzniesionym na wyżynie nadniemeńskiej przez OO. Dominikanów, którzy byli niegdyś właścicielami Liszkowa i usiłowali podnieść tę wioskę do rzędu miasteczek, przez osiedlenie tu żydów, co jednak nie przyniosło pożądanego skutku. Narbutt zaczyna historyę Liszkowa od roku 1044, dając go we władanie książąt słowiańskich na Grodnie, którzy mieli założyć tu Nowe Grodno, czyli Nowogródek nadniemeński, co na język litewski tłómaczy się: *Naujepille* (*naujas* — nowy i *pillis* — nasyp, gródek). Krzyżacy istotnie, jak to wiemy z Wiganda, nazywali później w tych stronach jakiś zamek nadniemeński Nauenpille. Nie ma jednak stanowczego dowodu, że to był dzisiejszy Liszków, bo nazwa ta ostatnia powstała dopiero za Władysława Jagiełły, gdy król ten nadał włość tutejszą rycerzowi, który się nazywał Liszko Zybinta (Lissco Zybinta).

W czasach zaciętych wojen z Krzyżakami, w wieku XIV książęta litewscy wznieśli tu, na stromej górze nad Niemnem zamek, który mógł być nawet, jak wszystkie stare zamki litewskie, drewniany, ale posiadał kilka baszt okrągłych, wymurowanych z wielkich, dobieranych głazów granitowych, przekładanych warstwami cegły jasnej, a twardej jak kamień. Cztery takie baszty, a zapewne i mur obwodowy i dębowe palisady składały potężną na owe czasy warownię litewską, nieco podobną do znajdującej się w Lidzie. Tylko że w ostatnich czasach wzięto się w Liszkowie energicznie do zniszczenia tej starej pamiątki. Gdy w Lidzie jeszcze nie tak dawno mieściło się w jednej z wieżyc archiwum akt dawnych, to tutaj Dominikanie wznosząc na początku XVIII wieku kościół i klasztor, użyli podobno do tych gmachów granitu z baszt zamkowych.

Wigand powiada, iż roku 1380 przednie straże krzyżackie wymordowały pod zamkiem Nauenpille wielu mieszkańców okolicznych, poczem gdy przybyło wojsko z działami, przypuszczono nazajutrz szturm do twierdzy litewskiej. Wtedy poganie,



Ruiny zamku w Liszkowie.

którzy pierwszy raz ogniste pociski usłyszeli, przejęci trwogą, poddali się w liczbie trzech tysięcy. Dziś muru obwodowego nie ma już ani śladu; po trzech basztach okrągłych pozostały tylko ślady fundamentów, a z czwartej stoi rozwalina na parę sążni wysoka. U jej podstawy, od strony Niemna jest otwór idący w kierunku poziomym, do którego jednak tylko wpełznąć by można zaledwie. Baszty zbudowane były na pochyłej wyżynie góry, o 15 do 25 kroków jedna od drugiej, każda zaś miała średnicy około trzech sążni i mur na kilka stóp gruby.

Lud nazywa zamczysko liszkowskie *pilakalnis, pilkalnas*, co po litewsku znaczy dosłownie: zamkowa góra (*pillis* — zamek i *kalnas* — góra). Basztę zaś pozostałą zowie: *milzios gintuwe* — olbrzymów baszta, lub *muras milżinu* — mur olbrzymów, a nawet w przekręceniu *muras murinu* — mur murzynów. Podanie o olbrzymach powstać musiało skutkiem nagromadzenia ogromnych głazów do budowy zamku, na wierzchołku stromej góry, co w mniemaniu ludu mogło być tylko dziełem narodu olbrzymów. Otwór w baszcie, według mniemania miejscowego, prowadzi do podziemi w górze zamkowej, w których mają znajdować się wielkie skarby strzeżone przez szatana. Głuche podania błąkają się jeszcze o krwawych bojach z Krzyżakami i o paleniu na górze ofiar bogom pogańskim na ołtarzu zwanym *żinicza*. Oryle płynąc Niemnem, ukazują sobie basztę liszkowską mówiąc, że była niegdyś więzieniem brata i siostry. Cały prawie wierzchołek góry przy baszcie zarzucony jest wielkiemi głazami, które tu i owdzie zdają się być ułożone z pewną symetryą, coś jakby w rodzaju duńskich dolmenów i pokrywają może istotnie groby, które lud tutejszy uważa za groby Tatarów.

Do góry zamkowej przytyka inna, mniej obszerna i wysoka, z widocznymi dotąd fundamentami pierwotnego kościoła liszkowskiego, zbudowanego w wieku XV-tym przy zamku, gdzie niedawno stała jeszcze tu ostatnia starożytna lipa. Dziś już zaległo pustkowie. Dalej za doliną i rzeczką, płynącą z jeziorka liszkowskiego do Niemna, podnosi się znowu nadbrzeżna wyżyna, z panującym nad okolicą kościołem, naśladującym w ogólnych konturach bazylikę św. Piotra. Przy świątyni stoi klasztor podominikański z obszernym sadem owocowym, łączącym się w przedłużeniu z borem sosnowym nad Niemnem i gajem grusz leśnych, pokrywającym stoki góry ku rzece. Dominikanie tutejsi, gdy za rządów pruskich (r. 1796) zabrano im dobra, rozjechali się do innych klasztorów. Od roku 1836 pomieszczony tu został dom dla księży Demerytów z Królestwa, który roku 1849 przeniesiony został na Łysą górę. W kościele zasługują na uwagę cztery malowidła al-fresco, wyobrażające wszystkie stany byłej Rzeczypospolitej, oddające się pod opiekę Trójcy Św. i Bogarodzicy. Niezależnie od kościoła dominikańskiego Liszków posiadał do r. 1812 drugi oddzielny, parafialny, który jako drewniany i stary rozebranym został.

Szukając noclegu weszliśmy do karczmy liszkowskiej. Było już ciemno. W typowym »pająku« mosiężnym, u środkowej belki zawieszonym, tliła się łojowa »smarkatka« z knotem nigdy nie objaśnianym. Na pierwszy rzut oka ściany zamożnego arendarza, przybrane rzędami cynowych talerzy i półmisków, blaszanych łyżek i durszlaków, miedzianych saganów, konwi i pogiętych samowarów, w mroku wieczornym robiły wrażenie skarbca średniowiecznego, pełnego tarcz, pater, buzdyganów i kirysów. W skarbcu tym jednak panowała tak samo jak w Sieniewicach

skoncentrowana atmosfera: anyżu, fuzlu, czosnku i tytoniu. Kilku kmieci, cyganów i żydów, puszczając kłęby szkaradnego dymu z porcelanowych »lulek«, otaczało baterye flaszek i półkwaterków i gwarzyło trzema językami: litewskim, żydowskim i cygańskim, które po naszem przybyciu zamieniły się na jeden słowiański t. j. polski i nawet dość czysty.

Począłem gwarzyć z wieśniakami, ale arendarz powypychał ich, pomimo mojej protestacyi, do jakiejś komórki (którą nazywali oni po litewsku »kamara«), nie zapomniawszy zanieść za nimi półgarncówki. Ludzie ci powiedziawszy nam dobranoc z poczciwą życzliwością, jaką wszędzie spotykaliśmy u ludu nadniemeńskiego, zostawili nas w szynkowni. Zażądaliśmy wówczas wskazania jakiej szopy na nocleg. Jakoż niebawem cała rodzina arendarza i Cyganie nieśli za nami nasze walizki i puzderka (zadziwiające ciężarem i metalicznym brzękiem krzemieni) oraz latarnię bez szyb, do oddalonej stodoły, w której nie znaleźliśmy wprawdzie słomy ani siana, bo był przednówek, ale za to w zasiekach miękką warstwę sieczki, naciętej ze zboża i barłogu przez myszy podczas zimy.

Długie u stropu opony starożytnych pajęczyn wyglądały przy słabem świetle latarni jak pozawieszane u sklepień świątyni strzępy bojowych sztandarów i starych gobelinów. Ponieważ strzecha była mocno dziurawą, mieliśmy więc w sklepieniach naszej komnaty plafony z gwiazd prawdziwych, słońc nieznanych i dróg mlecznych. Budynek rozpatrzony pozytywnie był starym gruchotem i miał »wierzeje« jeszcze na drewnianych »biegunach«, które skrzypiąc potężnie, nie domykały się wcale. Jakby dla bezpieczeństwa jednak i obrony znaleźliśmy wiszące dwa cepy, które położyliśmy przy sobie. Kształtem nie różniły się wcale cepy litewskie od podlaskich z nad Narwi, zarówno ich części drewniane »dzierżaki«, »bijaki«, jak i skórzane »uwiązaki«, »gązewki«.

U stóp wzgórza, na którem stała nasza stodoła, Mazurkiewicz wyciągnąwszy łódkę na brzeg, aby oryle jej nie ukradli i przewróciwszy dnem do góry, aby mu w razie deszczu za namiot służyła, spał pod nią jak zabity. I ja zasnąłem wkrótce twardo, a po chwili widziałem się już w jakiejś świątyni, pełnej litewskich bóstw pogańskich, do której przez skrzypiące wrota zakradali się Cyganie, zwabieni naszemi walizkami. Obudziłem się, nasłuchiwałem, co to będzie? Skrzypienie drzwi powtórzyło się znowu, pod ścianą słychać było od czasu do czasu jakieś drapanie i mruczenie. Jeden tylko Gustaw chrapał regularnie i bez przerwy. Zapaliłem latarnię i obszedłem z nią wewnątrz stodołę. Cyganów nigdzie nie było, wiatr skrzypiał wrotami, drapały się pod ścianą szczury, albo kuny, mruczała w stajence przy stodole krowa. Pod niebem litewskiem wypadało powierzyć się pod skrzydła bogini twardego snu *Brekszcie* i prosić bogini czuwania *Buddintoi*, aby odpędzała od nas złośliwe duchy *Welnasa* i *Pagibielisa*. Wszystko spełniło się najpomyślniej, pomimo że profesor Antoni Mierzyński uczenie dowiódł, że cały ten Olimp litewski jest bzdurstwem zmyślonem przez bajarzy już po zaprowadzeniu wiary Chrystusowej na Litwie.

Obudził mnie złoty promień wschodzącego słońca, który przez szparę w ścianie powoływał wędrowców do pracy. Snu jakoś potrzebowałem niewiele, pomimo dość znojnej podróży. Odbierała mi go ciągle gorączkowa żądza ujrzenia coraz nowych

widoków kraju, pamiątek, ludzi i odszukiwanie coraz nowych a ciekawszych śladów bytu ludzkiego z najdalszej, nieznanej przeszłości tej ziemicy.

Wybiegłem powitać cudny ranek i piękny ze wzgórza widok na Niemen. Wiktor spuszczał łódkę na wodę i pozdrawiał oryli, unoszonych bystrą wodą na tratwach do Królewca i Kłajpedy. Poszliśmy jeszcze na górę zamkową, gdzie znowu Gustaw usiadł po turecku, a ja położywszy tekę na jego plecach, naszkicowałem porywający widok na głęboką dolinę Niemna i Liszkowa, na okazały kościół, las, wzgórza i pagórki. Taki widok byłby i w innych krajach nie do wzgardzenia. Niestety, nie było jeszcze wówczas ulepszonych aparatów fotograficznych do podróży, a ołówek mój jakże był marnym i nieudolnym w odtwarzaniu piękna przyrody. Zdjąwszy plan baszt i głazów grobowych, ruszyliśmy dalej wodnym szlakiem. Poniżej Liszkowa okolica więcej płaska i smutna. Mijamy rapę Opalankę i w pobliżu podominikańskiej wsi Zejmów pionową nad Niemnem ścianę brzegu z tysiącami gniazd grzebułek. Cała chmura tych ptasząt z krzykliwym świergotem, łączącym w sobie głos trwogi macierzyńskiej i szyderstwa z nieprzyjaciela, otaczał w powietrzu jastrzębia, którego nazwał nasz oryl *jozikiem*, odróżniając go od *szulaka*. Zaniepokojone ptaszyny zdawały się odstraszać od gniazdek swoich drapieżnego wroga, który jednak mało zwracał uwagi na sprawianą mu kocią muzykę przez ten zwinny drobiazg skrzydlaty.

W niektórych wioskach lud z powodu ubogich pastwisk chowa więcej kóz, niż bydła i owiec, czego nigdzie na Mazowszu i Podlasiu nie widziałem. Pola w tej okolicy są piaszczyste, ale na stokach wybrzeży, gdzie głęboki jar Niemna przecina warstwy gliny i iłu, tam widzieć można grzązkie, spadziste łączki z bujną trawą, a w niektórych miejscach małe tarasy z grzędami warzywa lub zboża, tak pochyłe, że tylko ręką i rydlem uprawiane być mogą.

Wszędzie spotykamy dużo spławianego z Litwy do Prus drzewa budulcowego, mianowicie świerków. Kłody świerkowe obnażone są z kory z wyjątkiem młodszego końca, w starszym zaś końcu czyli odziomie, mają zwykle wyciosane ucho. Dębu i sosny płynie bardzo mało. Około dwadzieścia kłod, czyli kloców bywa zbitych obok siebie w rodzaj przęsła, a trzy lub cztery takie przęsła uwiązane jedno za drugiem zowią się na Niemnie »*kozłem*«, (na Narwi »*pasem*«). *Kozieł* w spławie drzewa na Niemnie jest rodzajem jednostki zbiorowej. Dwa *kozły* stanowią *płyt*. Na kozieł trzeba dwóch, a na płyt czterech orylów, po jednym, lub po dwóch w każdym końcu, którzy tratwy niesione bystrym prądem kierują za pomocą *drygawek*, a mają także w zapasie *prysy*, czyli kilkosążniowe żerdzie, tyki (zwane na Narwi *laskami*) do odpychania od lądu i dna służące.

Oryle na płytach i kozłach mają nizkie długie budy z kory świerkowej, a przed niemi, na płaskich kamieniach i darni ogniska do warzenia strawy. Przy większej ilości płytów znajduje się na jednym z nich *skarbówka*, czyli domek z desek, w którym mieszka przez czas spławu *pisarz* kupca drzewnego, będący zarazem płatnikiem i dostawcą dla orylów *gorzałki* i *legumin* (czyli żywności), a mianowicie krup i mąki. Oryle z Małej Rusi pozdrawiają ludzi stojących na brzegu zwykle słowami: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, ale siebie spotykają najczęściej jakimś uszczypliwym dowcipem, w czem nasz Wiktor, jako

stary oryl, celował. Obsiadłszy dokoła ognisko, palą w porcelanowych niemieckich »lulkach« machorkę, zatruwającą wstrętnym fetorem świeżość nadniemeńskiej doliny. Mój Boże, pomyślałem sobie, czemuż zamiast płodzenia obrzydliwego dymu, nie brzmią ich usta jaką dawną, melodyjną lub wesołą piosnką, którą częściej można usłyszeć u flisów na Wiśle. Wszak w stronach z których płyną ci oryle tyle pięknych pieśni zebrał Zienkiewicz i Czeczot. Czyż taki winien być wpływ cywilizacyi aby lud zapominał pieśni praojców, a wzamian uczył się grać w karty i palić drajcap. Czyż ludzie, którzy mają się za ucywilizowanych nie powinni obmyślać środków do przeciwdziałania podobnię wstrętnym przemianom zamiast sami dawać zły przykład z góry własnymi nałogami.

Naprzeciw Ulczyc, będących »okolicą« czy »zaściankiem« zagrodowej szlachty, leżącym w dość pięknem położeniu, minęliśmy rapę *Bojarkę*, a dalej inną zwaną *Sokoły*. W samo skwarne południe przybyliśmy do Merecza. Przy ujściu sporej rzeki Mereczanki do Niemna, wznosi się kolista stroma góra, podobna do potężnego kopca ze ściętym wierzchołkiem, która dźwigała niegdyś na swych barkach stary zamek litewski, znany już Krzyżakom w r. 1377 pod nazwą Merkenpille. Książęta i królowie Litwy i Polski radzi przebywali w Mereczu zabawiając się łowami w okolicznych puszczach pełnych grubego zwierza, a przytem załatwiając tu sprawy krajowe. Roku 1377 Władysław Jagiełło tu nadał dla Wilna nowe prawa miejskie i rozliczne dla mieszczan swobody; tu r. 1418 obchodził uroczyście święta Bożego Narodzenia, i tutaj we trzy lata później przyjmował posłów czeskich, proszących go usilnie, aby przyjął koronę Przemysławów, lub nakłonił do tego brata swego stryjecznego Witolda. Jak wiadomo, obaj potężni władcy po naradzeniu się z sejmem, odmówili stanowczo przyjęcia obcej korony. Wielki trakt wiodący z Warszawy do Wilna ożywiał Merecz stający się naprzemian widownią uciech lub żałoby. Król Władysław IV, zaniemógłszy wskutek wielkiego utrudzenia na łowach, zmarł w Mereczu 20 maja 1648 roku, a w nim kraj stracił jednego z wybitniejszych królów.

Licha mieścina przedstawia teraz widok ponury; zbudowana w okolicy ubogiej, na piaszczystych bezdrzewnych wzgórzach. Zatrzymałem się na przeciwległym Mereczowi brzegu i odrysowałem położoną za Niemnem górę zamkową, prom na Mereszance przy jej ujściu, słomiane dachy miasteczka, i panujący nad niem gotycki czerwony kościół. Jakby na urągowisko historycznych wspomnień o wielkich puszczach i łowach, miałem przed sobą widok charakterystyczny. Wszyscy Zydzi mereccy używając tłumnie kąpieli ze zgiełkiem i wrzawą spychali do Niemna cienką sośninę, powiązaną do zpławu w kilkowarstwowe pomosty. Tam zaś gdzie dawniej szumiały niebotyczne maszty, a tysiącletnie dęby ocieniały uznojone czoła monarchów, dziś powracały z pustkowia i wyrębów leśnych głodne kozy mereckie.

Na wstępie do Merecza zostaliśmy posądzeni o przemycanie wódki, istniała bowiem jeszcze granica akcyzna między Królestwem i Cesarstwem.

W głębokim piasku na ulicach Merecza grzęzną wozy, a jedyny łoskot jaki dawał się słyszeć pochodził od strony b. klasztoru, który teraz rozbierano na cegłę zakupioną i spławianą na batach do Rumbowicz. Dość piękny, ale zaniedbany kościół parafialny, fundacyi Jagiełły, mogliśmy obejrzeć tylko zewnątrz. W staro-

świeckim ratuszu, otoczonym dokoła pustemi Kramnicami, pomieszczoną została cerkiew. Wszyscy pokazują tu dom, już tylko w części mieszkalny, w którym zamknął powieki Władysław IV, a później kwaterował Piotr Wielki, i górę na której stał zamek »królowej Bony«. Nawet gruzy z tego zamku nie zostały, znaleziono tylko w niedawnych czasach kulę kamienną, 80 funtów ważącą i jakąś belkę żelazną. Przed kilkunastu także laty w podmywanym brzegu Mereczanki, znaleziono w pobliżu góry zamkowej, garnek z rzadkiemi monetami, Zygmunta Augusta, które nabył mieszkający wówczas w okolicy Merecza zbieracz zabytków przeszłości p. Moraczewski.

Zaopatrzywszy naszą spiżarnię w olbrzymi bochen razowca, ruszyliśmy dalej żeglarskim szlakiem Jagiełły.

Na półmilowej przestrzeni od miasteczka, w dół rzeki, znajdują się trzy rapy: *Moreczanka, Krawiec i Nożny* (nożyce), a nieco dalej czwarta *Szewiec.* Podrodze mijamy baty ciągnięte przez ludzi w górę Niemna. Wybrzeża pokryte pięknym świerkowem i sosnowym borem, zaczynają piętrzyć się i przedstawiać malownicze widoki. Poniżej Niecios, w lasach iglastych, na obu brzegach, coraz więcej drzew liściastych. Dęby, brzozy, olchy, świerki i leszczyna, tworżące na stokach dwa amfiteatry w ramach błękitu nieba od góry, a szmaragdowego zwierciadła wody od dołu, tworzą dziwnie miłą dla oka grę leśnego kolorytu. Przy jednym z zakrętów Niemna, na stokach lewego brzegu, mijamy tak urocze ustronie ze spadzistą, bujną łąką wśród ciemnego boru świerkowego, że aż żal brał serdeczny iż nie było na łódce naszej dobrego krajobrazisty, który uwieczniłby na płótnie ten typowy widok nadniemeński. Takich widoków było tu dawniej dużo, które przez wycinanie lasów znikają zupełnie. Uczułem też pewien żal do naszych malarzy. Wszak z krajobrazów, które jeszcze spotykamy, możnaby utworzyć wspaniałe album, ale za lat kilkanaście już będzie i na to za późno, bo przez wycięcie starych drzew i rozszerzenie się pługa i motyki, wybrzeża Niemna stracą w zupełności swój pierwotny charakter i urok. Tylko więc oryle i pisarze kupców leśnych napawali się tymi widokami, wonią łąk i gajów, śpiewem słowików i kryształowym nektarem zimnych krynic.

Choć i teraz oglądamy już tylko szczątki historycznych borów mercekich, ale jak w strzępach można jeszcze poznać makatę, tak i z tych resztek można odtworzyć sobie urok tych puszcz, których niepokalaną wonią spieszyli oddychać monarchowie, gdy mytyczna w pojęciach ludu »morowa dziewica« powiała chustą żałobną ponad bogate grody i ludne okolice. Łowy, ówczesne opisywali poeci polscy wierszem klasyków rzymskich, wzywając chłodny wietrzyk, aby w skwarne południe orzeźwił uznojonego Władysława IV, nakazując drzewom, aby ocieniały czoło króla. Powtarzając za Syrokomlą słowa z czwartej Zabawy leśnej Sarbiewskiego, zdawało mi się, że jeszcze tu słyszę jak w głębi boru:

»Wre szczera ochota,
Od szczekania brytanów rozlega się puszcza,
Usta — spaliła spiekota —
. . . .

Gdy legną myśliwi
Na trawę zieloną,
Niech wiatr ich ożywi
Niech kwiaty owioną i t. d.«

Mijamy wieś Soleniki i piękny bór na lewym brzegu, a dalej w zielonej kotlinie, w wieńcu gajów, nader malowniczy dworek, który Wiktor nazwał Olchówką. Pierwotne nazwy osad i wiosek powstawały najczęściej od nazw ludzi, którzy je założyli. Osada np. którą założył Czyż, nazwana została Czyżewo, od Szepieta — Szepietowo. Później, gdy nazwy te już zostały utrwalone, powstawały od nich nazwiska rodów, które były ich dziedzicami np. Czyżewskich, Szepietowskich. Oryle niemeńscy mają teraz zwyczaj odwrotny tworzenia w swoim flisackim języku nazw folwarków od ich posiadaczów. I tak Wiktor pokazał nam w tej okolicy folwarki: Krukowski i Jacuński, które zapewne inne mają nazwy rzeczywiste, ale właściciele ich nazywali się Krukowski i Jacuński.

Mijając Soleniki i Mizańce usłyszeliśmy za borem dalekie grzmoty. Parność i cisza zapowiadały znowu burzę. Do Kryksztan, w których zamierzyliśmy nocować, była jeszcze mila drogi. Wzięliśmy się wszyscy do wioseł, bo szum boru zwiastował nadciągającą szybko nawałnicę, a tu Niemen rozlewając się szerzej płynie powolniej. Gdy wielkie krople deszczu zaczęły z rzadka padać na wodę, przewoźnik nasz doradzał schronić się przed burzą pod gęste drzewo dowodząc że najwięcej gromów uderza w koryto rzeki. My znowu uważaliśmy drzewa za niebezpieczne schronienia i postanowiliśmy przetrwać burzę na łódce. Deszcz siekł coraz gęstszy po naszych burkach. które przypominały nam starą przypowieść Rysińskiego:

»Gdy jedziesz w drogę, ano piecze słońce,
»Nie chroń się dla dżdża wziąć sobie opończę.«

Wkrótce całe niebo pokryło się tumanami chmur, które niby szwadrony szarżującej na nieprzyjaciela konnicy, pędziły groźnie ciskając pod swe stopy, na padoł ziemski piorunami i przypominając »Fragment« Syrokomli:

»W tem na niebie straszliwa zerwała się burza,
Wicher z pod czarnej chmury gwiznął rozhukany,
Szczerniałą wodę Niemna poskręcał w bałwany
Co pieniąc się i kipiąc piersią nienawistną,
Łódź to wzbiją do góry to w głębinę cisną.
Przerażeni flisacy nuż walczyć z przemocą i t. d«...

Dzięki wyniosłyn brzegom od strony wiatru, mieliśmy nadzieję, że płynąc pod ich zasłoną, nie oddamy niemeńskim Dugnom i Ondynom naszych skarbów krzemiennych na pastwę. Była tylko obawa, aby fala nie uniosła nas na kipiący bałwanami środek Niemna, bo tam nie byłoby ratunku dla naszej czajki. Należało

więc zrzucić z siebie przemokłą burkę i pracować energicznie wiosłami lub wylewać wodę, która z potężnej ulewy gromadziła się szybko w łódce. Wiktor ukazując nam często pioruny uderzające w środek Niemna, żegnał się i tryumfował, że żaden z nich nie uderzył w drzewa nadbrzeżne. Flis nasz odmawiał przytem cichy pacierz, który był dla niego dobrodziejstwem, bo w chwili krytycznej dawał mu nieoceniony spokój, zimną krew, dobrą nadzieję i pewność ręki. Ja, modliłbym się także, gdyby nie to, że cała natura przedstawiała w tej chwili pewną majestatyczność kataklizmu i widok wobec którego na dalszy plan schodziła egoistyczna obawa o całość własnej skóry. Istotnie kąpiel nasza była wspaniałą wśród nieprzerwanego grzmotu piorunów, który dawni Litwini nazywali gędźbą Peruna mawiając podczas gromów: »Perkunis grauja« lub po żmudzku: »graudże Diewaitis«.

Po burzy zajaśniały, na niebie przed nami dwa olbrzymie, siedmiobarwne łuki wspaniałej tęczy, niby brama tryumfalna i ukazał się jaskrawy zachód słońca. Wiktor opowiadał z głęboką wiarą, że tęcza zawsze jeden koniec swego łuku ma gdzieś w rzece, którym jak trąba pije wodę w obłoki razem z rybami, i że, po zniknięciu tęczy ryby te spadają na pola, i znajdowane są na polach przez ludzi.

Poniżej wsi Szłapików, mijamy na stokach jaru niemnowego piękne dąbrowy, brzozowe gaje, olszniaki i łączki między nimi położone. Tu spytkaliśmy płyty »na haku« Oryle, warząc sobie wieczerzę, oczekiwali pomocy towarzyszów. Podług starego prawa zwyczajowego, oryle nadpływający muszą przyjść zawsze z pomocą tym których spotkała przygoda. Nie przeszkadza to zwykłemu u nich żartowaniu sobie z cudzej biedy. Wiktor np. jakby nie domyślając się powodu zatrzymania tratew, rzekł do spotkanych z udaną wybornie dobrodusznością, iż musieli szczęśliwie płynąć, gdy tak wcześnie wieczerzają? Oryle odpowiedzieli mu życzeniem, aby zawsze taką wieczerzę jadał. Jakoż po chwili, potężnym zagrzmieli śmiechem, gdy szybko pędzona czajka nasza, przez zapatrzonego w stronę tratew Wiktora, tak nagle wsparła się i osiadła na podwodnej ławie piasku, żeśmy wszyscy o mało nie udeżyli głowami o dno łódki. Wiktor zaklął, będąc najmocniej przekonany, że to oryle mszcząc się za jego żarty, rzucili urok.

Mazurkiewicz był już od czterech dni przedmiotem moich studyów etnograficznych i psychologicznych. Życie flisackie wywarło na nim wpływ niemały. Był odważny, małomówny, a przy spotkaniu z obcemi, jowialny. Umiejąc z dziwną naturalnością prostaczka udawać nieświadomość, był tak zręczny pod tym względem, że ludzie łatwowierni z których postanowił sobie zażartować, bądź litowali się nad nim dobrodusznie, bądź starali się objaśniać nieświadomego życzliwie. Pewna żydówka, pomimo całego swego sprytu, rzekła przy nas do innej w swym żargonie, że nie może poznać, czy ten człowiek jest rzeczywiście głupi, czy taki mądry? Istotnie Wiktor miał zdolności do udawania tak wielkie, że gdyby nie był nieokrzesanym i szczerze religijnym wieśniakiem, to z pewnością zostałby niepospolitym oszustem. Tylko głęboka jego wiara i pobożność sprawiała że był gruntownie poczciwym i moralnym, a kłamał jedynie w celach żartobliwych. »Zapisany do wtrzemięźliwości«, wódki od lat dziesięciu w ustach nie miał. W mowie jego było pełno archaizmów i fonetyzmów staropolskich. Wymawiał pewne wyrazy

bez dzisiejszej wyrzutni samogłosek, która ujęła polszczyźnie nie mało pierwotnej śpiewności. Nie mówił np: przebrnie ale »przebrynie«, nie zielsko ale »zielisko«. W opowiadaniach swoich używał nieraz zwrotów jędrnych lub poetycznych i przytaczał rozmaite stare przysłowia: »Na wodzie jak na wojnie« — »Pan Bóg zmoczy Pan Bóg wysuszy« — »Bez wiosła na czółno nie siadaj« i t. d. Zapisując w moim notatniku podróżnym właściwości mowy naszego flisa, zadawałem sobie mimowolnie objektywne pytanie: Kto jest prawowitszym i milszym synem dla tej ziemi? czy człowiek, który mówi tak jak mówili jego dziadowie, a jeżeli nie mówi poprawnie, to tylko dla tego, że nikt nie uczył go gramatyki — czy też są ci ludzie, którzy uczyli się gramatyki, a jednak tak często nie mówią poprawnie językiem swym ojczystym lub skazili go akcentem cudzoziemskim i używają w towarzystwie mowy francuskiej. Oczywiście prosta logika i sprawiedliwość dawała odpowiedź, że prawowitszym synem tej ziemi jest syn pierwszy.

Tu nasuwały mi się ogólne myśli nad oświatą ludu, tak błędnie przez wielu pojmowaną, oświatą, która wtedy staje się tylko dobrodziejstwem ludzkości, jeżeli rozwija w warstwach ciemnych: moralność, miłość chrześcijańską, pracowitość i poszanowanie cudzej własności, uczucia ludzkie, rodzinne i szlachetne, poszanowanie starszych, — która nauczy syna być dla rodziców dobrym synem; rzemieślnika, być sumiennym rękodzielnikiem; sługę i robotnika — być rzetelnym i życzliwym, dla chlebodawcy pracownikiem. Prawdziwa chrześcijańska oświata mas ludowych jest zbawienną, bo przez zamiłowanie do uszlachetniającej każdego pracy, przywiązuje człowieka do pługa i warstatu, a oderwać może od zajęć powszednich tylko ludzi wyższych zdolności, powołując ich do szerszej pracy społecznej.

Wieś Krykształy, do której przybyliśmy dziś na nocleg, nazwę taką nosi podobno na pamiątkę chrztu pogan okolicznych za Władysława Jagiełły, Chrzcielnica bowiem zowie się po litewsku podług Szyrwida *Krykształnicia*, a podług Połujańskiego *Krykształienej*. W karczmie zastaliśmy wielu włościan, żydków i jakiegoś ekonoma. Prawie wszyscy byli przemokli do nitki jak i my od ulewy, i suszyli się przy wielkiem ognisku. Opowiadano o niedawnym pożarze Wiejsiej (w pow. Sejneńskim), które były dawniej handlowem miasteczkiem, a dzisiaj są tylko osadą rolniczą. Ponieważ okolice Sejn, Łozdziej i Serej nie posiadały wcale dobrych komunikacyi, ci więc którzy uważali nas za inżynierów zwiastujących parową żeglugę na Niemnie, okazywali nam wielką życzliwość i poważanie. Włościanie wątpili tylko czy Niemen może być oczyszczony z *rap*, jako dzieła ręki szatańskiej. Inni znowu mieli nas za kupców i berlinkarzy, a jeden, który widział moje poszukiwania, uważał mnie za medyka i aptekarza zarazem, zbierającego kamyki i korzonki na lekarstwa. Wszyscy kręcili tylko podejrzliwie głową, dostrzegając stare skorupy, obwijane przeze mnie w papier, jakby domyślali się w tem czegoś nieczystego.

Gdy gospoda wyludniła się, a ku memu zbudowaniu, wszyscy opuścili ją trzeźwi, bo prawie nikt nie pił wódki, odrysowałem jej wnętrze i niektóre sprzęty. Na stole stała owalna z brzozowej kory tabakiera, zapomniana przez ekonoma który wszystkich w karczmie gościnnie i ciągle z niej częstował. Na ławie leżała karbowana, brzozowa maglownica z wałkiem, taka sama jakiej używają na Pod-

lasiu. Na kominie i policach stały gliniane garnki, pękate, bez uch, z małymi wrębami, zbliżone kształtem do urn mazowieckich. Siana ani słomy arendarz nie posiadał, więc na wązkiej ławie, gdzie siedziałem, zasnąłem po trudach dnia dość smacznie, pocieszając się nadzieją, że do rana wyschnie na mnie odzież przemokła.

Świtał piękny poranek, gdy poszliśmy obejrzeć stojące przy brzegu wiciny i baty, na które ładowano owies, dostarczany przez kupców z Serej do Grodna. Zdaje się, że wiciny muszą być znane na Niemnie od tak dawna, jak i handel litewski. Wspomina już o nich Stryjkowski, a zapewne dzisiejsze i z wieku 16 mało się różniły od siebie. Wiciny są większe *od* wiślanych *berlinek*, szersze, z bokami więcej pochyłymi, mniej ozdabiane, biorą ładunku 800 beczek litewskich zboża, czyli do 2600 korcy warszawskich, gdy baty tylko czwartą część tego. Budowane są wszystkie w górze Niemna, gdzie w Swierzniu, Stołpcach i Bereżnej są lub były ich warstaty. Obecnie zaczynają wychodzić z użycia, bo zpowodu swej wielkości mniej są praktyczne od batów. Zmiana ta musi mieć łączność ze stanem wody, która obecnie skutkiem trzebieży lasów opada niżej w suche lata, niż dawniej, gdy cały kraj był leśnym.

Wicina przykryta jest ruchomym dachem z desek zdejmowanych częściowo przy ładowaniu towaru, a mającym w połowie długości poprzeczny otwór zwany *zjez*, którym wylewają szuflami naciekającą do statku wodę. Na przodzie wiciny jest mieszkanie szafarza, (po rusku *szafara*) czyli pisarza, zwane szafarnią, gdzie mieści się także kuchnia dla ludzi i piece do chleba. Na batach są także szafarnie, ale już bez *piekarników.* Przodowy koniec wiciny, gdzie skład lin, zowie się *sztabą*,a tylni gdzie rudel *rupą.* Maszt przywiązuje się do słupa zwanego *chłopcem,* a wielki drąg żaglowy nazywa się *rajem*, długie zaś wiosła zbliżone nieco kształtem do drygawek to *opaczyny,* Cienkie liny dla niechwiejności masztu, łączące jego wierzchołek z krawędziami statku, zowią się *stachje.* Oprócz nich zaopatrzona jest każda wicina i bat w długie dwie liny z których grubsza zowie się *barbarą*, cieńsza *tralówką.* Za tralówką uwiązaną do górnej części masztu, ciągną statek w górę rzeki t. j. pod wodę, najęci do tego *wicinnicy*, którzy idą brzegami. Gdy wiatr pomyślny, dopomaga im żagiel. Za *barbarę* przywiązuje się statek w przystani, lub ściąga z mielizny, czyli haku. Gdy ściągnięcie to nie idzie łatwo wówczas wbijają dwa paliki i zakładają »*kozioł*« czyli walec z kolbami (podobny do używanego przy nawracaniu wiatraków) i kręcą »kozioł« nawijając na niego *barbarę*, uczepioną do statku. Gdy i to nie pomaga, następuje *lichtuga*, czyli przeładowanie ciężaru na mniejszy statek *lichtanice.* Załogę na wicinie składa kilkunastu, a na bacie kilku ludzi, między którymi starszym jest *sternik.* Do załogi nie liczą się wicinnicy, czyli *mołojcy*, najęci do holowania statku pod wodę. Do batu potrzeba mołojców 10—15, do wiciny 20 - 30. Każdy z nich w czasie pochodu ma przez jedno ramię założoną z szerokiej parcianej taśmy *lamkę*, rodzaj szlei, uwiązanej na *sznurze* do *tralówki.* Idąc *gęsiego,* (zwykle lewym brzegiem Niemna) podpierają się *wałkownikami* (długimi kijami). Pierwszy na przodzie wicinnik zowie się *korol*, drugi z kolei *marszałok*, trzeci *drużko*, jak na weselu. W letni upał jest to ciężka praca dla idących boso po żwirowych brzegach. Wicinnik

pobiera za nią najmniej 45 kop. dziennie, a goniąc za tym zarobkiem, kilka tysięcy ludzi corocznie nad Niemnem odrywa się od pracy rolniczej.

Po wschodzie słońca opuściliśmy Krykształy, rozpoczynając piąty dzień naszej podróży doliną Niemna. Na polach powiewają fale bujnego żyta. O pół mili poniżej Krykształ napotykamy znowu ślady obrabianego krzemienia w czasach przedhistorycznych. O ćwierć mili od Niemna, na gruntach wsi Racowszczyzny znajduje się w tej okolicy góra zamkowa zwana *Pilokalnie*, ale zboczyć do niej nie mogliśmy. W okolicy wsi Bałkosadzie napotykamy na lewym brzegu źródło wody trochę słonej, bardzo zimnej, ale niesmacznej, z zielonawym osadem, buchające silnym strumieniem z otworu pod wzgórzem nadbrzeżnem. Oryle utrzymują że do tego źródła zlatują się gołębie z okolicy i od nich dali mu nazwę *hołubowa woda*. Gdy żałowałem, że nie było gąsiorka dla nabrania tej wody do rozbioru chemicznego, Wiktor ofiarował mi na ten cel swoją flaszkę, która mu towarzyszyła od lat wielu z tabaką. Wzieliśmy się wszyscy do jej dezinfekcyi za pomocą piasku i gałęzi wewnątrz i zewnątrz. Po półgodzinnej pracy, gdy flaszka zdawała się już być gotową, przy dopasowywaniu drewnianego korka szyjka pękła i — tabaka powróciła napowrót do flaszki, a Wiktor nabrał przekonania, że jej przeznaczeniem było służyć mu do śmierci.

O tysiąc kroków poniżej tego źródła ukazał nam Mazurkiewicz wychylające się nad powierzchnię wody konary olbrzymich dębów zatopionych podług słów oryla »od potopu świata«. Jeden z tych dębów stanowi »rapę«, o którą rozbiła się niedawno ładowna zbożem wicina. Drzewa powyższe musiały być przez powódź podmyte na brzegach i obalone do Niemna przed jakim tysiącem lat, bo dębina zczerniała już jak heban, na co potrzeba licznych wieków. Zawróciwszy się z Niemnem ku wschodowi, stanęliśmy pod Niemonajciami, gdzie to według podań bajecznych Litwy miał wylądować Nemon, wódz zamorskich żeglarzy, i czcią boską od miejscowych Lettów otoczony, założył tu jakoby osadę powyższą.

Na nizinie prawego brzegu leży ubogie miasteczko Niemonajcie z kościółkiem zbudowanym przez Sapiehów w XVII wieku, na wyniosłości, zaś brzegu lewego leży wieś tegoż nazwiska, której mieszkańcy mają się także za mieszczan. Pod miasteczkiem wychyla się z łona Niemna wielki kamień, który z daleka wziąłem za bat stojący przy brzegu. W okolicy znajdują się kurhany z dawnych czasów. Poniżej miasteczka Niemen zwraca się nagle ku północy i tu przed nami ukazał się rozkoszny widok prawego wybrzeża. Oczywiście krajobraz to nie z nad Dunajca i nie karpacki, ale charakterystyczny nadniemeński, litewski. Wyniosłe na kilkadziesiąt sążni, porosłe lasem brzegi, przedstawiają się od strony rzeki jako strome góry porozdzielane wąwozami; najwyższa z nich zwraca na siebie uwagę stożkowatym kształtem i ona to z powodu obronności swojej mogła być siedliskiem pierwotnem owych żeglarzy zamorskich, miejscowością taką zwabionych. Wąwóz na prawo rozszerza się w malowniczą dolinę, której kotlina przedstawia śliczną łąkę, a strome stoki uwieńczone są pasmem lasu świerkowego. Z doliny tej i łąki wypływa strumień poruszający w gardzieli wąwozu młyn wodny. Ze szczytu stożkowej góry roztoczył się przed nami szerszy i więcej jeszcze uroczy

krajobraz. Od południa i zachodu mieliśmy przed sobą wspaniały widok na dolinę Niemna, Niemonajcie i daleką okolicę, w której jaśniały białe mury kościoła w Mirosławiu. Od północy i wschodu głęboki, zacieniony świerkami wąwóz, oddzielał nas od wyżyn, za któremi leżały największe jeziora w powiecie Trockim. Szczyt góry na której staliśmy, niedawno jeszcze porastał starym lasem, po którym już tylko pnie zostały. Schodząc znaleźliśmy w jej stokach pokład przedpotopowy spetryfikowanego mchu leśnego.

Zdaniem orylów Niemen, od Niemonajciów, powiększa swoją bystrość i niebezpieczeństwo żeglugi przy rapach. O pół mili poniżej tej miejscowości, w okolicy wsi Narum zatrzymaliśmy się znowu na lewym brzegu przy mineralnym zdroju podobnym do powyżej opisanego. O źródle tem i pięknym, liściastym, przyległym mu lesie, wspomina Połujański w «Wędrówkach po gubernii Augustowskiej», przesadza jednak mówiąc, że słoność jego wody równa się druskienickiej. Kosztowałem obie i wielką znalazłem w smaku różnicę. Już r. 1787 kanclerz litewski Joachim Chreptowicz z księdzem Poczobutem rektorem akademii wileńskiej wyprawili dla zbadania źródeł nadniemeńskich dwóch profesorów akademii: Sartorisa i księdza Mickiewicza, fizyka (stryja poety). Uczeni ci, w raporcie swoim pisanym z Pren, d. 3 października donoszą kanclerzowi, że płynęli Niemnem od Niemonowicz (Niemonajć) i opisują źródło niniejsze, w które zanurzony aerometr pokazywał nieco większą ilość morskiej soli niż w innych, zawsze jednak nierównie mniejszą niż w Stokliszkach. Kopali także ziemię w różnych kierunkach, ale niczego nie odkryli.

Napełniwszy wodą z tego źródła flaszkę kupioną w Niemonajciach, posuwaliśmy się dalej śladem Sartorisa i Mickiewicza, a brzegiem pięknego rządowego lasu z rozmaitych drzew liściastych, które na krawędzi wybrzeża podmyte w wielu miejscach pochyliły się do Niemna, aby zwalić z czasem w jego nurty. Przy rapie Łazówce oznajmił nam Wiktor, że podług orylów, tutaj właśnie jest połowa drogi wodnej między Grodnem i Kownem wynosząca mil 20. Te wyliczenia oryli zadziwiły mnie nieraz swoją dokładnością, bo potwierdzała je także sztabowa mapa, którą miałem przy sobie w tej podróży.

Wyniosłe stoki lewego brzegu doliny Niemna powyżej Olity, pokryte są na długości mili amfiteatrem leśnym z mieszaniny drzew liściastych z iglastemi. Góry te lesiste odbijały się malowniczo w wodzie tworząc szmaragdowe, o różnych tonach zwierciadło, na tle którego łódka nasza, uważana z wyżyny, zdawała się żeglować w morzu zieleni. Poniżej smolnego majdanu spotkaliśmy wicinę holowaną w górę rzeki przez 25 «mołojców», a dalej, po drodze do Olity mijamy 4 rapy, którym ludzie, nie uwzględniając pięknego ich otoczenia nadali prozaiczne nazwy: *Świni, Prosiąt, Knura i Barana:*

Zbliżając się do starej Olity (znanej Krzyżakom pod nazwą zamku Aliten) zajrzałem do kronik, które wraz z opisem Wiel. ks. Litewskiego (M. Balińskiego) i «Wędrówkami» Połujańskiego, miałem z sobą. Lindenblat i Wigand opowiadają, że podczas sławnej wyprawy na Litwę r. 1392 powstał tutaj spór między krzyżowcami z Niemiec i Anglii o prawo niesienia chorągwi św. Jerzego. Kiedy bowiem wychodziło rycerstwo z Olity ku Lidzie, poniósł tę chorągiew niemiec Ruprecht Sekendorf, gdy tego samego domagał się także lord Percy, syn księcia

Nordcumberlandu, przybyły z kwiatem rycerstwa angielskiego, aby napełnić rzezią i pożogą krainę nadniemeńską. Od kłótni przyszło między Niemcami i Anglikami do krwawej bójki, którą ledwo dostojnicy Zakonu uśmierzyli.

Miasteczko Olita leży na obu brzegach Niemna, którego powierzchnia burzy się tutaj na licznych głazach podwodnych. Oryle jednak nie uważają tych kamieni za rapy, a podług nich Niemen od Olity do Kowna ma bieg najbystrzejszy i nie rozlewa się nigdzie zbyt szeroko. Na brzegu lewym, leży w Olicie dwór, gorzelnia, i drewniany kościółek. Na brzegu prawym znajduje się kościół murowany. Promu na Niemnie nie znaleźliśmy tu wcale. Wiktor posłany jako liwerant obszedłszy obie połowy miasteczka nie znalazł nic innego dla zasilenia naszej spiżarni prócz jednego bochenka czerstwego chleba i trzech obwarzanków twardości kamieni nadniemeńskich.

Między Olitą, a wsią Rumbowiczami znajdują się trzy rapy: *Jabłonka stara, Jabłonka nowa i Hruszki* (gruszki). W pobliżu Jabłonki starej, na piaszczystych wyżynach lewego brzegu, znalazłem dość rozległą, ale nie bogatą przestrzeń ze śladami pobytu człowieka w czasach użytku krzemienia. Czerepy ze starożytnych naczyń glinianych miały powierzchnię wewnętrzną ciemną, a zewnętrzną znacznie jaśniejszą. O takich samych czerepach znajdowanych razem z zabytkami krzemiennymi w najstarszych grobach zachodniej Europy, wspomina uczony Lubbock i inni.

Ćwierć mili dalej leżą w pięknem położeniu nad Niemnem Rumbowicze z dworem, ogrodem i kościołem położonym prawie w dziedzińcu dworskim. Właścicielem Rumbowicz był znany z osobistej zacności, światła i dobrego swego gospodarstwa p. Stefan Wiszniewski. Postanowiliśmy przeto nawiedzić jego gościnne, staropolskie progi. Zabłoceni i zapyleni zamierzyliśmy najprzód wykąpać się w Niemnie, za pagórkiem który zasłaniał nas od strony rumbowickiego dworu i sadu. Gdy już kąpiel miała się ku końcowi, a nie była zbyt przyjemną z powodu silnego wiatru, Wiktor spostrzegł brak naszej bielizny i kapeluszy złożonych na kamieniach nadbrzeżnych. Przyczyną zniknięcia był wiatr który poroznosił bieliznę i kapelusze po polu. Wyskoczyliśmy tedy jaknajśpieszniej z wody i włożywszy naprędce tylko obuwie, ruszyliśmy w pogoń za kapeluszami, obawiając się aby wiatr nie zatoczył takowych pod dworzec pana Wiszniewskiego. Defilada trzech ludzi kłusujących w stroju afrykańskim mogła się wydać dla niedoświadczonego spektatora zjawiskiem bez odpowiedzi. Kapelusze pochwytaliśmy pod płotem ogrodowym, który na szczęście był tyle gęstym, że nie groziła obawa szukania kapeluszy w ogrodzie.

Odwiedzenie zacnego ziemianina nie powiodło się, bo nie zastaliśmy go w domu. Po tak niemiłym zawodzie udaliśmy się w stronę rumbowickiej góry zamkowej zwanej *Pilup* (od pillis — zamek i upis — rzeka), co więc tłómaczy się: zamek nadrzeczny. W pagórkowatej miejscowości, o kilkaset kroków od Niemna i kościoła, wznosi się kopiec zamkowy, z wklęsłym wierzchołkiem i głębokim przekopem od północy. Tak jak w całym kraju stare zamki lud przypisuje królowej Bonie, a dawne okopiska Szwedom, tak i tutaj, o tem grodzisku przedchrześcijańskiej Litwy, lud dzisiejszy powiada, że było warownią szwedzką. Po odrysowaniu Pilupu ruszyliśmy dalej, minąwszy w pobliżu tego grodziska niebezpieczną

dla żeglugi rapę zwaną *Kamok*. Nad wieczorem wiatr ucichł, gdyśmy znalazłszy się naprzeciw pięknej wioseczki (podobno Piwogole, w powiecie Trockim) musieli wysłuchać zawziętej kłótni dwóch wygadanych wieśniaczek. Już wioska pozostała za nami przeszło wiorstę drogi, a jeszcze dolatywał nas miotany wzajemnie na siebie przez obie przeciwniczki dobitny komplement *ropuzie!* czy *raupezie!* oznaczający po litewsku ropuchę. Obelga ta dowodziła w każdym razie, że wśród litwinek zaginęła już tradycya pogańskiej czci oddawanej przez ich prababki żabom.



Młynek stary w Puniach.

Po godzinie drogi od Rumbowicz przybyliśmy do nader pięknego lasu, w którym dęby, lipy, świerki, i brzozy mogły stanowić ozdobę najpiękniejszych parków w Europie. Las ten opasany z trzech stron w kształcie ściśniętej podkowy, prawie trzymilową wstęgą Niemna, zowie się, od pobliskiego miasteczka Puń, *puńskim borem*. W miarę zbliżania się do tego miasteczka, brzeg prawy, na którym ono leży, podnosi się wysoko i przedstawia stoki pobróżdżone malowniczo parowami i porosłe gęstwiną zarośli. Gdzie zębatą krawędź tego wybrzeża najwyżej zapanowała nad rzeką i przeciwległym borem puńskim, tam stary krzyż drewniany na jej szczycie jest mogilnym znakiem pogrzebionych w ziemi krwawych jej dziejów, tu bowiem właśnie rozegrał się jeden z najdramatyczniejszych wypadków

dziejowych, na którym osnuł Syrokomla swego »Margiera«. Niema wprawdzie, na to dokumentalnego dowodu, ale jest wszelkie prawdopodobieństwo, że opisane przez kronikarzy pod r. 1336 bohaterstwo Margiera w zamku Pullen, miało miejsce w dzisiejszych Puniach.

Kondratowicz, w swoich »Wycieczkach po Litwie« opowiada, że gdy w czasie pisania Margiera, przybył do Puń, dla obeznania się z miejscowością, wskazano mu w południowej stronie miasteczka mały wzgórek oznaczony krzyżem. Wbiegł nań jednym tchem i załamał ręce, całe bowiem podanie wydało mu się mistyfikacyą kronikarską! Gdyż na pagórku nie było miejsca nietylko na zamek, ale nawet na dom. Gdy począł krzyczeć rozpaczliwie o wytłómaczenie zagadki, — jakiś starzec wywołany hałasem z pobliskiej chaty, wyprowadził poetę z błędu, ukazując obok obszerne, zbożem zasiane wzgórze, jako rzeczywiste miejsce starego zamczyska, gdzie dotychczas znajdowane są cegły i kafle, a od rzeczki Puniały, która wpada tu do Niemna, dawał się widzieć wśród urwisk i wąwozów loch przypadkiem odkryty. Wszystko to uważał staruszek za dowód zapadłego tu niegdyś zamku królowej Bony!

Do powyższego opisu zamczyska, to tylko dodać mogę, że na stokach góry zamkowej woda wymywa jeszcze dotąd szczątki poziomo tkwiących dębowych palisad, jakiemi zwykle obwarowywano stare grodziska w Polsce piastowskiej, a jak się z tego pokazuje, to i w Litwie pogańskiej. Siadłszy pod omszałym dębem puńskiego boru na przeciwległym brzegu Niemna, odszkicowałem ołówkiem górę puńską. Promienie zachodzącego słońca oblały potokiem krwawego światła szczyt zamkowego wzgórza, krzyż stojący na wyżynie, wierzchołki gęstej olszyny, leszczyny i berberysu na stokach brzegów, a mrok wieczorny zapadał w wąwozach, parowach i pogrążał zwolna w cieniu całą kotlinę Niemna. Opuszczaliśmy Punie deklamując z »Margiera«:

»Gdzie ty święta przeszłości macierzystej ziemi,
Z twojemi bohatery, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie, jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiej książce, lub na starej cegle,
Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię,
Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza, lub gliny,
Któż zdoła wypowiedzieć los całej krainy?
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto mrok zapadłych czasów odświetli choć trocha?
Chyba serce pobożne, co praojców kocha,
Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
Przy harfie wyciosanej z litewskiego drzewa,

Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
I z gruzów rumowiska skrę życia wykrzesze«. —

Poniżej Puń minęliśmy rapę *Puńczyk* zwaną, dalej w puńskim borze kilka pieców smolarzy i zagrodę leśnika w pięknem samotnem ustroniu. Słońce już zaszło, więc czas było pomyśleć o noclegu. Ponieważ wioski nigdzie nad Niemnem nie było, tylko na lewym brzegu ciemny bór puński, zamierzyliśmy przenocować wśród boru. Nadzieja ukołysania się do snu szumem sędziwych dębów i lip puńskich, choćby nawet z domieszką dalekiego wycia wilków litewskich, przedstawiała nam się uroczo, gdyby nie chmury i błyskawice zapowiadające znowu nocną awanturę. Postanowiliśmy przeto dotrzeć na nocleg do Strażyszek, małej wioseczki w puńskim borze.

Na krawędzi wysokiego brzegu stała duża chata z ceglanym dymnikiem. Od Niemna prowadziła stroma ścieżka do wrót podwórka na którym spotkawszy kilka niewiast przełażących przez płot z warzywnego ogrodu, pozdrowiliśmy je po chrześcijańsku. Odpowiedziały po polsku «Na wieki wieków», ale jako mieszkanki ustronia dalekiego od miast i dworów rozumiały wprawdzie mowę polską, ale władać nią nie umiały. Na wszystkie nasze pytania o nocleg, siano, mleko, wodę, gospodyni domu, dość młoda jeszcze, o płowych włosach kobieta odpowiadała życzliwie: można! można! i wprowadziwszy nas uprzejmie do chaty wysłała inną niewiastę po mężczyzn.

Środek domu zajmowała obszerna, wysoka, chędoga niby sień, niby izba, na podłodze, będąca letniem mieszkaniem rodziny i składem domowym świadczącym o prawdziwej zamożności i skrzętności gospodarza. Leżały tu stosy wałków płótna różnej grubości, samodziału siwego z własnych owiec, i półsukienka tkanego z postawem, czyli osnową lnianą, a wątkiem z wełny. Na grzędach wisiały kożuchy, siermięgi, przyodziewki, paski barwne wełniane domowej roboty, połcie słoniny i t. d. Pod ścianami stały malowane skrzynie pełne chust, bielizny i pościeli. Obok tej sieni idącej na przestrzał domu, w szczycie chaty, były dwie izby (świetlica i alkierz, czyli komora) w których stał wielki piec, piekarnik, i trzan, czyli komin do codziennego ogniska. W pierwszej z tych izb, większej, mieszkał gospodarz Jan Rybiński, w alkierzu zaś parobek jego żonaty Antoni Kupczun. Obadwa mówili płynnie po polsku. Rybiński o zachodzie słońca przyprowadził w jarzmie parę pięknych, gniadych wołów od pracy. Człowiek ten wysoki, smukły, jeszcze przystojny, o płowych włosach, miał na sobie białą koszulę przepasaną barwnym paskiem litewskim i zwyczajem letnim zwieszoną na zewnątrz. Powitał nas badawczo, bez uniżoności, lecz uprzejmie, w wyrazie twarzy jego widniał chłopski rozum z rozwagą. Chciano nam służyć zaraz mlekiem, masłem, serem, jajecznicą i innymi przysmakami, które gospodyni pragnęła zaraz smarzyć na patelni. Powtarzano przysłowie, że z gościem Bóg w dom przybywa, a szczera i przynaglająca gościnność Litwinek nie różniła się niczem od serdecznej gościnności dworków staropolskich i wymownie świadczyła o wspólnym obyczaju dwóch plemion.

Dwie rodziny: gospodarza i jego parobka zasiadły przy wieczerzy do jednej, olbrzymiej misy, przyczem ojcowie pozdejmowali czapki z głowy, przeżegnali się



Góra zamkowa w Puniach.

i trzymali na kolanach rumiane, jasnowłose dzieciaki, wpatrujące się ciekawie w nieznajomych. Kilka kawałków cukru danych przeze mnie drobnej dziatwie wywołało w obu rodzinach wdzięczność i podziękowania, bo jak mówi stare, nasze przysłowie że «dziecko za rękę, matkę za serce«. Po wieczerzy kazano dziatkom udającym się do snu zmówić pacierz najprzód po litewsku, potem po polsku. Niewiasty umiały także pacierz w obu tych językach.

Wielka sień, w której nas przyjmowano i gdzie mieliśmy nocleg, oświetlona była łuczywem, co przypominało mi z Odyssei Homera jak:

. . . . . Telemach z łuczywem odszedł zapalonem
Precz z izby na spoczynek do świetlicy swojej . . . . .

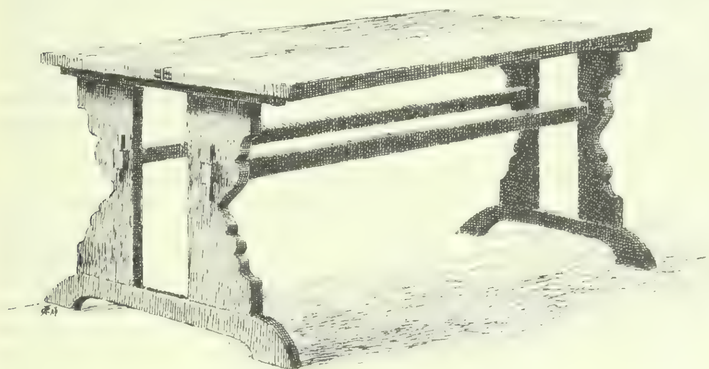
Mnie, rozkoszny, letni wieczór nadniemeński zasnąć nie dawał. Usiadłem więc na wysokim progu domowym we drzwiach otwartych na rzekę i posadziłem przy sobie Rybińskiego. Widok był czarujący. Pogodne niebo z księżycem i gwiazdami odbijało się w płynącym u podnóża naszego Niemnie; wśród uroczystej ciszy dolatywała smętna nuta piosnki litewskiej, a potem nadspodziewanie wesoła melodya krakowiaka i psów dalekie szczekanie, a w nocnym mroku migotały światełka w zaniemeńskich siołach. Na dalekim widnokręgu świeciła krwawa łuna jakiegoś pożaru. Nieszczęście spadło na kogoś, więc wieśniacy przypatrywali się z politowaniem, — a dziatwa, z trwogą.

Rubińscy ani domyślali się jak ścisłej podlegali etnograficznej obserwacyi i indagacyi mojej. Dowiedziałem się od nich, iż lud mniema, że w chwili wsadzania chleba do pieca, siada na przypiecku dyabeł z aniołem i spór wiodą: anioł mówi, że to pierog, a szatan — że chleb. Jeżeli gospodyni zapomni zaznaczyć krzyż na pierwszym bochnie idącym do pieca, to szatan uderza anioła w gębę mówiąc «a widzisz, że to chleb». Inni wierzą, że kto zabije kota, ten ma już na całe życie rękę nieszczęśliwą i do czego się tylko dotknie, to mu się nie wiedzie. Nikt też tutaj nie weźmie na wóz kota, bo lęka się, aby mu konie w drodze nie ustały. Jest jednak na to sposób. Trzeba pierwej położyć na wozie trzy kamyki w trójkąt i biorąc kota na wóz dotknąć go głową do jednego, a nogami do pozostałych. Dziewczyna pragnąca dowiedzieć się z której strony przybędą do niej swaty, w wigilję Nowego roku wychodzi wieczorem za węgieł domu i brzęknąwszy kluczami, nasłuchuje zkąd doleci ją psów szczekanie. Kilka dziewcząt zebranych razem w dniu tym, kładą na ziemi każda gałkę chleba i wpuszczają psa do izby, a w jakim porządku gałki chwytać będzie w takim będą się za mąż wysuwały.

Kształty naczyń i sprzętów domowych mało się tu różnią od podlaskich i mazowieckich. Żarna tylko umieszczone były nie w kadłubie, ale w szerokiej kopani, w której zbiera się umielona mąka. Na zapytania moje jak co nazywa się po litewsku, Rybiński dawał objaśnienia następujące: dom — *namaj, namej, budynkas;* spichlerek — *swirnas;* strona, czyli połowa domu — *perkija;* komora — *kamara;* okno — *akis;* komin — *kaminas* strzecha — *stogas;* belka — *balkis;* podłoga — *grindis;* drzwi — *durjes;* zasuwka drewniana u drzwi

— *sukinie;* stół — *stołas;* stolarz — *stałudajlis;* wiadro — *wiedras;* ława, zydel — *usłanas;* fasa, kłoda — *kubiełas;* skrzynia — *skrynia;* koszyk — *kaszykas:* łóżko — *łażka;* grzędy do wieszania — *szatras;* żarna — *girnos;* koryto — *łowis;* garnuszki — *puediales;* nóż — *pejlis;* łyżka — *szaksztas;* mleko — *pienas;* mleko słodkie — *pienas sałdus;* ser — *suris;* krowa — *karwie, karwe;* kura — *wiszta;* jaja — *kieuszynes,* ryba — *żuwis;* kot — *katinas;* gość — *świaczas;* pan — *ponas;* słoma — *szeudej;* wiosło — *irkłas;* pas, pasek — *juasta;* socha — *arkłas;* grabie — *greblis;* len — *linei;* konopie — *kanapes;* wędka — *mieszkiera;* słońce — *saule;* miesiąc — *menue;* chleb — *duona;* deszcz — *ljetus;* wesele — *wesajłas;* korowaj — *karwojus.*

Rybiński był typem kmiecia litewskiego tych okolic i miał się za rodowitego Litwina, o ile może być mowa o krwi rodowitej w narodzie, który przez dwa wieki



Stół w chacie Rybińskiego.

napadami swymi wyludniał Mazowsze uprowadzając całe masy jeńców i branek do swoich leśnych siedzib, gdzie masy te lechickie wsiąknęły w narodowość miejscową. Raz tylko, z poślubioną Kazimierzowi Aldoną powróciło nad Wisłę, jak zapewniają kronikarze, 24,000 jeńców. Więcej podobnych wypadków dzieje nie przytaczają, wzmiankując tylko o corocznem uprowadzaniu tłumów ludu z nad Wisły wgłąb Litwy. Budrys Mickiewicza, to alegoryczny obraz dwuwiekowych stosunków między Polską piastowską i Litwą bałwochwalczą. Później mieszanie się ludności wszystkich warstw odbywało się ciągle tysiącznymi drogami, tak, że między Wisłą i Dźwiną, niema dziś podobno człowieka, który by w długiej linii zapomnianych wiekami przodków, nie odziedziczył krwi ze wszystkich prowincyj i plemion. Ślad tych odwiecznych stosunków Litwy z Polską i Rusią pozostał bardzo widoczny w obyczaju i języku litewskim, który trzecią część ogólnej liczby wyrazów ma zapożyczonych z polszczyzny.

Pomimo naszych próśb, gospodyni nie chciała dać nam posłania z siana,

gdyż uważała to za ubliżenie dla swego domu i gości, ale zaczęła znosić mnogie pierzyny, poduszki i oblekać w świeże kraciaste powłoki i poszewki. Energiczna jej czynność ta, przypominała mi żywo wiersz Jana Kochanowskiego o gościnności w domu szlacheckim XVI wieku:

»A żona pościel zwłócząc nieboga się krztusi«. —

Czyż dzisiejsze obyczaje domowe ludu nie są tylko echem obyczajów narodowych z wieków ubiegłych? Niebawem na podłodze wielkiej sieni przeraziła nas potężna piramida puchowej pościeli, noc była bowiem gorąca i parna, więc utonięcie w takiem morzu pierzyn, nie mogło być wcale rozkoszą, a było koniecznem ze względu na okazaną nam gościnność. Utonęliśmy tedy z rezygnacyą w puchu, niby dwa kamyki rzucone w grząskie topielisko.

Wstawszy rano, odrysowałem gościnną chatę litewską, jej wnętrze i niektóre sprzęty, a mianowicie stół przy którym przyjmowano nas tak gościnnie. Był to już szósty poranek w naszej podróży po Niemnie, lecz nigdzie nie byliśmy tak życzliwie żegnani jak przez Rybińskiego i żaden nocleg nie pozostawił tak miłego wspomnienia jak w Strażyszkach. Obszedłszy gospodarkę Rybińskiego i obejrzawszy piękny i nawet trochę rasowy jego dobytek *(pulkas)* siedliśmy do czajki odprowadzeni na brzeg rzeki przez całą rodzinę wieśniaczą wśród ciągłych i szczerych życzeń szczęśliwej podróży.

Znowu piękny bór puński towarzyszy nam po lewym brzegu Niemna, a na prawym mijamy położoną w powiecie Trockim wieś kościelną Niemaniuny, dalej Poniemunie, majętność sędziwego ziemianina Bartoszewicza. Podobnych nazw mających związek z Niemnem jest niemało nad brzegami tej rzeki. Jak nad Szeszupą jest Poszeszupie, nad Świętą — Poświęcie, nad Wiryntą — Powiryncie, nad Wisłą — Powiśle, a są Porzecza i Pojezierza, tak nad Niemnem są: Poniemunie, Niemaniuny, Niemonajcie i t. p. Przy *Czaplinej sole* minęliśmy dwa baty, których rozwinięte białe żagle wyglądały zdala, na tle leśnej zieleni jak dwa olbrzymie łabędzie litewskiego Edenu.

W puńskim borze ciągle ta sama drzew rozmaitość. Potężne dęby i klony przypominają dziewicze puszcze dawnej Litwy. Jakaż woń przepełniać musi bór, gdy zakwitną tu lipy miodopłynne. Nie dziw też, że za pogańskiej Litwy kobiety zbierały się na modlitwę pod cienie lip świętych, równie jak mężczyźni pod dęby. Gęste zagajniki, z wielką rozmaitością krzewów leśnych tworzą knieje pełne ptaszęcego świergotu i gniazd nielękliwej, skrzydlatej rzeszy. Z gęstwiny przypatrywałem się scenom z życia tego ptactwa. Np. trzy młode kruki siedząc rzędem na gałęzi, karmione były przez rodziców skorupiakami przynoszonemi z rzeki. Nienasycone napierały się bez końca trzepocząc skrzydłami, rodzice zaś przybywając z pokarmem dawali go łakomym dzieciom kolejno. Druga scena zrobiła na mnie przykre wrażenie. Drapieżny sokół (po litewsku *sakalas*) wypłoszył z lasu małego ptaszka nad Niemen i tu rozpoczął zawzięte na niego polowanie nad samą powierzchnią wody. Przez długą chwilę ptaszek usiłował uciec do lasu, a sokół bardzo zręcznie nie dopuszczał tam biedaka. Kilka razy ptaszek ocalił się przed szponami drapieżnika prześlizgując się tak blizko pomiędzy nim a wodą, że zmaczał

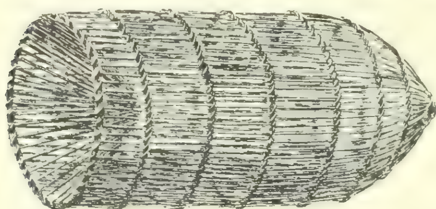
w niej skrzydełka, ale widać ociężał przez to i osłábł ze znużenia, bo przy nowym ataku plusnął w nurt rzeki i zginął tam niepowrotnie.

Poniżej Sipowicz, Niemen robi nagły zakręt, zwany *Czarną buchtą*, a nieco dalej koło leśniczówki, zwanej Podachłe, zwraca się znowu w prawo. Tutaj zatrzymawszy się na krótki posiłek, dowiedzieliśmy się, że bór puński należy do rządowego leśnictwa Staciszek, że ma rozległości włók sto kilkadziesiąt, że strzeże go trzech leśników, że przebywają w nim stale sarny, wilki i lisy, że smolarze wypalają tu smołę i węgle kowalskie. W pobliżu Podachłego żegnając ostatnie lipy »zapuszczańskiego« Edenu, ułamawszy z nich kilka gałązek, umailiśmy niemi naszą łódkę. W miarę jak bór znikał za nami, powracała dawna rozmaitość brzegów nadniemeńskich, stanowiąca zwłaszcza od Merecza wybitny ich charakter. Tu widzisz na stokach doliny ciemny, świerkowy las, lub gaje z dębów, brzóz, sosen, — tam zarosły gęstym olszniakiem wąwóz, z którego wiecznie klekoce mały strumyk, ówdzie jaśnieje kwiecista łączka na stromej pochyłości w wianku berberysów i leszczyny, dalej wydrążone wodą parowy i urwiska, ławy piasku, rozsiane dzikie głazy, stary dąb samotny, sierota po swych rówieśnikach, ogródek ze lnem i kapustą, lub wioska w roskosznej dolinie. O tej rozmaitości pisze Syrokomla rytmem »Flisa« Klonowiczowego:

»Owdzie się Niemen jak modry wąż kręci
Zieloną smugą pól i sianożęci,
Owdzie się bystro wrzezał w bór ponury
        Lub w żebro góry.
Owdzie osłonion wierzbą lub olszniakiem,
Swym staroświeckim przesuwa się szlakiem;
Owdzie gwałtownie nowej drogi pyta,
        Rwie swe koryta.
Albo spotkawszy kamień po swej drodze,
Bije weń piersią i pieni się srodze,
Lub się na piasku, gdy złość przeminęła
        Miękko rozściela.
Na brzegach jego to krzyż z Bożą Męką,
Albo napotkasz kapliczkę maleńką,
Lub cichą wioskę, lub dworek poziomy
        Z dachem ze słomy.
Czasem na górze dziwnego nazwiska
Sterczą starego rudery zamczyska,
Lub stary kurhan, gdzie spią jak na straży
        Rycerze starzy.

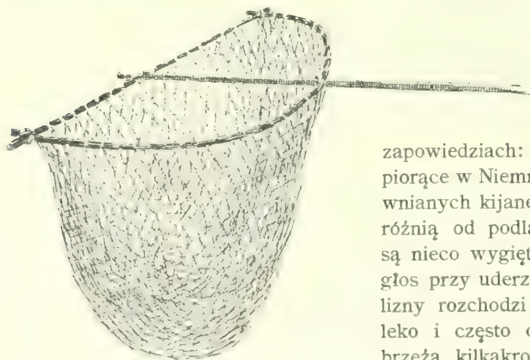
Błądząc po takich wybrzeżach, napotkałem pod wsią Narkunami (niegdyś własności zasłużonego Adama Goltza) ubogie ślady pobytu człowieka, w czasach gdy tenże zajmował się przy każdem swem ognisku obrabianiem narzędzi krzemiennych. O pół mili dalej przy ujściu Pierszajki do Niemna leży miasteczko Bal-

wierzyszki (w gwarze ludowej *Barbieryszki* lub *Bambieryszki).* W lasach tutejszych rosły rzadkie na Litwie cisy, których karłowate krzewy, dotrwały jeszcze naszych czasów wycinane przez lud uważający cis za lekarstwo od wścieklizny. Poniżej Balwierzyszek znajduje się w Niemnie rapa zwana Bambierką lub Bambierem *(bambier,* po litewsku balwierz). Koło wsi Żytowiszek, na stokach lewego brzegu, mijamy piękny, młody lasek świerkowy, krzewami leszczyny podszyty, zwany Użupie (co znaczy po litewsku zarzecze), słynny zdawna mnogością słowików, pewnie jednak nie większą od owej pod Sieniewiczami, przy ujściu Czarnej Hańczy.



Wiersza rybacka.

Lud w tych stronach uprawia dużo lnu i konopi, bo kobiety są pracowite i wyrabiają wiele płótna, które bielą w czerwcu na zielonych brzegach niemnowych. Kobieta pracuje tu więcej od mężczyzny, spełniając nieraz ciężkie roboty, np. młóci zboże cepem, a zawsze podbiera je za kośnikiem. To ważne stanowisko kobiety w gospodarstwie rolnem u Litwinów, sięga niewątpliwie owych czasów, gdy Litwini w wieku XIII i XIV będąc jeszcze narodem żyjącym: z myśliwstwa, rybołóstwa, pasterstwa, pszczelnictwa i łupów wojennych zdobytych na sąsiadach, porywali prawie corocznie z rolniczego Mazowsza tysiące kobiet, które jako służebnice i żony utrzymywały pracą rąk swoich gospodarstwo rolne w leśnych siołach. Panna wychodząca zamąż, zowie się tu dziś na zapowiedziach: *miarga.* Spotykam i dziewki piorące w Niemnie bieliznę za pomocą drewnianych kijanek. Kijanki tutejsze tem się różnią od podlaskich i mazowieckich, że są nieco wygięte i szersze w końcu. Odgłos przy uderzaniu niemi poskręcanej bielizny rozchodzi się nad wodą bardzo daleko i często odbija o przeciwległe wybrzeża kilkakrotnem echem tak, że jedna praczka robi nieraz ciekawe złudzenie kilkunastu. Inne dziewki za pomocą drewnianych warząchwi, czyli łyżek potężnych rzucają wodę z Niemna na rozciągnięte na trawie bielące się płótno.



Czerpak rybacki.

Gdzieindziej spotykamy wiejską dziatwę, która kąpiąc się wyszukuje raki pod kamieniami. Przypomniało mi, to chłopców karpackich, chwytających tak samo pstrągi w potokach. Niemen ku dołowi jest widocznie rybniejszy niż w gub.

Grodzieńskiej, może dla tego, że posiada łożysko w lepszych ziemiach. Spotykamy też częściej rybaków i pod wioskami całe stosy tak zw. *wiersz* »Wiersza« podlaska nad górną Narwią i »*warsza*«, lub także »*wiersza*« litewska, jest to z łozowych prętów rodzaj kosza walcowatego stożkowato *zawierszonego*, mającego w podstawie lejkowaty, do środka wydłużony otwór, przez który wchodzą do wnętrza zwabione przynętą ryby i raki, podobnie jak do siatkowego więcierza. Niewodów *(niawadas)* i więcierzy *(wencieris, winteris)* nie widzimy tu jeszcze. Podobne są tylko do podlaskich kłomli, litewskie *czerpakj*, czyli worki siatkowe na drążku i kabłęku osadzone.

Przy wsi Najdziunach pod brzegiem wychyla się z Niemna wielki głaz zwany, przez oryli od czerwonej barwy, *Czerwienikiem*. W tej okolicy zaczyna się na lewym brzegu puszcza Preńska, niegdyś rozległa i w cenne drzewo bogata. Wypływające z niej strumienie obfitują w pstrągi. Dalej, koło wsi Naraw napotkaliśmy znowu w pięknej miejscowości zdroje mineralne nad Niemnem. Minąwszy rapę zwaną *Cielicami*, zatrzymaliśmy się na odpoczynek i posiłek u krynicy, której zimna, kryształowa woda, małemi wodospadami wśród cienistej puszczy, staczała się w łono wijącego się malowniczo u stóp naszych ojca rzek litewskich. Przy świetle słonecznem, widać było wybornie z góry, na tle złocistego i usłanego żwirem dna rzeki całe stada zwinnych, ostrożnych i bojaźliwych, ale ciekawych rybek, które pierzchały przed rzuconymi do wody kęsami chleba, ale niebawem powróciwszy ostrożnie porywały okruchy i umykały w głębinę. Scena ta została przerwana intnym widokiem z życia rybiego, bardzo smutnym. Niemen unosił na swej powierzchni ryby większe wśród ich śmiertelnych miotań, skutkiem zatrucia przez rybaków. Za nimi podążał na małem czółenku człowiek, ze wzrokiem podobnym do wilka i chciwie zagarniał siatką nieszczęśliwe ofiary swej trucizny.

Nad wieczorem przybyliśmy do Pren, miasteczka większego od wszystkich, między Grodnem i Kownem, położonego w pięknej dolinie, wśród żyznej i malowniczej okolicy. Władysław IV nadał starostwo preńskie, Butlerowi, dworzaninowi brata swego, królewicza Jana Kazimierza, który to Butler, podczas podróży z królewiczem do Hiszpanii, zatrzymany został razem przez podejrzliwy rząd francuski, i uwięziony niegodziwie w zamku Cisteron. Butler po powrocie do Polski, na pamiątkę wspólnej z Janem Kazimierzem niedoli, wystawił w Prenach na podobieństwo zamku Cisteron, gmach obszerny, czołem do Niemna, i otoczył go wielkim sadem owocowym. Od zamku (z którego już tylko gruzy piwnic pozostały) prowadził po drugiej stronie szeroki gościniec do Trok i Wilna. Pod Prenami wpada do Niemna rzeczka Drobinga, obfitująca w pstrągi. Teodor Narbutt powiada, iż w tej okolicy widział uroczysko, zwane *Krono — Kilpinic*, co ma znaczyć łuk Kronu, i uważa to za dowód, że kiedyś Niemen był nazywany przez Litwinów Kronusem. Miałoby to związek z *Chronosem*, nazwą Niemna u dawnych Rzymian, jeżeli istotnie Kronus był nazwą litewską?

Parność, chmura daleka i grzmoty, zapowiadały burzę, ale nie było czasu na wyczekiwanie jej w Prenach. Gdyśmy minęli miasteczko, błyskawice i gromy powtarzały się coraz częściej i bliżej, potem chłodny wiatr zaczął igrać z falami. Postanowiliśmy tedy żeglować na trzy wiosła, aby zdążyć do odległych o ćwierć

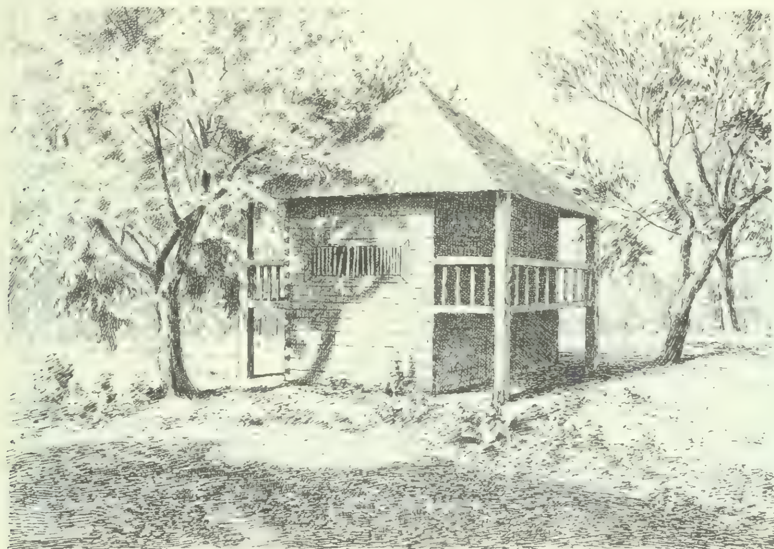
mili Bogran, gdzie znajdowała się karczma w pobliżu rzeki. Niemen coraz bardziej był wzburzony od wiatru, z płowego zmienił się w modry, a fale nie pozwalały nam płynąć środkiem. Wiktor radził zawczasu wylądować, bo dalej mówił, przy stromym brzegu i silnej fali, będzie coraz trudniej. Pragnęliśmy jednak podpłynąć bliżej gospody. Ale od forsownego wiosłowania i walki z wiatrem, upadaliśmy już na siłach, gdy jeszcze na tysiąc kroków przed upatrzonem schroniskiem, doścignęła nas gwałtowna nawałnica. Był to prawdziwy potop, wśród którego straciliśmy z oczu cel naszych marzeń t. j. karczmę w Bogranach. Nareszcie przemokli do nitki, wylądowaliśmy przy stromej ścieżce, która miała zaprowadzić nas pod strzechę. Niestety ścieżka była gliniasta, żłobiasta i przemieniona w mały górski potoczek, tak że wydobycie się z tłómaczkami na wyżynę było zadaniem owego rycerza z bajki, który aby posiąść zaklętą królewnę, musiał wjechać na szklanną górę, gdzie stał jej zamek.

Dla nas zamkiem tym było dzisiaj stare karczmisko, a królewną stara arendarzowa, która wydała się istotnie jakby zaklętą, gdyż od strony Niemna nie znaleźliśmy drzwi do karczmy tylko wysoki płot ogrodu, który należało daleko obchodzić. A że w taką ulewę nie było czasu szukać drogi, schroniliśmy się zatem z naszemi waliskami pod spory okap jakiejś szopy karczemnej, nie przewidując jaka nas spotkać tu może przygoda. Oto, gdy ulewa zdawała się słabnąć, wówczas dokoła nas przybierała woda, płynąca z górzystych pól okolicznych. Gdy spostrzegliśmy, że stoimy na wyspie, cały ogród był już zalany i chcąc się dostać do mieszkań ludzkich należałoby po kolana brodzić przez wodę. Obrawszy pod ścianą miejsce najwyższe, czekaliśmy zlitowania bożego. Powódź wzbierała jeszcze i gdy, dosięgnąwszy stóp naszych, już, już, miała podebrać nasze walizki, które postanowiliśmy ratować, dźwigając w ręku, woda, jakby ulitowawszy się nad nami, zaczęła powoli opadać. Burza ta jednak przeszkodziła nam do zwiedzenia za Bogranami starożytnego grodziska, które przedstawiało się z daleka jako ogromny kopiec, podobny do Pilupu w Rumbowiczach, lub zamkowej góry, pod Gostyninem na Mazowszu.

Niemen płynął teraz znowu spokojnie, tylko był mętny jak kawa, mleczną i żółtawą pianą pokryty. W Rudupiach odrysowałem typowy, staroświecki świron drewniany, o piąterku i dwóch gankach, osadzony dokoła wierzbami. Na nocleg podążyliśmy do Birsztan, przebywszy już w ciągu długich, czerwcowych dni sześciu około 30 mil, krętej, wodnej drogi od Grodna.

Dziwnie odrębną postać od wszystkich innych na świecie, posiadają litewskie uzdrowiska. Pod Birsztanami np. cały rozległy, płaski brzeg Niemna pokryty był płótnem domowem, rozesłanem do bielenia na świerkowych gałązkach, aby się w piasku nie zwalało, przez niewiasty rolniczych mieszczan. Prawie całe miasteczko miało chaty tak zwane *kurne* i dachy słomiane. Przy promie (urządzonym tu jak w Prenach bez liny, a piątym i ostatnim jaki spotkaliśmy między Grodnem i Kownem) zapytaliśmy jakiegoś rosłego i wąsatego mieszczanina o gospodę? Zaprosił nas uprzejmie do siebie i poprowadził przez kilka wysokich płotów, które przełaziliśmy w ślad za nim, aż nareszcie stanęliśmy w głównej ulicy miasteczka, niebrukowanej, i po deszczu podobnej do kanału weneckiego. Gospodarz wprowa-

dził nas do domu drewnianego, niebielonego i pod strzechą, ale porządnego. Dom ten dzielił się na dwie połowy różne od siebie, jak dzień z nocą. Dniem było mieszkanie schludne, z dwóch pokoi złożone, wybielone, ze świeżo umytą, niemalowaną podłogą, oczekujące przybycia gości kąpielowych. Okna były tu duże, meble jesionowe, zwierciadło nad kanapą, łóżka wygodne. Do nocy była podobną lewa strona domu, złożona z wielkiej, *kurnej* izby, z małemi okienkami i ciemnej za nią komory. Na środku tej izby gorzało na trzanie kamiennym ognisko napełniające izbę dymem, który przez otwór w powale dostawał się pod strzechę a stamtąd wychodził na dwór dziurą w szczycie pod stropem.



Stary Swiron w Rudupiach.

Na moje chrześcijańskie pozdrowienie w progu domowym, gospodarz nie odpowiedział »Na wieki wieków«, tylko się skłonił. Przy drzwiach nie było wody święconej, ani na ścianach krzyża lub N. M. P. Ostrobramskiej. Zagadka wyjaśniła się dopiero, gdy kipiący samowar wniosła przysadzista gosposia o kruczych włosach i małych, jak pieprzyki czarnych, tatarskich oczkach. Z typowej, polskiej twarzy ojca rodziny nie odgadłem, że byliśmy w domu litewskich Tatarów, uprzejmych, gościnnych i poczciwych, jak byli oni wszyscy. Przy herbacie dowiedzieliśmy się od gospodarza, że nazywa się Stefan Aleksandrowicz, że jest szlachcicem powiatu Trockiego, z wyznania «muzułmaninem», że ma dom własny w Bir-

sztanach i grunt czynszowy od skarbu, a przytem dobrą strzelbę jako myśliwiec. Dalej opowiadał o liczbie gości kąpielowych, bawiących, lub spodziewanych, głównie z Kowna, Wilna i sąsiednich powiatów, o ordynujących tu lekarzach kowieńskich, traktjerniku i kapeli, to znowu o czynszach i przedsiębiorcach zakładu leczniczego, panach: Bilińskim i Bartoszewiczu. Teraz właśnie krążyły pogłoski, że hr. Józef Tyszkiewicz z Lantwarowa zamierza nabyć od skarbu Birsztany i postawić zakład leczniczy na wysokiej stopie, co dawało mieszkańcom nadzieję lepszej przyszłości. Opowiadał nam jeszcze sympatyczny Tatar o *kiermaszach* okolicznych i sławnym złodzieju w Butrymańcach, który znany całemu Trockiemu powiatowi, stał na czele uorganizowanej bandy koniokradów, i od lat kilkunastu pobierał stały haracz od tych ludzi i wiosek którym dawał zobowiązanie niekradzenia ich koni i bydła. Aż oto niedawno sam zgładzony został tajemniczą ręką prywatnej sprawiedliwości.

Korzystając z wypogodzonego wieczoru, wyszedłem z Gustawem przejść się po miasteczku. Składało się ono z wiejskiej ulicy i placu zarosłego bujnym chwastem. Wszystkie domy rolniczych mieszczan zbudowane były na sposób wyżej opisany t. j. w połowie *kurne*, a w połowie dla gości urządzone. Dwie te połowy przedziela obszerna sień, jak u Rybińskiego w Strażyszkach, zwykle bez powały. Rodzina gospodarza przez cały rok mieszka w izbie kurnej, oświetlonej przez dwa lub trzy czteroszybkowe małe okienka, napełnionej w górze dymem, pod którym kręcą się schyleni zwykle ludzie. Pomimo braku dymnika, pożary od iskier nie bywają częste, bo niema tu przeciągu kominowego. Nawet zamożny mieszczanin uparcie mieszka w dymnej izbie, gdzie, jak powiada Aleksandrowicz, dostatek trzymał się ojców jego, a dym nie dopuszczał zarazy i morowego powietrza. Tradycya takich mieszkań jest odwieczna, a i starożytni grecy musieli mieć podobne, skoro Homer powiada o izbie w zamku Odysseusza, że »oręże rdzewiały w dymie«. Znalazłem jednak w Birsztanach, oprócz kurnych chat mieszczańskich, kilkanaście dworków dla gości z przestronnymi gankami i malowanymi dachy, na wzór druskienickich, t. j. w stylu typowym, staropolskim.

Słono-gorzkie zdroje tutejsze nazywane przez lud *druskupie* (solna rzeczka) bijące na płaszczyźnie, o paręset kroków od Niemna, są podobno silniejsze i obfitsze od druskienickich. W założonym przy tych źródłach ogródku spacerowym, jakiś nieznajomy poczciwy jegomość, zawiązawszy z nami znajomość, nie chciał w żaden sposób uwierzyć, że podróżuję w celach krajoznawczych, naukowych i, że nigdy nie grałem w karty. W wyobrażeniach jego każdy badacz musi być chudym i zawiędłym, w okularach, a każdy starożytnik musi być starym i woniejącym stęchlizną. Ze zaś ja żadnego z tych przymiotów na szczęście jeszcze nie posiadałem, więc nie przypuszczał, aby młody człowiek i kawaler, przybywszy do wód, gdzie bawiło tyle »pięknych panienek« na wydaniu i jeszcze więcej miało zjechać, poszukiwał »człowieka przedhistorycznego«! Nieznajomy wujaszek zaraz chciał mnie zapoznać z pewną mamą, która trzema uroczemi córkami od razu uszczęśliwić mogła trzech zięciów. W pół godziny później, byliśmy już przedmiotem gorączkowej ciekawości całego towarzystwa birsztańskiego, ciekawości niestety tem smutniejszej, że niezaspokojonej.

Nad Birsztanami, położonemi w dolinie Niemna, panują piękne wzgórza i stoki pokryte zaroślami berberysu, leszczyny, olszyny, świerczyny i bluszczów, dające pierwszeństwo w malowniczości położenia Birsztan nad Druskienikami. Krzewy i rośliny posiadają tu niektóre odmiany rzadkie nad Wisłą, a natura ma wiele wdzięku pierwotnego, i na dobrej glebie wiele bujnej, dziewiczej świeżości. Najpiękniejsza z tych miejscowości jest góra zamkowa, stroma, podłużna, zwana *Pillis* (zamek) okrążona cienistym wąwozem, z której odsłania się ładny widok na Birsztany, z ich drewnianym, wiejskim kościołem, na płowy Niemen i bór sosnowy



Widok z góry zamkowej w Birsztanach.

za Niemnem. Na tej górze stał niegdyś zamek, z którego nie zostały żadne ślady, oprócz znajdowanych palisad dębowych w bokach góry. Starzy ludzie prawią tu o lochu podobnym, o jakim Syrokomli opowiadano w Puniach. Od zakładu kąpielowego wązka ścieżka prowadzi na tę górę zamkową, niestety znowu przez cudze ogrody i płoty. Pytałem się o przyczynę tylu tak wysokich płotów w Birsztanach. Odpowiedziano mi, że mieszkańcy zamiłowani są w hodowli trzody chlewnej, ale podług metody przedhistorycznej mają zwyczaj puszczania jej często samopas, żeby żywiła się sama u sąsiadów tem, co zdobędzie. Każdy więc obwarowuje swój ogród wysokim płotem od chlewni swoich kumów i przyjaciół. Na dowód jednak postępu, pokazano mi na drodze do góry zamkowej małe okienko z prze-

łazem w parkanie, przez które goście przechodzą, ale świnki nie potrafią. Ponieważ przechadzało się kilka dam w tym kierunku, byłem więc mocno zaciekawiony, czy panie przebywają to wysokie okienko najprzód głową, czy nóżkami? Ciekawość jednak moja nie została należycie zaspokojoną, bo jakaś korpulentna mama trzech wiotkich córeczek miała duży parasol i tak potrafiła sobą i deszczochronem zasłonić chwilę krytyczną, że niepostrzeżenie panienki wybiegły już na górę zamkową, gdy mama, lękając się widocznie aby nie uwięzła, pozostała sama przed parkanem, oczekując ich powrotu.

Dworzec myśliwski władców Litwy stał podobno w miejscu zwanem teraz przez lud: *Dwaras usskaltur*, co znaczy: dwór zaczarowany. Tu przebywał czasami Witold, także Kazimierz Jagiellończyk z królową Elżbietą i synami Janem Olbrachtem i świętym Kazimierzem (przez zimę r. 1475). W naszych czasach upamiętnił Birsztany swoim pobytem Syrokomla, który część lata w r. 1859 spędził w Druskienikach, a r 1860 w Birsztanach i niejedną chwilę natchnienia w szatę serdecznego słowa tu przyodział.

Po wygodnym noclegu u gościnnych Tatarów litewskich, mieliśmy poranek mglisty i chłodny, podczas którego odrysowałem widok góry zamkowej w Birsztanach z lewego brzegu Niemna. Oryle chcąc dać miarę krętości koryta niemnowego, powiadają, iż po całodziennej żegludze można przybyć, zapalić lulkę u ogniska roznieconego rano, czyli po całodziennem krążeniu rzeką, powrócić do tej samej miejscowości. Podobne opowiadanie musiał już słyszeć Długosz w wieku XV, bo opisując rzeki polskie mówi o Niemnie, jak nasz Wiktor, że nieraz płynący flis, powraca wieczorem do ogniska, które rano był opuścił. Oczywiście nie cały Niemen płynie tak kręto, a właściwie opowieść Długoszowa i gawęda flisa grodzieńskiego, opowiedziana w półpięta wieku później, zbliżone są najwięcej do prawdy w okolicy Puń i Birsztan. Ze Strażyszek bowiem, gdzieśmy wczoraj nocowali, do Birsztan lądem jest mało co więcej nad ćwierć mili, a wodą sześć mil z okładem.

Od Birsztan do ujścia Werszni, ciągnie się na stokach prawego brzegu pasmo pięknych łączek i gajów, a bogaty zielonością jar Warszni tworzy przy jej ujściu malowniczy krajobraz. Połujański wspomina o śladach mostu na Niemnie zbudowanego w tej okolicy przez Szwedów. Ja, na takowe już nie natrafiłem. Za to wynalazłem starożytne przedmioty krzemienne i szczątki współczesnych im glinianych naczyń na dość wyniosłej krawędzi lewego brzegu, o tysiąc kroków poniżej wsi Pacun, w pobliżu drogi, którą, podczas moich poszukiwań, spieszył gromadkami lud okoliczny do Pren na fest (odpust) św. Antoniego Padewskiego, było to bowiem 13 czerwca. Świąteczny ubiór wieśniaczek składał się z ciemno granatowej spódnicy i gorsetu (krojem zupełnie krakowskim) z białego płóciennego rańtucha na ramionach i białej cienkiej chustki zwiniętej rodzajem zawoju na głowie, jak nosiły dawniej mężatki chustki różnobarwne na Podlasiu. Mężczyźni mieli siermięgi z jasno-siwego samodziału, krojem także do świt krakowskich zbliżone, tałdowane na biodrach, bez rozporów, czarnym sznurkiem oszyte. Koszule mieli wyłożone na majtki, jak wszędzie nad Niemnem, tylko nieco dłuższe niż w gub. Grodzieńskiej, przepasane wełnianym, wzorzystym, wązkim paskiem litew-

skim. Wielu miało zawieszone na szyi różańce, a na głowach kapelusze bronzowej barwy, kształtu dawniejszych mazowieckich z pod Warszawy i Ostrołęki.

W pobliżu wodnego młyna i dworku z pięknym sadem (Wiktor nazwał ten folwark Rybickim, od właściciela) spotkaliśmy wiejską dziewczynę, która wybierała z ziemnych gniazd grzebułek ich pisklęta i jaja, składając swoją zdobycz do dzbana. Krzyk rozpaczliwy biednych ptaszyn unoszących się stadem nad jej głową, nie wzruszał twardego serca tępicielki. Zgromiliśmy dziewczynę, więc wstrzymała się od rabunku, ale tylko do czasu naszego oddalenia. Za wsią Kowalkami, jest na



Brzozy w parku Birsztańskim.

prawym brzegu Niemna podłużny nasyp wzniesiony podobno r. 1812 przez Francuzów, którzy przeprawiając się tutaj z Napoleonem, jak mówi ludowe podanie, czapkami jakoby mieli nanosić tę ziemię. Przy tym nasypie jest *binduga* (czyli miejsce wywózki drzewa z lasów do rzeki i spławu), założone stosami dębowej klepki. Dalej mijamy rapę zwaną *Kowalkami*. Główny jej głaz, o który rozbił się nie jeden już statek, zowie się *Kowalem*. Wzgórza prawego brzegu, przy zakręcie niemnowym, zdobi tu piękny bór świerkowy i kilkanaście starożytnych dębów. Na lewym zaś brzegu i nad rzeczką Świętą, szumiały podobno niegdyś święte gaje Litwinów. We wsi Opuszała, położonej niedaleko źródeł tej rzeczki, urodził się

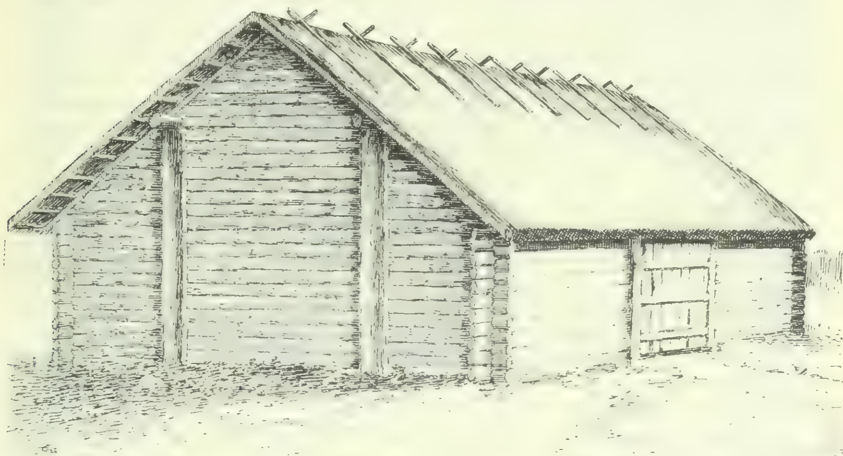
r. 1786 Feliks Bernatowicz, autor Pojaty, najlepszej powieści historycznej swego czasu. O milę na północ Świętej leżały bagna, jakoby dyabłom niegdyś poświęcone, zwane *Welniszker* — grunta dyable. Kolebka Bernatowicza, owiana tylu tradycyami starej Litwy, wykołysać musiała oczywiście twórcę Pojaty, którego portretu poszukujemy dotąd daremnie.

Gleba stron nadniemeńskich, staje się od Merecza coraz lepszą, mianowicie na lewym brzegu Niemna. Gdy od Olity na wschód ciągnie się kraj piaszczysty i ubogi, to na zachód i północ znakomite rodzą się pszenice i począwszy od Bortkuniszek, gleba zaczyna przechodzić w czarnoziem »traktu zapuszczańskiego«. Lud jest tu pracowity, trzeźwy, gospodarny i zamożny. Kmieć często wianuje córkę tysiącami rubli, a syna posyła do szkół w Marjampolu lup Suwałkach i kieruje na księdza w seminaryum sejneńskiem. Nie przeszkadza to, że lud ten trzymając się uporczywie tradycyi zamieszkuje przeważnie chaty *kurne* i pomimo, że przepisy policyjne w Królestwie już od dawna nakazują murowanie dymników, to jednak w dość dużej wsi Poświętupiach, dwa tylko domy znalazłem (1872 r.) z dymnikami. Konie włościan są niewielkie, ale kształtne, przeważnie kasztany i bułane do żmudzkiej rasy zbliżone. Wózków jednokonnych to nie widać, tylko dyszlowe, do których bogatsi zaprzęgają nieraz w święto po trzy i cztery konie. Kto ma jednego, zaprzęga go także nie w hołoble ale przy dyszlu. Do orki używają tu jeszcze sochy, u której na rękojeściach widziałem nasadzone rogi bydlęce. Woły kierowane są nawoływaniem podług ich maści; w pobliżu miasta zastępowane są częściej końmi.

Puszcza preńska, ciągnąca się niegdyś ponad Niemnem ku Kownu, obfitowała w dąb i lipę, a tem samem w dziki i pszczoły. Tak jak w lasach balwierzyskich, rosły w niej także cisy, a pamiątkę po nich stanowi nazwa uroczyska »*cisowe*«. Z kwiatu lip zbierały pszczoły litewskie słynny lipiec, a z dębu wyrabiali bednarze klepkę. Stąd poszły nazwy sioł: Boczkieniki i Boczkienikiele (beczkarze). Boczkienikiele leżą w prześlicznem położeniu nad Niemnem, z pięknym ogrodem na stoku doliny niemnowej, łączącym się z lasem; a liściowe lasy tutejsze, gdzie jeszcze nie są wycięte, wyglądają jak najpiękniejsze parki. We dworze boczkienikielskim, kwaterowali r. 1812 Eugeniusz Beauharnais i Michał Ney i przyglądali się stąd ruchom wojsk na polach Dorsuniszek. W tych Dorsuniszkach istniał niegdyś zamek, zwany przez Krzyżaków *Dirsunen*. Gdy Jagiełło r. 1418 płynął z królową i senatem do Wielony, Witold powitawszy tu świetne grono, miał naradę, po której król odpłynął dalej. Dziś ubogie, rolnicze miasteczko kryte słomą, budowane z okrąglaków. Nawet szczyty stodół stawiane są z kloców kładzionych poziomo pod sam strop.

Dzień był piękny, bibiki napełniały swoim krzykiem powietrze, gdy szliśmy po malowniczem brzegu wysadzaną drzewami drogą z Boczkienikiel do Gogów. Oryle powiadają, że przy uroczysku Gogi, Niemen szczególnie obfituje w pstrągi. Naprzeciw wsi Gogów znajduje się wysepka, a przy niej bardzo niebezpieczna rapa zwana *Gogiem* lub *Gogą*. Nazwy te muszą mieć jakiś związek z powiatowym szczepem ludu litewskiego zwanym *Gogami*, który razem z *Dziukami*, *Słakami*, *Szakami* i *Zanawikami* stanowi litewską ludność «traktu Zapuszczańskiego» t. j. północnej połowy dzisiejszej gubernii Suwalskiej.

Napotykamy teraz stoki doliny Niemna podniesione wysoko. Chciałoby się wchodzić na te wszystkie wzgórza, aby napoić wzrok rozkosznym widokiem, na głęboką dolinę rzeki, ale czasu i nóg na wszystko nie starczy. Chaty wieśniacze tulą się nad Niemnem pod wzgórzami jak małe kurczęta pod kokoszą, lub zasiadają na ich grzbietach. Na brzegach spotykamy niekiedy człowieka, zbierającego w urwiskach stoków kamień wapienny. Wstąpiliśmy do wsi Pilony, mającej obszerne i chędogie domostwa, wśród ogrodów pełnych bujnego warzywa i soczewicy. Gospodą jednak w starej Pilonie, sądząc z pustki, nie opiekował się już litewski bożek jadła *Eżagulis*, ani znana w niej być musiała uroczystość *skierstuwes (kiszkowe)*. Gospodarzem był tylko mazgajowaty, gołowąsy, ale już żonaty i dzietny



Stodoła chłopska w Dorsuniszkach.

arendarz, który nawet dla naszego Wiktora żadnego posiłku do sprzedania nie posiadał, częstując ino wódką i kwaśnem piwem.

Poniżej Pilony znajduje się *Lejbowa soła*, głaz podwodny, nazwany tak od czasu rozbicia się wiciny kupca grodzieńskiego Lejby Łososiańskiego. Przy sole zwanej *Kozak*, Niemen zwraca się nagle na wschód, gdzie w pięknej okolicy rozsiane są na wyżynach zamożne kolonie. Poniżej ujścia Strawy (stanowiącej tu granicę gub. Wileńskiej z Kowieńską) w zacisznem ustroniu, wśród pięknego sadu stał pod słomianym, ale podwójnym, staroświeckim dachem, drewniany dawny dworek z gankiem na słupach i widokiem z ganku na Niemen. Był to jakby rodzony brat owego tak pamiątkowego w Mereczowszczyźnie, którą niedawno w karygodny sposób strwoniono.

Malarzu lub poeto! Jeżeli zechcesz wystawić nasz wiejski, skromny przybytek pracy rolnika, ognisko starych cnót rodzinnych, i zacnej tradycyi obyczaju domo-

wego, to powinieneś, jeżeli dworek stoi jeszcze, odtworzyć wiernie to typowe ustronie. Ale żegnaj miły dworku litewski!... łódkę moją unosi bystry Niemen... już raz ostatni zwróciłem tęskny wzrok ku tobie... już cię nigdy więcej nie zobaczę... a opuszczam nieświadom czyjem gniazdem byłeś lub jesteś!

Mijamy młyn wodny i ujście Strawy, poniżej którego znajdują się soły zwane *Woroniata* — wronięta. Brzeg lewy tu płaski, jak zwykle bywa półwysep kolana rzek niegórskich, za to prawy piętrzy się w gaiki i zarośla, które dla tego, że porastają na urwiskach i stromych stokach nie zostały jeszcze wytrzebione pługiem i motyką. Przed Rumszyszkami zaczął nas prześladować wiatr silny, który pozwalał płynąć tylko przy brzegu, gdzie znowu łódka nasza więzła wśród kamieni. Rumszyszki, małe miasteczko w pow. Kowieńskim, przy ujściu strumyka zwanego Przemianą, leżały niegdyś na szlaku, kędy Krzyżacy przeprawiali się nieraz przez Niemen, gdy uderzali w serce Litwy. Poniżej miasteczka drobny nasz statek miał przebywać słynne *Dyable mosty* na Niemnie.

Gdzie za Rumszyszkami wieś Szylany, tam znajduje się rapa pierwsza, która jako groźny bicz na wiciny i tratwy nazwaną została *Biczeniata* — Biczęta. Ciągną się tutaj na kilkuset krokach ławy podwodnych kamieni, a bystra rzeka bałwani się na nich i burzy. Podług mapy podręcznej, ale szczegółowej koryta niemnowego od Rumszyszek do Kowna, jaką posiadałem, najgłówniejszy z głazów tej rapy zowie się *Spirgus*. Środkiem rzeki jest dość wązka »droga«, którą statki przepływają, nigdy jednak jeden blizko za drugim, ale w znacznem oddaleniu, bo gwałtowny prąd tak szybko je unosi, że gdyby pierwszy napotkał jaką przeszkodę, to drugi mógłby go rozbić. Pod wodę zaś z mniejszem niebezpieczeństwem, ale wielkim oporem, wiciny przeciągane są przez kilkudziesięciu ludzi. Wiktor zalecił nam wysiąść z łódki, którą puściwszy na bystry nurt »drogi« szybko przepłynął Biczęta, gdy my tymczasem na żwirowych wybrzeżach zbieraliśmy skamieliny ze świata paleontologii czwartorzędowej.

Mijamy dalej podwodne głazy: *Matrosz*, *Trębacz i Straż*. O pół mili poniżej Rumszyszek bielą się zdala na wyżynie lewego brzegu liczne mury folwarku Dworaliszek, wprost których jest ów właściwy »*most dyabelski*« będący największą z rap niemnowych, zwaną *Biczami* przez orylów, którzy powtarzają przysłowie:

»Jak wyjdziesz cało z *Goga*,
To chwała Pana Boga,
A jak przejdziesz *Biczeniata i Biczy*,
To hroszy liczy!!!

Czem Charybda na morzu Śródziemnem i niegdyś Bingerloch na Renie (kędy miał pierwszy Karol Wielki przepłynąć), tem na litewskim Niemnie są *Bicze*, po których najniebezpieczniejsze są *Biczęta*, następnie dopiero idzie *Gog*, czwartą jest *Hrymjaczka* w gub. Grodzieńskiej i *Kamok* pod Rumbowiczami.

Już na półtora tysiąca kroków pod *Biczami* usłyszeliśmy szum Niemna, podobny do odgłosu dalekiego wodospadu. Dalej ujrzeliśmy biały, na poprzek rzeki rąbek, którym były fale rozbijające się o ławę podwodnych głazów. Przypomniał

mi się opis Charybdy z z dwunastej pieśni Odyssei w mistrzowkiem tłómaczeniu Siemieńskiego:

»Minąwszy zatem wyspę, ujrzałem w tej chwili,
Jakby dym i wał wielki łamiący się z grzmotem,
Aż z rąk wiosła wypadły ze strachu i potem
Same biły się z falą; a nawa jak wryta
Stanęła« . . . .

Szczęściem naszem Wiktorowi ani wiosło nie wypadło, ani nawa nie stanęła, gdy przepływał *Biczęta*. Postanowiliśmy tedy razem z nim na czajce przepłynąć *Bicze*. Niemen jest tu jakby zagrodzony szeroką, podwodną barykadą, w środku której ścieśniony prąd rzeki wyłamał sobie wrota i toczy się tą drogą, potężnie falując. Była więc tylko obawa, aby czajka przy nizkich bokach swoich nie zaczerpnęła wody tych fal. Oryl prosił nas, abyśmy pozostali nieruchomi i on sam sterował wprawną ręką. W bujnej wyobraźni byliśmy podobni do łupiny orzecha rzuconej na fale potopu. Miałem z sobą Grażynę, a przebycie »Dyabelskiego mostu« tyle nam zajęło czasu, ile przeczytanie ustępu:

»Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma,
Wkoło go mokrem ramieniem obchodzi,
Dnem podkopuje, pierś górą wydyma;
Ten natarczywej broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jej dotąd trzyma,
Ani się zruszy skała w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta«.

Dosłownie biorąc, ustęp powyższy nie maluje ściśle natury »dyabelskiego mostu«. Niema tu bowiem jednej olbrzymiej skały, ale Niemen walczy z całemi ławicami podwodnych głazów. Stara odręczna mapa zaznacza koło Dworaliszek i folwarku Kosobudzkiego, oprócz drugorzędnych, siedmiu wielkich kamieni z nazwami: *Kocioł, Malachowicz, Malachowicy, Dyabelski most* (przy głównych wrotach), *Szklanka, Rusak,* czyli *Gudas* i *Kirda.* W pobliżu zaś cegielni i ujścia strumienia Miltupis znowu dwa: *Biczy* i *Sole,* czyli *Wyspa.* Według baśni ludowej, kamienie te rzucili do Niemna szatani, chcąc na psotę ludziom zatamować rzekę i stąd powstała nazwa »dyabelskiego mostu«. Inne podanie mówi, że gdy dyabeł niósł wielki głaz, aby rozwalić nim klasztor nienawistnych sobie Jezuitów, nagle kur zapiał i szatan upuścił skałę w wodę.

Już za Zygmunta Augusta począł oczyszczać Niemen z głazów Mikołaj Tarło ze Szczekarzewic, chorąży przemyski, a ziemianie litewscy mieli mu wznieść kamienny pomnik za tę zasługę, którą wierszem łacińskim opiewał szlązak Schroether. Stanisław August, zachęcony przez podskarbiego Tyzenhausa, polecił oczyszczenie Niemna Komisyi skarbu litewskiego, która zadanie to poruczyła znakomitemu matematykowi i mechanikowi ex-jezuicie Narwojszowi, proboszczowi grodzieńskiemu

i kanonikowi katedralnemu w Wilnie, gdzie był później profesorem Akademii. Nasadzono więc Jezuitę, aby zniszczył »mosty dyabelskie«, jako biegły w takich praktykach. I rzeczywiście Narwojsz, który przez lat kilka studyował mechanikę w Anglii, Holandyi i Niemczech, pracował z pewnym skutkiem przez trzy lata nad oczyszczeniem Niemna, przy pomocy nurków angielskich, ale największych głazów pod Rumszyszkami usunąć nie zdołał. Skutkiem tego nie stanął tu zamierzony dla niego pomnik z wydobytych skał, z napisem przygotowanym już przez Krasickiego. Później, w latach 1805—1806, tudzież 1820—1825, brano się znowu do oczyszczenia Niemna, ale z niewielkim skutkiem.

Niemen przy najniższym stanie wody, posiada wszędzie obok mielizn dostatecznie głęboką »drogę« dla żeglugi, a na długości mil 40-tu znaleźliśmy tylko jeden bród (niedaleko wsi Słomianki w gubernii Kowieńskiej), gdzie rzeka rozlewa się szeroko i tworzy kilka wysep, a kędy ludzie pieszo przechodzili. Gdyby więc tylko rapy zostały usunięte, to żegluga parowa stałaby się wszędzie możliwą i łatwą. Na przestrzeni od Biczów do wysep pod Słomianką, główniejsze skały podwodne noszą nazwy: *Obelinis, Jaczubieski, Jankowski, Matulis, Owczany* z dziećmi, *Oskierki, Jurewicz, Płaski, Czerwony, Kiełbuzy, Jaglic, Kony* i *Brudacze.*

Słońce już zaszło za bory, gdy minąwszy pod Zegzdrami jeszcze rapę *Bojarkę* i głaz zwany *Skorulskim,* wylądowaliśmy pod piaszczystem wzgórzem, na którem stała karczemka, mająca być siódmym naszym noclegiem w tej podróży. Miejscowość była dziwnie samotna i ponura. Dokoła szumiał ciemny bór, ale nie poważnym szumem starej puszczy, lecz szelestem sosen cmentarnych. Nigdzie światełka, nigdzie człowieka, nigdzie psa nawet nie było, tylko w dali dymiło się z kilku chat małej wioseczki. Na nagiej wydmie stała przed nami otworem ciemna, obdarta, z powybijanemi oknami karczma Łaumiańska. Weszliśmy do niej. Była głucha i pusta. Dopiero po narobieniu hałasu, wynurzyła się z jakiejś komórki, niby duch pokutniczy garbata, stara, kaszląca żydówka, od której dowiedzieliśmy się, że jej syn, arendarz, pojechał gdzieś, bardzo daleko, a ona nie ma nic dla nas do sprzedania. Staruszka badała nas, co jesteśmy za jedni, a przyszedłszy do przekonania, że nie powracamy z kryminału, radziła szepcąc, aby nasze walizki schować pod łóżko w jej izdebce, bo jak mówiła, zachodzą tu czasem »różni ludzie«.

Mieliśmy jednak z sobą trzy dębowe wiosła, jeden rewolwer i trochę junackie serca, więc o chowaniu walizek pod łóżko garbatej staruszki nie było mowy, ale brakło nam mleka i jajek na jajecznicę. Wyprawiliśmy Wiktora na liwerunek do wioseczki, skąd długo nie powracał. Nareszcie wrócił z długim nosem opowiadając, że wszystkie chaty znalazł ciemne i bezludne, dopiero w najdalszej usłyszał śpiewanie. Poszedł więc do niej i zastał tam nieboszczyka na słomie, a nad zmarłym śpiewających pieśni pobożne wieśniaków i zwyczajem starym stół zastawiony obficie wódką, piwem, miodem i nabiałem. Odprawiający tryznę rzekli mu, że na sprzedaż nie mają nic, ale kto głodny, niech z nimi zasiądzie i śpiewa w ciągu nocy, a będzie mógł posilać się ile zechce.

Niestety nie umieliśmy śpiewać litewskich pieśni pogrzebowych i obawialiśmy się o walizki brzemienne zdobyczami mozolnych poszukiwań, wyprawiliśmy tedy Wiktora, aby pośpiewał nad zmarłym, jeżeli potrafi. Największa zaś nadzieja była

w starej żydówce, która poszła z nim razem. Jakoż po pewnym czasie powrócili oboje niosąc garnek mleka i tuzin jajek, za co odrzucono z oburzeniem nasze pieniądze i położono tylko warunek, abyśmy to wszystko spożyli na intencyę nieboszczyka.

Noc czarna jak grzech śmiertelny, dzikość okolicy i pustkowia, świst wiatru w pustym budynku, krzyki sów w powietrzu, oddalenie od rodzinnego ogniska, a nadewszystko obraz nieboszczyka w sąsiedztwie i dolatujący z powiewem wiatru śpiew żałobny — wszystko to składało się na atmosferę posępną i cmentarną. Sen pomimo to mroczył powieki, więc podesławszy sobie burkę na chwiejącym się i skrzypiącym stole karczemnym, wziąwszy wiosło pod pachę, usnąłem z myślą o »chauturach« i »dziadach«, jako zwyczajach płynących z pojęć o życiu zagrobowem u starej Litwy.

Wszedłszy na pagórek, powitałem raz ósmy wschodzące słońce w dolinie Niemna i spojrzałem w stronę Kowna, jak Mojżesz ku ziemi obiecanej. Duch mój nie czuł wprawdzie najmniejszego znużenia, ani znudzenia podróżą, dla której poświęciłbym choćby miesiąc, ale nogi, które większą połowę 40-milowej przestrzeni odbyły pieszo po górzystych i kamienistych wybrzeżach, dopominały się o trochę wywczasu. Ośm najkrótszych, prawie bezsennych nocy i ośm dni upału, dawały się już nieco uczuwać. Twarze nasze i ręce ogorzały jak stary pargamin. Kowna jednak nie było wcale widać, tylko nad dalekim, sosnowym borem lśniła się w blasku słonecznym wspaniała kopuła jakiejś świątyni. Był to dawny kościół w Pożajściu, jeden z najpiękniejszych w byłej Rzeczypospolitej, wzniesiony wielkim kosztem dla Kamedułów r. 1662 przez Krzysztofa Paca, którego rezydencya na przeciwległym brzegu Niemna leżała.

Po parogodzinnej drodze mijamy Pożajście i rapę niemnową *Kamedułkę.* Wiktor zapewnia nas, że jest to 34-ta rapa w Niemnie od Grodna, nie licząc kilkudziesięciu *sól* i *sołek,* a przedostatnia przed Kownem, że od Kowna do morza, Niemen ma podobno już tylko jedną rapę *Kotkę.* Piękna wstęga rzeki wije się nam znowu dzisiaj kręto. Pożajście mamy kilkakrotnie to przed sobą, to za sobą. Mijamy wieś Pietraszuny i znaczne głazy w łożysku Niemna, mające swoje nazwy: *Winda, Gryczany, Lisy* z dziećmi, *Suczka, Petrasz, Koin,* tudzież ujście strumyka *Omolis.* W pobliżu małej wysepki i zakrętu Niemna, linia drogi żelaznej Wierzbołowskiej, idąca z Wilna do Kowna, kryje się w tunel, najdłuższy w Cesarstwie. Górę nad tunelem porasta las z dębów i lip mieszany, a ciągnący się na stokach prawego brzegu w stronę Kowna. Na tej przestrzeni spotykamy głaz zwany *Czartową łaźnią,* a dalej inne granity z nazwami: *Królewska komora* z dziećmi; *Dziacka* z dziećmi, *Szumak; Dynak; Jocz* z dziećmi; *Stożek* i *Słabocki.* Zbytecznem może będzie objaśniać, iż »dziećmi« mianują oryle pomniejsze kamienie, otaczające głaz największy, mający swoją nazwę. O *Czartowej łaźni* krążą te same legendy, co o *Dyabelskim moście,* że szatan niósł te kamienie na zburzenie kościoła w Pożajściu, ale usłyszawszy pianie koguta, upuścił je w Niemen. Inne podanie mówi o Pacu, fundatorze klasztoru, że zdybawszy dyabłów na naradzie, rozpędził ich kijem jarzębinowym.

Na pół mili przed Kownem, w pobliżu ujścia obfitującej w pstrągi rzeczki Jesi, leży miasteczko Poniemuń. Wielki nad Niemnem spichrz zbożowy w Ponie-

muniu przypomina bogactwo gleby okolicznej i rozległy niegdyś handel kupców poniemuńskich. Niemen od Poniemunia do Kowna ma łożysko wolne od głazów i rozlewa się tak n. p. szeroko, jak Wisła pod Nowo-Aleksandryją, tworząc w jednem miejscu wyspę (16-tą napotkaną przez nas od Grodna). Od Poniemunia szliśmy pieszo do Kowna rozkosznemi ścieżynami wzdłuż podnóża wyniosłych stoków doliny Niemnowej, pokrytych przepięknym lasem z bujnych lip, dębów i jesionów złożonym. Od wsi Dziewogoła (po litewsku: początek bóstwa) zaczynały się niegdyś podobno święte gaje bogini miłości Aleksoty, której urocza piękność, podług wiary pogan, nie mogła być wyobrażona w posągu ani malowidle. Cóż dziwnego, że dla takiej bogini poświęcono jedno z najrozkoszniejszych ustroni Litwy? Tutaj, na wyniosłości zwanej niegdyś Praurimie, a dziś Wesoła, podobno obchodzili poganie ucztą i pieśnią owe chautury czyli dziady i tryzny. Tutaj przechodnie rzucali na kurhan gałązki przez rok cały, aby potem przez ogień zapalonego stosu oczyszczały się dusze.

Napawaliśmy się wiosenną jeszcze świeżością przyrody, a przedarłszy się na górę przez bujną i cienistą gęstwinę, pełną świergotu ptasząt, poiliśmy długo wzrok nasz widokiem krajobrazu Niemna. Była to właśnie podług słów Wincentego Pola owa:

...najwdzięczniejsza kowieńska dolina,
W całem dziedzictwie kniazia Gedymina.

A komuż na jej wspomnienie nie przyjdą na myśl słowa Mickiewicza:

»Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawą, kraśnym dzierzga kwiatem —
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie«.

Za Niemnem leżało Kowno, które z wieżami dziesięciu świątyń i malowniczem położeniem miało z oddali pozór wielkiego i porządnego miasta. W przystani kowieńskiej stało na kotwicy kilkadziesiąt pruskich batów o dwóch i trzech masztach, a sześciu lub dziewięciu żaglach. Statki te zbudowane na kształt małych okrętów, pomalowane różnobarwnie, z flagami różnych kolorów na masztach, nadawały przystani widok portu morskiego. Należały one do kupców z Królewca, Tylży i Kłajpedy (Memla), a krążyły tylko do Kowna, powyżej którego żeglują wyłącznie wiciny i baty litewskie odrębnych kształtów. W dniu naszego przybycia odpływało kilka statków pruskich z ładunkiem kości, szmat i pięknej białej pszenicy. Wewnątrz innego statku ze zdjętym dachem zauważyłem zdala tłum obdartych kobiet i mężczyzn, podrygujących wesoło przy okrzykach i śpiewie. Nie umiałem sobie w żaden sposób wytłómaczyć przyczyny tego niezwykłego widowiska. Aż na miejscu objaśniono mnie, że byli to żebracy, najęci za wódkę do udeptywania szmat ładowanych do batu, a wywożonych z Litwy do niemieckich papierni.

Cały Niemen umoszczony był drzewem z Pińszczyzny, które Prypecią, Jasiołdą, kanałem Ogińskiego, Szczarą i Niemnem, płynęło tędy za granicę z wielkim



Starożytny dom z wieku XV w Kownie.

ładunkiem wołyńskiej pszenicy i jęczmienia, a nawet wytłoczyn z olearni. Oryle spławiający to drzewo, zwani tu *pińczukami*, wyglądali tak niechędogo, że można by ich posądzić, że się jeszcze nigdy oko w oko z wodą nie spotkali. Klepka dębowa z gubernii Wileńskiej, Suwalskiej, Kowieńskiej, jest równie jak budulec ważnym przedmiotem wywozu litewskiego, podobno już od czasów, w których Długosz policzył Niemen do rzek spławnych naszego kraju. Za Zygmuntów, opiekujących się troskliwie handlem i dobrobytem litewskim, postanowieni byli w Kownie przysięgli brakarze do szacowania wartości różnych gatunków drzewa i produktów krajowych do Prus spławianych, aby tam powtórnie onych nie szacowano.

Kolchidą dla podlaskich Argonautów stał się dzisiaj w Aleksocie »Zajazd Suwalski«, przed którym nawa nasza dobiła do lądu. Kiedy wysiedliśmy już z czajki, Wiktor podziękował Bogu za szczęśliwą podróż, potem ułamał kęs chleba, posypał go solą i rzucił do wody na znak pożegnania się z Niemnem. Była to jakby cześć oddana rzece rodzinnej, a w rzeczywistości tradycya czci, oddawanej przez dawnych Słowian bóstwu rzeki, która była błogosławioną żywicielką, obroną i szlakiem wędrówek. Teraz przekonałem się, że człowiek przywiązuje się nie tylko do ścian więzienia, wśród których długo mieszkał, do konia na którym długo jeździł, do kubraka w którym chadzał, ale i do kilku desek, na których podróżował. Gdy Wiktor oddalał się na czajce, którą poleciliśmy aby sobie spieniężył, patrzyłem na nią do chwili, aż nie znikła zupełnie z oczu naszych. A i nasz Mazurkiewicz nie był zwyczajnym orylem, ale w niewygodach i przygodach wiernym sługą i życzliwym przyjacielem. Teraz przestał już być naszym sługą, ale pozostał jeszcze przyjacielem. Wybierał się w powrotną, pieszą wędrówkę do rodzinnej Łosośny, obiecując sobie, że po pięciu dniach drogi tam stanie. Żegnał się z nami ze smutkiem i łzami w oczach, bo zapewne żegnał — na zawsze.

· · · ◆ · · ·



W 27 lat później.

(Dzienniczek podróży po Niemnie od Kowna do Jurborga).

Ujście Wilii było kresem mojej wycieczki po Niemnie w r. 1872. Przybyłem wówczas do Kowna małą łódką, a z Kowna powróciłem drogą żelazną, zmuszony do odłożenia na przyszłość dalszej podróży wodnej. Dziś po dwudziestu siedmiu latach (w końcu czerwca 1899 r.) przybyłem do Kowna koleją, aby od ujścia Wilii pożeglować wodą w dół Niemna, mil kilkanaście, ku granicy pruskiej.

Na wstępie spotkała mnie w wagonie drobna, ale nieprzyjemna przygoda. Jakaś pani siedząca naprzeciwko, po wyjeździe z Lantwarowa ku Kownu, zakładając swój parasolik na siatkę, strąciła wiszący przy oknie mój kapelusz, który przez otwarte okno wypadł z wagonu. Biedaczka tak się tem strasznie zakłopotała, że przypuszczam, gdybym zażądał na przeproszenie jej pocałunku, zdecydowałaby się na to niezawodnie. Że jednak dla nas obojga zielona wiosna życia należała już do wspomnień przeszłości, więc nieznajoma pani chciała mi tylko ofiarować swój parasolik za kapelusz. Wolałem wszakże przybyć do Kowna z gołą głową, niż pod damskim parasolikiem w noc ciemną.

Po gościnnym i zachwycająco wygodnym noclegu u pana Norejki i Zana, obsługiwany przez znanego w Kowieńskiej gubernii miniaturowego, poczciwego Józefa, wybrałem się rano na miasto, aby kupić kapelusz i przekonać się potrosze, co się też w Kownie od czasu ostatniej mojej tam bytności zmieniło. Zmiany pozornie znalazłem niezbyt wielkie. Przybyło kilkanaście większych kamienic, parę cerkwi, tramwaje i moda pstrocizny barw na szyldach, tramwajach, a nawet — w katedrze biskupiej. Na ulicach zawsze pełno zgiełkliwych i wciągających za łokcie do swoich kamienic izraelitów, wśród których niespodziewanie spostrzegasz sklep chrześcijański z wędlinami i na szyldzie głowę wieprza, trzymającą w zębach na sznurku szynkę.

Z pośpiechem biegnę do katedry, aby na intencyę szczęśliwej podróży zmówiwszy pacierz w gmachu Witoldowym, przypatrzyć się wiszącemu w prezbite-

ryum od kilku wieków ogromnemu i ciekawemu portretowi wielkiego bohatera Litwy. Gdy byłem w Kownie dawniej, nie miałem z sobą, jak dzisiaj, towarzysza z wybornym aparatem fotograficznym, cieszyłem się zatem teraz, że zdobędę pożądaną fotografię, choćby przyszło ustawiać kamerę na wysokiej drabinie, jak to było przed cudownym obrazem N. M. Panny w Czerwińsku. Nie wątpiłem, że portret Widolda, jako największego z krwi i kości w dziejach średniowiecznych Litwina, a przytem założyciela dyecezyi i katedry żmudzkiej, musi być w szczególniejszej obserwie i okurzony, a może odnowiony (co zresztą nie jest pożądanem), da się tem lepiej odfotografować. Jakież więc było moje zdumienie, gdy na ścianie kościelnej nie znalazłem już ani gwoździa, gdzie wisiał obraz. Zapytałem, co się z nim stało, ale żaden z młodych księży żmudzkich nie umiał mię objaśnić. Nawet o tem, że portret taki był, nie tak dawno jeszcze, ozdobą tej świątyni, nic nie wiedziano. Przypuszczano tylko, że pewnie będzie o tem wiedział jeden z kapłanów starszych, który wyjechał na kilka dni z Kowna. Nie wątpię, że dowiedziałbym się, co zrobiono z tym pamiątkowym portretem, gdybym miał czas na dłuższe poszukiwania. Miałem jednak ten czas tak ograniczony i byłem tak wzruszony tem, że nie znalazłem pamiątki na miejscu, gdzie wieki przewisiała, iż nie mogłem mówić o niej spokojnie.

W lewej, bocznej nawie katedry znajduje się piękny, stary ołtarz, który odfotografowaliśmy. W zakończeniu zaś prawej nawy zbudowano niedawno okazałą kaplicę w stylu gotyckim, na przechowywanie przenajświętszego Sakramentu. Kaplica ta, malowana wewnątrz bardzo jaskrawo, posiada ołtarz snycerską robotą gotycki i malowane na ścianach obrazy świętych w stylu podobnym do bizantyńskiego na tle złoconem. Młody, uprzejmy ksiądz, który mnie oprowadzał, z pewnym rodzajem dumy oświadczył, że ołtarz rzeźbiony był w Szwecyi, a do pomalowania kaplicy sprowadzono artystów aż z Tyrolu! Mój Boże! pomyślałem sobie, że też nie znaleziono już żadnego Litwina w Warszawie, Krakowie lub Wilnie, który i ołtarz wyrzeźbiłby tak samo, a pomalował ściany wprawdzie mniej jaskrawo, ale więcej harmonijnie i zgodnie z poważnym stylem całej świątyni. Widziałem np. u mieszkającego w Warszawie artysty i profesora snycerskich rysunków p. Ignacego Wróblewskiego, Litwina rodem, autora podręcznika dla stolarzy i snycerzy, daleko piękniejsze wzory, niż ołtarz wyrzezany w Szwecyi. Ten brak snycerzy na Litwie przypomniał mi jedną chwilę podziwu, którą miałem niegdyś na Żmudzi. Gdy przed dwudziestu kilku laty byłem w Szawlach na wystawie rolniczej (już nie pamiętam, na której z rzędu, bo było ich tam trzy, a jeździłem na wszystkie i na ostatnią w r. 1879), pokazywano mi wyroby dowodzące niepospolitego talentu snycerza, którym był małoletni syn włościanina żmudzkiego. Nie wątpię, że talent ten musiał zmarnieć i chłopiec nie rzeźbił później ołtarzy, gdy nie posłany nigdzie na naukę, zaprzągł się do pługa i kosy.

Nie mogę tu przemilczeć jeszcze o jednym fakcie, dowodzącym widocznego postępu w Kownie. Oto, gdy przed dwudziestu siedmiu laty, pragnąc mieć fotografie widoków tego miasta i pięknych jego okolic, poszedłem do głównego wówczas zakładu fotograficznego w zamiarze nabycia tychże, dziwiono się bardzo mojemu żądaniu i mierzono wzrokiem od stóp do głowy, jakby chcąc zbadać, ja-

kiego rodzaju mam bzika. Obecnie już wskazano mi zakład fotograficzny pana Zatorskiego, który uzyskawszy sobie od komendanta twierdzy kowieńskiej prawo fotografowania miejscowych widoków, posiada gotowe do zbycia. P. Zatorski, uważając to prawo za swój wyłączny monopol, żalił się przed nami, że jeden z księgarzy miejscowych robi mu konkurencyę, sprzedając otwarte karty pocztowe z widoczkami Kowna, za co ma wytoczyć mu proces. Widok pięknego ratusza i kościoła jezuickiego fotografowaliśmy z okna jakiegoś hotelu, w którym nająłem w tym celu numer. Nie było bowiem czasu na wyjednywanie odpowiedniego pozwolenia u komendanta fortecy, skoro tegoż dnia mieliśmy z Kowna wyruszyć w drogę po Niemnie.

Najęcie lub kupno łodzi i znalezienie przewoźnika do podróży kilkonastomilowej, okazało się rzeczą niemożliwą bez znacznej mitręgi czasu, a oczekiwać w Kownie dni kilka na niepewny rezultat było niepodobieństwem. Postanowiliśmy tedy wyruszyć statkiem parowym, korzystając z tego, że kursowało codzień na przestrzeni między Kownem i Jurborgiem 6 parowców, t. j. po 3 w każdą stronę, w różnych porach dnia. Można więc było zatrzymywać się wszędzie, od jednego statku do drugiego, i robić w tym czasie wycieczki pieszo, końmi lub łódką, którą prawie wszędzie na kilka godzin nająć łatwo. A przytem pan Abdon Zan, współwłaściciel statków parowych zlecił ich administracyi, aby nas w każdym punkcie wysadzano na brzeg i przyjmowano na statek, gdzie sobie tylko będziemy tego życzyli.

Deszcz lał jak z cebra, gdyśmy na ciasnej, brzęczącej, blaszanej, odkrytej jednokonce kowieńskiej, podążali z domu pana Norejki do przystani nad Niemnem. Pokład statku, noszącego mitologiczną nazwę »Perkunas« przedstawiał zgiełkliwe rojowisko ludzkie, w którem panowały na równi cztery odrębne języki: litewski, polski, rosyjski i żargon żydowski. Tłum zwiększał się przez mnóstwo napływających z okolicy Kowna pielgrzymów, którzy udawali się na jutrzejszy odpust św. Jana Chrzciciela do odległych o 2 mile od Kowna Sapieżyszek. Peregrynacya na parowcach tania, służy pobożnemu ludowi tutejszemu do gromadnego udawania się na odpusty do takich miejscowości nadniemeńskich jak: Kowno, Sapieżyszki, Wielona, Błogosławieństwo, Średniki, Giełgudyszki dolne, Jurborg i kilka innych. Wszyscy prawie pielgrzymi mieli przy sobie książki do modlitwy i zawieszone na szyi różańce, zarówno kobiety jak i mężczyźni. Gdy na pokładzie statku i w kajutach obu klas zrobiło się już bardzo ciasno, a kasyer obliczył przypuszczalnie, że liczba podróżnych przewyższyła pół tysiąca, nakazano odjazd. Niespodziewana jednak okoliczność powstrzymała parostatek jeszcze na chwilę. Oto jakiś wąsaty Litwin, prawdopodobnie rzeźnik, albo handlarz nierogacizny, zapragnął jechać razem z kupioną, czy niesprzedaną tuczną świnią. Starozakonny kasyer, nieprzyjaźnie usposobiony dla rasy nierogatej, naznaczył dwukrotnie większą opłatę od towaru, niż od osoby właściciela. Wynikła stąd kłótnia, zakończona jednak szybko wprowadzeniem na pokład czworonożnego pasażera, który o tyle był pokrzywdzonym przez izraelitę, że zapłaciwszy bilet pierwszej klasy, jechał drugą.

Deszcz lał więc i płótno stanowiące dach nad pokładem i ławkami, zaczęło

przeciekać, a woda wielkiemi kroplami kapała na nosy zbitej masy podróżnych. Powstał stąd szmer utyskiwania na niepogodę, a dwóch młodzieńców w mundurach jakiejś specyalnej szkoły uznało w tem przeciekaniu płótna fakt wyzyskiwania ludu przez przedsiębiorców, którzy pobierając po 15 kopijek od osoby za przewiezienie z Kowna do Sapieżyszek (2 mile), powinni byli zabezpieczyć każdego od zmoknięcia. Młodzi filantropi zażądali księgi zażaleń, znajdującej się na każdym parowcu, pewni, że gdy wpiszą swoją skargę, tłum opatrzy ją troskliwie swymi podpisami. Widocznie nie wiedzieli o wstręcie, jaki wogóle lud nasz ma do podpisywania się, o czem dopiero przekonali się, gdy owej skargi nikt nie chciał podpisać W dodatku jakiś stary chłop prawił im, że choćby się cała gubernia podpisała w tej księdze, to będzie płótno przeciekało zawsze, gdy taka jak dziś będzie ulewa.

Wprost Kowna minęliśmy na lewo malowniczą, pokrytą lasem wyżynę Aleksoty, a na prawo ujście Wilii, która przy połączeniu się z Niemnem, nie ustępuje mu szerokością swego koryta. Od ujścia Wilii, do ujścia Niewiaży przeszło mila. Niewiaża stanowiła historyczną granicę pomiędzy właściwą Litwą i Żmudzią, a w szczególności pomiędzy dawnym powiatem Kowieńskim województwa Trockiego i Księstwem Żmudzkiem. Na wyżynie panującej nad Niewiażą bieli się duży kościół z dwoma wieżami w Słomiance pod Czerwonym-dworem Tyszkiewiczów, gdzie kiedyś miał istnieć zamek Krzyżacki. A dalej, na przeciwległem, lewem wybrzeżu, o dwie mile poniżej Kowna, czerwieni się znowu mały, gotycki kościółek, na nizinie nadniemeńskiej w Sapieżyszkach, fundowany przez Pawła Sapiehę, wojewodę nowogródzkiego około roku 1530. Tutaj właśnie, gdy statek nasz zatrzymał się wprost kościółka, wysypała się z niego większa połowa pasażerów, na odpust jutrzejszy przybywających.

Niemen płynący od Kowna w kierunku zachodnim, robi pod Sapieżyszkami zwrot ku północy. Obydwa brzegi jego doliny są tu malownicze, pokryte zielenią drzew i krzewów. Sama dolina może przeciętnie nie stanowi głębszego jaru, jak na przestrzeni od Grodna do Kowna, ale zato jest podwójnie szeroka, i nic dziwnego, bo wyżłobiona przez setki wieków działaniem już nietylko samego Niemna, ale i połączonej z nim Wilii, a dalej Niewiaży i Dubissy. O półtorej mili poniżej Sapieżyszek, pod miasteczkiem Wilkami, Niemen zmienia swój kierunek przeważnie północny, na zupełnie zachodni, którego się trzyma już do samej granicy pruskiej, dziewięć mil od Wilk odległej i dalej w Prusiech. Wilki przedstawiają się ze wszystkich małych miasteczek nad Niemnem najcharakterystyczniej, bo jako amfiteatr starych drewnianych domków na spadzistym stoku wybrzeża niemnowego, coś w rodzaju Wyszogrodu nad Wisłą. Dzieje zapisały, że istniała tu w wieku czternastym mała warownia litewska, pod którą w r. 1384 Jagiełło ze Skirgiełłą znieśli zastęp Krzyżaków. Zygmunt I fundował w Wilkach r. 1542 kościół i nadał miejscowemu plebanowi 50 włók ziemi. Z pokładu naszego parowca odfotografowaliśmy Wilki i wielką, murowaną synagogę nad Niemnem, której ściany tak fatalnie były spękane, iż zdawało się, że runą od krzykliwych modlitw, jakie dolatywały uszu naszych z otwartych okien bożnicy.

O trzy ćwierci mili poniżej Wilk, na lewym brzegu Niemna, leży w pięknem

położeniu wieś kościelna Poniemuń, własność państwa Abdonostwa Zanów. Gościnny gospodarz tej uroczej miejscowości, najmłodszy z synów Tomasza, jechał właśnie parostatkiem razem z nami i zabierał nas do Poniemunia na nocleg. Jest tu zwyczaj, że gdy statek parowy zbliża się do którego z dworów nadniemeńskich, wioząc doń gościa, maszynista daje parą trzykrotny sygnał, a raczej przeraźliwy ryk na wiorstę przed przystanią. Jeżeli się gościa spodziewają, to mają konie gotowe, które pierwej przybywają na wybrzeże, niż statek. Jeżeli się nie spodziewają, to są w każdym razie zawiadomieni, tak, że gość niedługo potrzebuje czekać na konie. Dla odjeżdżających zaś, których uprzejmość obojga gospodarstwa nie zdołała na dłużej zatrzymać pod swym dachem, jest jeszcze inne u państwa Zanostwa udogodnienie. Na wysokiem drzewie w parku znajduje się czatownia, do której wchodzi chłopiec po drabinie i gdy z daleka spostrzeże statek, zawiadamia o tem stangreta, aby miał konie gotowe do odwiezienia gościa na przystań, i ochmichstrzvnię domową (tak na Litwie nazywają klucznice, szafarki), aby zastawiała dla odjeżdżających podróżny posiłek i strzemienne.

Wszystkie większe wsie nad Niemnem sięgają założeniem swojem czasów bardzo dawnych, bo ludność pierwotna najpierw osiadała nad rzekami, gdzie miała z ryb pożywienie, i wodę do użytku, i łatwiejsze łowy na dzikiego zwierza, który do wody pić przychodził. Do takich starożytnych osad należy właśnie Poniemuń, którego przedwiekowi mieszkańcy wybrali sobie właśnie tę miejscowość, aby mieć pod bokiem i Niemen i źródliska i górę stromą. Na niej urządzili sobie warowne dworzyszcze, po którem został pagórek w parku ogrodowym, dotąd noszący nazwę «*pilkalnic*», jak wszystkie w tych stronach miejsca pogańskich warowni, co dosłownie znaczy po polsku sypana-góra, a co Polacy we współczesnej dobie piastowskiej nazywali «gródkiem», od grodzenia ostrokołów. Gdy po wprowadzeniu broni palnej, warownie podobne, z ziemi i drzewa budowane, straciły znaczenie obronne, bogatsi wznosili zamki murowane, a taki właśnie zamek zmurowano i w Poniemuniu. Dobra te zmieniły tylu właścicieli w wieku XVI i XVII, że bez archiwalnych poszukiwań nie umiem powiedzieć na pewno kto był właściwie fundatorem zamku poniemuńskiego. Gmach był wielki, więc mogło stawiać go nawet kilku następujących po sobie dziedziców, a nie przedstawiał osobliwszej struktury, ani zabytków sztuki, aby komu zależało na zbadaniu jego dziejów. Był to pierwotnie wielki kwadrat z obszernym dziedzińcem w środku. Jednej z tych połaci zamczyska niema już zupełnie, druga została odosobniona od reszty i przerobiona na dzisiejszy dwór mieszkalny. W dwóch pozostałych mieszczą się dzisiaj spichrze, składy i mieszkania gospodarskie.

Z Poniemunia robiłem kilka wycieczek po nadniemniu. Jedną na wzgórze piaszczyste, znajdujące się pod wsią Nowosadami, gdzie spodziewałem się znaleźć obfitą w zabytki krzemienne stacyę, a znalazłem w rzeczywistości tylko jeden piękny noż krzemienny i więcej prawie nic. Natomiast pod Kaszelami, w stronę Poniemunia, gdzie przestrzeń wydm piaszczystych na wzgórzu jest stokroć mniejszą niż pod Nowosadami, natrafiłem na bardzo wybitne okrzeski krzemienne, ułamki takichże narzędzi i czerepy z grubych garnków lepionych z gliny mieszanej z tłuczonym granitem, służących starożytnym nie za popielnice, jak w zie

miach lechickich, ale do praktycznych użytków. Trzecia wycieczka z Poniemunia do osady Kruki, położonej wprost Srednik i ujścia Dubissy, nic mi zgoła nie przyniosła, bo nietylko, że żadnych śladów starożytności w Krukach nie znalazłem, ale i znajomego nie zastałem, który tu czasowo przemieszkiwał.. Poprzestać więc musiałem na odfotografowaniu jego mieszkania, które było typem dworku staroświeckiego, w małem, litewskiem miasteczku, a także na zdjęciu z lewego wybrzeża widoku przeciwległych Srednik z górą zamkową. W samym Poniemuniu odfotografowaliśmy dwór i mury zamkowe z kilku stron, rodzinę gospodarza stojącą na werendzie ogrodowej, z której roztacza się rozległy i piękny widok na dolinę Niemna. Wreszcie odfotografowaliśmy tak zwane mogiłki, czyli charakterystyczny, odludny, posępny, nieogrodzony, porosły krzakami karłowatej sosny, cmentarzyk wiejski pod wsią Kaszelami.

Nazajutrz rano statek parowy »Goplana«, nieco mniejszy od »Perkunasa«, unosił nas w miłej atmosferze wspomnień poniemuńskich, do miasteczka Srednik, położonego o milę poniżej Poniemunia, przy ujściu Dubissy do Niemna. W Srednikach, nazywanych inaczej przez Żmudzinów Bissen (od rzeki Dubissy) znajdowała się niegdyś na krawędzi góry nadniemeńskiej stara warownia litewska i krzyżacka, kilkadziesiąt razy przez strony wojujące oblegana, zdobywana, burzona i odbudowywana. Pozostały z niej tylko wały, widoczne z daleka, panujące nad okolicą, nasiąkłe niegdyś obficie krwią Litwy i rycerstwa zachodniej Europy. Mikołaj Sapieha około r. 1634 wystawił tu kościół murowany, który podmyty wodami Niemna, runął r. 1829 wraz z plebanią w dolinę rzeki. To zawalenie się kościoła średnickiego wyprzedziło o lat kilkanaście podobny wypadek na Kołoży, pod Grodnem, gdzie ze starożytnej cerkiewki, zbudowanej na krawędzi wyżyny nadniemeńskiej, obaliła się cała ściana południowa od strony Niemna i połowa frontowej od Zachodu. Wypadki podobne bardzo są ważne przy badaniach fizycznego tworzenia się dolin rzecznych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gmachy powyższe zbudowano pierwotnie na miejscach, gdzie powodzie rzeki nigdy przedtem nie dosięgały. Nie brano tylko w rachubę poszerzania się jarów rzecznych, nawet na tych wysokościach, gdzie powodzie nigdy nie dosięgają, ale skutkiem działania wód deszczowych i wpływów atmosferycznych, chodzenia ludzi i zwierząt, usuwa się powierzchnia stromych stoków i przestaje zabezpieczać dostatecznie fundamenta. W ostatnich czasach słynęły Sredniki już tylko z wyrobu fajeczek (lulek) czeczotkowych, zwanych »Dropiankami«.

Za Srednikami, w stronie zachodniej, widać na górze park z rezydencyą pańską, noszącą nazwę Belweder. Za Krukami minęliśmy miejscowość Żuki, gdzie u podnóża wyżyn w pięknej dolinie leśnej, stoi samotny kościółek drewniany, będący filią parafialnego, zapewnie igłowskiego. Dalej, na krawędzi wyniosłej góry widnieje w wieńcu drzew sędziwych dwór staroświecki, typowy, z wielkim gankiem i oczywiście wspaniałym widokiem na piękną dolinę Niemna. To Igłów, gniazdo rodziny Talko-Hryncewiczów, z których pan Julian, doktor medycyny, uczony, autor, antropolog i archeolog, mieszka w Troickosawsku, we wschodniej Syberyi, na granicy chińskiej, zajmując posadę lekarza kraju Zabałkańskiego. Na widok malowniczego, staroświeckiego ustronia, gdzie dobrych ludzi ciepłem sercem

i szczeremi słowy przyjmują, tworzy się w człowieku jakaś żądza wstąpienia pod dach gościnny i odetchnięcia atmosferą poczciwych serc i umysłów. Gdyby był czas po temu, to niewątpliwie wynieślibyśmy z Igłowa takie same wspomnienia jak z Poniemunia. Przywykłszy jednak do liczenia się z każdą godziną w moich wycieczkach po kraju i do odmawiania sobie wszelkich przyjemności towarzyskich, nie wchodzących ściśle w zakres programu podróży, popłynęliśmy dalej.

Otóż mamy i Wielonę, połowę drogi między Kownem i Prusami, miejscowość niegdyś jedną z głośniejszych w dziejach Litwy. Na górze bieli się zdaleka duży kościół, fundowany przez jednego z Radziwiłłów, w połowie XVII wieku. Przedtem jednak istniał zbudowany na początku XV wieku przez Krzyżaków, panujących wówczas na Żmudzi, kościółek gotycki, z którego stworzono prezbiteryum dzisiejszego kościoła, nie zachowując w budowie jego głównych naw, harmonii stylowej. Pierwotna Wielona miała być jeszcze osadą skandynawską. Później Witenes, na początku XIII wieku, miał tu zbudować twierdzę drewnianą na górze, gdzie znajdował się gaj poświęcony bogini Wielonie. Gaj ten święty musiał być zapewne nie tam, gdzie założono zamek, ale na górze przyległej, gdzie stoi dziś kościół. Kościoły bowiem litewskie w wieku XV i XVI zakładano tu przeważnie w miejscach, gdzie stały drzewa czczone przez pogan. Mówimy tu dlatego o gajach i drzewach, uważanych przez pogan za święte, a nie o ich świątyniach, że nauka posiada dotąd tylko wskazówki i dowody o istnieniu drzew i gajów poświęconych bóstwom litewskim, ale o istnieniu świątyń pogańskich, podobnych, jakie mieli Słowianie nadbałtyccy, nie posiadamy żadnych dowodów.

Zamek Witenesowy stał się kluczem do posiadania ziemi Żmudzkiej. To też przywódca rycerzy niemieckich, Henryk bawarski, założył w pobliżu Wielony twierdzę Bajerburg. Gedymin, dziad Władysława Jagiełły, przy oblężeniu Wielony, bronionej przez Krzyżaków, poległ. Gdzie ciało jego zostało pochowane, jest dotąd zagadką, bo jedna mogiła Gedymina znajduje się pod Wilnem, a drugą pokazuje lud na górze zamkowej w Wielonie. Oczywiście, każdy mieszkaniec Wielony woli, żeby ziemia jego rodzinna, a nie wileńska, miała zaszczyt pokrywania zwłok bohaterskiego władcy, tak samo, jak każdy wileńczyk pragnie mieć Giedymina w mogile wileńskiej. Naszem zdaniem, zwłoki Giedymina spoczywać muszą pod Wilnem. Wielona bowiem była w XIV wieku często wydzierana sobie wzajemnie przez Zakon i Litwę, a więc na takiem pograniczu nie pogrzebanoby władcy kraju, tembardziej, że poganie, wierząc silnie w życie dusz zagrobowe, musieli pragnąć, spokoju dla ducha i mogiły gedyminowej. W r. 1398 Krzyżacy zbudowali w Wielonie twierdzę, którą nazwali Friedeburg i założyli tu w r. 1400 jakby stolicę Żmudzi. Odzyskanie tej krainy dla Litwy uważali już sami władcy litewscy za niemożliwe, gdyby nie nadzieje w sojuszu z Polską, która posiadała rycerstwo najwaleczniejsze w Europie. W latach 1416, 1418 i 1423 odbywały się w Wielonie zjazdy i układy wielkich mistrzów Zakonu z Jagiełłą i Witoldem.

Góra zamkowa, położona w sąsiedztwie kościelnej, włączona dziś jest do ogrodu dworskiego państwa Zaleskich, właścicieli dóbr Wielona. Śladu murów niema na niej żadnych, bo niewątpliwie zamek tutejszy, jak prawie wszystkie ówczesne, był drewniany. Wśród ogrodu, o paręset kroków od grodziska, znajduje

się w pięknem położeniu dwór wieloński, w którym wychowywał się i przemieszkiwał w młodości, znany z podróży i prac swoich w Indyach wschodnich, korespondent Kroniki Rodzinnej, a dygnitarz stolicy apostolskiej, ksiądz Zaleski. Los dziwnie nieraz rzuca ludźmi. Oto np. z dwóch gniazd: Igłowa i Wielony, tylko Niemnem przedzielonych, zabłąkały się litewskie dzieci na kraje świata azyatyckiego, aby pracować dla dobra ludzkości, gdzieś nad Amurem i nad Gangesem.

Kościół w Wielonie znaleźliśmy świeżo odnowiony, na cmentarzu eliptycznym (jak dawne słowiańskie grodziska), porządnie murem obwiedzionym, z plebanią księdza Tumasa, obszerną i schludną. Była to niedziela i właśnie gdy przybyłem do świątyni, wychodził na ambonę dziekan z kazaniem. A że po litewsku umiem mało i z kazania niewiele rozumiałem, użyłem więc godziny całej, przez którą ono trwało, na przypatrywanie się rysom kobiet, mężczyzn i dzieci, i cechom antropologicznym ich oczu, włosów, wzrostu i t. d. I cóż na to powiecie? Cały wygląd tego ludu tak się mało różni od Mazurów z nad Narwi, że gdyby nie kazanie mówione po litewsku, to mógłbym przysiądz, że znajduję się w kościele gdzieś w małem miasteczku, albo na wsi w okolicach Łomży lub Pułtuska. Przyglądałem się drobiazgowo wszystkim szczegółom rysów twarzy przynajmniej u dwustu osób i każda twarz studyowana utwierdzała mię w mojem spostrzeżeniu. Gdyby nawet kroniki średniowieczne nie opisywały, jak Litwa przez dwa wieki wyludniała Mazowsze i ziemię Dobrzyńską ciągłem uprowadzaniem tłumów polskiego, rolniczego ludu do swoich puszcz nadniemeńskich, gdyby nawet wielki poeta w swoich »Trzech Budrysach« nie naszkicował plastycznie głównej charakterystyki ówczesnych stosunków między dwoma narodami z nad Niemna i Wisły, to, sama uderzająca w każdej twarzy tożsamość typów, musiałaby doprowadzić do wniosku, że było jakieś ogólne zmieszanie się krwi, które wytworzyło typ jednolity obu ludów.

Przed samym zachodem słońca przybyliśmy do wsi kościelnej, noszącej nazwę Błogosławieństwo, a będącej własnością pana Strumiłły, jednego z bardziej przedsiębiorczych ziemian litewskich. Właściciel przebywał w innym majątku, więc udałem się pod opiekę uprzejmego administratora w Błogosławieństwie, pana Balukiewicza. Ten oprowadzał mnie po gospodarstwie i malowniczym parku, położonym na stokach wyżyny; pokazywał bardzo ładne konie i bydło; objaśniał o miejscowych stosunkach rolniczych, ekonomicznych i o wielkich serwitutach włościan, obarczających dobra przez niego administrowane. Dowiedziałem się od pana Balukiewicza, iż okolica tutejsza służy niekiedy za miejsce zsyłki dla rodzin sekciarskich, ze środkowych gubernii cesarstwa. Takich rodzin znajduje się obecnie kilka w gminie tutejszej. Wszystkie żyją w nędzy, ponieważ nie chcą korzystać z zarobków rolniczych, które z powodu znacznej emigracyi włościan do Ameryki i z braku rąk do pracy, są tu dość wysokie. Pan Balukiewicz namówił syna jednej z tych rodzin, aby przyjął u niego dość lekki obowiązek furmana. Cała jednak służba tego młodzieńca trwała zaledwie miesiąc, bo słysząc ciągłe ubolewania rodziców, że dziecko ich musi pracować, porzucił wprędce swój obowiązek i wolał z rodzicami przymierać z głodu, byle próżnować.

Jakkolwiek nie byłem nigdy ani gastronomem, ani łakomym, ale przyznaję się, że wśród opowiadań p. Balukiewicza, nader mile i dźwięcznie uderzyły o moje uszy, w drugim pokoju wymówione przez panią Balukiewiczową wyrazy: »A czy kurczęta już na rożnie?« Przy kurczętach, które były wybornie upieczone, toczyła się rozmowa o języku litewskim. Pan Balukiewicz urodzony w powiecie Trockim, mieszkał tam długo w codziennem zetknięciu się z ludem wiejskim, znał więc gruntownie język litewski w p. Trockim, a zamieszkawszy od lat kilku w Błogosławieństwie, poznał go również dobrze i w okolicy tutejszej. Otóż p. Balukiewicz znajdował dość znaczną różnicę w języku ludowym dwóch powyższych okolic. Dom np. w powiecie Trockim zowie się *namas*, a w okolicy Błogosławieństwa *butas*. Pług w p. Trockim *arklas*, a tutaj *żagria;* deska w Trockim *łunta*, tu zaś *lanta;* dach w Trockim *danktis*, tu *stogas;* ręka w Trockim *runka*, tutaj *ranka* i t. d. Język litewski w okolicy Błogosławieństwa nosi na sobie piętno sąsiedzwa niemieckiego, od czego znowu jest wolnym lud trocki. Np. izba zowie się w pow. Trockim *gitncza*, a tutaj *stuba*. Także w wielu razach używana nad Wilią litera ł, zastąpiona została tutaj przez l. Takie wyrazy znane w całej Litwie jak: *greblis* grabie, *łopiata* — łopata, *drabinas* — drabiny, *aszis* — oś, *reszetis* — rzeszoto i t. p. dowodzą, że rolnictwo przyszło na Litwę od Słowian.

Z rolnictwem przyszły i zwyczaje rolnicze z nad Wisły nad Niemen, takie np. jak dożynki, które odbywają się tutaj w podobny sposób jak na Mazowszu. Oto w kancelaryi p. Strumiłły widzimy na ścianie wiszący wieniec dożynkowy, upleciony z kłosów żyta i pszenicy, przewijanych świecidełkami, przyniesiony mu przez żniwiarzy w roku zeszłym i przechowany od tamtej pory we dworze aż do nowego, który mu w tym roku w ostatnim dniu żniwa przyniosą, śpiewając pieśni dożynkowe.

Z Błogosławieństwa robiliśmy wycieczkę do Raudania (inaczej zwanego Rawdaniem lub Rawdanianami), gdzie jak powiadają kronikarze, Krzyżacy dla wzmocnienia swego panowania na prawym brzegu Niemna w ziemi Żmudzkiej zbudowali warowny zamek na górze. Oczywiście nie był to zamek dzisiejszy, którego wspaniała wieża, prawdopodobnie w wieku XVI wzniesiona, panuje nad okolicą, a mury przerobione do niepoznania, lubo w stylu archaicznym, stanowią rezydencyę dóbr teraźniejszego właściciela p. E. Fario de Castro. Z Błogosławieństwa wyjechaliśmy drożyną przez bujne i kwieciste łąki dworskie, które ciągną się szerokim pasem przynajmniej ćwierć mili w dolinę Niemna, pomiędzy wyniosłością lewego jej brzegu a rzeką. Łąki nadniemeńskie, pomiędzy Grodnem i Kownem, napotykane tylko na małych przestrzeniach na pochyłości stoków jaru niemnowego, od Kowna, gdzie dolina rzeki staje się szerszą, ciągną się już w wielu miejscach wązkimi pasami, które od Błogosławieństwa stają się znacznie szersze, a wszędzie są bardzo żyzne, jako podlegające większym powodziom.

Gdy zatrzymaliśmy się na piaszczystym brzegu wprost Raudania, okazało się, że łódka przewoźnicza znajduje się na brzegu raudańskim, ale w miejsce przewoźnika wylazła z jakiejś budki baba i na nasze wołania zaczęła tylko coś mówić i gestykulować rękami, lecz szerokość Niemna nie pozwalała zrozumieć co mówiła. Niewiasta tymczasem niewiedzieć co krzyczała i gestykulowała bez

przerwy, a nie brała się do wiosła, jak to nieraz czynią kobiety nad rzeką wychowane. Była bardzo gadatliwa, bo pomimo, że czekaliśmy cierpliwie, krzyczała przynajmniej pół godziny, zwrócona w naszą stronę, zanim z poza konopi wylazł jakiś niemrawy mężczyzna i drugie pół godziny przygotowywał się do wypłynięcia po nas. Nareszcie przybyła maleńka przeciekająca łódka, do której wsiadłszy, cały kwadrans walczyliśmy ze wzburzonym od silnego wiatru Niemnem, zanim wylądowaliśmy pod parkiem raudańskim. Park ten łączy się z lasem, na stokach doliny ciągnącym się. Wprost olbrzymiej, okrągłej, z blankami wieży zamkowej, jest on przecięty w stronę pięknej rzeki i tutaj od stóp wieży najbardziej malowniczy ukazuje się widok. Do wnętrza zamku nie zachodziliśmy, nie przypuszczając, aby znajdowały się w nim jakie pamiątki krajowe. Właściciela zresztą w domu nie było, a jego zastępca, człowiek niemiejscowy, nie umiałby nas objaśnić w rzeczach przeszłości. Gdyby tak spotkać postać w rodzaju klucznika Horeszkowego w starym zamku, to byłaby chwila rozkoszy, o której i napisaćby coś można i zachować miłe wspomnienie na zawsze, ale tacy klucznicy legli już wszyscy w grobie, a kamerdynerów nigdy nie miałem odwagi zapytywać o tradycye miejscowe. Administratorowi pana E. Fario Castro byłem jednak wdzięczny i za to, że gdy poszedł do niego pan Balukiewicz oznajmić o turystach z aparatem fotograficznym, pozwolił nam na odfotografowanie zamku i na przechadzkę po ogrodzie i parku.

Po wygodnym noclegu w Błogosławieństwie, nakarmieni po staropolsku, pomykaliśmy rączymi gniadoszami przez łany bujnego na sążeń żyta i gęstej jak szczotka pszenicy, na zachód, w stronę Giełgudyszek górnych. Ziemie tu są żyzne, lud zamożny, wsie dobrze zabudowane, mało różniące się ogólnym wyglądem od mazowieckich z nad Narwi. Wszędzie spotykamy fizyognomie wieśniaków i wieśniaczek jakby typowe z nad Narwi lub Wisły. Kości tylko policzkowe na twarzach niektórych osobników zdawały się wypuklejsze niż u Mazurów. Widocznie pokrewieństwo dwóch ludów, to jest mieszanie się krwi dwóch odrębnych plemion było i odwieczne i masowe. Nie idzie zatem, żeby odrębne zamiona psychologiczne Lettów nie miały się przejawiać u ich prawnuków, mających krew zmieszaną z krwią lechicką. Oto np. pociąg do towarzyskiego życia w gromadzie, czyli zamieszkiwania w zwartych wioskach, choćby w warunkach najniedogodniejszych, tak wybitny na Mazowszu, daleko słabszym jest w usposobieniu Litwina. Litwin widząc u Niemców korzyści rolnicze, płynące z podziału na oddzielne kolonie, chętnie ponosi znaczne koszta i trudy, aby tylko ogromadzić w jednym kawałku swoje pole i z gromadnej wioski przenieść na kolonię swój dom, gospodarkę całą i ogród. Powie, kto może, iż dużo tu działa wpływ sąsiedztwa pruskiego. Zapewne, ale komasacyę podobną i to bardzo silną, widziałem także na Litwie, oddalonej od pruskiego sąsiedztwa, np. pod Olitą, gdy tymczasem na Mazowszu wioski położone pomiędzy koloniami niemieckiemi, czują wstręt do przeprowadzenia takowej.

Giełgudyszki są dwojakie: *górne* i *dolne*, na lewym brzegu Niemna, na prawym zaś leży Zamek Giełguda w dobrach Pusłowskich Eleonorowo. Były to niegdyś dobra rodziny Eperjeszów, znanej na Litwie jeszcze za czasów saskich, ale gdy

pod koniec XVII wieku przeszły w posiadanie Giełgudów, lud litewski nazwał je Giełgudyszkami i ta ostatnia nazwa już się ustaliła. Giełgudyszki górne należą do pana Szemiota, którego nie zastaliśmy w domu, a o którym dowiedzieliśmy się, że jednogłośnie został w tym roku wybrany na sędziego gminnego przez lud wiejski. Pan Staciński, ekonom, oprowadził nas po obszernym, górzystym ogrodzie, obfitującym w warzywa i rozmaite drzewa owocowe, wśród którego obejrzeliśmy staroświecki dworzec, murowany, z podwójnym dachem i pięknym widokiem z werendy ogrodowej na Niemen. Widok fotograficzny tego dworca został zdjęty od frontu i dziedzińca.

Słońce paliło żarem, ale czasu do stracenia nie było, więc ruszyliśmy dalej na zachód, lewym brzegiem Niemna, do Giełgudyszek dolnych, o trzy ćwierci mili stąd odległych. Po drodze oglądaliśmy na żyznem pastwisku nadniemieńskiem stado bardzo ładnych krów holenderskich p. Szemiota i byliśmy przy dojeniu ich w polu. Towarzysz mój, chcąc odfotografować to bydełko, potrzebował zmienić klisze i w tym celu zamknął się wraz z kliszami w wielkim, czarnym, nie przepuszczającym ani odrobiny światła, worku, gdzie od czasu do czasu ruchy swej czynności uwydatniał. Przypatrywały się temu bardzo ciekawie dojone krowy, a jeszcze ciekawiej ich pasterz. Pies tylko jego szczekał gniewnie i w pauzach swego szczekania usuwał się wielce niedowierzająco, coraz dalej, od czarnego, ruszającego się worka.

Jadąc dalej, zauważyliśmy w pewnej odległości od naszej drogi wzgórza piaszczyste, na których prawdopodobnie udałoby się wyszukać ślady pobytu człowieka, w czasach starożytnego użytku krzemienia. Minęliśmy odosobnioną chatkę, przy której wieśniak ogradzał płotem z łoziny mały ogródek. Wieśniak nie różnił się wyglądem i ubiorem od Mazura, a płot jego nie przedstawiał żadnej różnicy od płotów mazowieckich i podlaskich, plecionych jakby w bardzo szeroki warkocz na kołkach. Już pod samemi prawie Giełgudyszkami dolnemi, stało przy drodze duże, widocznie do dworu należące, drewniane, bardzo stare domisko, niezamieszkiwane przez ludzi, a będące we wszystkich najdrobniejszych szczegółach swojej budowy, taką typową karczmą mazowiecką, lub »czworakiem« folwarcznym, z nad Narwi, lub Wisły, że obejrzawszy tę, może parowiekową i rozwalającą się już ruderę, uwieczniliśmy ją za pomocą sztuki fotograficznej.

Giełgudyszki przed stu laty, za rządów pruskich, przeszły na własność niemieckiej rodziny, baronów Keidlów. Zaprowadzono tu wówczas wzorowe gospodarstwo rolne, na dwudziestu folwarkach, składających te dobra i leśne, na 300-tu włókach lasu. Powstała także sławna fabryka serów »keidlowskich«, ciesząca się długo największem w kraju powodzeniem, a gdy później nabrały równego rozgłosu inne fabryki serów krajowych (np. ronikierowskie, brochockie), to w Giełgudyszkach rozwinięto znowu największą z prywatnych hodowlę koni. Około roku 1894 Keidlowie sprzedali dobra Giełgudyszki spółce ziemian litewskich za cenę bardzo nizką, bo przenosząca o niewiele po rubli tysiąc włókę. Byłby to istotnie złoty dla nowonabywców interes, gdyby nie serwituty włościan i brak jednomyślności w działaniu wspólników, skutkiem czego sprzedali to złote jabłko z niewielką korzyścią swoją, pani Komarowej, obecnej właścicielce.

Nieco podobny jak w Giełgudyszkach górnych, tylko obszerniejszy i w ładniejszem położeniu, a za to mniej typowy, znajduje się w Giełgudyszkach dolnych dworzec z XVIII-go wieku, murowany, obszerny, na suterenach. Ogród na stokach jaru niemnowego, szumiący starymi, wyniosłymi jak sosny dębami, łączy się z pięknym, leśnym parkiem, w którym poprzecinane są w gwiazdę drogi spacerowe. Mury gospodarskie, spichrze i dziedzińce odpowiadają swym ogromem wielkości dóbr, które po ordynacyi Zamoyskich należą w kraju do kilkunastu największych. Uprzejma administracya dała nam dzielne konie, elegancki wehikuł i pana buchaltera, żeby nam »cyceronował« na prawym brzegu Niemna, gdzie pragnęliśmy zwiedzić »Giełgudowy Zamek« i podążyć tam do przystani zwanej »Borek«, aby wsiąść na parowiec podążający na noc do Jurborga.

Przejechawszy przez park i koło pola bielejącego się bujnym, kwitnącym grochem, wyjechaliśmy na szeroką nizinę niemnową, tak samo jak pod Błogosławieństwem bogatą w żyzne łąki, przez które unoszeni drogą dzielnymi biegunami, stanęliśmy lotem błyskawicy u przewozu naprzeciwko Eleonorowa. Prom w kształcie łodzi, na której ściętych poprzecznie obu końcach znajdowały się na zawiasach burty spuszczane, ułatwiające wjazd i zjazd, był tak mały, że zaledwie pomieścił parę wielkich koni z wehikułem i z nami. Ale za to dwóch przewoźników przy pomocy długich wioseł, któremi w wielu miejscach do żwirowego dna rzeki sięgali, przewiozło nas dość szybko przez Niemen, który w tej miejscowości niewiele ustępuje szerokością Wiśle pod Warszawą. Z Eleonorowa jechaliśmy ponad Niemnem piękną drogą wysadzaną drzewami, wzdłuż podnóża stoków prawego wybrzeża, pokrytych malowniczo liściastą gęstwiną leśną. Droga ta poprowadziła nas potem na górę, gdzie najprzód ukazały nam się mury pogorzałego folwarku i za rzeczką płynącą bystro parowem, na którym musiał istnieć kiedyś most zwodzony, a dziś sterczały resztki załamego, ujrzeliśmy kilkopiętrowe ruiny, niegdyś potężnego zamczyska Giełgudowego. Oczywiście zamek ten starszym jest, niż było władanie Giełgudów w tych dobrach. Musiał być jednak przebudowany przez któregoś Giełguda, skoro ustaliła się przy nim nazwa tego rodu. Dziś składa się z trzech wielkich połaci, klamrę otwartą ku północy tworzących, której najdłuższa, środkowa część zwróconą jest na południe i dolinę Niemna, i w tej mieszkają jeszcze jacyś ludzie. Bok południowy, widocznie niedawno jeszcze zamieszkały, przedstawia dziś zupełną ruinę, zachodni zaś przerobiony został na spichrze zbożowe, co było o tyle dobrą myślą, że przynajmniej nad spichrzem musi być dach naprawiony, ratujący mury od zagłady.

Zamek posiadał cztery baszty na rogach i końcach wielkiego gmachu. Dwie baszty zachodnie są jeszcze w dobrym stanie, okrągłe jak raudańska, ale nieozdobne wysokością jednak wspaniałe, z dachami ostrokręgowymi, na których obie iglice nasadzono koła dla bocianów, które porobiły sobie wspaniałe na nich gniazda i kiedy właśnie fotografowaliśmy obie baszty, na każdem gnieździe stał bocian zadumany na jednej nodze. Były to jedyne zresztą żywe istoty, które spotkaliśmy w tym zamku. Wszędzie porastały chwasty i wiała pustka grobu. Choć widocznie mieszkają tu jeszcze jacyś ludzie, ale nigdzie śladów ich pracy, życia, ich życzliwego pozdrowienia, uśmiechu, opowiadań tradycyi, nawet najpospolitszego ich



Zamek giełgudowski.

zaciekawienia. A jednak ileż tu pomyślnych warunków bytu istnieje dla każdego rozumnego, pracowitego i skrzętnego mieszkańca kraju. Gleba Rosieńskiego powiatu żyzna, komunikacya Niemnem dobra i dróg pełno, położenie malownicze, powietrze najzdrowsze, zieleni obfitość, mury do zamieszkania ogromne, ruczaj z przezroczystą jak kryształ wodą u stóp zamczyska szemrzący, mógłby nawet łatwo potworzyć idealne kaskady, wodotryski, kąpiele i prysznice, a co najważniejsza hodowle łososiopstrągów (salmonoidei), przytem dwa poblizkie handlowe miasteczka jak Juborg i Rosienie. Jednem słowem jest wszystko dla umiejętnych i pracowitych, a jednak jakaż tu wieje wszędzie straszna pustka, z powodu, że właśnie ludzi takich za mało mamy w społeczeństwie.

Rącze bieguny niosły nas szybko do przystani statków parowych, zwanej Borek, od której droga bita stanowi najkrótszą komunikacyę pomiędzy Niemnem i powiatowemi Rosieniami. Jechaliśmy ćwierć mili w gorączkowym niepokoju, czy nie spóźnimy się na statek do Jurborga. I rzeczywiście spóźnilibyśmy się o kwadrans, gdyby nie to, że parostatek, który miał nas zabrać, przywiózł taką ilość towarów z Kowna dla Rosień, a samego piwa bawarskiego z browarów kowieńskich kilkadziesiąt antałków, iż na wyładowanie zmitrężono blizko pół godziny, co uratowało nas od pozostania na noc w Borku.

Dolina Niemna poniżej Giełgudyszek zmienia swój dotychczasowy charakter. Król rzek litewskich wyżłobiwszy sobie jar głęboki i malowniczy w wyżynach ziemi litewskiej i żmudzkiej spływa powoli na płaszczyzny nadbałtyckie. Dolina rzeki się rozszerza, płaskowzgórza obu brzegów obniżają. Na lewym brzegu widać w oddali pagórki i przestrzenie piaszczyste, na których możnaby niewątpliwie znaleźć ślady pobytu mieszkańców tego kraju z doby użytku krzemienia. Sam Jurborg leży na płaszczyźnie z prawej strony. Miał niegdyś zamek przez Krzyżaków zbudowany i był przez nich uważany na równi z Wieloną za klucz i stolicę ich władzy na Żmudzi. Dziś, jako pograniczny, jest pomiędzy Kownem i Tyldą, miasteczkiem największem i najhandlowniejszem, a ruch towarowy pomiędzy Kownem i Jurborgiem jest może główną podstawą bytu ożywionej żeglug i parowej na powyższej przestrzeni.

Kto przybywa Niemnem do Jurborga, spostrzega zdala nie kościół, ukryty za domostwa i drzewa, ale panującą nad dachami miejskimi słynną, starą, drewnianą synagogę. Ponieważ było to jeszcze przed zachodem słońca, więc podążyliśmy niezwłocznie, aby odfotografować ten ciekawy zabytek drewnianego budownictwa z dawnych czasów. Synagogi podobne na Litwie i Rusi miały odrębny swój charakter w ubiegłych wiekach: wysokie, ozdobne, z gankami i podsieniami na słupach wyrzynanych. Dochowało się jeszcze dotąd takich kilkanaście z XVII i XVIII wieku, pomiędzy niemi celniejsze: w Jurborgu, Zabłudowiu, Wołpie, Pohrebyszczach i t. d. Istniały takie bożnice dawniej we wszystkich ludniejszych miasteczkach żydowskich, ale czas i ogień strawił ich setki. Że zaś te, które się dochowały jeszcze, tylko niektóre zostały odfotografowane, byłoby zatem bardzo pożądanem, aby ludzie dobrej woli odrysowali dokładnie lub zdjęli widoki fotograficzne wszystkich, gdziekolwiek znajdują się na Litwie.

Ponieważ jeden z parowców odpływał w górę Niemna przed północą, po

stanowiliśmy zatem powracając do Kowna, spróbować nocnej żeglugi. Przebiegłszy więc tylko wzdłuż i wszerz dość ludne i względnie dość porządne miasteczko, powróciliśmy do przystani. Brzeg Niemna płaski, nagi, piaszczysty, oświetlony był krwawą łuną od słońca, które tylko co zaszło i srebrzystym księżycem, który przybywał, aby przeglądać się w Niemnie i naszej przyświecać podróży. Ścieżką od przystani do miasteczka snuli się żydzi, tragarze z pakami i służba parostatkowa. Na wybrzeżu stała budka z wodą sodową i piernikami, z której pomiędzy doniczkami kwiatów wyglądała czasem jakaś nieszpetna twarzyczka. Befsztyk na parostatku był przesolony, a wieczór letni gorący, poszedłem więc ku owej budce, aby wodą ugasić pragnienie. Pokazało się jednak, że w owym kiosku, nie większym jak dobra szafa gdańska, oprócz nieszpetnej żydóweczki, gościła jeszcze jej otyła mama, liczne rodzeństwo i jakiś przy złotej dewizce młokos, prawdopodobnie narzeczony, a skutkiem tego przez okienko do sprzedawania wody i pierników, buchało powietrze różniące się tak potężnie swoim ciężarem gatunkowym od rozkosznej atmosfery nadniemeńskiej, iż zapomniałem, po co do budki przyszedłem i czemprędzej powróciłem na pokład parostatku.

Do kajuty oświetlonej jedną świeczką przybywali podróżni i układali się do snu na wyściełanych kanapach; ponieważ świeca stojąca na stole w środku kajuty, każdemu świeciła w oczy, a obok niej stało czyjeś pudło z kapeluszem, zasłoniłem więc światło od siebie owem pudłem. Ale przyszedł wkrótce inny pasażer i położywszy się naprzeciwko, przestawił pudło w tym samym celu na swoją stronę. Mając umysł obarczony natłokiem myśli, zasnąć nie mogłem, więc przypatrywałem się, jak podróżni kładąc się do snu lub budząc, poirytowani przestawionem światłem przez innych, zrywali się i mrucząc i złorzecząc pod nosem, znowu świecę zastawiali pudłem każdy od siebie.

Księżyc wzbił się do góry i z lazurem litewskiego nieba, zasianym gwiazdami, odbijał w cichej, błękitnej szybie uśpionego Niemna. Cisza nocy była uroczysta, gdy zaczęto się krzątać, wnosić jeszcze paki z towarami, bagaże i wprowadzać na pokład krowy, pędzone na rzeź do Kowna. Znowu powtórzyła się scena z trzodą chlewną, bo kapitan »Herolda« (tak się nazywał wiozący nas parowiec), był starozakonny i nie chciał mniejszej przyjąć zapłaty od świń niż od pasażera pierwszej klasy. Nareszcie koła zaczęły skrzydłami grzmotać wodę, zwierciadło Niemna rozpadło się za nami na dwoje i Herold, syty ładunkiem wszelkiego rodzaju, odważnie, nocą, podążył do Kowna, prując modrą głębinę z księżycem i gwiazdami.

Przy wszystkich przystankach po drodze zatrzymywaliśmy się chwilę, bo wszędzie, pomimo nocy przybywali podróżni, lub towary. W Giełgudyszkach wtoczono kilka beczek serów szwajcarskich z miejscowej fabryki; w Borku, kopę pustych antałków z Rosień; w Wielonie kilkanaście cieląt kupionych na rzeź do Kowna; w Srednikach całą furę wici brzozowych powiązanych w snopki, do spajania płytów czyli tratew. Gdzieś indziej wsiadło kilkudziesięciu orylów pińskich, w łapciach. Pod Igłowem statek stanął na środku Niemna, gdzie podpłynęła od brzegu ku niemu łódź z jakąś przykrytą beczką, w kształcie wysokiej, szerszej u dołu niż u góry fasy, z 4-ma żelaznemi uchami, za które pochwyciwszy ją

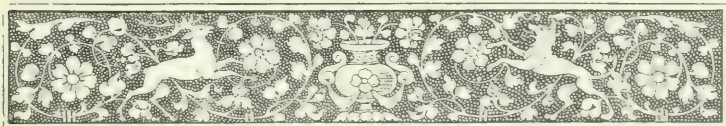
czterej drabi, zręcznie wstawili na pokład parowca. Objaśniono mnie, że to codziennie od dziedziczki Igłowa przewozi się w ten sposób kilkadziesiąt garncy mleka do Poniemunia, gdzie u p. Zana jest centry-fuga, przerabiająca to mleko na masło, jakoż istotnie pod Poniemuniem podpłynęła od lądu łódź miejscowa i fasa szybko znikła z pokładu parowca.

Gdy ranna, różowa zorza zapowiedziała cudny poranek w pięknej dolinie Niemna, pokład Herolda przedstawiał widok bardzo rodzajowy. Pokryty bowiem był całkowicie śpiącymi ludźmi, zwierzętami i różnorodnym bagażem. Oryle leżeli pokotem w różnych kierunkach, pomiędzy faskami z masłem, chrapiąc najsmaczniej. Dla kilku za poduszkę służyła leżąca spokojnie krowa. Gęsi zdawały się być zadowolone z towarzystwa biednych, powiązanych niemiłosiernie cieląt. Świnię ulokowano bezlitośnie przy koszu zamkniętym z jarzynami. Na ławkach kiwały się drzemiące, z pootwieranemi ustami żydówki nic do siebie nie mówiąc. co zapewne rzadko im się przytrafiało. Na Niemnie spotykamy mnóstwo płynących już pływów, czyli tratew, a prawie wszystkie złożone z drzewa świerkowego i kierowane przez poleszuków.

Gdy popołudniu minęliśmy ujście Niewiaży pod Czerwonym-dworem i zbliżali się ku Kownu (płynąc od Poniemunia znowu na Perkunasie), wyszedłem na pomost sternika, aby z wynioślejszego miejsca lepiej przypatrzyć się malowniczym wyżynom Aleksoty. Tu wdawszy się w rozmowę z kierownikiem steru, tak zwanym »matrosem« nie bez podziwu spostrzegłem, że miał na obu rękach wytatuowane wielkie litery początkowe imion: Najświętszej Maryi Panny i Chrystusa wraz z godłami wiary, miłości i nadziei. Wówczas prosiłem go o wyjaśnienie przyczyny tego niezwykłego na skórze ludzkiej piętna, na co mi odpowiedział temi słowy: »Szukając po świecie chleba, zgodziłem się w Rydze na okręt zagraniczny i przez lat czternaście służyłem na morzu, a najwięcej w Indyach i Japonii. Zyjąc wśród pogan, albo ludzi bez żadnej religii, chciałem, aby wiedzieli oni, żem prawy katolik, gotowy umrzeć za swą wiarę i że mojej wiary nigdy się nie zaprę, a w razie śmierci żeby wiedzieli jak i kogo chowają«. To mówiąc, rozpiął koszulę i pokazał mi wytatuowany na piersiach krzyż ogromny, a ja przyglądałem się tym sinym wyrazistym konturom wielkich godeł i wsłuchując się w spokojne, żelaznej siły słowa, nie spostrzegłem się, gdy dłoń moja gorączkowo ściskała grubą, czarną, spracowaną dłoń żmudzkiego żeglarza.

Dalej opowiadał mi, jak się nauczył tatuować. Ze do tego brał 5 albo 6 cienkich igieł związanych w pęczek i nakalał niemi silnie skórę podług narysowanych na niej linii, a potem napuszczał tuszem chińskim, który wsiąkając, dozgonną siność w skórze pozostawia. Po latach kilkunastu, Gustaw Gużewicz, dziecko żmudzkiego i szlacheckiego zaścianku, zatęsknił do ziemi rodzinnej i powrócił z Oceanu Spokojnego nad Niemen, aby położyć kości swoje w świętej ziemi rodzinnej. A tymczasem dla chleba sterował na Perkunasie.

WISŁA



Do Wisły.

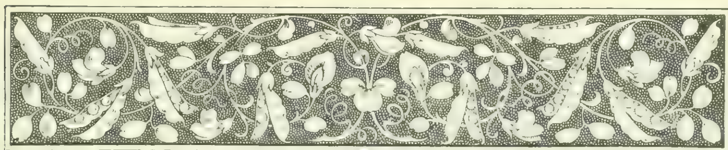
Na powierzchni twej przezroczej
Jaskółeczka skrzydła moczy,
A w noc białą topielice,
Przeglądają zziębłe lice,
Przecierają ciemne oczy
Przez które się piasek toczy,
  Wisło! moja Wisło!

Na twym brzegu dziewczę młode,
Mąci nóżką czystą wodę,
Czapla stara patrzy zdradnie,
Jak prędko jej rybka wpadnie,
  Wisło! moja Wisło!

Kiedy znikną lody, śniegi,
Niesiesz pełne w świat komiegi,
Gdzie zamorskie żywisz Niemce,
Żywisz Niemce cudzoziemce,
  Wisło! moja Wisło!

Na dnie twojem co nie leży?
Krom czerwonej czerskiej wieży;
W całych zbrojach leżą Szwedy
Potopione Bóg wie kiedy,
  Wisło! moja Wisło!

Lenartowicz.



Było to dnia 25 września 1875 r. o świcie, na piaszczystym brzegu Wisły pod Solcem, skąd zwykle wesołe warszawianki przeprawiają się na Saską Kępę dla użycia: karuzeli, zsiadłego mleka, kurcząt pieczonych i tym podobnych rozkoszy ziemskich.

Byliśmy wszyscy gotowi do podróży; a mianowicie: byłem ja, pan Jan Konopacki młody malarz, przewoźnik Antoni Baliński właściciel łódki i jego pomocnik, stary flis którego Baliński »stryjkiem« nazywa. U brzegu stoją pozamykane na kłódki u palików łódki w liczbie kilkunastu, służące do przewozu gości warszawskich na Saską Kępę. Każda z nich ma swoje nazwisko na boku wymalowana. Jest więc: Twardowski, Salamoński, Piękna Helena i. t. d. Nasza to jest Balińskiego łódka, zowie się *Halka*, posiada maszt wprawdzie nie wiele większy od kija dobrej miotły i żagiel zrobiony prawdopodobnie z prześcieradła. Na żaglu tem wymalowana jest »Halka« w postaci mazowieckiej dziewoi w granatowym gorsecie, nie zalecająca się tyle wdziękiem oblicza, ile imponującą tuszą Flory.

Nikt nas na wybrzeżu nie żegnał, słońce bowiem dopiero swój złoty rąbek wychylało z za wilanowskich lasów a porządni warszawiacy latem o wschodzie słońca spać się kładą. Każdy więc z nas tylko przeżegnał się na drogę, powierzając los podróży Panu Bogu i płowym falom królowej rzek naszych, poczem ze śpiewem z »Flisaków,« odbiliśmy od lądu.

Gdy Halka wypłynęła na środek Wisły a oczom naszym przedstawiła się cała długość Warszawy w oświetleniu słonecznem, miejsce pieśni, zajęła deklamacya, bo komuż w tej chwili nie przyszły by na usta słowa Lenartowiczego wiersza »Matko moja! Matko!«:

Miasto moje rodzone, tyś nad Wisły brzegi
Rozniosło domki swoje rybackie szeroko,
Co jak dzieci wybiegły patrzeć na komiegi,
Jak śmiało przecinają Wisłę modrooką.
A twój zamek poważnie przez wyniosłe drzewa
Ojcowskimi oczyma ze wzgórza migoce,

A twych dzwonów litania falą się rozlewa;
Pomnęż ja twoje ciepłe nadwiślańskie noce,
I te orylów głosy z daleka od Saskiej
Dolatujące słuchu i te wioseł pluski,
Kędy wietrzyk na falach drobne zbiera łuski,
A na nich gwiazd miliony drżą srebrnymi blaski.

Ileż razy z daleka od pałaców gwaru,
Patrzałem upojony siłą twego czaru,
Wisło rodzinna wodo, jak na twym przestworze
To sieć rybacka duma, to ognisko gorze,
Gdzie moknie drzew spojonych długa giętka tratwa
Na której słomą kryta pochyla się budka,
A na wicinach lega małodbała dziatwa
O wygodę noclężną, gdy noc letnia krótka,
Więc i skrzypek przygrywa aż gwiazdy pobledzą
Pierwsze promienie światu — ciągnie się dym szary,
A owi niby dęby zadumane siedzą,
A tu już proporczyki wiewają galary,
Już rybitwa skrzydłami drobne fale muszcze.
. . . .
Miasto moje rodzinne, tobie ja z oddali
Posyłam pozdrowienie: Witaj matko stara,
Co dzień tobie śpiewają, aniołowie biali,
Których ta zawsze pełna Nadwiślańska fara,
I na twój rynek lecą ich godzinek słowa,
W serce dobrego ludu, co rześki i gwarny
. . . .
Warszawo! matko moja, ty matko ludowa!
Ruchoma a wciąż jedna jak wiślane łoże,
Pozdrawiam cię z oddali: Matko szczęść ci Boże!

Powiśle miasta przedstawia się biednie. Można mieć dopiero nadzieję, że w przyszłości, wielki gród pozyska bulwary, które mu się należą. Gdzieindziej w miastach nadbrzeżnych ruch publicznyześrodkowuje się nad wodą. U nas przeciwnie, jak u prawdziwych Polan, nawet zgiełk mieszczański uciekł od Wisły w pola. Zato malowniczy sprawia widok miasto na wyżynie, owe wychylające się z zieleni stoków płaskowzgórza warszawskiego gmachy: Trynitarzy, Foksalu, Konserwatoryum na podstawie starego kasztelu, Denasów, Sewerynowa, Uniwersytetu, Wizytek, pałacu Koniecpolskich i Radziwiłłów, czyli namiestnikowski, kościoły: Karmelitów i Bernardynów (fundowany przez dwie Anny: mazowiecką i Jagiellonkę) wreszcie b. zamek królewski, z przytulonym do stóp jego pałacykiem »Pod blachą«. Do b. zamku przytyka bezpośrednio Stare Miasto, jak mrowisko wązkich, wysokich kamienic, które tak się zacisnęły i skupiły tu dla tego, że się nie mogły rozszerzyć

w ciasnym pierścieniu murów i baszt obwodowych grodu będącego jak każde dawne miasto twierdzą obronną.

Gdy rzuciłem okiem na starą Warszawę, myśl moja pobiegła w daleką przeszłość, w owe czasy Bolesławów i Ziemowitów, kiedy w miejscu gwarnego i zgiełkliwego dzisiejszego miasta leżała cicha pod słomianemi strzechy wieś mazowiecka Warsowa. Tak ją pierwotnie nazwano od imienia Warcisław, czyli w skróceniu potocznem Warcisz i Warsz (Warcis, Wars). Wieś którą założył, lub w której mieszkał jakiś pierwotny Warsz, nie mogła się inaczej nazywać jak Warsową a później Warszawą, gdy w późniejszym sposobie mówienia klas wyższych brzmienie *o* przemieniło się w wielu wyrazach na otwarte *a*. Lud tylko mazowiecki w gwarze swojej wymawia jeszcze dotąd, tak jak wymawiał za Piastów: Warsowa a nie Warszawa[1]).

W czasach gdy miasta w innych dzielnicach Polski piastowskiej niemczały wskutek napływu rzemieślników i kupców niemieckich, to mazowieckie jako rolnicze i od granic niemczyzny najdalsze, najwięcej zachowały w sobie typu i obyczaju narodowego. Objawiało się to w zachowaniu starodawnych zwyczajów polskich, takich n. p. jak obchodzenie sobótek świętojańskich i puszczanie wianków przez dziewice na nurty rzek gwoli wróżbom zamążpójścia. Gdy zniemczone mieszczaństwo krakowskie i poznańskie, zwyczajów tych zaniechało, to u warszawian nie poszły one nigdy w zapomnienie. Nie mamy wprawdzie wiadomości o ile lud warszawski w obchodzie wianków korzystał z mostu Zygmunta Augusta, istniejącego wprost ulicy Mostowej przez ostatnie lat trzydzieści wieku XVI-go, ale za to żywe są tradycye z czasów późniejszych mostów łyżwowych w prost ulicy Bednarskiej istniejących.

Kajetan Jaksa Marcinkowski, wierszopis piszący niestety bez talentu, w poemacie swoim »Rzeki polskie« w roku 1821 tak mówi o »wiankach warszawskich«.

Lud polski czci z zapałem narodowe święta,
Przez nie zwyczaje przodków wdzięczny wnuk pamięta,
Pod Warszawą nad brzegiem naszej pięknej rzeki
Jest święto sięgające bałwochwalskie wieki;
Uroczystość tę widzim na początku lata.
Tysiące krasnych dziewic świeże wianki splata,
Każda spieszy do brzegu w towarzyszek gronie,
Rzuca wieniec, ten spływa, a ten zwolna tonie,
Twarz bladnieje za każdem poruszeniem wody,
Drży niepewność, nadzieja krasi znów jagody i t. d.

Co w tym opisie było pocieszne, to że zdawało się autorowi iż będzie nieprzyzwoitem nadmienić choć jednem słówkiem o gonitwach młodzieńców za wiankami. A to właśnie stanowiło charakterystykę odwiecznego zwyczaju dziewcząt

[1]) Od imienia Włościsława czyli Włosta lub Włoszcza poszła Włoszczowa, od Częstosława czyli Częstocha Częstochowa i. t. p.

polskich, mającego swój początek w kulcie pogańskim porywania dziewic na małżonki, co potem zakazywał Kazimierz Wielki Statutem Wiślickim.

Że zaś to upędzanie się za wieńcami stanowiło istotę wróżby także i za czasów Marcinkowskiego, najlepszym tego dowodem jest współczesny Kuryer Warszawski, który w numerze z d. 24 czerwca 1821 r. tak pisze:

»Wczorajszego wieczoru, znaczna część mieszkańców stolicy rozmaitych stanów, udała się nad Wisłę dla przypatrywania się corocznie w wigilię świętego Jana puszczaniu dziewiczych wianków na bieżącą wodę. Zwyczaj ten narodowy zwany Sobótki, trwa jeszcze od czasów pogańskich, a gdy tyle obrzędów dawnych czas zniszczył, lub zmienił, dziewczęta sobótki troskliwie zachowują aż do dni naszych. Nadbrzeża Wisły były okryte mnóstwem ciekawych, a na całym moście tyle się znajdowało gości iż natłok i widok stał się podobnym ostatniej zapustnej reducie. Około godziny ósmej ciężko się było dotłoczyć do kupienia blaszki mostowej. Najwięcej wianków puszczono między godziną ósmą a dziewiątą, lecz wróżba dla panien w tym roku wypadła nie najpomyślniejsza, bo prawie wszystkie wianki zostały na wodzie złapane przez chłopców niedorosłych a młodzieńcom mimo ich gorących chęci i zręczności, nie udawał się tak szczęśliwy połów. Takie zdarzenie podług dawnej tradycyi dowodzi, iż dziewice w tym dniu badające wyroków, zostaną staremi pannami«.

Tenże kuryerek z d. 24 czerwca (1822 r.) takie składa sprawozdanie o uroczystości dnia poprzedniego: »Pławienie wianków przez dziewice jako zwyczaj starożytny, w wigilię świętego Jana, odbywało się w tym roku aż przez dwa dni, gdyż niektóre mniemały, że wigilja ta nie może być obchodzona w Niedzielę. Znaczna część panien tym sposobem onegdaj (w sobotę) badała przyszłe losy i w ogólności w sobotę wianki bardzo pomyślnie dla małżeństw wyrokowały. Wczoraj zaś niezmierna ilość ciekawych otoczyła brzegi Wisły i cały most napełniony był publicznością wszelkiego stanu, lecz nierównie mniej puszczano wianków, a i te nie obiecywały dobrych mężów i rychłego zamęzcia«.

Kuryer z d. 24 czerwca 1823 r. twierdzi, że od godziny szóstej do dziesiątej wieczorem czwarta część ludności Warszawy (czyli około 40000 znajdowała się na moście i nad brzegami Wisły: «Publiczność była w dobrym humorze a w ogólności panny tego roku z szczęśliwie rzucanych wianków pomyślniejszą wróżyły przyszłość niż w roku przeszłym. Kilka zdarzeń, jak zapewnia brukowy sprawozdawca Kuryera — było przytem szczególniejszych. Młody kominiarczyk, przypatrujący się pięknym panienkom, tak został ujęty wdziękiem jednej, iż rzucony przez nią różany wianek, usiłując złapać koniecznie, przechylił się z łyżwy mostowej i wpadł do Wisły, ale go natychmiast wcale nie strwożonego wydobyto. Dwie odniósł przytem korzyści, bo i wieniec schwytał i opłukał się mimowolnie. Jedna panna ledwie nie zemdlała z rozpaczy, że rzucony przez nią wieniec, nie mógł być ujęty przez zręcznych kawalerów, tylko pudel przywykły do aportowania wskoczył w wodę i uchwyciwszy wianek przyniósł go na brzeg. Uspokoiła się jednak właścicielka wianka, gdy ją przekonywano, że pies jest godłem wierności i że to zdarzenie wróży najszczęśliwsze powodzenie».

Teraz żegnaj nam kochany grodzie syreni ze swemi wieżycami! Wprawdzie

nie mogłem naliczyć ich »tysiąc« nawet włączając kominy fabryczne na Solcu, jak to udało się opisującemu już przed pół wiekiem »brzegi Wisły« panu Flattowi, ale mam nadzieję że za lat sto naliczy cały tysiąc może który z moich prawnuków. Dzień jesienny mamy piękny, słoneczny ale wietrzny. Prawdziwie to polska jesień, początek «babiego lata«. Wiatr jednak mamy w oczy, co niedobrze nam wróży. Nazywają go flisowie nasi »pomorszczyzną« że wieje od strony pomorza to jest pod wodę na Wiśle, co utrudnia posuwanie się naszej Halki, i nie pozwala rozwinąć żagla z namalowaną na nim potężną dziewoją.

Przepływamy teraz pod drugim mostem żelaznym niedawno zbudowanym dla kolei Nadwiślańskiej i obwodowej pod cytadelą warszawską, a o tyle cichym i spokojnym, o ile na pierwszym wprost Nowego zjazdu, niezmierny ruch i łoskot (podobny dla znajdujących się pod mostem, do ciągłych grzmotów) panował. Wyjąłem z kieszeni mojej »Flisa« Klonowiczowego, bez którego nikt puszczać się w podróż po Wiśle nie powinien. Poeta XVI wieku zaczyna opis brzegów Wisły także od Warszawy. Więc czytam moim towarzyszom głośno wyjątki:

»A tak ci frycu, już powiem po prostu,
Gdy będziesz niżej warszawskiego mostu,
Gołędzinowskich ostrów będzieć w oczy
Wisłęć zakroczy«.

Ze starych dokumentów mazowieckich wiedziałem, że tu poniżej Pragi, na prawym brzegu Wisły leżała wieś Gołędzinów. Od niej otrzymał swoją nazwę ostrów położony za czasów Klonowicza zapewne przy prawym brzegu gdzie i wioska.

Rozpytuję się przeto moich dwóch przewoźników o wieś i o ostrów tej nazwy i szukam na szczegółowej mapie strategicznej (»kwatermistrzostwa«) którą wziąłem do teki podróżnej. Gołędzinów ukazał mi Baliński w postaci kilku bielejących się małych domków pomiędzy Pragą a Pelcowizną. Jest nawet karczma gołędzinowska przy trakcie do Jabłonny ale ostrowu już ani śladu. Trzy wieki, to aż nadto czasu na ogromne zmiany w niestałych brzegach Wisły. Wisła podmywa zwolna lasy na ostrowach i zwala w swe koryto. Pozostały tylko tu wydmy piaszczyste zrzadka wikliną porosłe kędy zbudowano około połowy XIX wieku fort »Śliwicki«. Za to poniżej cytadeli przy przeciwległym (lewym) brzegu, ale już w pobliżu Marymontu zabiega drogę piękna swoją zielenią kępa. Lud mazowiecki ma przysłowie »Wisełka jak Bóg, jednemu bierze a drugiemu daje«. Przysłowie to odwieczne zapisał już Rysiński za Zygmunta III, a jest ono może tak stare jak siedziby Mazurów nad Wisłą, boć lud wziął je z prostej obserwacyi nad rzeką ojczystą, która ciągle podmywa brzeg jeden aby usypać kępę przy drugim. Tak też mogło być i z gołędzinowskim ostrowem, po którym nie masz śladu pod Gołędzinowem, a zato Wisełka stworzyła nową znaczną kępę o ćwierć mili, która gdyby przed 300 laty istniała, to niezawodnie wspomniał by o niej Klonowicz.

Przy pomocy poematu Klonowicza winienem tu objaśnić, co właściwie nazywano od wieków nad Wisłą »ostrowem« a co »kępą«. Jest bowiem upowszechnione, a błędne dziś mniemanie, że tak ostrów jak kępa oznacza zawsze tylko

wyspę oblaną do koła wodą. Tymczasem w mowie staropolskiej ludu nadrzecznego, nazywano »ostrowem« każdy brzeg ostry czyli stromy, starym lasem zwykle porosły, którego nie zalewały nigdy powodzie ałe żłobiąc w nim »buchtę« podmywały go spodem. Brzeg zaś więcej płaski, piaszczysty, zalewany powodziami, porosły rokiciną, a będący zwykle półwyspem, zwał się »kępą«, jak naprzykład Saska.

»Bo gdzie dębowe drzewo z topolowem
Zdawna porosło, zowią to ostrowem;
Kępą rzekają, gdzie chrust albo piasek
I drobny lasek«.

Objaśnienie to dopełnia Klonowicz w innem miejscu:

»Jest brzeg dwojaki, jeden ostry zowie
A drugi płaskim nazwali flisowie
Ostry pewniejszy flisom bo głęboki,
Przykry wysoki.

I tego się nurt rad trzyma; lecz wina
Do niego, bo w nim bywa prądowina;
Ten woda głodzie i w ten wali lasy
Po wszystkie czasy«.

Z powyższego dokładnego objaśnienia, widzimy jasno, że w języku polskim ostrów, brzeg ostry znaczył to samo prawie co w dzisiejszej gwarze orylskiej zowie się buchtą, która to ostatnia nazwa wziętą została żywcem z niemieckiego, *die Bucht* — wybrzeże wgłębione w ląd nurtem rzeki. Kępa, która jak wyżej powiedzieliśmy jest zwykle półwyspem, oddzielona bywa najczęściej od lądu żłobami łąk czyli ługami lub też »łachą« wodną będącą śladem dawnego koryta rzeki. Tu nadmienićby jeszcze można, że nazwa »ostrowu« stosowana była później nieraz do lasu na wyżynie nawet w miejscowościach, gdzie wcale rzeki nie było.

Poniżej pięknej kępy w okolicy Marymontu, lewy brzeg Wisły przechodzi w wyniosłość porosłą lasem nad którym bieleją wieżyce kościoła Kamedułów na Bielanach. Wybrzeże to, które na Zielone Świątki kipi życiem i wesołym gwarem tłumów warszawian, było dziś bezludne, ciche.

Można było sobie wyobrazić tylko te rzesze o rozpromienionych licach, śmiejące się szczerym słowiańskim śmiechem, tańczące, grające i zajadające z polskim apetytem a najmniej rozmyślające od jakich to czasów wzięły się podobne zwyczaje w ich ziemi. Któż bowiem dziś się zastanawia że jeszcze w dawnym obyczaju ludów słowiańskich znane było radosne witanie wiosny i lata jako cudownego zmartwychwstania przyrody, tej żywicielki człowieka po ustąpieniu martwoty zimowej. Po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, ludy lechickie starały się uroczystości zabawy i igrzyska wiosenne przyłączyć do najbliższych świąt kościelnych nowej wiary a więc do Wielkiejnocy i Zielonych Świątek, którym też dotąd

towarzyszy: Rękawka, Dyngus, chodzenie z Nowem latkiem, Gaikiem, Maikiem, Kogutkiem lub Królewną, urządzanie chuśtawek, majówek, śpiewów i tym podobnych igrzysk. Poniżej Bielan spotykamy przy lewym brzegu dziwnie piękne ustronie nadwiślańskie zwane przez oryli »Ciemną łachą«. Jest to wązkie ramię Wisły z brzegami porosłymi cienistym gąszczem liściastym, z wodą cichą, spokojną, która od tej zieleni drzew przedstawia się jak ciemno szmaragdowe zwierciadło. Dalej za tą kępą widać w przecięciu drzew pałacyk w Młocinach. Była to kiedyś letnia rezydencya wszechwładnego z doby saskiej ministra Brühla, a po nim Adama Ponińskiego. Piękny ogród tutejszy nad Wisłą był czas jakiś tłumnie nawiedzany przez warszawian, dopóki po zniesieniu Zoliborza nie odsunęło się miasto i upodobania jego mieszkańców w stronę przeciwną.

Za Tarchominem, którego kościelna wieżyczka strzela nad poziom drzew okolicznych, spotykamy kilkanaście berlinek o rozwiniętych żaglach, partych silnym wiatrem w górę Wisły. Ten cały szereg białych, olbrzymich wydętych płócien, jak korowód potężnych proporców, lub płynących środkiem wzburzonej Wisły majestatycznych łabędzi, tworzył typowy, a imponujący widok mazowiecki. Nasi dwaj flisowie spostrzegłszy takowy z daleka, rzekli zaraz: »Idą obrazki«.

Któż nie zna potężnej siły wiatru, który dmąc w rozpięte żagle, holuje w górę Wisły ładowne statki. Nie każdy jednak sobie wyobraża, że siła ta jest tak wielką, iż przy pomocy samych żagli, ogromna i ładowna berlinka posuwa się w górę bystrej rzeki z szybkością konia biegnącego dobrym kłusem, a rozpruta przez nią powierzchnia wody, tak jak za parowcem tworzy dwa wały fal. Gdy fale te bujały gwałtownie naszą Halką, czytałem moim towarzyszom ustęp z Flisa:

I jako ryba wodę głową porze,
Tak szkuta rzekę sztabą rznie i orze,
I dzieli bruzdy na obiedwie stronie
Jak po zagonie.

Wąsy rozkłada po wodzie przed sobą,
Kiedy więc flaga pod pogodną dobą
Ucichnie szumna, a Neptunus bierze
Z wiatrem przymierze.

A styr po zadu tudzież płynie w pogoń,
Jako za rybą wodowładny ogon,
Kieruje szkutę a ona nie błądzi
Gdy ją styr rządzi.

Ale gdy przyjdzie przeciw wodzie płynąć
Potrzeba żagle wydęte rozwinąć,
Zażywać czasu, póki wiatr po tobie
Dmie w pole obie.

Powyższy ustęp z Flisa przypomniał mi wydaną przez Jakuba Kazimierza

Haura w wieku XVII »Ekonomikę ziemiańską«, w której znajduje się ciekawy rozdział »Spust do Gdańska« zasługujący tutaj na streszczenie.

»Industrya ludzka, pisze Haur, na takie-się zdobywa różne towary jakie gdzie popłacać mogą, to jest na zboża, prowianty, woski, miody, łoje, przędzę, płótna, potaże, galman, ołów, minią, żelazo, stal, woły, skóry, klepki i inne wszelkie rzeczy, którekolwiek tylko z przemysłu ludzkiego do handlu i pożytku znaleść można. Co czynić porządnie, za wiadomością pewną, prędko a nie skwapliwie, według czasu i za targiem albo walorem, przez dwojaki sposób, na ryzyk, albo na pewny z kupcami kontrakt i postanowienie. Jednak wprzód trzeba kredką obrachować miawszy na pamięci kapitał, koszt swój i zysk doma porachowawszy, dopiero w imię Pańskie z swoim na defluitacią pospieszyć ładunkiem.

»Statki wszelkie na tę defluitacią mają być:

Szkuty, Dubasy, Komiegi, Byki, Kozy, Wiciny, Lichtony, galary, Czułny ze wszystkiemi potrzebami, porządne, płytko budowane, udychtowane, osmalone (t. j. smarowane smołą), często aby się podczas wielkiego gorąca nie zsychały. Tratwy aby były z nośnego i suchego drzewa dobrze zbijane i opatrzone.

»Naczynia i potrzeby wszelkie do wzwyż pomienionych statków takie mają być: Maszt, Reja, Karnaty, Sztak, Tryl (polna lina). Obceje, Trysk, Prysk, Szuty, Kluby, Klubki, powrozy, postronki Korew, Żagle, Wory, Szelki, pobiegi, tarcice do futrowania, pojazdy, laski, drągi, szufle, berły, koły, stroisze, kule, maty, liczki, gwoździe, smoła, siekiera, świder, piła, dłuto i toporek. Kuchenne statki, kotły szafliki, konwie, garnce, zawczasu mają być sporządzone w zimie nie czekając wsiadanej.

»Logumina też mają być wygotowane, jakoto: krupy jaglane, jęczmienne i tatarczane, groch, połcie, sadła, mąki, sól, których tyle przysposobić trzeba, ile na dół i na górę wystarczyć może,

»Inwentarz tego wszystkiego, przed drogą albo spustem uczynić, aby szyper i sternik z tego wszystkiego za powrotem, słuszny jaki się obróciło rachunek oddali.

»Ładunek ma być według proporcjej statków i wody aby nie przeładować i często gęsiami nie częstować flisów, bo lżejsza fura bezpieczniejsza i do przebycia prędsza, z mniejszym kosztem. Rotman, sternicy i flisowie, aby niemieszkiwali, ale czasu i wody do spustu pilnowali i w drodze żadnemi nie bawili się biesiadami. Zboże aby było piękne: przez sita, arfę, albo młynek chędogo wywiane nie dając do gańby i taksy kupieckim ludziom okazjej.

»Prądu, haków, zawad, aby rotman i sternik pilnie przestrzegał dla szwankowania, uchowaj Boże, statków pilnować sztemborku, bakortu, srzodka, a mieć dozór i baczenie na wszystkie miejsca. Przy spuście w drogę, mieć potrzeba przy statkach lichton dla lichtowania (przeładowywania) zboża na jakiej zawadzie. Czółn także dla potrzeb jakich i ceł odprawienia. Cła mają być słusznie i sprawidliwie, ile z kupnego zboża odprawione. Do juramentu ludzi niewinnych (aby cię Pan Bog pobłogosławił) nie przywodzić. Myto chłopskie na miejscu ma być postanowione, którym wedle zwyczaju żadać i zapłacić. Strawa niech ich według dawnej porcjej i zwyczaju dochodzi.

»Gdy o kilka mil statki pod Gdańsko przypłyną, opatrzywszy dzień pogodny i kiedy wiatr powiewa, w ten czas przeszuflować dobrze dla pozoru i ozdoby

ziarna. Zaglów pod zboża nie słać dla zbutwienia. Pod Gdańskiem żadnego nie godzi się mieć na statku ognia, gdy cię Pan Bóg na Motławę przyprowadzi, według prawa i zwyczaju jednak na lądach jeść gotować wolno.

»W jesieni z pustem pilnie trzeba pospieszyć, aby mrozy w drodze nie zatrzymały statków. Gdy statki do domu szczęśliwie powrócą, Panu Bogu podziękowawszy, ludziom podróżnym co im przyjdzie popłacić i dla drugiego razu przychęcenia uczęstować. Rachunek zboża, wiele czego w Gdańsku wymierzono, attestacyą kupiecką weryfikowaną, także legumin, pieniędzy naczynia, według inwentarza i pomiarkowania szafarstwa z szyprem, albo z tym co miał dozór uczynić.

»Statki na zimę obwarować i w miejscu cichem postawić, często wychędażać od wilgoci i śmieci ochraniać. Stróża mieć pewnego i sposobnego do doglądania statków. Burta aby na ziemi nie była, ani od lodów podczas zimy nie szwankowała«.

Tymczasem płynąc dalej, zawinęliśmy do Burakowa. Miałem nadzieję znalezienia tutaj stacyi krzemiennej, czyli śladów obrabiania narzędzi krzemiennych w czasach przedhistorycznych poszukiwania jednak moje nie doprowadziły do pożądanych rezultatów. Znużeni i spragnieni nic starożytnego nie znalazłszy poszliśmy do wioseczki szukać chłodnej wody do picia. Przy studni w pierwszem podworku stała hoża jasnowłosa dziewczyna mazowiecka, z okrągłym rumianym buziakiem i zadartym noskiem. Jako etnograf spojrzałem bacznie na jej rysy i ubiór.

Dziewczyna wziąwszy nas widocznie za letników warszawskich, czerwoną chustkę, którą miała na głowie nasunęła tak daleko na oczy, że tylko widać było z pod chustki koniec zadartego noska. Z tem wszystkiem nie przestała być gościnną. Zapewniwszy nas, że woda w studzience jest bardzo dobra do picia, wyniosła ochoczo z chaty zielony dzbanek i powiesiwszy go za ucho na kiju z kołkiem czyli »kluczce« zaczerpnęła nam wody. Ale niestety zachwalony nektar okazał się białawym i jakby trącił jakimś fermentem mlecznym. Gdy wyraziłem że czuję niesmak — »to nic nie szkodzi proszę pana — zapewniała dziewczyna — woda nasza jest bardzo dobra, tylko że my mamy trzy krowy, a nie mamy sklepu, a teraz tak ciepło i tylko co drugi dzień matula noszą mleko i śmietanę do miasta, więc zawsze trzymamy blaszanki w studni żeby nie pokwaśniało, ale mleko i blaszanki są czyste«. Wówczas ciekawie zajrzałem do małej studzienki i zobaczyłem wiszące w niej na sznurkach i zanurzone w wodzie liczne blaszanki i dzbany z mleczywem. Budowa przytem zdrębiny tej studni była iście pierwotna, bo składała się z bierwionek nie zacinanych jak zwykle w węgieł lub fugę, ale założonych tylko za cztery pale w rogach studni wbite.

Klonowicz wspomina »ostrów Burakowskich«. Był to oczywiście las pod Burakowem, który dotąd, jak za Klonowicza, na dość znacznej przestrzeni porasta na wybrzeżu przez Wisłę podmywanem i ostrem czyli stromem. Ku Jabłonnie mamy prawy brzeg Wisły płaski a lewy ostry z którego tu i owdzie sterczą korzenie drzew podmytych i nachylonych nad wodą. W pionowej ścianie wybrzeża znajdujemy liczne otwory jakby norek krecich. Są to gniazda jaskółek ziemnych, zwanych w polskiej zoologii grzebułkami, dla tego, że sobie siedliska te w ziemi

wygrzebują. Przewoźnicy nasi, ptaszyny te także grzebułkami nazywali, co dowodzi że ornitologowie polscy znaleźli już nazwę powyższą u Mazurów. Wprost Jabłonny istnieje spora ale prawie bezdrzewna kępa »Kełpińska« o której wspomina i Klonowicz.

W przecięciu przez park mignął się nam biały pałacyk z charakterystycznym globem ziemskim na wieżyczce. Płynąc dalej, napotykamy w ostrym brzegu koło wsi Łomny głęboką warstwę napływową, przepełnioną muszelkami wód słodkich i roślinność na tem wybrzeżu bogatszą niż gdzieindziej, dziki chmiel poplątany z potężnym ostem, kolczaste ciernie z głogami rokitą i wierzbą.

Pod Cząstkowem wydarzyło mi się niespodziewane spotkanie. Oto idąc brzegiem, minąłem jakiegoś zapewne topografa, rysującego plany brzegów Wisły na stoliku miernicznym, przy którym stało kilku ludzi z busolą, łańcuchem i innemi narzędziami niwelacyjnemi. Pozdrowiony przezemnie rysownik, przypatrywał mi się przez chwilę, a potem nagle rzucił mi na szyję i ze łzami w oczach począł mię ściskać, nie mogąc przemówić ze wzruszenia, a widząc że go nie mogę sobie przypomnieć, wymówił swoje nazwisko, dobrze mi znane w dzieciństwie. Był to p. S. mój pierwszy domowy nauczyciel, gdy przed laty dwudziestu, ja miałem lat dziesięć, a on dwadzieścia. Wąsy i broda zmieniły go do niepoznania; w żywej pamięci zachował najdrobniejsze szczegóły i wspomnienia ze swego pobytu w naszym domu nad Narwią, a wypytując o moją rodzinę i dawnych znajomych, wydobył z pugilaresu zniszczoną przez długie noszenie ćwiartkę papieru, która była dla niego pamiątką z tamtych czasów. Spojrzałem na połamany papier i poznałem planik domu moich rodziców, narysowany przezemnie na pamiątkę odjeżdżającemu na zawsze kochanemu nauczycielowi. Miałem niegdyś dziecinną manię rysowania planów domowych. Pamiętam z okien naszego dworu widać było odwieczny dom folwarczny, o którym mówiono, ze miał lat dwieście czy trzysta, a w każdym razie był już bardzo krzywy i połatany, od dawna przeznaczony do rozebrania. Rojekci karbowy, czyli jak go nazywano »włodarz«, człowiek jeden z najstarszych we wsi, opowiadał mi nieraz siadłszy w święto na kamieniu pod krzywą ścianą tego domu, że budynek ten, zanim starość podała go w poniewierkę, był pierwej dworem, że gościli w nim sławni wojewodowie jak Czarniecki, Pułascy i Drewicz. Ja słuchałem tych opowieści zgrzybiałego sługi z rozkoszą i biegłem zaraz na poddasze zarzucone gratami szukać pamiątek przeszłości, a znalazłszy raz w szczelinie spruchniałej ściany pieniążek Jana Kazimierza, przechowywałem go jak relikwie i przed rozebraniem rudery starego dworku odrysowałem ją jak najdokładniej. Dla odjezdżającego zaś nauczyciela odrysowałem znowu rozkład naszego domu mieszkalnego ze wszystkimi sprzętami w każdym jego zakątku. W domach bowiem staropolskich, nie przestawiano tak jak dzisiaj mebli co rok gdzieindziej, ale każdy stół, kanapa, fotel, kantorek, komoda miały odwieczne i stałe swoje miejsca. Po godzinie serdecznej pogawędki, w której przesunęły się wszystkie znane nam obu z przed lat dwudziestu postacie, widoki, wspomnienia, wypadki i zajęcia, ruszyliśmy każdy w swoją stronę, on w górę, ja zaś w dół Wisły.

Pod wsią Cząstkowem mijamy kępę, którą zapewne miał na myśli Klonowicz gdy pisał:

«Kępa Cząstkowska i Wilkowska za nią
Jako za panią«.

Obecnie jednak znaleźliśmy tutaj tylko jedną kępę, dopiero zaś o parę mil poniżej Cząstkowa leży wieś Wilków i kępy, do których zapewne stosują się wzmianki Klonowicza.

Wiatr przeciwny się wzmagał, Wisła wzburzona szumiała, a walka wiosłowa naszych wytrwałych przewoźników, stawała się coraz uciążliwszą. Mętne bałwany dorównywały wysokością burtom naszej Halki, bijąc w jej pierś coraz silniej, a wiatr uporczywie przechylał ją i zatrzymywał w miejscu. Prawdziwa rozpacz ogarniała nas na widok powolnego posuwania się naszego w dół rzeki, pomimo żeśmy w cztery wiosła i w pocie czoła pracowali.

Poczas tego miałem dużo swobody i dobrej sposobności do wypytywania się moich flisów mazowieckich o wszystko co tylko w zawodzie swoim wiedzieli i jak przedmioty i czynności rozmaite nazywali. Zanotowałem więc, że główne koryto Wisły zowią samicą, a główny prąd samicy zowią wartem lub wartową wodą. Tak samo zwano już i za Klonowicza, który flisowi wskazuje.

»Oto jest matka w której jest nurt główny,
Tędy jest droga tędy fracht warowny».

Każda odnoga i zatoka zowie się łachą. Drzewo które obalone z ostrowu leśnego do wody i uniesione jej prądem, pozostało na dnie rzeki i jeżeli ma sterczące pod wodą konary jest groźnem dla statków, zowie się wilkiem lub prądem. Kamień duży podwodny zowią tu nie rapą, jak nad Niemnem, ale rafą, a mieliznę hakiem, zatrzymuje ona statek czy tratwę na uwięzi. Berlinka nie mająca spiczastego dzioba czyli nosa zwanego kafą, lecz zaokrąglona, zowie się kogutem. Mniejszymi od berlinek są dubasy i szkuty. Te ostatnie wspominane już przed wiekami są może pierwotnym typem statków używanych na Wiśle do przewozu zboża od czasu jak za doby Piastów powstał handel zbożowy do Gdańska. Każdy zamożniejszy ziemianin w pobliżu, Wisły, Sanu, Narwi, i Bugu mieszkający miał już za czasów zygmuntowskich własne szkuty i stałych szkutników. Większe dobra miały całe floty z takich szkut składające się.

Łódź wielką bez przykrycia, do przewożenia drzewa kamieni i innych materyałów służącą, zowią bajdakiem lub bajdasem, a nieco mniejszą z nosem špiczastym, używaną w ostatnich czasach do żwiru rzecznego, zowią kozą. Koniec każdego większego statku przodowy czyli jego nos zowie się sztabą, a koniec tylny rufą. Obok głównego żagla, w razie silnego wiatru zakłada się drugi pomocniczy, zwany szpantałem. Wyrażenie Klonowicza, że wiatr »dmie w pole obie« czyli w obie poły, stosuje się właśnie do rozpiętych obu żagli. Rabędy są to liczne nie długie sznurki, którymi bok żagla przywiązany jest do masztu [1]).

---

[1]). Paski do noszenia szabel i karabel nazywały się w mowie staropolskiej rabciami, rapciami a były zwykle nie rzemienne, ale taśmowe i sznurkowe.

Trylem zowie się długa lina uwiązana jednym końcem do masztu, za którą ludzie najęci w braku pomyślnego wiatru do holowania pod wodę ciągną statek w górę rzeki. Reja, czyli maszt poboczny, przywiązana jest do masztu głównego powrozem zwanym duszą. Drąg okuty, do popychania statku służący, zowie się szprysą a długie wiosło z piórem na końcu okutym, zowie się pojazdą. Na wioślisku czyli drążku pojazdy nasadzony jest poprzeczny, do opierania o ramię flisa hamerek, (tak nazwany od podobieństwa do młotka). Dwa kołeczki pionowe na burcie łodzi, pomiędzy które wkłada się wiosło do łatwiejszego wiosłowania, zwane są dulkami, a szufelka mała z krótką rączką, służąca do wylewania wody ze statku zowie się korczakiem. Mgłę nazywają flisacy mamką, może dla tego że zwykle bywa ona w zaraniu dnia. Mała podrywka, głównie do połowu kiełbi służąca, zowie się trzcieńcem, samołówka zaś z przynętą na ryby upleciona z rózeg łozowych, w kształcie walca zawieszonego w jednym końcu śpiczasto, a nosząca nad Narwią nazwę wierszy, tutaj zowie się wiraszką. Pływak, czyli pływający przy brzegu młyn wodny (jakich tu było bardzo wiele dawniej, a dziś wychodzący już z użycia), zowie się w mowie ludu równie nieprzyzwoicie jak za czasów Klonowicza mianowany był przez wszystkich. Kto ciekawy może odszukać sobie tę nazwę w słowniku Lindego pod wyrazem zaczynającym się od bz a kończącym na l. Pierwsze takie pływaki spotkaliśmy w naszej podróży pod Cząstkowem.

Klonowicz objaśnia mową wiązaną znaczenie wyrazów: *szkuta, sztaba, ruja*; *pojazda, styr, maszt, reja, żagiel, dusza, prądowina, prąd, rafia, samica, łacha, frior, wiślisko, zator ostrów, kępa, wart, wilk, hak, trel, bz . . . l, mamka, stryj* i kilka jeszcze innych. Widzimy z tego, że prawie wszystkie nazwy, które zapisałem dzisiaj z opowiadania moich wioślarzy, miały już to samo znaczenie u flisów mazowieckich za czasów zygmuntowskich, a niewątpliwie, jak znajdujemy wskazówki tego gdzieindziej, upowszechniły się jeszcze w wiekach dawniejszych, kiedy flisowie polscy za doby Piastów spotykali się u ujść Wisły i Odry z żeglarzami krajów niemieckich i całej Europy.

Walcząc z wiatrem dobiliśmy się nareszcie do ujścia Narwi przy Nowym-dworze. Długosz w XV-tym wieku opisując rzeki polskie, powtarza opowiadania współczesnych że: »Woda Narwi czarniawa, nawet po połączeniu się z Wisłą, długo nie zmienia przyrodzonej barwy i tę ma osobliwość, że jej gady jadowite znieść nie mogą, widzieć to na wężach, które do tratew przyczepiane, spokojnie czas długi się ukrywają, jak tylko zaś do Narwi się zbliżą, natychmiast z sykiem cofają się, stroniąc od jej wód, jakoby zgubnych dla siebie i od statków żeglownych pierzchają, co nietylko w obcych ludziach, ale i miejscowych podziwienie sprawia.

Klonowicz w wieku XVI-tym tak pisze o połączeniu się Narwi z Wisłą:

»Tuż się otworzy Nowy-Dwór na piasku,
Tu już bądź pewien najpierwszego brzasku,
Tratuj do lądu, już tu panie młody
Daj cło od wody.

Tam Narew leśna, którać zajdzie w oczy
Z prawego brzegu czarne wiery toczy,
Kieruje Wisłę, gwałtem ją poszewo
Pędzi na lewo.

Przy swoim lądzie daleko się wiesza,
Niźli się z wiślną macicą pomiesza,
Stroną prowadzi, niż przyjdzie do zgody
Swe brudne wody.

Jako gdy Jordan wpada w Martwe morze
Osobny sobie nurt po wierzchu porze,
Nie chce przezwiska ni wody swej stracić
Z obcą się zbracić«.

Fantazya poety wysnuła legendę o pochodzeniu nazwy Nowego-Dworu: Oto Narew z Bugiem przybywszy tu do Wisły, królowej Wandalów, aby ofiarować jej swoje wierne służby, złożyły w tym neptunowym jej orszaku »nowy dwór«. W każdym razie osada choć się zowie »nowy dwór« ale w takiej miejscowości jak przy połączeniu się Narwi z Bugiem położona, musi być bardzo dawną, i któż odgadnie, ile tu pierwej starych dworów czas i powodzie strawiły, zanim od jakiegoś nowego dworu nazwa dzisiejsza w czasach jagiellońskich utrwaliła się. Osada w widłach dwóch rzek, na płaszczyźnie piaszczystej położona, nie mogła się nigdy rozrosnąć, bo co lat kilkadziesiąt wydarza się tu wylew niweczący pracę kilku pokoleń. Tak strasznemi latami były w bieżącym wieku 1813 i 1889. I to właśnie nizkie położenie jest główną przyczyną dla której Nowy-Dwór pozostanie na zawsze ubogą mieściną.

Jenerał Stanisław książe Poniatowski, dziedzic Nowego-Dworu, pragnąc usilnie podnieść dobrobyt swych włościan i miasteczka, obdarzył tę osadę r. 1782 ważnym przywilejem w którym powiedział na wstępie że: »Chcąc aby wszelkiego kunsztu i profesyi rzemieślnicy i fabrykanci, też kupcy, na gruncie moim Nowydwór zwanym, zamieszkali i zamieszkać mający, zupełne co do osób i majątku swego bezpieczeństwo na zawsze mieli, a przez niesprawiedliwość czyją lub nierząd własny, tego nie chybiali celu, który sobie ludzie wolni, pomyślni i rządni w każdej społeczności dostąpić życzą, przywilejem tym moim i sprawiedliwość niezawodną ze strony dziedzica na zawsze im upewnić i porządek między nimi ustanowić przedsięwziąłem«. Jakoż powstała tu wówczas usilnie popierana przez Poniatowskiego fabryka sukna, którą potem następny dziedzic Ludwik Gutakowski rozszerzył i na rozwój jej łożył, dopóki w 30 lat potem nie upadła.

Od r. 1782 do 1813 istniała tu bardzo czynna drukarnia ksiąg hebrajskich. Dłużej znacznie utrzymywał się zakład budowania statków wodnych. Dziś gdy się spojrzy z daleka na mieścinę położoną na wydmach białego piasku, nic nie można o niej na pierwszy rzut oka innego powiedzieć, jak to co napisał Klonowicz, którego tak samo uderzyły przed 300 laty te lotne pagórki:

»Tuć się otworzy Nowydwór na piasku«.

O ile samo miasteczko na tym piasku wygląda dość cmentarnie, o tyle pobliskie ujście Narwi do Wisły tworzy widok bardzo malowniczy. Na wyżynach prawego brzegu Narwi i Wisły czerwienią się tu olbrzymie kazamaty Nowogeorgewska. Nad gardzielą Narwi, zawisł most na linach drucianych[1]) a w samym cyplu wideł dwóch rzek wrzyna się pomiędzy fale obu, wspaniały kilkopiętrowy spichlerz na zboże. Gmach ten najokazalszy jaki w drugim ćwierćwieczu wzniesiono w Królestwie, zbudowany był kosztem Banku Polskiego, podług planów budowniczego Gaja za sumę 786,000 rubli i tak jest urządzony, że statki z ładunkiem zboża mogą przypływać w jego wewnętrzne korytarze.

Nigdzie chyba nie łączą się z sobą dwie rzeki o tak zupełnie odmiennych dwóch barwach wody jak Wisła i Narew. Wobec białawej Wisły, Narew można nazwać z Klonowiczem »czarnymi wirami«. Właściwie niema w wodzie Narwi nic czarnego a tylko największa przeźroczystość z lekkim odcieniem siności fal na dnie czarnem. Wisła zaś ma kolor białawy z tego powodu, że zarówno jak San, przy znacznie większej bystrości swoich nurtów unosi cząstki miałkiej jasnej gliny, po której pokładach w wielu miejscach przepływa. Sienkiewicz powiada, że w Ameryce jest dużo rzek z taką bawą jak narwiana, które tam krajowcy czarnemi wodami nazywają. Kto chciał by sobie wyobrazić w miniaturze sam proces fizyczny zetknięcia się dwóch nurtów odrębnej barwy, niech do szklanki herbaty doleje trochę mleka i nie zamieszawszy łyżeczką patrzy na proces połączenia się z sobą dwóch płynów odrębnych, które nie odrazu zleją się w kolor jednostajny. Woda wiślana jak to mleko, przez czas długi przy zetknięciu z narwianą, faluje w głębi oddzielnie, zanim wreszcie nie zmoże tej ostatniej w dalszym wspólnym z nią biegu.

Kto nie doświadczył osobiście, co to jest silny »wiatr w oczy« na Wiśle, ten nie ma wyobrażenia jak utrudza ludzi całodzienna z nim walka.

Już późnym wieczorem przykołataliśmy się do Zakroczymia i znalazłszy w jakimś zajeździe izdebkę do pzenocowania, której czystość i atmosfera nie były wcale problematyczne, rzuciliśmy się na twarde łoże aby wyprostować strudzone kości. Ja nie odczuwałem tak znużenia, bo przez ojca mego jako dawnego żołnierza, byłem do wszelkich niewygód wcześnie przyzwyczajony, co w moich wycieczkach po kraju, stało się prawdziwem dla mnie dobrodziejstwem. Ale towarzysz mój, artysta malarz w innej już szkole wyrosły, czuł się zupełnie do niczego i zapowiedział, że na taką dalszą podróż, w której musiał by dopomagać wiosłem ołówkowi, wcale się nie pisze od jutra. Był on przytem przeciwnościami naszej podróży mocno znerwowany, co nawet wywołało pomiędzy nami polemikę:

Ja twierdziłem, że irytacya i złorzeczenia siłom żywiołowym natury nic nie pomogą, że do wytrwałego pokonywania przeciwności potrzebną jest zawsze człowiekowi krew zimna i myśl jasna. On zaś dowodził, że opanowanie nerwów jest rzeczą niemożliwą i wyczerpuje siły człowieka, któremu przynosi to ulgę, gdy obsypie wiatr i niepogodę furgonami djabłów naładowanych w beczki.

[1]). R. 1889 przez wielką powódź zniszczony.

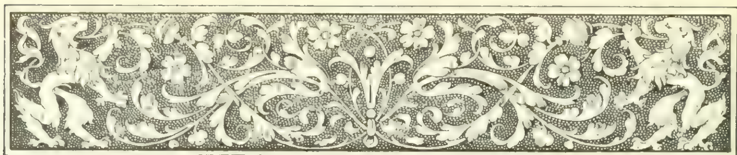
Wyczekując z niecierpliwością jutra, wstałem o pierwszym dnia brzasku i wyjrzawszy skwapliwie, przez okno na świat Boży, przekonałem się ze smutkiem, że dzień ten nie tylko był równie jak wczorajszy wietrzny, ale i po uszy zapłakany.

Jesień w całej pełni zawisła dzisiaj nad równinami Mazowsza. Nie było więc mowy w podobnych warunkach o dalszej podróży wodą, i rad nie rad musiałem przystać na projekt mego towarzysza, aby nająć wózek u jakiegoś mieszczanina w Zakroczymiu i powrócić końmi do Warszawy.

Flisacy nasi korzystając z »pomorszczyzny« która dla podążających w górę Wisły była bardzo pożądaną, rozwinąwszy żagielek z przemokłą na nim Halką, przeżegnawszy się na drogę i plunąwszy w dłonie biorąc wiosła, pożeglowali zwolna ku Warszawie.

Przeprawa przez Wisłę promem pod Utratą, była jak zwykle w czasie silnego wiatru długa i trudna. Za to od przewozu, mając wiatr w plecy i dobrą drogę szosową wzdłuż Wisły, jechaliśmy szybko parokonnym wózkiem. Deszcz padał drobny więc mogłem badać różne miejscowości w których spodziewałem się znaleźć ślady pobytu przedhistorycznego człowieka, który gdzie tylko przybył i osiadł, tam wszędzie obrabiał sobie narzędzia krzemienne i znaczył swój pobyt mnóstwem okrzosków krzemiennych, w warstwach lotnego piasku pozostałych, gdzie zwykle obierano sobie sadyby. W częstych wycieczkach moich po kraju, mających na celu badanie jego odległej przeszłości, przyszedłem do pewnej wprawy w odszukiwaniu podobnych miejscowości, polegającej po prostu na poznaniu warunków jakie były potrzebne do życia i osiedlenia się pierwotnemu człowiekowi. Jakoż i teraz kierując się temi samemi wskazówkami, znalazłem pod Cząstkowem stacyę krzemienną kilkaset starożytnych okrzosków i kilka misternych bełtów czyli strzałek. Druga znaleziona dzisiaj z tychże zamierzchłych czasów stacya krzemienna na gruntach wsi Dziekanowo, była ostatnią zdobyczą i pamiątką tej nieudanej wycieczki. —





W ćwierć wieku.

Było to znowu o świcie, tylko nie w jesieni lecz na wiosnę i także na brzegu Wiślanym, tylko nie pod Solcem ale w pobliżu Nowego-Zjazdu. Na wybrzeże przyjechało z miasta dwie doróżki, snuło się kilku ludzi i do długiej, wązkiej, bez żagla łódki, uczepionej przy łazience Traczyńskiego, wnoszono walizki i skrzynki. Tamta wycieczka moja po Wiśle nie powiodła się, ale że nie zwykłem w niepowodzeniu wykreślać zamiar z programu rzeczy raz rozpoczętych, więc choć prawie w ćwierć wieku (bo w r. 1899), postanowiłem dawny ten zamysł uskutecznić.

Tym razem miejsce artysty-malarza zajął już artysta-fotograf p. Leon W. z wielkim aparatem fotograficznym i p. Zdzisław Ar... turysta, zamiłowany zbieracz zabytków przeszłości, także ze swoim mniejszym aparatem. Miejsce zaś dwóch Balińskich wioślarzy, zajął jeden Przerwankowski, stary flis, rodem z pod Bydgoszczy.

Po latach 24 widoczne były pewne zmiany i na powiślu Warszawy. Park prazki, który wówczas zakładano, urósł potężnie, — Wilcza wyspa pod Saską kępą porosła gajem. — Wysepka na Wiśle pokryta wikliną, powyżej mostu żelaznego, znikła bez śladu. — Pomiędzy Nowym-Zjazdem i ulicą Bednarską nabudowano mnóstwo wysokich kamienic. A i miejsce Klonowicza w mojej kieszeni zajął Andrzej Zbylitowski, opisujący podróż Zygmunta III-go z Warszawy do Szwecyi w roku 1594. Powyższą podróż wodną król rozpoczynał od podnóża zamku, więc gdy łódka nasza wypłynęła na Wisłę, otworzyłem książkę i czytałem moim towarzyszom:

»Niech Bóg, który na niebie, widzi ludzkie sprawy,
Będzie z wami i niech się wam stawi łaskawy«.
To mówił król, a żaden nie był między nami,
Coby smutnych nie zalał oczu swoich łzami.
A Zamojski jak drugi Nestor, poważnemi
Pożegnał go od wszystkich z płaczem słowy swemi.

Zostawił wszystkich potem i ciotkę troskliwą [1]).
A od płaczu wielkiego prawie ledwie żywą.
Wstąpił w ciosaną szkutę, którą z wysokiego
Dębu cieśla misternie uczynił twardego:
Wstąpiła i królowa i siostra rodzona,
Cnotami i dzielnością od Boga uczczona.
Piękna pogoda była, cicho Febus swoje
Konie pędził w podziemne zachodnie pokoje.
Ledwie trochę od brzegu sternik wykierował,
Ledwie most minął, który swym kosztem zbudował
Zacny król August, alić wnetże popędliwy
Wiatr wstał wielki, a sternik począł frasobliwy
Trwożyć sobą, bo nie mógł dobrze szkutą władać,
I sterem tam, kędy chciał przez wiatr wielki składać.
Trzykroć szkutę do brzegu wały przybijały,
Trzykroć ją ku Warszawie znowu obracały.
Mało wiosła pomogły, któremi robili
Ustawicznie, co na to naznaczeni byli.
Dziwna rzecz, że i Wisła jakiś żałośliwy
Szum dawała i lament czyniła płaczliwy,
Żałując wielce pana swego odjechania.
I chociaż na czas krótki, takiego rozstania.
Co król widząc, był z tego wielce frasobliwy...
I nad zwyczaj że nie mógł pospieszyć tęskliwy.

. . . .
. . . .

Królowa też z pannami swe prośby czyniła
Do Boga, a do Wandy te słowa mówiła:
Wando śliczna bogini wiślnej bystrej wody,
Coś swój wiek wiecznym bogom poświęciła młody,
Któraś niegdy rządziła tož królestwo dawne,
W którym cnoty twe i dziś wspominają sławne,
Jakoś nieprzyjaciela mężnie poraziła,
I wolności dzielnością swoją obroniła,
Za co dziś siedzisz między boginiami w niebie,
Śliczna nimfo słowieńska, pilno proszę ciebie:
Ucisz Wisłę, ucisz wiatr, daj szczęśliwą drogę,
Ty sprawuj nasze łodzie, a odpędź tę trwogę:
A ja, gdy da Bóg, stanę u twojej mogiły,
(Gdzie lechijskie Dryjady twe ciało włożyły),
Pachnące tobie każę zapalić ofiary
I położę na ołtarz twój przystojne dary.

[1]) Annę Jagiellonkę, wdowę po Batorym.

Sliczna Wisło Sarmacka, która swe potoki
I źródła bystre lejesz w ocean głęboki,
Nie bądź nam przeciwną, staw się nam życzliwą,
Twój to król, twój pan jedzie, daj drogę szczęśliwą.
Ledwie tego królowa dòmawia, gdy w swoje
Wiatr począł ustępować podziemne pokoje,
A szkuty swym porządkiem zaraz popłynęły,
I leniwe komiegi postępować jęły:
Naprzód rotmani, potem szły łodzie dworzańskie,
Więc piechota węgierska, potem szkuty pańskie:
A król za niemi płynął w pięknej łodzi swojej.
Spiesznie w drogę spokojna Wisło z łaski twojej.

Wyprawa nasza w tem chyba tylko była podobna do podróży Zygmunta III, że gdy minęliśmy wylot ulicy Mostowej (gdzie około r. 1560 most był przez Zygmunta Augusta zbudowany), tak samo zaczął nas prześladować silny wiatr w oczy. Czy królowa modliła się do Wandy, »ślicznej bogini wiślnej«, to już sprawa poety, a nie moja, ale za to mogę ręczyć, że gdy patetycznie przeczytałem prośbę do Wandy, aby uciszyła Wisłę, i ślub królowej złożenia ofiary na mogile pod Krakowem, wiatr jakby na cudowne zaklęcie ducha uroczej Wandy, nagle złagodniał i już tylko począł cichutko muskać drobne fale królowej rzek lechickich.

Przed Bielanami miałem sposobność przyjrzenia się z blizka, jak się poławia zwir w głębinie Wisły. Kilkanaście długich łodzi, na przestrzeni może tysiąca kroków, stało sznurem na kotwicach w kierunku głębi wiślanej. W każdej łodzi, skierowanej wzdłuż nurtu rzeki, znajdowało się pracujących trzech lub czterech silnych ludzi uzbrojonych w długie i grube drągi. Na końcu każdego ich drąga przykuty był silny żelazny czerpak w rodzaju koszyka. Pracownicy zanurzali drągi pionowo, czerpakiem do dna, i dosięgnąwszy na dnie warstwy zwiru na głębokości paru sążni pod wodą, oparłszy drąg o burtę łodzi, naginając silnie jego wierzchołek ku sobie, nagarniali tym sposobem pewną ilość zwiru w czerpak, poczem drąg wyciągnąwszy, zwir wysypywali do łodzi.

Była to robota ciężka, bo bez bardzo silnego naciskania na koszyk, zwir nie czerpał się do takowego. Jak bogate pokłady zwiru znajdują się w wielu miejscowościach na dnie Wisły, i jak wiele mozolnej pracy użyto przy wydobywaniu tego materyału, świadczyły o tem ogromne jego zapasy, które znaleźliśmy na wybrzeżu pod Bielanami. Mogłem się najdokładniej na tem zbiorowisku przypatrzeć, gatunkowi kamyków, które nie pochodziły z formacyi wapiennych i dna mórz, jak zwiry naszych pagórków, ale przywędrowały tu, parte biegiem wody z łożysk strumieni karpackich.

Z czasów moich szkolnych w Warszawie pamiętałem całą drogę z Marymontu do Bielan, ocienioną olbrzymiemi topolami. Dziś z tych topól pozostało już tylko kilka okazów, a nad brzegiem Wisły znalazłem jeszcze kilka powalonych pni potężnych. Pamiętałem i dęby w lasku bielańskim, równające się grubością tym topolom, więc dziś poszedłem na odszukanie starych znajomych. Jakoż na

potkałem w pobliżu drogi pierwszego z nich i może najpoważniejszego ze wszystkich. Dziećmi chodząc na majówki szkolne do Bielan, oplataliśmy go wieńcem naszych rąk i ramion, aby przekonać się ilu malców było potrzeba do opasania kilkowiekowego sędziwca. Dziś miałem ochotę przywitać pocałunkiem starego



Dąb starożytny w lasku bielańskim.

przyjaciela, ale żeby nie stracić powagi u moich towarzyszów podróży, poprzestałem tylko na wydobyciu z kieszeni miary i zmierzeniu jego obwodu, który wynosił sześć metrów.

Ile wody za żywota tego dębu u stóp jego w Wiśle przepłynęło, trudno orzec, ale pewnie wypełniłaby ona Bałtyk po brzegi. Musi też wielu królów pamiętać,

a jeszcze taki czerstwy i szumi zielonym czubem swej czupryny, więc odfotografowaliśmy go.

Bielany są miejscem wspomnień historycznych. Znajdowała się tu niegdyś wieś królewska Polkowo z lasem na wyżynie lewego brzegu Wisły, zwanym Polkową górą. Król Władysław IV w czasie wojny 1634 r. ślubował, że jeżeli pomyślny skutek uwieńczy jego usiłowania, to wystawi tu klasztor braci św. Romualda (Kamedułów), podobny do tego, jaki istniał już pod Krakowem od lat trzydziestu. Jakoż w kilka lat później sprowadziwszy zakonników, (zwanych przez lud od białego ich ubioru »bielanami«), darował im Polkową górę przywilejem z dnia 5 listopada 1639 r. i wybudował pierwszy kościół z klasztorem drewnianym, który wsią Polkowem i młynem zwanym Ruda uposażył. Podobnie jak pod Krakowem, tak i pod Warszawą siedlisko białych zakonników lud nazwał od nich Bielanami. Jan Kazimierz rozpoczął budowę kościoła murowanego, darował temuż obraz św. Bonifacego, sprowadzony z Warszawy z wielką uroczystością i przy udziale licznego tłumu pobożnych w drugi dzień Zielonych Świątek i wyjednał bullę papiezką na odpust doroczny w tymże dniu. Odtąd też datują się tradycyjne pielgrzymki Warszawian w Zielone Świątki na Bielany. Rozpoczętą przez Jana Kazimierza budowę podjął Michał Korybut, założywszy na nowo fundamenta w 1669 r., lecz dopiero Jan Brzeziński, podkomorzy nurski, dokończył jej na początku XVIII wieku. Z powodu też powyższej fundacyi króla Michała złożono w kościele tutejszym jego serce, jakoteż matki jego księżny Jeremiaszowej Wiśniowieckiej. Domków pustelniczych dla zakonników wzniesiono tu 11. Jak wiadomo bowiem, surowa reguła zakonu wymagała, aby każdy kameduła mieszkał jak pustelnik w oddzielnym domku i miał przy nim otoczony murem swój ogródek, który uprawiał tylko własną ręką. Fundatorem pierwszego domku był Władysław IV, drugiego Jan Kazimierz. Inne powznosili rozmaici panowie, ponieważ zwykle, każdy fundator umieszczał na takim domku swój herb, np. przy pustelni przeora wspaniale wyrzeźbiony herb Korwin, więc później powstało błędne mniemanie, że tę pustelnię stawiali królowie i panowie dla samych siebie.

Na cmentarzu przy murze kościelnym kazał tu pochować swoje śmiertelne szczątki wiekopomny ksiądz Staszic. Odfotografowaliśmy jego grobowiec, ocieniony dziś pięknemi drzewami, na którym skromny czytamy napis:

»Stanisław Staszic, urodzony 1755 r. dnia 20 stycznia 1826 r. umarł«.

Zadzwoniliśmy do furty eremu z pewnem wrażeniem poszanowania tej tradycyjnej poważnej ciszy, która dawniej zalegała każdy pustelniczy klasztor kamedułów. Słudze kościelnemu, który przyszedł z kluczem otworzyć furtę, oznajmiliśmy chęć widzenia się z przeorem. Jakoż po chwili ukazał się w furcie wysoki, poważny, z sympatycznym wyrazem twarzy i białą jak mleko brodą, ale czerstwy jeszcze w białym habicie dzisiejszy przeor kamedułów, ojciec Marczewski i uprzejmie zaprosił nas do swojej pustelni.

Weszliśmy więc do ogrodu klasztornego, zasadzonego orzechami włoskimi, z których jedno drzewo uderzało olbrzymią swoją grubością. Ogród ten czy dziedziniec, przytykający do tylnej części kościoła, otoczony był domkami i małymi przy nich ogródkami, obwiedzionymi murem.

Do mieszkania przeora szło się przez ogródek kwadratowy, mniej więcej takiej samej przestrzeni jak i domek. W ogródku były grządki z ziołami, kwia-



Kościół Kamedułów na Bielanach pod Warszawą.

tami i ścieżki osadzone bukszpanem, przypominającym staropolskie ogrody, w których kwatery osadzano przy ulicach, jeżeli nie agrestem, to napewno przystrzyżonym równo bukszpanem.

W domku przeora z małej sionki wchodzi się na lewo do mniejszej jeszcze kapliczki, każdy bowiem kameduła musi mieć ołtarz i możność odprawiania Mszy w swojej pustelni. Na prawo weszliśmy do celki zalecającej się przy ubóstwie idealną czystością. Prosta sosnowa podłoga ale biała, jakby przed chwilą wymyta, ściany biało wybielone, drzwi i okna biało pomalowane, twarde łoże przykryte białą jak śnieg bielizną i białą flanelową kołdrą, wszystko stanowiło dziwną harmonię z gospodarzem o białej brodzie i w białym habicie. Za celką przeora znajdowała się w drugiej biblioteka klasztorna. Przywiązana jest tu do niej tradycya, że była dawniej obfitą, ale Linde przewiózł z niej wszystkie białe kruki i dzieła polskie do książnicy Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie. Obecnie na półkach znajdowało się parę setek dzieł teologicznych, a na stole leżał otwarty, czytany przez przeora święty Tomasz, obok stosu gazet z dni ostatnich.

W długiej i miłej pogawędce z przeorem, dowiedzieliśmy się, że był synem zasłużonego napoleonisty, że interesował się żywo kwestyami społecznemi, że czas poświęcał nietylko modlitwie, ale także czytaniu dzieł naukowych i historycznych, że obecnie znajduje się już tylko w eremie tutejszym razem trzech dożywających kamedułów: najstarszy liczy lat 83, przeor 73, i ojciec najmłodszy 60 lat wieku. Owa dawna uroczysta cisza i nie zamącony nigdy niczem spokój klasztorny, należą już także do podań.

Słońce przechylało się z południa, gdyśmy dopływali do Jabłonny. W pamięci i notatkach odszukiwałem główniejsze fakta z dziejów tej pięknej wioski mazowieckiej. Była ona z dawnych czasów własnością biskupów płockich, którzy tu nieraz zamieszkiwali. Syn Zygmunta III Karol Ferdynand biskup płocki po śmierci brata Władysława IV, przebywał w Jabłonnie, ubiegając się ze starszym bratem swoim Janem Kazimierzem o koronę polską. Michał Poniatowski biskup płocki, brat króla Stanisława Augusta, a następnie prymas, nabył Jabłonnę od kapituły płockiej na swoją własność prywatną. Jego to staraniem poprostowane zostały drogi, wybudowaną porządna wieś dla włościan i założony przy dworze biskupim piękny ogród. On to rozpoczął budowę pałacyku, ale całkowite tegoż ukończenie należy się księciu Józefowi Poniatowskiemu, który będąc synowcem prymasa, odziedziczył po nim Jabłonnę.

Książe Józef nie mogąc służyć krajowi wojskowo za »czasów pruskich« oddał się cały rozrywkom towarzyskim, których świadkiem były właśnie: rezydencya jego miejska w pałacyku »Pod blachą« u podnóża zamku warszawskiego i wiejska w Jabłonnie.

Na tym wesołym dworze rej wodziły wtedy dwie rozbawione kobiety: siostra księcia Józefa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa i pani Vauban zagadkowa emigrantka francuska. Córka Tyszkiewiczowej, hr. Anna Wąsowiczowa, przyozdobiła pałacyk »salą chińską« i urządziła do koła niego pyszny park. Przy bramie wjazdowej ustawiono wówczas do dźwigania latarni dwie kolumny granitowe pochodzące ze starożytnego zamku wielkich mistrzów krzyżackich w Malborgu, w którym podpierały sklepienia ich komnat. Gdy król pruski Fryderyk I kazał przerobić ten zamek na spichrz zbożowy wówczas kolumny owe nabył jeden z kupców malborskich i r. 1827 sprzedał do Jabłonny.

Jabłonnę pamiętałem dobrze z moich pierwszych lat szkolnych, kiedy jeździło się tędy końmi z Warszawy 23 mile do Jeżewa na wakacye, święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Każda podróż taka wymagała przygotowań, miała swoje przygody i dość znaczne wydatki, ale za to wybornie hartowała młodzież przy-



Olbrzymia topola nadwiślańska w Jabłonnie.

zwyczajając do podróżowania w mrozy, upały, śniegi i deszcze. Ciepła karczma na popas wydawała się wówczas ziemią Chanaan, a najporządniejsza na całej tej przestrzeni była oberża Anderliniego z owym znanym, pieszczonym przez wszystkich olbrzymim psem w białe i kasztanowate łaty, o którym opowiadano sobie że wilki pokonywał.

Wylądowaliśmy przy kępie wprost parku i nieświadomi drogi przedzieraliśmy się przez okropnie gęste zarośla, a następnie musieliśmy przeprawić się przez dość głęboką łachę wiślaną na jedynej znalezionej w tem miejscu iście przedhistorycznej łodzi, która widocznie od lat wielu nie służyła już ludziom do nawigacyi. Na wybrzeżu łachy tłum robotników (sprowadzonych z nad górnej Wisły i Sanu) sypał kosztem właściciela ogromny wał ochronny, mający zabezpieczyć od wylewów Wisły. Za wałem tym zaczynał się park ogrodowy, nizko położony z ulicami do pałacyku wiodącemi. Królowały w tej części parku topole nawiślańskie z których jedną mającą 7 metrów obwodu, odfotografowaliśmy na wstępie. Przy pałacyku od strony Wisły w cienistych werandach i chłodnikach ustawiono kilkanaście starych rzeźb rozmaitych, widocznie przywiezionych tu z różnych dawnych pałaców. Cały skromny pałacyk i miejscowość pamiętna głównie jako wesoła rezydencya kawalerska księcia Józefa Poniatowskiego i obfitująca dawniej w liczne po nim pamiątki, robi dziś wrażenie cichego ustronia, przeznaczonego na uroczą siedzibę dla ludzi poważnej myśli i cichej pracy spółczesnej, ludzi potrzebujących wytchnienia w cieniu tej wspaniałej zieloności po spełnieniu szlachetnych obowiązków obywatelskich, dla ludzi miłujących spokój wsi polskiej i zagon rodzinny.

I znowu płyniemy mając zawsze wiatr w oczy. Wioślarz Przerwankowski bawi nas swemi przechwałkami. Powiada że bywał na wszystkich krańcach świata, nawet w Tykocinie gdzie »w rynku stoi na słupie Czarniecki i złotą buławą napędza ludzi do kościoła«. Bywał na kanale Augustowskim i widział ludzi noszących drewniane buty. Flis nasz posila się zimną kawą, której wziął z Warszawy całe wiadro w szafirowym żelaznym imbryku, tak wielkim jak kubeł do pojenia koni. Pocieszał się też jedząc z kawą biały chleb i słoninę, że mu tej lury na parę dni wystarczy.

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Zwinne rybitwy nad głowami naszemi pruły przezroczyste powietrze lub muskały skrzydłami fale Wisły. To znowu widzieliśmy walkę dwóch wron z jastrzębiem, który polował na drobne ptactwo nadrzeczne. One miały gniazdo na topoli nadwiślańskiej i usiłując odstraszyć wroga od gniazda, póty rzucały się na jastrzębia, aż przestał krążyć w tej miejscowości. Mój Boże, pomyślałem sobie, iluż to ludzi nie posiada wcale cnoty czuwania nad swojem gniazdem, ilu zaniedbuje rodzinny zakątek ziemi, a nawet pustoszy ten klejnot najdroższy dla uczciwego człowieka, ilu wreszcie nie przymuszonych potrzebą, zaprzedaje go na zawsze.

Kto by myślał że nie ma uorganizowanego korsarstwa na Wiśle, ten się myli. Jest ono, tylko że za przedmiot zdobyczy służą mu głazy podwodne. Kamienie doszły w Warszawie do takiej ceny i zyski ich dostarczycieli do takiej wysokości, iż rozwinął się na Wiśle handel tym towarem i przemysł w jego wyszukiwaniu i zdobyciu pod wodą. A że mazur, gdzie chodzi o otrzymanie pieniężnego zysku z dzikiej natury, bywa niepospolicie ochoczym, odważnym i sprytnym, więc wielu ludzi, pokupowało sobie duże łodzie i posprawiało odpowiednie przyrządy, aby łatwo i szybko przy cudzych brzegach wydobywać kamienie z głębi Wisły, lub kraść takowe na wybrzeżach. Korzystają oni z tego

że rzeka spławna jest własnością publiczną a oczyszczanie jej koryta nie może być poczytane za występek. Właściciele zaś pól przyległych którzy dużo na tem stracą w przyszłości, gdy brzegi kamieniste staną się przez ogołocenie ich z kamieni podatniejsze do zniszczenia przez bystrą wodę, nie mają wcale obrony, którą mogliby tylko solidarnie uorganizować. Władza zaś powinna by i z tego względu zabronić podobnego rabunku, że wiele kamieni pochodzi ze zniszczonych przez Wisłę ochronnych tam i grobel, które dla zabezpieczenia brzegów były dawniej zbudowane znacznym kosztem. Tymczasem korsarze, używając okutych drągów wyśledzą każdy kamień podwodny i za pomocą dowcipnie urządzonych »pazurów«, liny i bloka z kolbami, wyciągają łatwo .każdy kilkopudowy głaz z mniejszej lub większej głębokości. Połów zaś powyższy idzie im tak szybko i zręcznie, iż czterech ludzi w ciągu kilku minut naszej obecności, wyciągnęło z dość znacznej głębiny na pokład swojej łodzi dwa kamienie kilkocentnarowe.

Postanowiliśmy dopłynąć na nocleg do przystani parostatków pod Nowymdworem, lubo słońce już zaszło, gdy byliśmy na jaką milę jeszcze przed tą miejscowością i zapadała już noc ciemna, pochmurna bez gwiazd i księżyca. W wędrówkach moich zdarzyło mi się nieraz błądzić w lasach, w górach i zimą w nocy na polach bezdrzewnych, ale po raz pierwszy miałem dziś doświadczyć błądzenia na Wiśle. Co prawda, Wisła tu szeroka i zasiana mnóstwem ławic piaszczystych i mielizn, a w noc ciemną rozpoznać niepodobna kędy główne jej koryto, a gdzie woda tylko na kilka cali głęboka. Co chwila więc wjeżdżaliśmy to na jakieś łachy i odnogi, to na piasek z wodą po kostki. Widząc w oddali światełka, podążaliśmy w ich kierunku, sądząc, że należą do flisów, gotujących wieczerzę na tratwach lub berlinkach. Płynęliśmy długo ku tym światłom, i w końcu przekonywaliśmy się, że pochodziły z wiosek oddalonych od brzegu Wisły i znikały wreszcie, zasłonięte drzewami. To znowu zarysował się przed nami czarny kontur niby jakiegoś budynku nad Wisłą i słychać nawet było psów szczekanie w jego stronie. Ale bliżej pokazywało się, że to były tylko kępy drzew i zarośli, a psy szczekały gdzieś jeszcze bardzo daleko. Najgorzej zaś było, gdyśmy tak się zaszyli pomiędzy ławice mielizn, że w żadną stronę nie można było płynąć i należało szukać drogi, brodząc boso po wodzie, która w nocy miała wszędzie pozór czarnych głębin i topielisk niebezpiecznych.

Nareszcie ujrzeliśmy światełko w oknach domku, gdzie powinna była znajdować się przystań statków parowych pod Nowym-dworem. Była to istotnie ta przystań w której zamierzaliśmy przenocować, składająca się z budynku postawionego na szerokim, pływającym gubarze uwiązanym przy brzegu.

Gdyśmy zbliżyli się na kilkanaście kroków do tej przystani, światełko w jej oknach zgasło. Zastawszy drzwi zamknięte, poczęliśmy kołatać, prosić o otworzenie, bębnić w szyby, nawet potrosze grozić, ale bez skutku pożądanego. Wewnątrz zatarasowano się rozmyślnie i ,nie dawano najmniejszego znaku życia. Postanowiliśmy tedy przenocować na pokładzie przystani pod gołem niebem t. j. na pomoście gabaru. Jakoż niebawem pod dwojgiem drzwi z dwoma oknami domku legło jakby wziąwszy go w oblężenie cztery wyciągnięte postacie podróżnych z tłomoczkami pod głową. Towarzysze moi szemrali na twardość desek i zimny wiatr od Wisły.

Rzeczywiście nie można było inaczej powiedzieć o tych deskach tylko że były bardzo twarde i że wiatr północny przejmował nas do kości.

Gdy towarzysze moi znużeni całodzienną wędrówką i wiosłowaniem zaczęli nareszcie chrapać, usłyszałem wewnątrz domu ciche szepty i ostrożne badanie oblężenia. Ze wszystkiego było widać, że przybycie nasze w noc tak ciemną i domaganie się otworzenia drzwi uważano za niebezpieczne, że zaryglowano się jak przed napadem opryszków, obawiając się w nocy włamania z naszej strony.

Dopiero gdy świt dzienny pozwolił przypatrzyć się bliżej podróżnym, obawy mieszkańców przystani ustąpiły i rozjaśnione ich twarze ukazały się we drzwiach. Zrobiłem wówczas wymówkę, że nie wpuszczono nas do izdebki, ale jakiś wąsaty, dobrej tuszy, o jasnych włosach i niebieskich oczach typowy mazur, wychylając się z głębi mieszkania, odrzekł mi:

Niech się panowie nie dziwują tej ostrożności i wybaczą. Często źli ludzie włóczą się tu po nocach i obdzierają. A oto ja handlując świnkami jadę dziś na jarmark do Wyszogrodu i wiozę parę setek rubli w trzosie. Tu pokazał nam staroświecki pas skórzany pod kapotą, szeroki jak dłoń a będący zarazem rodzajem sakwy na pieniądze.

Połączenie się Narwi z Wisłą nadawało od najdawniejszych czasów miejscowości tej ważne znaczenie, ale nie nadawało się ono topograficznie do zbudowania tu grodu czyli warowni, która wymagała stromej góry, otoczonej wąwozem. Najbliższa miejscowość odpowiednia na zamek znajdowała się w odległości prawie pół mili od połączenia się dwóch wielkich rzek, poniżej na prawym brzegu Wisły, zwana Zakroczym. Tutaj zatem na stromej górze, przy gardzieli wąwozu, łączącego się z doliną Wisły, zbudowano pierwotny drewniany zamek, u podnóża którego i na krawędziach wąwozu osiedliło się miasteczko, jedno z główniejszych niegdyś w Mazowszu i stolica oddzielnej ziemi w księstwie Mazowieckiem. Bolesław II Śmiały, fundując r. 1065 Benedyktynów w wielkopolskim Mogilnie naznacza im różnorodną dziesięcinę z Zakroczymia, co wymownie dowodzi, że już w jedenastym wieku miejscowość ta należała do więcej zaludnionych nad Wisłą. Na zamku tutejszym, jako położonym w środku krainy mazowieckiej i u węzła jej wodnych arteryi, z upodobaniem przebywali książęta Mazowsza i tu zjeżdżali się na wspólne narady z innych dzielnic, a z tego powodu Zakroczym stał się najbardziej pamiętnym w dziejach prawodawstwa mazowieckiego. Już w r. 1387 Janusz, książe warszawski, nadał tu prawa swoim poddanym, które do końca życia t. j. do r. 1428 uzupełniał.

Z lustracyi starostwa zakroczymskiego, sporządzonej za Zygmunta Augusta r. 1564 przekonywamy się, jak ludne i zamożne było wtedy jeszcze miasto, gdy samych domów murowanych opłacających podatki liczyło 276.

Klonowicz wspomina pomiędzy ujściem Narwi i Zakroczymiem dwie kępy. Gałąską i Mochetską. Zdaje się jednak że w tych nazwach tkwią pomyłki drukarskie, a przynajmniej »gałąska« to będzie istniejąca dotąd pod Zakroczymiem kępa Gałachska t. j. do wsi Gałachy należąca. Pod Zakroczymiem uderzyła wówczas poetę przedewszystkiem znaczna ilość młynów pływających:

»Tu masz Zakroczym, nie uchybić wzroku
Na prawym boku.
Tu bzd...lów ujrzysz długą procesyą,
Co się na bełchu ze wszystkich stron wiją,
Usłyszysz młyńskich (achcież mnie już na nie)
Kół narzekanie«.

Andrzej Zbylitowski w opisie podróży Zygmunta III do Szwecyi mówi o pierwszym noclegu królewskim po wypłynięciu z Warszawy, który nastąpił pod Zakroczymiem:

»Już noc kruki w wóz ciemny zaprządz gotowała,
Już i zorza wieczorna z morza powstać miała,
Gdy król kazał nawrócić swemu sternikowi
Coprędzej w prawą stronę ku Zakroczymiowi.
Tamże przespał onę noc, a rano gdy młody
Febus konie swe pędził z oceańskiej wody,
Znowu wszyscy do wioseł chutnie się rzucili,
I w drogę ku Gdańskowi dalszą się puścili.
Dzień był wesoły, woda szum wdzięczny czyniła,
Wiatr cichy wiał, pogoda bardzo śliczna była«.

Taki sam właśnie był poranek i pogoda gdyśmy pożegnawszy o wschodzie słońca twarde deski przystani pod Nowymdworem, przypłynęli w godzinę później pod Zakroczym. Wysiadłszy z łódki, wdrapaliśmy się najpierw na górę zamkową z której zdjęte zostały widoki fotograficzne na stojący po drugiej stronie wąwozu starożytny kościół parafialny i na miasteczko. Śladów po zamku nie znaleźliśmy oczywiście żadnych, bo w dobie piastowskiej był drewniany a główną jego obronność stanowiła stromość góry, która dotąd jest znaczna i palisady dębowe, które zwykle strawił czas i ogień. Wierzchołek góry zasiany był owsem a mieszczanie których o zamek rozpytywałem, nic już o nim nie wiedzieli, a nazywali »zamkiem« dom murowany po za miasteczkiem, z dawnego dworca starostów zakroczymskich przerobiony.

Murowany kościół parafialny, wystawiony tu niewątpliwie przez książąt mazowieckich w wieku czternastym, zewnątrz nie zupełnie foremny, ciężki gotyk nadwiślański, w ogólnym planie swoim jest nieco oryginalny. Gmach dość obszerny, odznacza się głównie okrągłemi niskiemi wieżami w rodzaju baszt, u spodu szerszemi, ku górze coraz bardziej zwężonemi i kulisto zasklepionemi, z których dwie stoją na rogach szerokiego frontu kościelnego, a trzecia w południowo wschodnim rogu ściany, część kapłańską od wschodu zamykającej. Wewnątrz świątynia ma budowę zupełnie foremną i kaplice przystawione po obu stronach jednakowo. W ścianach zewnętrznych zwracają uwagę wmurowane dwie kule kamienne znacznej wielkości i duży kamień młyński mocno zużyty przeszło $2^1/_2$ stopy średnicy mający w ścianie frontowej, a będący pamiątką mazowieckiego młynarstwa z wieku

czternastego. W drewnianej dzwonnicy na cmentarzu przykościelnym zawieszone są dzwony, z których jeden starożynością swoją blizkim być musi czasów pierwotnego kościoła w Zakroczymiu. Największy odlany w Toruniu r. 1632 ma 8 uch w kształcie głów tatarskich.

Ksiądz Zabokrzycki, proboszcz miejscowy, zapraszał nas gościnnie do plebanii na śniadanie, którego jednak nie mogliśmy przyjąć spiesząc się w dalszą drogę i sądząc, że na przystani statków parowych przy miasteczku znajdziemy jakiś bufet. Nadzieja ta zawiodła nas całkowicie. Był wprawdzie bufet ale w nim tylko trzy stare obwarzanki, kilka jeszcze starszych pierników z lukrem miętowym, zapstrzonych w ciągu lata przez muchy, a także przybyła na przystań z miasteczka jakby na przeciwieństwo do badanych przez nas starożytności zakroczymskich, różowa pod różowym parasolikiem z czerwoną kokardą jakaś pasażerka. Śmiejąca się osóbka ciekawie nam się przyglądała i zdawała się o tyle być zdecydowaną do pojechania z nami na wycieczkę, o ile towarzystwo takiej nowożytności nie mogło wchodzić w program archeologicznej podróży i pogodzić się z Klonowiczem, Zbylitowskim i Gawareckim.

Gdy zapytaliśmy się na przystani o samowar, jakiś młody żydek, widząc że miejscowy bufet takowego nie posiada, oświadczył gotowość przyniesienia za dwa złote gotującego samowaru z miasteczka i nieczekając naszego zezwolenia pobiegł po takowy. Czekaliśmy jednak długo i sądziliśmy, że już nie powróci, gdy nagle oczom naszym przedstawiła się scena dość komiczna. Od strony miasteczka biegł kłusem żydek z dymiącym samowarem, goniony energicznie przez tłustą i okropnie krzyczącą nań żydówkę z miotłą w ręku, którą starała się dosięgnąć jego grzbietu. Żydek widocznie dla zarobienia dwóch złotych pochwycił gotujący się samowar jakiejś gospodyni zakroczymskiej bez jej zezwolenia i uciekł z nim na brzeg nadwiślański, co stało się powodem zawziętej pogoni. Ilekroć otyła właścicielka samowara dosięgała rabusia miotłą i ręką, odwracał się do niej i groził wylaniem na nią wrzątku. Wówczas krzykliwa »bałabuste« cofała się, a działała tylko wymownym potokiem obelg. Ponieważ najdłuższa z podobnych scen odbyła się w pobliżu naszej łodzi, więc z konieczności byłem obserwatorem gniewu semitów, odznaczającego się zapalczywością gestykulacyi rąk i obfitością szybko powtarzanych obelg, nie pociągającego za sobą ani ciężkich uderzeń, ani rozlewu krwi, jak to bywa u ludów rycerskich np. Mazurów. W repertuarze obelg żargonowych, któremi posługiwała się obrażona obywatelka zakroczymska, zanotowałem trzy ludowe mazowieckie z okolic Zakroczymia, które gwoli ścisłości etnograficznej tutaj podaję, a mianowicie: »ty pomorku rozparty! ty psia ćma! i ty febro zakroczymska!« Nareszcie udało mi się dość łatwo pogodzić zwaśnionych zapowiedzią, że z przyrzeczonych dwóch złotych, otrzymają obie strony po złotówce i resztę herbaty z cukrem na zgodę. Jakoż gdyśmy po śniadaniu opuszczali Zakroczym, pogodzeni wracali do miasteczka niosąc oboje samowar za uszy.

Wypłynęliśmy tedy z Zakroczymia do Czerwińska. Ja notowałem co spotykaliśmy po drodze.

Naprzód niewód rybacki, kilkadziesiąt sążni długi, rozwieszony na kołkach

powbijanych wzdłuż piaszczystego wybrzeża. Dalej olbrzymie karpy topoli nadwiślańskich podmyte przez Wisłę i obalone na brzegu. Drzew tej grubości, rósnących już nie spotykamy tu nigdzie. Brzeg lewy od samych jeszcze Młocin wszędzie jest niski i płaski, prawy zaś od ujścia Narwi wyniosły i stromy. Topole nadwiślańskie rosną głównie na nizinach lewego brzegu. W pozostałych ścianach brzegu prawego, ciekawie się przedstawia uwarstwowanie jednakowej grubości pokładów iłu i gliny. W najwyższych warstwach piaskowych widzimy mnóstwo gniazd grzebułek. Krawędzie tego wybrzeża urozmaicają spotykane na nim dość liczne i niekiedy malowniczo położone cegielnie.

W jednym z cienistych wąwozów pasło się prześliczne stado szwyców szwajcarskich. Zapytany pastuszek do kogo to bydełko należy, odpowiedział nam, że do pana Karczewskiego.

Spotkaliśmy po drodze bardzo silnego »Mazura«; taką nazwę nosił statek parowy, holujący w górę wody pięć gabarów ładownych, wielkich prawie jak berlinki. Handel kamieniem polnym widzimy tu ożywiony, bo wiele statków naładowanych polnym granitem płynie siłą wiatru i żagli pod górę do Warszawy. Płaszczyzny lewego brzegu Wisły mają tu liczne kolonie tak zwanych Holendrów, czyli osadników niemieckich, przybyłych do Polski w dobie panowania Sasów.

Na brzegu prawym, kolonii niemieckich podobno jest mało.

Powyżej Czerwińska odfotografowaliśmy typową kolonię mazurską, nazwaną Praga. Właściciel był człowiekiem zgnębionym z powodu strasznych strat, jakie wyrządza mu Wisła przez ciągłe podmywanie jego pól. W ciągu naprzykład wiosny roku bieżącego na całej długości jego kolonii, Wisła podmyła i zabrała mu pas najlepszej ziemi na 3 sążnie szeroki. W przeciągu zaś lat 10-ciu, ubyło mu morgów 13, tak że opłaca obecnie podatki z przestrzeni 36 morgów a posiada już tylko 23. Jeżeli zaś to niszczenie lądu przez Wisłę pójdzie dalej w tem samem stosunku, (co nastąpić musi z powodu braku regulacyi koryta rzeki), to za lat kilka strasznej zagładzie ulegnie dom i ogród nieszczęśliwego kolonisty. Istotnie okropna to rzecz być musi, widzieć przed sobą grunt usuwający się z pod nóg i patrzeć ciągle w przepaść, do której ma się zwalić w niedalekiej przyszłości rodzinne gniazdo, byt i praca całego żywota. Toteż biedak opowiadając nam swoją ciężką dolę, zapłakał. Sąsiedzi kolonisty, których kilku zebrało się w czasie tego opowiadania, twierdzili jednozgodnie, że do podmywania brzegów przyczynia się bardzo żegluga statków parowych przepływających w pobliżu tych brzegów. Każdy bowiem parowiec tworzy za sobą cały szereg wysokich fal, które z siłą uderzają o wybrzeża. Pomiędzy tymi ludźmi znajdował się mieszkaniec z sąsiedniej wsi Krumnowa, który zwracał na siebie mimowolnie uwagę swojem kalectwem. Miał bowiem obie nogi w kolanach mocno wyłamane do środka, a stopami skierowane na zewnątrz. Chodził pomimo to dość szybko i jak inni zapewniali, mógł dźwigać na swoich barkach dwa razy większy ciężar niż każdy z obecnych. Gdy zapytałem się kolonistów czy w brzegach podmywanych nie znajdują kości przedwiecznych zwierząt, ten właśnie kaleka oznajmił mi, że posiada róg jeleni, w miejscu podobnem znaleziony. Jakoż niebawem pobiegł do Krumnowa i róg ten mi dostarczył.

Powolna żegluga naszej łodzi z powodu ciągłej walki z wiatrem wstecz-

nym, nie pozwalała nam wstępować do wielu miejscowości po drodze, bo przedłużyłoby to naszą podróż nadmiernie. I tak musieliśmy pominąć kościelne Smoszewo, gdzie oprócz kościoła godzien był do widzenia, jeżeli dotąd jeszcze istnieje, dąb starożytny. Klonowicz pisze we Flisie o okolicy tutejszej:

Wnet zaś Wilkowska kępa za nią blisko,
Druga, co ma swe od miasta nazwisko;
Bo tu Czerwieńsko czerwieni się dawne
Klasztorem sławne«.

Deszcz lał jak z wiadra a wzburzona Wisła cała posiniała jakby z gniewu, gdyśmy z trudem wielkim dobijali się pod wieczór do przystani Czerwińskiej. Żydek usłużny powynosił nasze przemokłe walizki do oberży pana Sobierańskiego, która tem jest dla Czerwińska, czem hotel Europejski dla Warszawy, a nawet czemś więcej jeszcze, bo gdy Warszawa po za Europejskiem ma jeszcze sto innych hoteli i jadłodajni, to w Czerwińsku uczciwą jajecznicę można tylko dostać u pana Sobierańskiego a raczej u pani Sobierańskiej. Zaraz też skoro weszliśmy do jakiegoś trzeciego czy czwartego pokoiku po za sklepem, (są to niby gabinety restauracyjne, tylko o wiele moralniejsze niż warszawskie), zapytano nas »a po ilu jajach ma być jajecznica?« Po pół kopie, brzmiała odpowiedź i podawana szybko z ust do ust pana, pani i sług, uderzyła w kosz potężny z jajami stojący pod łóżkiem gospodyni domu, z którego poczęto starym zwyczajem liczyć na pary do piętnastu, dla rozbicia ich na potelnię.

Przybycie podróżnych pobudziło czujność miejscowej policyi. Jakoż od strony podwórka począł ktoś szturmować do drzwi naszej izdebki, a że jak się pokazało, drzwi te były zabite od dawna gwoździem, więc zaczęły trzeszczeć przy gwałtownym ich napieraniu. Nadbiegł na ten hałas sam gospodarz i uśmierzył go wołaniem: »Przez bufet, przez bufet bo tu drzwi gwoździem zabite!«

Nazwa Czerwińska, jak dawniej pisano i lud dotąd wymawia »Czerwieńska«, poszła prawdopodobnie od czerwonych dachówkowych dachów kościoła, klasztoru i wieżyc, które były niewątpliwie najstarszym i najpierwszym gmachem murowanym i czerwony dach posiadającym w tej okolicy Mazowsza. Opactwo czerwińskie jako najbogatsze w Mazowszu i będące od XII-go wieku jednem z głównych siedlisk kultury tego kraju, zasługuje tu na podanie nieco obszerniejszej o niem wiadomości, tem bardziej, że znajdujące się szczegóły w encyklopediach o jego początku i założeniu, są wogóle niedokładne i bałamutne. Oparliśmy się pod tym względem na najgruntowniejszej pracy jaką mamy dotychczas o Czerwińsku t. j. na obszernym artykule profesora Łuszczkiewicza w »Sprawozdaniach Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce«, wydawanych przez Akademię Umiejętności w Krakowie.

Nasze najważniejsze pomniki architektury romańskiej — powiada profesor Łuszczkiewicz — nie zawsze dochowały się w stanie, w jakim pragnąłby je mieć dla swych celów badacz dziejów sztuki.

Nie tyle zniszczone są one starością w mniej przychylnych warunkach na



Dzwonnica w Czerwińsku.

szego klimatu, ile złą restauracyą w różnych czasach. Stosuje się to szczególniej do dwóch wspaniałych zabytków romańszczyzny XII wieku, jakiemi są kościoły w Tumie pod Łęczycą i klasztorny w Czerwińsku, o których sądząc z dzisiejszego stanu ich wnętrzy przerobionych w XVII wieku, nie przypuszczalibyśmy, ile mają z sobą wspólności w układzie planu i rozmiarach. Obadwa z granitowych zbudowane bloków z dwiema wieżami od frontu, zakończone trzema absydami, mają i to wspólne, że za posadę swą obrały miejsca, które średniowiecznym przynależały zamkom.

Żadna okolica dawnej Polski nie miała tak bezwarunkowej konieczności szukania obronnej podstawy pod mający się budować kościół lub klasztor, jak Mazowsze na prawym brzegu Wisły, graniczące od północy i wschodu z dzikiemi krainami napastniczych pogan pruskich Litwy i Jaćwieży. Było też Mazowsze od najdawniejszych czasów krajem grodów, jak świadczą o tem dziś jeszcze, liczne, a przedwieczne nasypy i grodziska w jego ziemiach. Do takich zaś grodzisk należał prawdopodobnie i Czerwińsk przed zbudowaniem tu klasztoru dla kanoników lateraneńskich, których początkowe wprowadzenie do Polski wiąże się niemal z epoką zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej w tym kraju.

Prawie wszyscy nasi rocznikarze i kronikarze bałamutne podają wiadomości o pierwotnej fundacyi opactwa czerwińskiego. Boguchwał przypisuje założenie klasztoru Piotrowi Włastowi. »Spominki płockie« czynią zaś fundatorem jakiegoś Aleksandra biskupa płockiego, jakoby w roku 1055. Paprocki w swoich »Herbach rycerstwa« przyznaje to na podstawie jakiegoś katalogu opatów Włochowi Paschalisowi w roku 1077.

Wszystko to dzisiejsza krytyka historyczna obala i wiąże słusznie z pracą nad początkami biskupstwa Płockiego, w którego dyecezyi leżał Czerwińsk. Jest dzisiaj rzeczą dowiedzioną, że kanonicy regularni lateraneńscy nie mogli znaleść się w Trzemesznie za czasów Mieczysława I, jak do niedawna stale utrzymywano ani być już r. 1055 osadzeni w Czerwińsku przez mniemanego Alexandra Paschalisa biskupa płockiego, jak utrzymuje Długosz, zakon bowiem pod tą nazwą nie istniał przed końcem XI wieku. Nazwa kanoników regularnych występuje dopiero w bullach od czasów Urbana II około r. 1095. Wszystko zatem przemawia, że przed wiekiem XII t. j. wcześniej niż na górze Sobotce w Szląsku nie mogli być kanonicy lateraneńscy osadzeni w Czerwińsku, zatem i data zapiski płockiej jest mylną. Bulla Adryana IV z r. 1155 nie zapomina o ofiarodawcach dla klasztoru czerwińskiego pojedyńczych wsi, a nic nie wspomina o Piotrze Właście (zmarłym r. 1153), zatem nie ulega wątpliwości, że Piotr Włast, zwany inaczej Duninem, fundator klasztoru wrocławskiego, nie mógł być założycielem opactwa czerwińskiego, jak to mu przypisują późniejsi kronikarze. W wyliczeniu dochodów i posiadłości klasztornych z r. 1155 występuje jako hojny dobrodziej Henryk książe Sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego, a przeważają nad majątkiem ziemskim opactwa liczne dziesięciny i prebendy co oznacza fundacyę biskupią. Można tedy uważać za rzecz dowiedzioną, że fundatorem klasztoru czerwińskiego był Alexander, czwarty z rzędu biskup płocki żyjący za czasów Bolesława Krzywoustego, ten, któremu dziejopisarze dodają rodową nazwę i herb »Dołęga«, ten

sam, który zbudował gmach katedry na górze zamkowej w Płocku, poświęcił go 1144 r. i pochował w jego grobach zwłoki Krzywoustego, zmarłego r. 1138. Zna go historya sztuki, jako fundatora drzwi bronzowych, przeznaczonych do katedry płockiej, dziś w Nowogrodzie wielkim znajdujących się. Według katalogu biskupów płockich, Aleksander obrany był na swoją stolicę r. 1130, umarł zaś r. 1156.



Obraz cudowny Najśw. Maryi Panny w wielkim ołtarzu kościoła Czerwińskiego.

W tym więc przeciągu czasu ufundowany został klasztór w Czerwińsku i tej epoce odpowiada w zupełności pierwotna jego struktura.

Książęta Piastowscy, synowie Krzywoustego, obsypali opactwo czerwińskie nadaniami. A więc nasamprzód Bolesław Kędzierzawy oddaje na wieczną własność kościoła Najświętszej Bogarodzicy w Czerwińsku wieś Zaszków (pod Nur-

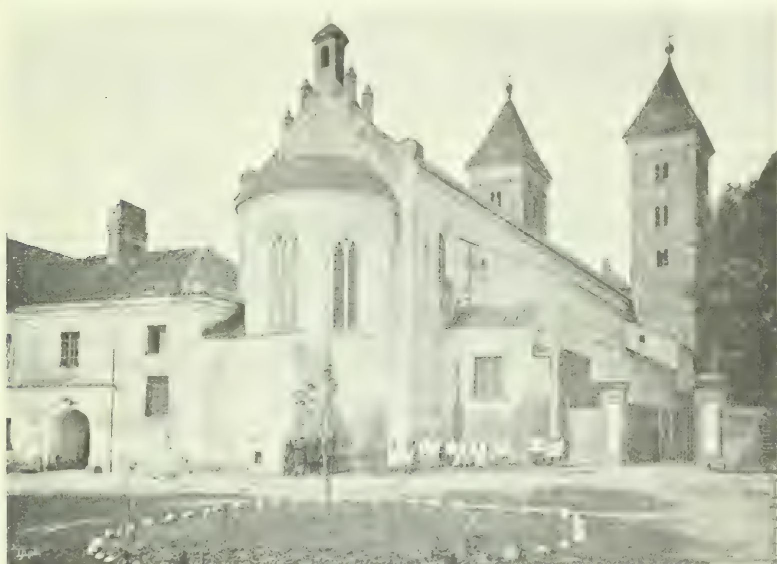
cem), Poniechowo (przy ujściu Wkry do Narwi), Komsin, Parlerz z Radoszewicami i t. d. Brat jego Henryk sandomierski, ten, który potem zginął nieszczęśliwie podczas wyprawy na pogan pruskich, darowuje wieś Zuzelą z przewozem i targowiskiem (na Bugu), i inne. Był także dobrodziejem i Konrad II książe Czerski, który pochować się tu kazał r. 1294.

Tablice nagrobkowe, w kościele zachowane, powiadamiają nas o historyi przebudowań kościoła i klasztoru. Zmarły r. 1538 opat Jakób Kula z Sobol, herbu Roch, był pierwszym, który kościół zasklepił. Świątynia bowiem czerwińska, tak jak inne romańskie w naszym kraju, miała pierwotnie tylko pułap belkowy. Tenże sam opat pododawał na zewnątrz zazębiane szczyty kościelne i zbudował gotycką basztę przed kościołem, która zarazem służy dziś za dzwonnicę i bramę główną wiodącą na cmentarz kościelny. Drugim restauratorem był Mikołaj Szyszkowski zarządzający opactwem czerwińskiem, który r. 1633 kościół starożytny, niezgrabną budowę trudem i ogromną pracą z ciosanego kamienia wzniesiony i już ruiną zagrażający, przerobił, nadając mu kształtniejszą powierzchowność. Ołtarz wielki z figurami świętych Wojciecha i Stanisława wystawił.

Wówczas to niejaki Łukasz, malarz z Łowicza, powołany dla prac malarskich do Czerwińska odmalował obraz na płótnie Najświętszej Panny na wzór rzymskiego w Sancta Maria Maggiore. Obraz ten długi czas w schowaniu będący, około roku 1647 okazał się cudownym i za takowy w r. 1648 przez królewicza Karola Ferdynanda, biskupa płockiego uznanym został. Pomieszczono go też w wielkim ołtarzu gdzie się dotąd znajduje, posiadając pięknej roboty srebrną suknię Najśw. Panny i liczne zawieszone na tle obrazu wota. Postanowiliśmy odfotografować go raz pierwszy (wielkim aparatem), co okazało się zadaniem dość trudnem ze względu wysokiego umieszczenia obrazu i niedostatecznego światła w świątyni. Prawdziwej sztuki dokazał towarzyszący mi pan L. W. ustawieniem aparatu na wierzchołku wysokiej podpartej drabiny i utrzymaniem go w działaniu przez minut 20. Pierwsza ta fotografia obrazu czerwińskiego udała się przewybornie, i z niej to dołączamy tu reprodukcję. Opat Fabian Zdzieborski około r. 1740 »wygodne mieszkanie dla księży zreformował, w kościele różne ozdoby poczynił, nadto skarbca potrzebne do opackiej celebry sprzęty sprawił«. Następca jego na opactwie był uczony ksiądz Matesz Kraszewski, autor znanej Gawareckiemu ale zatraconej potem pracy rękopismiennej: »Nova et vetera de thesauro antiquissime ecclesiae b. v. Mariae de Czerwińsk« etc. W roku 1819 nastąpiło zniesienie czerwińskiego opactwa kanoników lateraneńskich, do których opuszczonego klasztoru przeniesione zostały Panny Norbertanki z Płocka. Kościół został parafialnym, a przytykający do niego gmach opactwa opustoszał i stanowi dziś smutny obraz ruiny której część joko tako podtrzymywaną, zamieszkiwało jeszcze dożywotnio kilka sędziwych zakonnic.

Ciekawem jest pomieszczenie klasztoru na pochyłości wzgórza zniżającego się ku miasteczku i Wiśle. Od strony też miasteczka z dołu widok jest prawdziwie malowniczym na to piętrzenie się dobudowywanych gmachów, wyrastających skarpowo, na te schody kamienne, drzewa i kryjącą się pomiedzy niemi basztę (dzwonnicę w stylu krzyżacko-toruńskim przez opata Jakóba Kulę z Sobal (więc

zapewne Sobolewskiego) za czasów Zygmunta I wystawioną. W zbiorach p. Ludwika Michałowskiego w Krakowie znajdowała się rzadka i ciekawa rycina, pochodząca z wieku XVII, a przedstawiająca obraz cudowny Najświętszej Maryi Panny Czerwińskiej z pomieszczonym u dołu widokiem opactwa. Na rycinie tej widzimy w dziedzińcu zakościelnym w miejscu i w kierunku dzisiejszej plebanii t. j. domu proboszcza, duży gmach w stylu pałacowym z XV wieku, z dwoma cylindrowemi na rogach basztami i szczytem zazębionym. Ponieważ w dziejach znajdujemy



Kościół w Czerwińsku od strony dziedzińca klasztornego.

wzmianki, że książęta mazowieccy nieraz przebywali w Czerwińsku, godzi się więc przypuszczać, że gmach ten był ich zamkiem, czy poprostu dworem, a plebania dzisiejsza jest jego pozostałością. Jest także widoczny na tej starej rycinie, w stronie północno-zachodniej od opactwa (gdzie dziś ogród proboszcza) mały kościółek w podwójnem ogrodzeniu. Był to niewątpliwie kościół parafialny św. Wojciecha, o którym mówi Gawarecki, że pozostawał w zawiadywaniu Kanoników Regularnych od roku 1428 aż do rozebrania go w r. 1778.

Oznaką ścian pierwotnych kościoła czerwińskiego z wieku XII jest ich materyał, a mianowicie obrabiany w kostkę (dość starannie co do zewnętrznej powierzchni i czworobocznych krawędzi) granit na polach okolicznych znajdowany, czyli

tak zwane bloki eratyczne. Kościół czerwiński ma układ bazylikowy i skierowany jest po linii świętej ku wschodowi. Badania profesora Łuszczkiewicza wykazały, że tak samo jak w Tumie łęczyckim, wnętrze świątyni zostało w XVII w. zupełnie przerobione. Potrzeba odosobnionego prezbiteryum, zakrystyi i skarbca, pomieszczenia wielkiej liczby ołtarzy i siedzeń księżych, wprowadziły forsowne zmiany w programie pierwotnym kościołów romańskich. Odpowiednio tedy do tych nowych potrzeb i wymagań, utworzone tu zostało prezbiteryum przez zamurowanie dwu ostatnich arkad i oparcie stall kanonicznych o ściany tym sposobem utworzone. Skrócono zaś nawy boczne ujęciem ich na kaplice i odgrodzeniem od absyd z jednej strony ścianą zakrystyjną, a z drugiej skarbcową.

Przy froncie kościoła naprzeciw obu naw bocznych, wzniesione są z granitu dwie kwadratowe wieże, mające boki zewnętrzne szerokie na 6½ metra, a ściany grube na pięć ćwierci metra. W każdej ścianie tych wież powyżej zrębu kościoła znajdowało się po trzy romańskie okna, takie same jak w wieżach kościoła św. Andrzeja w Krakowie, który również jak czerwiński, jest zabytkiem wieku XII. Ogółem tedy znajdowało się w tych wieżach 24 podobnych okien, czyli tak zwanych przezroczy, z których kilka zachowało się dotąd w kształcie pierwotnym, inne zaś bądź całkiem zamurowane, bądź naprawiane cegłą w ten sposób, że w miejsce kamiennego środkowego filarka zrobiono gładką kolumnę z cegieł, licującą ze ścianą wieży. Po oknach nawy głównej nie pozostało śladów, gdyż przy przeróbkach księdza opata Szyszkowskiego znacznie powiększonemi zostały. Z okien zaś nawy bocznej utrzymało się przez zamurowanie kilka pierwotnych węgarowych obramień, przypominających rozmiarami małe okienko Tumu łęczyckiego. Ogólna długość wnętrza nawy głównej od ściany frontowej do absydy wynosi 36 metrów, naw bocznych 31 metrów, szerokość trzech naw razem 16 metrów, ściany wież mają być wysokie na 108 stóp.

Ślady pierwotnej ozdobności romańskiej zachowały się przedewszystkiem w głównym portalu, prowadzącym z kruchty do wnętrza kościoła. Otwór jego zamknięty w górze półkolem, posiada szerokości dwa i trzy ćwierci metra, a towarzyszy mu od strony kruchty para kolumn romańskich, z których każda stoi w ustępie prostokątnym. Profesor Łuszczkiewicz przypuszcza z grubości muru frontowego, że portal miał jeszcze drugą parę kolumn. Kapitele dwóch istniejących dotąd kolumn odznaczają się bogatą ornamentacyą figuralną i roślinną, a są wybornie kute z poczuciem artystycznem. Kształt ich ogólny wychodzi z zasady kostkowej, jest dołem okrągły, górą czworoboczny. Różnica obu kapiteli polega na odmiennej ornamentacyi, ale wymiary są jednakowe. Na kapitelu z prawej strony wejścia widzimy maskę, trzymającą w ustach roślinne skręty, na kapitelu zaś lewym postać mężczyzny ze smokami. Kolumny i kapitele wykute są z drobno ziarnistego zbitego piaskowca, przypominającego piaskowce użyte w Tumie łęczyckim. Z archiwolty czyli łuku ozdobnego nad kolumnami i gzemsami zostały tylko drobne ułomki, gdyż późniejsze sklepienie kruchty, które zrobiono nizko, aby zyskać piętro na pomieszczenie organu, zakryło prawie cały łuk portalu, a raczej wyrąbano wszystko, aby się to sklepienie lepiej ściany trzymało.

Tyle z epoki Piastów, o której średniowiecznem zacofaniu i barbarzyństwie

każdy młodzieniec gotów dziś rozprawiać. A jednak taka świątynia romańska z granitu ciosanego zbudowana, względnie do braku środków technicznych, komunikacyjnych i kulturalnych XII wieku, w kraju niedawno jeszcze pogańskim, w Mazowszu nie posiadającem małopolskiego możnowładztwa, była olbrzymim na owe czasy szczeblem i postępu i cywilizacyi. Dziś po ośmiu wiekach postępu świeci Czerwińsk



Zamek starożytny żelazny od drzwi skarbca w kościele czerwińskim.

ruiną, ubóstwem, ciemnotą, nieposzanowaniem pamiątek przeszłości. Darmobyś tu szukał kogokolwiek, żeby ci o dziejach opactwa i okolicy umiał coś ściślejszego powiedzieć, albo zachowywał od zniszczenia dawne pamiątki. I Gawareckich już nie mamy, a nawet o rzekomo słynnych garncarzach czerwińskich nic się dowiedzieć nie mogłem. Na plebanii pokazano mi tylko stary, ogromny, ciekawy zamek od skarbca kościelnego, a w skarbcu trochę srebrnych, pogiętych rupieci, odebranych

złodziejom, którzy przed kilku laty skarbiec ten okradli. Ludziska szepczą sobie tylko głuche wieści czy plotki, że co tylko miało wartość artystyczną, to wykupione zostało od złodziei przez handlarzy zagranicznych.

Od strony Wisły wąwozem u podnóża kościoła idzie droga, którą przechodzić musiało wojsko Władysława Jagiełły podczas trzydniowej przeprawy przez most pod Czerwińskiem, gdy szło r. 1410 na wojnę krzyżacką pod Grunwald. Nad wąwozem tym przy rogu kościelnego cmentarza jest pagórek, z którego jak utrzymuje miejscowe podanie — Jagiełło z Witoldem mieli przypatrywać się zastępom dzielnego rycerstwa polskiego, gdy u stóp ich ciągnęło wąwozem. Bardzo być może, że na tym rogowym pagórku, gdzie dziś krzyż i ławeczki, stała wówczas baszta warowni klasztornej. To zaś jest pewnem, że król Jagiełło, na podziękowanie Bogu za wielkie zwycięztwo nad Zakonem niemieckim, złożył w kościele czerwińskim wotum srebrne i swój szyszak, co dochowywało się na miejscu do r. 1819, t. j. kasaty opactwa.

Krążył z nami po wszystkich zakątkach opactwa jakiś człowiek sympatycznej powierzchowności i z pewną wiedzą umysłową, mówiący dużo, ale nie logicznie, a nas obdarzający szczególną swoją życzliwością. Kierowany jakimś instynktem, jeszcze nie wiedząc, że jest on obłąkanym, miałem dla niego dziwne współczucie. Przypomniał mi się teraz jeden moment z moich wędrówek po kraju w latach dawniejszych. Kiedym raz jechał wózkiem góralskim ze Szczawnicy do Bochni, spotkałem także obłąkanego młodzieńca, który okazywał mi równie przyjazne uczucia i pod ich wpływem ofiarował wiązankę uzbieranej przez siebie konwalii. Czy to nie ciekawy objaw dla psychologa i pesymisty, że człowiek aby chętniej okazywał swoją przyjaźń dla obcych, musi pierwej zwaryować. Nasz biedak w Czerwińsku pomagał nam nosić aparat fotograficzny, a w kościele obdarzył nas melodyą, odegraną biegle na organach. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że był to uzdolniony organista przy jakimś kościele nad Dnieprem, że miał młodą żonę, którą bardzo kochał i dwoje drobnych dziatek, i że gdy żona mu umarła, powrócił obłąkany do rodzinnego Czerwińska, a powrócił i bez dziatek, z któremi nie wiedzieć co się stało.

Czerwińsk zajął nam prawie całą dobę, więc dopiero nad zachodem słońca wyruszyliśmy nurtami Wisełki do odległego stąd o małą milę Wyszogrodu. »Flisa« miałem w kieszeni, więc jakże do niego nie zajrzeć:

»Tamże zaś odtąd poniesie cię woda
Przestronnym wartem aż do Wyszogroda,
Kędy na prawo gród bardzo wysoki
    Rzeże obłoki.

Na lewo zasię ujrzysz w brzegu dziurę,
Co nią wypija Wisła gnuśną Bzurę,
Jak więc wielki smok małego wężyka
    Mknie do piwnika«.

Wyszogród jest miasteczkiem większem niż trzy, dotąd nad Wisłą przez nas napotkane (Nowydwór, Zakroczym, Czerwińsk), a był niegdyś również jak Zakroczym stolicą jednej z dziesięciu ziem, dawne województwo Mazowieckie składających. Gdy przybywszy, pytaliśmy najprzód o miejsce na nocleg i ulokowanie naszych walizek, jakiś kręcący się na brzegu człeczyna wskazał nam Moszka nad Wisłą. Nad gościnnym gankiem Moszka uderzał malowany napis: »Dom zajezdny i różnych jedzenie«, napis dowodzący w każdym razie, że Wyszogród posiada własnych starozakonnych malarzy. Rok 1847, wykuty na kamieniu brukowym u wejścia do ganku zdawał się wskazywać znowu, że już zaczęło się drugie pół wieku, jak można tu dostać »różnych jedzenie«. Widocznie ten sam artysta ozdobił swoją pracą i ortografią także inne przybytki handlu i przemysłu, bo oto nad jednym ze sklepów wyszogrodzkich napisał: »Sprzedaż tabaku iz różnych fabryków«, co przypomniało mi niedawno widziany znak w Tykocinie: »Fabryka wodow fruktowych«.

Hotel nasz wyszogrodzki znajdował się u podnóża góry zamkowej, więc też nie tracąc czasu weszliśmy zaraz, nie bez trudu, na jej wierzchołek. Tak samo jak w Zakroczymiu przy gardzieli wąwozu, uchodzącego do doliny Wisły, znaleźli starożytni Mazowszanie i tutaj niby półwysep, który dał się oddzielić od wyżyny głębokim i szerokim przekopem, i utworzył w ten sposób tak samo jak tam stromą górę do zbudowania zamku pierwotnie drewnianego Stanął on na wysokiej względnie do poziomu Wisły wyżynie, więc go z tego powodu nazwano Wyszogrodem. A w którym to było wieku, dzieje milczą, bo ich nikt wówczas jeszcze w ziemi mazowieckiej do ksiąg nie spisywał. W r. 1065 Bolesław II Śmiały nadaje Benedyktynom z Mogilna wielkopolskiego dziesięciny w Wyszogrodzie. A więc zamek musiał już istnieć przed XI-tym wiekiem, skoro osiedliło się przy nim tyle mieszkańców i zasiewano tyle zboża, że w r. 1065 opłaciło się dalekiemu klasztorowi nadawać dziesiątą część ich plonów czy dochodów. Latopis Hypacowski powiada, że Konrad I-szy, książe Mazowsza, r. 1240 w czasie wielkiego najścia Mongołów na Ruś dał w Wyszogrodzie schronienie księciu Danielowi halickiemu, co znowu dowodzi, że zamek musiał należeć do najwarowniejszych w jego kraju, ale co nie przeszkadza, że jeszcze musiał być drewniany, bo są świadectwa, że dopiero Kazimierz Wielki zmurował tu zamek z cegły. Ten kazimierzowski musiał mieć wysokie baszty, jak miały wszystkie zamki owych czasów, skoro Klonowicz powiada o nim: »Kędy na prawo gród bardzo wysoki rzeże obłoki«. Warownia ta dotrwała do końca XVIII wieku i dopiero rząd pruski, nie chcąc ponosić kosztów na jej podtrzymanie i nie życząc sobie, aby w nowo przyłączonej dzielnicy kraju znajdowały się miejsca obronne, sprzedał mury kazimierzowskie do rozebrania na cegłę. Tak znikł ten zamek ostatni po czterech i pół wiekach istnienia.

Z góry zamkowej roztacza się widok malowniczy na miasteczko i wspaniały na rozległą dolinę Wisły, widok przypominający z Jowialitates Wacława Potockiego:

»Pięknie patrzyć na lasy i odległe góry,
Pięknie na krętej Wisły rozliczne figury«.

W górze Wisły widać trzy obszerne wyspy, z których najdalsza i największa, pokryta lasem, dotąd nosi u ludu nazwę »Kępy Konfederackiej« lub »Konfederatki«

od czasu wojny barskiej, kiedy konfederatom mazowieckim za punkt oparcia służyła. Prawie wprost góry za korytem Wisły i szerokiemi ławicami białego piasku widać ujście Bzury, która tak samo jak Narew przynosi wodę przeźroczystą, sinawą, zupełnie innej barwy niż wiślana, ale że przynosi tej wody w porównaniu z Narwią mało, więc wlewa ją do łożyska macierzy nieznacznie, na uboczu, przy wsi zwanej Kamion, gdzie była dawniej żupa soli wielickiej. Sądząc z położenia, możnaby znaleźć w okolicy ujścia Bzury starożytną stacyę krzemienną, ale noc nadchodziła, więc nie mogliśmy puścić się na dalekie poszukiwania. Nizina zawiślańska z góry dość daleko widoczna płaska i lesista. Panował tylko nad tą płaszczyzną mazowiecką wielki, stary, czerwony kościół w Brochowie nad Bzurą i zarysowywał się na widnokręgu jakiś olbrzymi komin zapewne jakiej cukrowni. Statek parowy płynący z Warszawy do Płocka z mrowiskiem podróżnych na pokładzie, przybija do swojej przystani u podnóża góry zamkowej, a koła jego rozpryskiwały wodę w mgłę drobną, w której promienie jaskrawo zachodzącego słońca odbiły się ułamkiem barwnej tęczy. Wzrok nasz poiliśmy długo widokami z tej wyżyny.

O samej górze zamku wyszogrodzkiego tyle powiedzieć jeszcze można, że stoki jej od Wisły t. j. od południa, a jeszcze więcej od zachodu znacznemu uległy zniszczeniu. Z pod góry sączy się do Wisły źródło wody żelazistej, która czy była kiedy przez chemików i lekarzy badaną, tego nie wiem. Na szczycie góry już ani śladu rumowisk, ale za to prawdziwa niespodzianka — bujna łąka. Widocznie nabywcy murów zamkowych od rządu pruskiego, wybrawszy fundamenta do głębi, a zostawiwszy wiele miałkiego gruzu wapiennego, urządzili tym sposobem naturalną regulówkę, która przy powierzchni zaklęśniętej i mokrym roku, pokryła się gęstą i bujną ciemno-zieloną runią łąki, którą magistrat tutejszy wydzierżawia. Zastaliśmy na tej łące kilku chłopców z koszyczkami, poszukujących czegoś w trawie. Przypatrzywszy się bliżej ich zagadkowej robocie, przekonaliśmy się, że nie były to wcale poszukiwania archeologiczne, ale z pulchnej ziemi wygrzebywali drobne pieczarki. — Zaniesienie aparatu fotograficznego na górę i powrót z nim przy wielkiej spadzistości stoków przedstawiał pewne trudności. Ale za to gdy się już było na wyżynie, fotografowaliśmy roztaczające się widoki na cztery strony świata.

Nocleg mieliśmy w Wyszogrodzie u pana Moszka w izbie dużej widnej, ozdobionej portretami Montefiorego, barona Hirsza, kilku uczonych talmudystów i małem lusterkiem, zawieszonem tak wysoko pod pułapem, aby było bezpieczne od stłuczenia, nie mogąc służyć nikomu. Ujemną stronę noclegu stanowiła atmosfera, wskazującą, że gospodarz i gospodyni uważali wszelką wentylacyę za rzecz dla zdrowia niebezpieczną. Rano wstawszy, wyszedłem na miasteczko, które już w wieku XVI posiadało cechy: złotników, mieczników, stolarzy, kotlarzy, kowali, ślusarzy, bednarzy, kołodziejów, rymarzy, szklarzy, szmuklerzy i jeszcze inne, a co dziwniejsza, posiadało ogrody z winnicami zapewne na stokach południowych ku Wiśle założone i pochodzące z tych czasów, kiedy łudzono się jeszcze w Polsce możliwością fabrykacyi wina polskiego, a w każdym razie wyrabiano go na potrzeby rytualne.

Kościół farny wyszogrodzki, nadany r. 1320 Bożogrobcom miechowskim, gdy r. 1773 pogorzał, zastąpiony został nową dużych rozmiarów świątynią, w której nic już ciekawego nie znajduje się. Zauważyłem tylko umieszczoną na bramie

kościelnej dużego kalibru kulę kamienną, jakiemi w wiekach XV, XVI i jeszcze XVII-tym strzelano z moździerzy, szturmując do zamków i baszt miejskich. Odfotografowaliśmy jedyny stary kościół w Wyszogrodzie, gotyk nadwiślański, ale poprzerabiany już na wszystkie strony, niegdyś należący do Ojców Reformatów, po ich przeniesieniu za czasów pruskich do Dobrzynia, oddany do użytku ewangelikom.

Ponieważ żydzi opowiadali mi dziwy o tutejszej synagodze, namawiając, abym ją zwiedził, zaszedłem więc do tej sławnej bożnicy, która założona wtedy, kiedy rząd pruski sprzedał zamek tutejszy na rozbiórkę, prawdopodobnie zmurowaną została przeważnie z cegieł Kazimierza Wielkiego.

W synagodze tej nie pokazano mi nic ciekawego oprócz charakterystycznego po kątach niechlujstwa i niedawno wymalowanych niezgrabnie na ścianach scen ze starego testamentu. Kachalni, którzy uprzejmie oprowadzali mię po synagodze, nie wiedzieli tego zupełnie, że nawet dzieci chrześcijańskie uczą się starożytnej ich historyi, gdy więc widzieli, że wszystkie freski objaśniam sobie bez ich pomocy, nie mogli wyjść z podziwu, okazując to głośnem cmoktaniem języka o podniebienie i honorami, jakie uważali za odpowiednie dla »katolickich rabinów«.

Po zwiedzeniu synagogi zaszedłem do miejscowego fryzyera, żądając ogolenia. Młody dość elegancki żydek zapytał mnie najprzód, skąd przybywam? Gdy mu odpowiedziałem, że jadę z Warszawy, pragnął forsownie i w bardzo komiczny sposób przybrać maniery w jego pojęciach ucywilizowanego człowieka. Poczęstował więc mnie najprzód papierosem, a gdy nie przyjąłem mówiąc, że nigdy nie palę, zapalił sam, następnie przyglądał się kółkom dymu, puszczanym przez siebie w moją stronę, usiadł na kanapie aby wywecować brzytwę, przejrzał się, poprawiając włosy w popstrzonem przez muchy lustrze, nucił coś pod nosem i gwizdał, zanim nareszcie osłonił mnie całego nie zupełnie śnieżnej białości spodnicą swojej żony i tępą brzytwą ogolił.

I znowu fale Wisły nas kołyszą, a wydobyty z torby podróżnej Klonowicz prawi nam tak o tej rzece pomiędzy Wyszogrodem a Płockiem.

»Potem nadejdą kępy w tejże toni,
Gdzie naprzód Drwalska Nieznachowską goni,
Tudzież mieszkają dzicy Nieznachowie
 Na swym Ostrowie.

Chocia tam bębny, chocia słyszysz dudy,
Daj im tam pokój, radzęć flisie chudy;
Bo choć się w rzeczy między sobą wadzą,
 O tobie radzą.

Nie zasiadaj w rząd, bo to źli robacy,
Nie nazbyt pewni, a wszystko rodacy,
Bo na cię świeże, chociaż sobie łają,
 Guzy chowają.

A także od nich odpychaj szkutę zdrów,
Trafisz przed sobą Pomocnieński ostrów,
U wsi, u kępy, Muntawa w prawy bok
W Wisłę się mknie w skok.

Potem Wiącemska samać się nawinie
I Zerska kępa, wtem Płocko nadpłynie i t. d.«

Widzimy, że Klonowicz od Wyszogrodu do Płocka na przestrzeni około mil pięciu wymienił sześć kęp z ich nazwiskami. Mniej więcej taka sama liczba kęp większych i zamieszkałych istnieje tu i dzisiaj, ale nazwy zostały pozmieniane i ich plątaniny rozwikłać teraz nie podobna. Poniżej Wyszogrodu w pobliżu wsi Drwały istnieją dziś dwie kępy tak zwane: Januszowskie, zamieszkałe przez kolonistów. Zdaje się, że to do nich stosuje Klonowicz: »Gdzie naprzód Drwalska Nieznachowską goni« — i że na jednej z nich mieszkali owi »dzicy Nieznachowie«, których tak się każe poeta wystrzegać flisom.

Na całej prawie przestrzeni od Wyszogrodu do Płocka spotykamy mnóstwo tratew, zatrzymanych od tygodnia wiatrem północno-zachodnim. Podczas tej przymusowej bezczynności oryle zażywają wczasów nielada, śpiąc w swoich słomianych budkach, piorąc swoją bieliznę (którą na tych budkach rozwieszają) i grodząc płotki koło ognisk na tratwach, żeby silny wiatr nie gasił im zażewia. Na mitrędze najgorzej wychodzi kupiec, który bez względu, czy drzewo płynie czy stoi długo w miejscu, płacić musi orylom oprócz »strawnego« po dwa ruble tygodniowo zwykłego myta.

Że Warszawa jest już wielkiem miastem, można to poznać nawet tutaj, o kilkanaście mil poniżej, idąc wzdłuż brzegiem Wisły i przypatrując się co wyrzucają jej fale na piasek nadbrzeżny. Jak wiadomo, wielki kanał ściekowy odprowadza do koryta Wisły pod Bielanami wszystkie śmiecie z wielkiego miasta, a wśród nich miliony korków od piwa i tutek z papierosów. Otóż to wszystko nie odpływa do Gdańska, ale pozostaje na wybrzeżach Wisły, tworząc rodzaj śmietnika na krawędzi wody, począwszy od Bielan i Jabłonny aż za Wyszogród. Żeby mieć pieniądze puszczone z dymem przez ludzi oddanych nałogowi palenia (który dla mnie jako nie palącego wydaje się tak niezrozumiałym), to niewątpliwie możnaby już było dawno za te sumy uregulować brzegi Wisły, zabezpieczając przez to dobrobyt rolniczy nadbrzeżnych mieszkańców i prawidłowość żeglugi na wielkiej arteryi wodnej, przecinającej serce kraju.

. . . . . . »Wtem Płocko nadpłynie,
Ujrzysz na szkucie przez górę zaiste
Krzyże złociste.

Płocko wesołe na lądzie wysokim
Oglądasz, będąc pod brzegiem głębokim,

Chceszli wierzch ujrzeć stamtąd kościołowy,
Zdejm kołpak z głowy.

Tam, jeśli też chcesz z pokojem swe żyto
Prowadzić, radzę nieś karłowi myto,
Choć się odyma, niech cię to nie rusza:
Oddaj co słusza.

Jesteśmy tedy w najstarszej stolicy Mazowsza, a dlaczego najstarszej, to dość spojrzeć na górę zamkową, która na mazowieckich brzegach Wisły jest najwyższą



Góra zamkowa i katedra w Płocku.

wyniosłością, zatem dla pierwotnych władzców musiała przedstawiać najlepsze warunki obronności i najlepiej symbolizować ich władzę najwyższą nad krajem nadwiślańskim. Już od początku XII stulecia Płock był ważnem ogniskiem sztuki. Władysław Herman i Bolesław Krzywousty budują wiele. Relacya mnichów z Zwiefaltem daje nam wiadomość o nagromadzonych skarbach na dworze książęcym, składających się z kosztownych tkanin, naczyń złotych i srebrnych. Profesor Łuszczkiewicz mniema, że owe krzyże złote, aparaty kościelne, nalewki, skrzynki z kości słoniowej i t. p., które wdowa po Bolesławie Krzywoustym Salomea ofiaruje z Płocka do odległego klasztoru na zachodzie Europy, mogły być w znacznej części wyko-

nane na dworze płockim. Wszakże kapelanem królewskim był Leopard rzeźbiarz, a uwaga mnichów przy opisie kosztownej kapy, że jest ozdobioną wedle gustu narodu polskiego, nie dozwala wątpić, że wiele kosztowności wykonywano na miejscu, że tu musieli być hafciarze i aurifabrowie czyli złotnicy.

Z Płocka wychodzi myśl o drzwiach bronzowych gnieźnieńskich i nowogrodzkich, gdziekolwiek one robione były.

Do postaci niezwykłych, kochających sztukę i budujących wiele, należy czwarty z rzędu biskup płocki Aleksander »Dołęga«, zasiadający na stolicy biskupiej Mazowsza przeszło ćwierć wieku, a mianowicie od roku 1130 do 1156 i pozostający w blizkich stosunkach z dworem panującym, zamieszkującym pod owe czasy w Płocku, dworem o kulturze podniosłej przez stosunki żony Krzywoustego Salomei, przez pobyt w Płocku takich ludzi uczonych jak święty Otton i t. d. Wiadomo, że biskup Aleksander Dołęga zbudował katedrę płocką, której granitowe ściany dotąd oglądamy i był niewątpliwie fundatorem kościoła czerwińskiego. A że i w Łęczycy powstał w tychże czasach kościół granitowy w takim samym stylu romańskim i r. 1161 t. j. w 17 lat po płockim poświęcony został, jest więc wszelkie prawdopodobieństwo, że architekci płoccy ukończywszy katedrę, przenieść się mogli dla budowy świątyni do Łęczycy i Czerwińska. I kielich z patyną fundacyi Konrada mazowieckiego (ur. roku 1191, zm. 1237) dla katedry płockiej z rytemi postaciami rodziny książęcej, świadczyć się zdaje o dalszym rozwoju sztuki w Płocku, której upadek spowodowały następnie napady pogan pruskich i pomorskich, a zwłaszcza najliczniejsze i najbardziej niszczące najazdy pogan litewskich za Mendoga w drugiej połowie XIII wieku, które przyniosły zagładę sztuce i powstrzymały rozwój cywilizacyi na Mazowszu.

Kto się interesuje zabytkami ziemi mazowieckiej z epok najdawniejszych, ten przybywszy do Płocka, musi zwiedzić przedewszystkiem zbiory wykopalisk profesora Tarczyńskiego. Zbiory te miałem właśnie dzisiaj obejrzeć. Gdy bowiem około roku 1870 robiłem poszukiwania stacyi krzemiennych pod Płockiem, to wówczas jeszcze zbiorów tych nie było i prof. Tarczyński nie mieszkał w Płocku. Obecnie z niecierpliwością odszukałem dom, na którego trzeciem piętrze w kilku pokoikach, uszczuplając miejsca dla najniezbędniejszych własnych wygód zgromadził profesor Tarczyński niepospolite bogactwo różnolitych zabytków i wykopalisk: kamiennych i krzemiennych, kościanych, bronzowych, srebrnych, żelaznych i ceramicznych, zbroi, portretów, numizmatów, medali, pieczęci, haftów i rzeczy tym podobnych. Przy bardzo skromnych środkach p. Tarczyński (nauczyciel rysunków w gimnazyum żeńskiem), ale za to przy gorącem zamiłowaniu do pamiątek przeszłości, przy niepospolitej wytrwałości, energii, pracy i szlachetnem zaparciu siebie dla idei — zgromadził cichy, skromny pracownik, sam jeden więcej zabytków (wprawdzie bardzo różnorodnych i rozmaitej wartości), niż gdzie indziej całe towarzystwo starożytników. Patrząc z podziwem i zadumą na tak świetny rezultat pracy odosobnionej jednostki społecznej, zapytywałem w milczeniu sam siebie: co za potęga leży w wytrwałości indywidualnej, gdyby ludzi z taką cnotą w różnych kierunkach było wielu?

Jaka przyszłość czeka to muzeum starożytnicze ziemi płockiej, którego byt

cały zawisł na wątłej nici żywota i środków materyalnych jego twórcy? Czem sobie to wytłómaczyć, że dzieje ziemi i kultury praojców daleko mniej obchodzą samych ziemian t. j. synów z nią związanych, niż ludzi, którzy nie posiadają tego bezpośredniego łącznika?

Płock jak wiadomo, posiada jedno z najlepiej redagowanych pism naszych prowincyonalnych »Echa płockie i łomżyńskie«, ale niestety pana Grabowskiego, redaktora tego pisma (wychodzącego dwa razy w tygodniu) nie zastałem w Płocku. Zapisała mi się tylko w pamięci serdeczna staropolska ujmująca gościnność prezesostwa Piwnickich. Prezes Dyrekcyi płockiej towarzystwa kredytowego ziemskiego oddał mi do rozporządzenia powóz i parę ognistych rumaków, które wązką drożyną po krawędzi stoków i wyżyn nadwiślańskich przeniosły mnie z p. Tarczyńskim, jak lotem błyskawicy na wydmy piaszczyste pod wieś Ośnicę, gdzie jeszcze nazbieraliśmy sporo nożyków, strzałek i okrzosków krzemiennych po przedhistorycznych mieszkańcach naszego Mazowsza. Aparat fotograficzny był także czynny, oczywiście nie pod Ośnicą, gdzie skarbnicą zabytków krzemiennych są jałowe, nagie przestrzenie białego lotnego piasku, ale na górze zamkowej, przy katedrze, której niestety z powodu zacieśnienia sąsiednich murów, nie można z żadnej strony odpowiedniego zdjąć widoku. Z każdego dalszego punktu, czy to od strony teatru, czy z przeciwnej od wschodu, ukazują się głównie tylko wieże, a wieże te jakże są dziś różne od pierwotnych? Mam właśnie przed sobą najstarsze wyobrażenie katedry płockiej, mianowicie odcisk pieczęci biskupów płockich z dokumentu, odnoszącego się do wsi Orzechowo, a noszącego datę roku 1239 i znajdującego się dawniej, a prawdopodobnie i dzisiaj w archiwum kapituły płockiej pod numerem 33. W otoku tej pieczęci, której tłok mógł być zdziałany na kilka, a nawet na kilkadziesiąt lat przed datą dokumentu, znajduje się napis: *S Plocensis ecclesiae: Sanctae Mariae*. W środku zaś przedstawiony jest gmach katedry, pokrytej dachówką, z absydą wielkiego ołtarza w jednym końcu, gęstemi wysoko umieszczonemi oknami w ścianie bocznej i dwoma wieżami przy ścianach świątyni, nie dochodząc frontu. Wieże te, jak sądzić należy z pieczęci, były pierwotnie takie same jak czerwińskie, tylko miały (jeżeli rysunek na pieczęci był dokładny) nie po trzy w każdym boku swoim przezrocza czyli okienka romańskie, ale po pięć.

W notatkach z podobnych wycieczek jak niniejsza, niestety niema miejsca na szczegółowe opisy kościołów, obrazów, skarbców, bo opisy, aby miały rzetelną wartość, muszą dokładnie być objaśniane rysunkami i stanowić treść oddzielnych monografii. Tymczasem autor mając w tej książce pomieścić opis podróży po czterech rzekach, nie może wtłaczać do swego opowiadania ani specyalnych badań naukowych, ani szczegółowych monografii i przeważnie musi tylko notować to, co widział i co słyszał w panoramie każdego dnia podróży. A więc muszę tu zapisać, że widziałem jeszcze w Płocku hotele droższe niż w Warszawie, w mieście sporo zieleni i sadów podmiejskich, słynących z dawna »kalebasami płockiemi«. Z góry zamkowej (ze stokami porosłymi ligustrem), wynioślejszej przynajmniej dwa razy od płaskowzgórza warszawskiego, jakże piękny i rozległy roztacza się widok na szeroką dolinę macierzy wód lechickich, na przystań najeżoną masztami statków wodnych, na długi, ruchliwy, przepasujący Wisłę most łyżwowy, na zawi-

ślańską płaszczyznę wsi Radziwia, obrzeżoną widnokręgiem dalekich lasów i na warsztaty berlinek i gabarów w Radziwiu. Pięknym jest także widok Płocka, kto mu się płynąc środkiem Wisły przypatruje, a także i charakterystycznym niezwykłą w płaszczyznach Mazowsza wyniosłością góry zamkowej z czterema staremi jej wieżami i wreszcie na stokach wybrzeża miejskiego z rynnami, po których staczają się ziarna zbóż mazowieckich ze spichlerzy, zbudowanych na górze do wnętrza statków wodnych. Zapytacie mię może jeszcze, co najpiękniejszego słyszałem w Płocku? Oto słyszałem muzykę najrzewniejszą, która w duszy mojej głębokie zrobiła wrażenie, słyszałem powtarzane codzień już wiek piąty dźwięki dzwonów katedralnych za dusze rycerzy, poległych razem ze swoim królem w walce z bisurmaństwem r. 1444 na polach Warny.

Klonowicz po krótkiej wzmiance o Płocku, tak pisze dalej we Flisie:

»Stamtąd będziesz wnet miał Zamkowy ostrów,
I drugi za nim najdzie się Synowków,
Trzeci Proboszczów, za nim też Parchowacz
Rzeczony obacz.

Biskupska kępa przyjdzieć sama w oczy,
Gdzie się Skrwa prędka hurmem w Wisłę toczy,
Która Mazury od Dobrzyńskiej włości
Dzieli z dawności«.

Dziś pomiędzy Płockiem a ujściem Skrwy żadnej z pomienionych kęp na Wiśle już niema. Wszystkie zostały bez śladu zniesione jej wodami. Jest tylko kilka małych piaszczystych wysepek i ławic zalewanych przez Wisłę, corocznie kształt swój zmieniających. Ujście Skrwy było punktem zetknięcia się Mazowsza z Kujawami i ziemią Dobrzyńską. Więc też z tego powodu Klonowicz pisze:

»A tu trzy ziemie zeszły się klinami,
Dobrzyńska włość i Mazowsz z Kujawami.
Tu kiedy krzykniesz, słyszą trzy powiaty
Flisie gębaty«.

Granica pomiędzy Mazowszem płockiem i ziemią Dobrzyńską, biegnąca wzdłuż Skrwy, od jej ujścia przekraczała w poprzek Wisłę i biegła dalej na południe jako granica pomiędzy Mazowszem a Kujawami, i w szczególności pomiędzy wchodzącym w skład Mazowsza na lewym brzegu Wisły województwem Rawskiem i należącem do Kujaw województwem Brzesko-Kujawskiem. Powyżej Duninowa i ujścia Skrwy wpada do Wisły z lewego brzegu rzeczka, mniej więcej podobnej wielkości jak Skrwa, nazwana przez Klonowicza Gostyńską rzeką, jako płynącą od miasta Gostynina.

»Gostyńską rzekę Wisła też pożarła,
A nie dziw, bo jej sama mknie do garła,

Od Duninowa nurt straciła blizko
I swe przezwisko.

Niedaleko stąd trzy ostrowy mamy,
Myśliborski z nich naprzód oglądamy,
A za tym Wisłę zaległ nam Głowiński,
Po tym Dobrzyński«.

Wszystkie te trzy wyspy istnieją dotąd jako kępy, z których pierwsza nie posiada wyraźnego nazwiska, a dwie następne znajdują się na mapach dzisiejszych jako kępy: Głowińska wprost wsi Głowina, i Dobrzyńska w pobliżu miasteczka Dobrzynia. Przy trakcie z Płocka do Dobrzynia, na panującej nad Wisłą wyniosłości prawego brzegu, widnieją z dala czerwone mury jednego z najstarszych w tej okolicy kościołów we wsi Rokicie. O założeniu tego kościoła, które prawdopodobnie w wieku XIII nastąpiło, utrzymuje się podanie ludowe, że gdy raz do źródła miejscowego zgromadziło się ogromne stado dzikich koni, konie te wyłapane i sprzedane zostały, a szczęśliwi posiadacze zdobyczy, fundusz ten cały przeznaczyli na wybudowanie kościoła, który też przez flisów »kobylim kościołem« nazywany bywa. Wewnątrz tej starożytnej świątyni zasługuje na uwagę kamień grobowy Stanisława Mysliborskiego, cześnika dobrzyńskiego, zmarłego w r. 1569, ostatniego tej rodziny potomka.

Klonowicz wzmiankując o ostrowie Dobrzyńskim, wyraża się o Dobrzyniu:

»Na prawym brzegu u tegoż Ostrowa
Zasadzon Dobrzyń onej ziemie głowa«.

Wyraz »zasadzon« nie jest przypadkowym, bo istotnie patrząc od Wisły i przeciwległego lewego jej wybrzeża, miasteczko ukrywa się zasadzone za wzgórzem i poza górą zamkową, do podnóża której przybyliśmy. Ten właśnie Dobrzyń, a nie drugi nad Drwęcą położony, był stolicą ziemi, która od niego dostała swoją nazwę i tutaj to a nie w tamtym Dobrzyniu było siedlisko Zakonu Dobrzyńskiego. Kontur granic ziemi Dobrzyńskiej miał kształt podobny do trójkąta, którego podstawę południowo-zachodnią stanowiła Wisła od ujścia Skrwy do ujścia Drwęcy, ścianę północno-zachodnią Drwęca, a wschodnią od księstwa Płockiego rzeka Skrwa. Do czasów Konrada t. j. do wieku XIII-go nie przekazały nam dzieje nazwy ziemi Dobrzyńskiej, tylko n. p. wzmiankę pod rokiem 1065 o grodach Dobrzynie i Rypinie. Gdy poganie pruscy zaczęli trapić najazdami Mazowsze i Kujawy, Konrad mazowiecki z biskupem dla Prus Krystyanem, założyli r. 1222 zakon braci Chrystusowych, złożony z rycerzy niemieckich, dla których Konrad zbudował warownię w Dobrzyniu nad Wisłą i uposażył ich ziemią, położoną między Wisłą i dwiema wpadającemi do niej strugami Kamienicą i Chełmicą. Rycerze ci przyjęli miano Braci Dobrzyńskich i zobowiązali się bronić granic konradowych, a ziemiami jakie zdobędą na poganach pruskich, podzielić się z księciem mazowieckim.

To uposażenie Dobrzyńców nie odnosiło się, jak mniema dziś wielu, do Do-

brzynia nad Drwęcą i nie obejmowało całej ziemi Dobrzyńskiej, jeno tylko jej cząstkę o przestrzeni mniej więcej 6 do 7 mil kwadratowych.

Wkrótce też klęska, zadana im przez pogan (r. 1225) pod Brodnicą, położyła koniec młodemu zakonowi — i wówczas to Konrad postanowił sprowadzić starszy i potężniejszy Zakon Krzyżowy, którego uposażył hojnie ziemią Chełmińską, poczem oba zakony r. 1233 połączyły się w jeden. Właściwa historya ziemi Dobrzyńskiej i grodu warownego na górze, u stóp której wylądowaliśmy, zaczyna się od r. 1236, kiedy Konrad podzielił synów swoich Kazimierza i Bolesława Kujawami



Góra zamkowa w Dobrzyniu.

i Mazowszem, a ziemię Dobrzyńską wraz z Dobrzyniem nad Wisłą oddał synowi młodszemu Bolesławowi. Odtąd ziemia ta przechodziła w kolejne dziedzictwo wśród potomków Konradowych, a mając od północo-wschodu niedalekie sąsiedztwo pogan pruskich, za Drwęcą zaś chciwy Zakon, który do jej zawładnięcia wdzierał się gwałtem, zdobywana i frymarczona przez Krzyżaków, najeżdżana i łupiona przez Prusaków i Litwę, broniona i wykupowana przez Polskę, była przez dwa wieki widownią krwawych i głośnych wypadków historycznych. Jednym z najstraszniejszych był najazd pogan pruskich i Litwy w roku 1287, którzy całą prawie ziemię Dobrzyńską zniszczyli i moc ludu uprowadzili z sobą w niewolę. A lud rolniczy,

polny czyli polski był zdobyczą najcenniejszą dla Litwy, bo jego to rękami zamieniali Litwini dziewicze puszcze swoje na pola i od niego uczyli się rolnictwa. Podczas jednego napadu w r. 1323, jak zaświadczają kronikarze, Litwa uprowadziła z ziemi Dobrzyńskiej i Kujaw 20.000 mieszkańców.

Z góry zamkowej w Dobrzyniu roztacza się tak samo szeroki widok na nizinny lewy brzeg Wisły, jak z podobnych-że gór zamkowych prawego brzegu: w Zakroczymiu, Czerwińsku, Wyszogrodzie i Płocku. Od ujścia Narwi het ku Pomorzu, jak to już raz powiedzieliśmy, prawy brzeg Wisły jest wszędzie wyniosły, a lewy nizki z małemi tylko w kilku miejscach wyżynami. Tym wyniosłościom prawego brzegu, jako łatwym do obwarowania, zawdzięczają swoje znaczenie historyczne w wewnętrznych dziejach kraju: Zakroczym, Czerwińsk, Wyszogród, Płock, Dobrzyń, Bobrowniki, Złotorya i Toruń, a tym nizinom bezbronnym lewy brzeg Wisły przypisać musi, że od Warszawy do Włocławka, na przestrzeni mil przeszło 20-tu nie założono na nim ani jednego nad Wisłą miasta, ani jednej w dawnych wiekach warowni i targowicy. Odpoczywając na piasku pod górą zamkową Dobrzyńską i przypatrując się warstwom węgla brunatnego, które w osypanych stokach i urwiskach wyżyny dobrzyńskiej ukazują się w pokładach dyluwialnych, rozmyślałem właśnie nad tym związkiem, zachodzącym pomiędzy geograficznem położeniem każdego kraju i jego dziejami — i przypomniałem sobie to, o czem kiedyś już pisałem, że pierwszym zadatkiem do dziejów jest ziemia, która narodom padła w przedwiecznym dziale, że ojczyzna narodu, to pierwszy pokład jego dziejów.

Ponieważ z powodu ciągle nieprzyjaznego wiatru i mitręgi w żeglowaniu wiosłami postanowiliśmy dalszą podróż odbyć z Dobrzynia do Ciechocinka statkiem parowym, łódź zatem odesłaliśmy z powrotem do Warszawy.

Przerwankowski dostał do pomocy najętego z żaglem flisa i pod opiekę cały pakunek zdobytych w podróży średniowiecznych cegieł, dachówek, kafli i kamieni. Teraz w braku łodzi własnej najęliśmy z maleńką łódką jakiegoś starego typowego mazura z ogromnymi zawisłymi wąsiskami, ogorzałego od słońca jak ziemia, który przewiózł nas na lewy brzeg Wisły poza kępę Dobrzyńską, gdzie zamierzyliśmy zrobić półmilową pieszą wycieczkę celem odszukania stacyi krzemiennej w okolicy wsi Wistki. Wycieczka była trochę nużąca, bo po głębokim piasku w południowy upał i przy koniecznym pośpiechu, aby nie spóźnić się na parowiec, idący nad wieczorem z Płocka do Włocławka.

Ślady pobytu przedhistorycznego człowieka, a właściwie obrabianych przez niego narzędzi krzemiennych, znaleźliśmy istotnie na dzikich wydmach i pustkowiach w okolicy małego ruczaju. Była to jednak stacya uboga i oprócz kilku pięknych maleńkich bełtów od strzał, znaleźliśmy bardzo mało okrzosków czyli wiórów krzemiennych.

Pomiędzy Dobrzyniem i Włocławkiem znajdują się dzisiaj dwie kępy, a raczej wyspy zamieszkane i wodami Wisły zewsząd oblane. Pierwsza wprost wsi Bachorzewa nazywa się Bachorzewską i druga wprost Zaryczewa, należała w połowie do Zaryczewa i w połowie do Tulibowa. Musiało być tu inaczej za Klonowicza, bo poeta o Dobrzyniu pisze co następuje:

»Za tym Włodsławski ostrów nie nowina,
Na nim wierzbina.

Poniżej w lewo czerwieni się dawny
Włodsławek: księżą, cłem i piwem sławny.
Tamci też pewnie zahamują statek,
Zapłać podatek.

Tamże w zamku Mintawa leniwa
W łakomą Wisłę nurcik swój wylewa,
Onoż Włodsławski, co go też ostrowem
Karniewskim zowiem«.

Przybyliśmy tedy do Włocławka. Nazwa miasta powstała w wieku XII od imienia Władysław, które nosił najstarszy z synów Bolesława Krzywoustego. Ale wówczas imię to brzmiało nie jak dzisiaj, lecz »Włodzisław«, w skróceniu Włodsław, a w formie zdrobniałej Włodsławek. Jeszcze Klonowicz nie pisze inaczej, tylko Włodsławek, ale ogół, lud, w mowie potocznej aby ułatwić sobie wymawianie brzmień trudniejszych, dopuszcza się często przekładni albo zamiany liter. Tym to sposobem z imienia Włodsław powstała nazwa stolicy szląskiej Wrocław, a ze zdrobniałej formy tego imienia książęcego Włodsławek, powstał nasz kujawski Włocławek, nadany przez syna Krzywoustego biskupom kujawskim. Pierwotna ich katedra stała w pobliżu Wisły, koło pałacu i zamku biskupiego. Ale słynny biskup kujawski z czasów Kazimierza Wielkiego, Maciej Gołańczewski, wzniósł dzisiejszą katedrę w latach 1340–1365, w miejscowości dalej od Wisły położonej. Późniejsi biskupi kujawscy dodawali upiększeń i ozdób swojej katedrze, w której po ich zgonie stawiano im grobowce. Tak n. p. Kallimach roku 1493 wzniósł wspaniały pomnik z czerwonego marmuru Piotrowi z Bnina Moszyńskiemu, którego wyrzeźbienie przypisywali niektórzy Witowi Stwoszowi. Tarnowski przybudował wspaniałą kaplicę w stylu włoskim, w której znajdują się nagrobki Łubieńskiego i Sarnowskiego. Zewnątrz katedry na ścianie południowej znajduje się odwieczny kompas, o którym mówi podanie, że twórcą jego był sam Kopernik. Obok tego kompasu znajduje się teraz przedstawiona plastycznie mapa dawnej dyecezyi kujawskiej, która, jak wiadomo, obejmując pierwotnie i Pomorze, należące do władzców polskich, sięgała po Bałtyk i Gdańsk, w którym biskupi kujawscy mieli swój dworzec i posiadłość.

Katedra kujawska miała w ostatnich wiekach na wieżach swoich dachy kopułowate, płaskie, rażąco nie odpowiednie jej ostrołukowemu stylowi. Dzięki też głównie zabiegom zasiadającego czas jakiś na stolicy kujawskiej biskupa Wincentego Popiela, wieże zostały wspaniale podwyższone i harmonijnie do całości zakończone. Widok katedry okazał się najwspanialszym z okien budującego się ogromnego gmachu seminaryum duchownego. Więc też z drugiego piętra fotograficznie został zdjęty. Katedra przedstawiła się na tle uroczego krajobrazu z widokiem na Wisłę w dali i pokryte lasami znaczne wyniosłości prawego jej wybrzeża. Niestety

wszystkie dalsze krajobrazy wychodzą na fotografiach zazwyczaj mglisto i niewyraźnie. Nie łatwo także przyszło nam odfotografowanie wnętrza wielkiej a niezbyt widnej świątyni. Aparat ustawiony na chórze działać musiał z powodu niedostatecznego światła w dniu pochmurnym przez minut 40 i jeszcze rezultat okazał się słaby.

Fotografowaliśmy także stary parafialny kościół św. Jana nad Wisłą. Gotyk ten nadwiślański dużo stracił cech pierwotnych przy przeróbkach i naprawach późniejszych. W każdym razie dochowało się jeszcze sklepienie tak bogato żebrowane jak może nigdzie. Wieża frontowa w naczelnej ścianie spękana doprasza się bardzo potężnych żelaznych ankrów. Na środku cmentarza znajduje się dawna figura św. Jana bez daty jej postawienia. Przy seminaryum na placu katedralnym, (które liczy obecnie 120 alumnów), znajduje się stary, maleńki gotycki kościółek św. Witalisa z wieżyczką nową, ale w stylu odpowiednim, wewnątrz żadnych zabytków cennych już nie posiadający. W budującym się obecnie gmachu seminaryjnym uwzględnione są w wysokim stopniu potrzeby sanitarne. Oglądaliśmy więc na wszystkich piętrach wielkie, wysokie widne sale i korytarze jak ulice w Saskim ogrodzie. Gmach ten byłby już dokończonym, gdyby nie zabrakło cegły, którą dostawca spieniężył korzystniej dla budowanej we Włocławku fabryki celulozy.



Kościół katedralny we Włocławku.

Obawiano się, że po przeniesieniu gimnazyum realnego z Włocławka do Kalisza i zniesieniu filii banku państwowego, miasto tutejsze nachyli się ku upadkowi. Na szczęście obawy te nie ziściły się. Cena domów trochę spadła, ale pustkami nie stoją. Najwięcej może ucierpiały hotele. Włocławek nie należał przedtem do miast bogatych i dziś nie należy do biedniejszych. Porozlepiane afisze obwieszczały widowiska trzech goszczących czasowo trup aktorskich: polskiej, niemieckiej i żargonowej. Jak na miasto mające 22.000 mieszkańców, to chyba dowód bardzo wesołego ich usposobienia.

Statek parowy, odchodzący do Bobrownik, Nieszawy i Ciechocinka, wzywał swoim tubowym rykiem podróżnych do pośpiechu. Na przystani panował ścisk i tumult z powodu zatargu pisarza czy kasyera kupców drzewnych z tłumem oryli galicyjskich, spławiających tratwy po Wiśle. Oryli tych znaczna liczba przybywa corocznie do Królestwa, ale widać warunki umowy bywają niejasne i pisarze kupieccy muszą wyzyskiwać tych ludzi, bo biedacy z oburzeniem narzekali na niesłowność i krętactwa krzywdzicieli, mówiąc, że niektórzy tylko połowę zarobionych pieniędzy otrzymali.

Dwie mile poniżej Włocławka na prawym brzegu Wisły leży mała mieścina Bobrowniki, ze sterczącemi nad samą Wisłą resztkami rozwalin zamku po Władysławie Opolczyku i Krzyżakach, przywróconego Polsce po bitwie grunwaldzkiej. Lustracya z r. 1616 znalazła już zamek ten w opuszczeniu. Podźwignięty z upadku, Szwedzi ponownie spustoszyli, a lustracya z r. 1789 zastała go tak zrujnowanym, że o naprawie i mowy już nie było. U pani Zbiegniewskiej we Włocławku widziałem odrysowany z natury przez budowniczego Turnela w roku 1855 widok ruin bobrownickich, z którego widać, że już wówczas były one prawie w stanie dzisiejszym. We Flisie czytamy:

»Tam Bobrowniki pozorne tymczasem
Wnet się wynurzą za zielonym lasem.
I ten gród kiedyś, znać to po wejrzeniu,
Był w szanowaniu.

Za tym Gąbinek z ostrowem swym kroczy,
Tamże spiklerze Brzestkie zajdą w oczy,
Tuż Wolnych kępa, tamże też mijaj zdrów
Nieszawski Ostrów.

Wnet zatem ujrzysz Nieszawę czerwoną,
Spichlerzów długim rzędem obsadzoną,
Świecą się w lewo skorupiane dachy
I insze gmachy.

Obfite żniwa i gumna kujawskie,
Tam się ściągają w szpichlerze nieszawskie,

Tam swe nadzieje ładuje ziemianin,
Tam i mieszczanin.

Potem trzy kępy będziesz miał, Brzozego
Jednę, a drugą tudzież Kaczkowskiego,
Trzecią Białkowę, choć ją zów dawnego
Kępą Białego«.

W powyższym opisie sprostować musimy, że wieś Gąbinek leży nie poniżej, ale powyżej Bobrownik. Nazwiska też kęp wyszczególnionych przez Klonowicza, tak jak i ich topografia, pozmieniały się zupełnie w czasach późniejszych. Co do zmian topograficznych, to ta niestałość wypływa z ruchomej natury łożyska i bystrości Wisły, nazwy zaś nadawane od nazwisk ludzi takich na przykład, jak: Wolny, Brzozy, Kaczkowski, Biały, zwykle w czas jakiś po śmierci tych ludzi, zastępowane są innemi. Nieszawa tak samo jak przed 300 laty, robi i dzisiaj wrażenie na żeglującym Wisłą, że jest »spichlerzów długim rzędem obsadzona«.

Za wsią Słońskiem, na ćwierć mili przed granicą pruską, zatrzymał się nasz parowiec przy nowo urządzonej przystani i wysadził tu wszystkich podróżnych, udających się do Ciechocinka. Powynoszono z pośpiechem na piasek nasze walizki, aparat i cudze a liczne kosze z szynkami i salcesonami, wiezione z Włocławka dla jadłodajni ciechocińskich. Powozów w przystani nie było żadnych, tylko zaledwie kilka wózków chłopskich, do których goście cisnęli się jak grzeszne dusze do zbawienia. Dla mnie w tym zakątku ziemi kujawskiej, chłop Kujawiak ze swoim wozem był oczywiście milszym i więcej pożądanym, niż gdyby przyjechał stangret z pozłocistą karetą. Prawda, że Wojciechowski (tak się nazywał ten kmieć), przywykły do ładowania snopów na drabiny, pomieścił mnie na swoim wehikule z taką ilością cudzych skrzynek, koszów i różnorodnych pakunków, że siedziałem na ich piramidzie jak mysz na pudle, a gdy protestowałem imponującej ilości pudełek, odpowiedział mi przekonywująco: »przecież tych rzeczy nad Wisłą zostawić nie mogę«.

Przejeżdżaliśmy przez kolonie niemieckie, koło domów murowanych, dużych, schludnych, mieszczących się pod jednym dachem z oborą i stodołą. Mijaliśmy pola ogrodzone, konie rosłe i tłuste, krowy z wymionami jak wiadra, ludzi silnie ogorzałych, pochylonych pracą, z wygolonym zarostem. Były to typowe postacie rolników, ale nie Prusaków krwi mieszanej niemiecko-słowiańskiej, lecz czystej rasy saskiej i szwabskiej. Wojciechowski mowił o nich: »Śwaby pludry, wanieliki (ewangelicy), ale psiajuchy są bogate, niech ich wszyscy djabli wezmą. Za córkami dają po dziesięć tysięcy talarów posagu gotowego grosza, a koni to tak żałują, że nawet babom do kirchy w niedzielę nie chcą dawać«. Zdawałoby się, że pewna zawziętość rasowa jest cechą charakteru i usposobienia ludu polskiego względem Niemców pomiędzy nim osiadłych, i że Wojciechowski byłby podatnym materyałem na polskiego hakatystę. Ale proszę pamiętać, że ten Wojciechowski jest najczystszej krwi Słowianinem, dzieckiem narodu, zamieszkującego najstarszą kolebkę Słowiańszczyzny, którego wszystkie wady i cnoty ma w sobie spotęgowane, jest

zatem dobrodusznym, łagodnym lechitą, a zaciętość rasowa kończy się u niego na słowach. Więc też kiedy powiedziałem mu, że nie byłem jeszcze nigdy w Ciechocinku i proszę, aby mię zawiózł do porządnego hotelu, Wojciechowski odrzekł:

»Ja pana zawiozę do Rozenkego. Nie ma on hotelu, ale świabisko dom postawił i potrzebuje gości«. Jakoż niebawem stanęliśmy przed dworkiem, z którego wyszedł typowy Rozenke, a Wojciechowski przywitał się z nim, jak ze starym przyjacielem i zaraz w szczerej harmonii znosili obaj moje rzeczy, gawędzili z sobą, częstowali się tytoniem i pożegnali przyjaźnie. Czy Rozenke był szczerym dla Słowianina, tego nie wiem, ale że Wojciechowski nie byłby zdolnym prześladować i gnębić Rozenkego z powodu odrębności jego rasy, to było aż nadto widocznem.

Ciechocinek zrobił na mnie miłe wrażenie. Dawniej było tu podobno wiele piasku i błota, a mało zieloności, ale dzisiaj odmieniło się wszystko na lepsze. Drzewa porosły, cienia i zieloności jest dużo, powietrze czyste, drogi i ogród dobrze utrzymane, turkotu żadnego, stacya kolei w miejscu. A jednak słyszę tu na każdym kroku narzekania wszystkich na »piekielne nudy«. Jest to dowód nerwowego rozgrymaszenia się natury ludzkiej i płytkości koryta, którem płynie dzisiejsze życie umysłowe wykolejonego przez bruk miejski człowieka. Stał się on tem dzieckiem rozpieszczonem, o jakiem mówiła mi raz pewna matka, że gdy mu na chwilę przestała grać, śpiewać, grzechotać, skakać przed niem, pokazywać dziwolągi, miny, lalki i domki z kart, to zaraz płacze i krzyczy, »bo nudzi się«. Oczywiście było to dziecko chorobliwe i źle wychowane, którego nie rozwinięty umysł pozostawał w takim stanie patologicznym, że nie znosił ani na chwilę błogiej ciszy.

Okolica Ciechocinka nie jest pozbawioną ciekawych miejscowości, mogących być celem miłych wycieczek dla gości sezonowych. Właśnie nazajutrz po przybyciu naszem do słonych źródeł kujawskich, wyruszyliśmy pieszo o wschodzie słońca dla uniknienia upału do Raciążka, odległego o pół mili od zakładu. Na wydmach piaszczystych naprzeciw miasteczka, po drugiej stronie suchego już dziś łożyska przedwiecznej łachy wiślanej, znaleźliśmy rozległe cmentarzysko pogańskie. Łatwo można go było bez rozkopywania w ziemi poznać po znacznej ilości grubych ziarnistych skorup z popielnic, które wywiewane wiatrem z pagórków lotnego piasku, leżały w wielu miejscach gromadkami, pochodząc z jednej urny, zmięszane z mnóstwem drobnych, przepalonych białych kostek ludzkich, stanowiących przedtem jej zawartość. Obok skorup znajdowały się tu i owdzie delikatne okrzoski krzemienne, dowodzące obrabiania na miejscu drobnych narzędzi z tego materyału w starożytności. Znaleźliśmy także i kilka pięknych strzałek krzemiennych i jedną podobnego do nich kształtu bronzową. Cmentarzysko wraz z sadybami ludzi, którzy składali swoje prochy w tych urnach, leżało w onych czasach na wyspie, oblanej wodami Wisły.

Później na wyżynie lewego brzegu osiadło za doby piastowskiej miasteczko Raciążek, często wspominane od XIII wieku w stosunkach książąt mazowieckich z Krzyżakami; już wtedy Raciążek należał do kapituły kujawskiej i uważany był jako miejsce obronne. Biskupi bowiem polscy, a zwłaszcza kujawscy i mazowieccy, których dyecezye z dziczą najezdników sąsiadowały, wznosili znacznym nakładem w dobrach swoich dworce warowne i grodziska dla ochrony własnych i okolicznych

włości. W roku 1329 biskup kujawski upominał Krzyżaków o zniszczenie zamku. W czasie srogiego najazdu r. 1330 zdobyli oni znowu warownię w Raciążku, lubo nie siłą, lecz podstępem. Biskup Maciej Gołańczewski, ten sam, który kościół katedralny we Włocławku fundował, nie zważając na groźby Zakonu teutońskiego, wzmocnił zamek tutejszy. Władysław Jagiełło zjechawszy się do Raciążka z Witoldem r. 1404, zawarł tu ugodę z Krzyżakami. Również po zwycięztwie grunwaldzkiem, układał się tu Jagiełło z wielkim mistrzem Henrykiem Plauen, lecz gdy nie mogli przystać na warunki, rozjechano się, a tylko pozostawieni stron obu pełnomocnicy zawarli jednomiesięczne zawieszenie broni. Kościół pierwotny, który znajdował się przy zamku i zniszczony został w czasie wojny przez Krzyżaków, odbudowany następnie z drzewa w środku miasteczka, przetrwał do końca XVI wieku, w którym to czasie biskup kujawski Hieronim Rozrażewski, wzniósł w temże miejscu nową dość obszerną świątynię, w stylu niknącego już gotycyzmu.

O kilkaset kroków na wschód za miasteczkiem, w uroczem położeniu nad głęboką doliną, znajdują się jeszcze rozwaliny zameczku biskupów kujawskich, który tak dzielnie opierał się nieraz nieprzyjacielskim najazdom i tylu wypadków dziejowych był świadkiem. Któżby przypuścił patrząc dziś na te rozwaliny, że jeszcze w początkach XIX wieku zameczek był w stanie mieszkalnym i że dopiero po odjęciu dóbr kapitule włocławskiej, naddzierżawcy i burmistrze Raciążka barbarzyńską ręką dopełnili dzieła zburzenia. Ci, którzy pamiętali zameczek w stanie mieszkalnym, oddawali wielkie pochwały wytworności jego wewnętrznego urządzenia. Przed kilku dopiero laty, gdy już tylko z czterech ścian zewnętrznych pozostały sterczące odłamy grubych murów, ręka człowieka uczciwego zabezpieczyła ruiny od dalszego ich burzenia i rabunku cegieł.

BUG



Oda do rzeki Bugu

napisana po łacinie przez ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego,
w przekładzie polskim Syrokomli.

Nie nęci mej pieśni Salmacys zdradziecki,
Ni źródło święcone Wenerze;
Żaden zdrój łaciński lub grecki
Dziś ze mnie ofiary nie bierze.

Przebaczcie Paktolu i Cydnu zatoki
Ze dla was strun moich nie trącę,
I ty, ojcze Tybrze głęboki,
Nie czekaj na pieśni gorące.

Ja będę opiewał Bug wrzący i skory,
Co Wisków od skwaru zasłania,
Co dżdżyste, jesienne wapory
Wyziewa lub nazad pochłania.

O Bugu! o czysty wód świętych kryształe!
Jakaż mi Pierys pozwoli
Bym konchą czerpnąwszy twą falę,
Ugasił pragnienie do woli?

O Bugu! którego głębiny nie zmierza
Ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,
Ni trzoda blizkiego pasterza
Swawolnem pływaniem się brudzi!

Nie pali twej wody od wierzchu do głębi
Spiekota w południa zacisze;
Mróz ciebie nie ściska, nie ziębi
Lecz wietrzyk ciepławy kołysze.

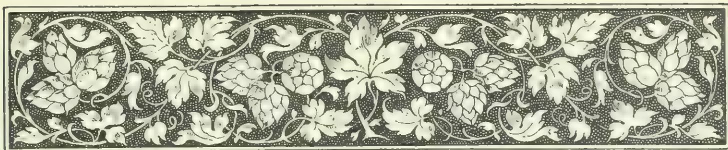
Gdy przecie na wiosnę szeroko rozlany
Wypłyniesz na środek zagonów,
I łąki wiskowskie i łany
Użyźniasz do kwiatów i plonów,

Jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary!
O rzeki najczystsze, najzdrowsze!
O Bugu i Narwi! do pary!
I w parze opłyńcie Mazowsze.

Gdy wieszczbom Febowym dać wiarę się godzi,
Zawierzcie, zawierzcie potomni!
Wkrótce się poeta narodzi
Co naszą piosenkę przypomni.

On wodom ojczystym wywiąże się z długu
I odda należny dank cześci,
On i was, o Narwi i Bugu!
Na lirze głośniejszej obwieści!





Wschód lipcowego słońca opromienił rozległe łąki nadbużne i falujące bujnem żytem równiny dawnego Flemingów dziedzictwa. Pracowici wieśniacy rozpoczynając żniwo szli w pole, w białych koszulach, niosąc na namionach: kosy, sierpy i grabie. Ja również wybrałem się w dolinę Bugu na żniwo z p. Julianem Maszyńskim, a przenocowawszy na dworcu kolejowym w Terespolu, podążałem pieszo, o wschodzie słońca, do miasteczka, z towarzyszem moim, aby wyszukać i nająć do zamierzonej podróży jakiego flisa i łódkę. Pierwszego wychodzącego na ulicę zaspanego żydka, zapytaliśmy, gdzie tu mieszkają przewoźnicy. Żydek podrapał się w zapierzoną głowę, poruszył łopatkami i karkiem, a potem ziewając, otworzył usta tak szeroko, iż przypomniał mi z lat dziecinnych pewien obrazek z *Magazynu Powszechnego*, przedstawiający, jak wąż boa przybiera się do połknięcia barana — poczem zapytał zdziwiony: do czego nam potrzebni przewoźnicy, kiedy na Bugu są mosty? Odparłem, że mamy interes do rybaków.

— Co za interes do rybaków? na co panom rybaków? — pytał zdziwiony — przecie tylko żydkowie rybami handlują, a nie panowie, i już każdego dnia wieczorem zakupują ryby u rybaków, te, co będą nazajutrz złowione, ale teraz i takich ryb brakuje, bo zła pora, a i w dobrą porę panowie ryby u rybaków nie dostaną, bo to nie jest pański handel.

— Mamy konieczną potrzebę widzenia się z rybakami — odrzekłem.

— To na co taka potrzeba? jaki to może być interes?

Po usilnych naleganiach dowiedziałem się nareszcie, że w Terespolu są tylko dwaj rybacy; Osipowicz i Gliński i gdzie mieszkają. Poszliśmy najprzód do Osipowicza, ale ten miał czółenko nadzwyczaj małe, jak koryto, z klocka sosnowego wyciosane i o najęciu się w daleką drogę nie chciał słyszeć. Drugi posiadał czółno wyżłobione z potężnej kłody topolowej i okazywał ochotę najęcia się, ale żona jego, niewiasta rezolutna, tak stanowczo położyła *veto* przeciwko samowoli małżonka, iż pozostało nam tylko ubolewać, że kwestya emancypacyi mężów, nie została jeszcze podniesioną. Po całym szeregu naszych argumentów, wystawiających liczne korzyści moralne, materyalne i etyczne z podróży po Bugu, zażądała wreszcie dzień zwłoki dla męża do namysłu lub na przygotowanie do drogi w razie jej zezwolenia.

Odłożywszy tedy żeglugę do dnia następnego, postanowiliśmy dzisiejszy po-

święcić na wycieczkę do Kostomłotów, wioski położonej nad Bugiem w okolicy Kodnia. Właściciel jej bowiem p. Józef Łoski, ziemianin, a zarazem literat i wydawca cennych albumów fotograficznych, z najrzadszych sztychów polskich, kierując się wskazówkami do wyszukiwania t. zw. stacyj krzemiennych, jakie mu dawniej udzieliłem, odkrył w Kostomłotach ciekawą miejscowość siedlisk ludzkich z prastarej doby użytku krzemienia. Droga do Kostomłotów po płaszczyźnie i nizinach wiodła przez Michałków i Żuki, wsie mieszkańców nadbużnych. Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się nigdzie napotkać takiego mnóstwa bocianów jak tutaj. Ptaki te nie potrzebują tu drzew dla gniazd swoich, ale na wszystkich strzechach stodółek, chlewków, nawet na nizkim dachu piwniczki domowej na warzywo i nabiał, zakładają po kilka siedlisk obok siebie. Uderzała wszędzie pewna, jakby rodzinna poufałość bocianów z chodzącemi razem po podwórkach gęśmi i cielętami. Opieka, jaką tu wieśniak otacza tradycyjnego przyjaciela strzechy swojej, przypomniała mi twierdzenie Długosza w XV-tym wieku, iż w Polsce bociany przepędzają nieraz zimę w mieszkaniach kmieci.

Siedlisko bociana przy domu, zarówno chłopka jak pana, to charakterystyczne znamię naszej słowiańskiej zagrody. Bocian, to prawdziwy przyjaciel domu, powracający corocznie z rozkosznych krain wiecznego lata pod chmurne i chłodne niebo polskie, to symbol przymierza i opieki ludzkiej nad światem przyrody. W pojęciach staropolskich »sprowadzić bociana«, czyli założyć mu starą bronę lub koło wozowe pod gniazdo, na strop strzechy, lub na wiąz czy lipę poblizką, to znaczyło sprowadzić szczęście do domu. Lud mniema, że piorun nie uderza w strzechę, na której gnieżdżą się bociany, że grad nie pada na ich gniazdo, że bocian przeczuwa wojnę i rok głodu. Mazur utrzymuje, że Chrystus jakiegoś obmówcę zamienił w bociana i kazał mu za karę świat boży z plugastwa oczyszczać. Bocian polski, jakby odczuwając przyjazne względem niego pojęcia ludzi, garnie się chętnie do strzech wieśniaczych, a lud zowie go rozmaicie: *boćkiem, wojtkiem i wojtusiem.* Dzieci wiejskie, upatrując bociany pławiące się kręgiem na wyżynach błękitnego nieba, wołają do nich: »Wojtek w koło! Wojtek w koło!«

Lud w okolicy Kodnia nosi długie, bronzowej barwy świty z samodziału domowego, które przepasuje po wierzchu wełnianym pasem. Pasy te, robione przez niewiasty w każdym domu, długością swoją, szerokością, a nawet barwą i sposobem zawiązywania, przypominają poniekąd dawne pasy nasze, które do potrójnego okrążenia bioder wystarczały. Pragnąłem do moich zbiorów etnograficznych nabyć od włościan jeden pas w Kostomłotach, ale w żadnej chacie sprzedać mi nie chciano, powiadając, że nikt nie wyrabia takich pasów na sprzedaż, tylko każdy w miarę własnej potrzeby.

Wieś Kostomłoty porządnie, ale dość ciasno przy prostej ulicy zabudowana, liczyła (było w r. 1875) około 90 chat. Czekała nas tu przykra niespodzianka, bo nietylko, że nie zastaliśmy p. Łoskiego w domu, ale jeszcze objaśniono nas, że majątek został przez niego od kilku dni sprzedany i że w dniu poprzednim opuścił na zawsze swoją siedzibę, przenosząc się do Warszawy. Nie znaleźliśmy nawet nikogo, ktoby nam pokazał miejsce, gdzie p. Łoski poznajdował owe wyroby krzemienne. Dzięki jednak prostemu doświadczeniu, nabranemu w licznych wę-



Świątynia zamkowa w Kodniu.

drówkach moich, odszukałem niebawem owo miejsce przeddziejowej osady nadbużnej. O kilkaset kroków od Bugu, pośród szerokiej równiny, zauważyłem małe piaszczyste wzgórze. Jak dzisiaj lisy i borsuki obierają sobie podobne miejscowości, aby w nich wygrzebać suche nory, tak samo pierwotni mieszkańcy tego kraju, nie znając dzisiejszego budownictwa, wyszukiwali pagórki piaszczyste, w których mogli mieć suche ziemlanki i kryjówki do przechowywania żywności i tego wszystkiego, co w owych czasach bywało mozolną zdobyczą i mieniem człowieka, dziełem pracy ludzkiej. W wiekach późniejszych, po wytrzebieniu lasów na takich pagórkach, skutkiem działania wiatrów, tworzyły się wklęsłe wydmy piaszczyste. To się znaczy, że sporo lotnego piasku wiatry rozniosły po polach, ale krzemień nałupany przy obrabianiu narzędzi krzemiennych, ułamki tych narzędzi i szczątki glinianych naczyń, pozostały na powierzchni wydmy. Łoski znalazł tu kilka na podziw pięknie obrobionych *bełtów* czyli strzałek, ale po jego poszukiwaniach wiatr znowu powywiewał inne przedmioty, które stały się pierwszem mojem żniwem w tej podróży nadbużnej.

Rozkopywanie podobnych miejscowości, czyli poszukiwania w warstwach głębszych, nie doprowadziłyby do niczego, a przynajmniej nie opłaciłyby trudów ze względu, iż drobny krzemień zmieszany jest z piaskiem tylko w najpłytszych tegoż warstwach i często na dość znacznych przestrzeniach. Aby więc nie opuścić żadnego miejsca, trzeba chodzić tylko po powierzchni tych piasków, porządkiem, jak siewca zboża, który przechodzi zagon po zagonie. Gdzie istniały sadyby i ogniska pierwotnych mieszkańców, tam trzeba jeszcze przegrabić piasek grabiami, lub w braku tychże, własną ręką, nie zważając na to, że wieśniacy będą poczytywali badacza piasku bądź za pobytowego, który dniem szuka rzeczy nocą zgubionych, bądź w najlepszym razie za waryata. W ciągu dwugodzinnych takich poszukiwań znaleźliśmy pod Kostomłotami sześć prześlicznych krzemiennych bełtów, czyli *strzał*. Największy z nich nie różnił się kształtem od starożytnych bełtów bronzowych i żelaznych, co jest wskazówką, że na wzór strzały metalowej, przyniesionej zapewne gdzieś, z południa Europy, gdzie już metal był używany, wyrobiono nad Bugiem strzałę krzemienną, w braku kruszcu i znajomości sztuki kowalskiej. Inne bełty zadziwiały drobnymi rozmiarami i przedziwną misternością roboty, z tak niewdzięcznego materyału jak krzemień, co dowodziło, że przy nieznajomości metalurgii, sztuka obrabiania krzemienia doszła już w epoce, z której pochodzą nasze stacye przedhistoryczne, do najwyższego udoskonalenia.

Położenie topograficzne powyższej starej sadyby, wyniesionej zaledwie na kilka stóp nad kres wiosennych wylewów Bugu, dowodzi stanowczo, że gdy ludzie zamieszkiwali tę miejscowość w czasach starożytnych, to łożysko i dolina bugowa miały już poziom dzisiejszy i powodzie nie bywały większe od obecnych, jeden bowiem zalew wystarczyłby na podmycie i zniszczenie piaszczystego pagórka z drobnymi śladami przedwiekowej kultury. Aby dokładnie poznać nizinę nadbużną, powracaliśmy z Kostomłotów do Terespola inną drogą, przy której odkryliśmy znowu pod wsią Lebiedziowem ślady starożytnego obrabiania krzemienia. Sadyba ta jednak musiała być nieludna w starożytności, bo na rozległych wydmach szczątki nałupanego niegdyś krzemienia, napotkaliśmy w nader małej ilości.

panu Julianowi udało się znaleźć jedną strzałkę, ale zato bardzo misternie wykonaną.

Nazajutrz o świcie zapukałem do chaty rybaka terespolskiego, w nadziei, że niebawem będą nas kołysały fale Bugu. Biedak był srodze zakłopotany, bo małżonka jego wydała wyrok w ostatecznej instancyi, nakazujący mężowi pilnowanie domowych śmieci. Unosząc tedy z Terespola wspomnienie niemiłego zawodu, obok serdecznej gościnności doznanej u państwa Ejsmuntów, u których nocowaliśmy, pojechaliśmy do Brześcia-litewskiego drogą przez twierdzę brzeską i piękny most, wiszący na linach drucianych. Za fortecą, na piaszczystem płaskowzgórzu, ukazał się nam starożytny nazwą, ale nieposiadający już nic w sobie dawnego ani ciekawego, Brześć, miasto rozwlekłe, o szerokich, prostych i piaszczystych ulicach, licho i przeważnie z drzewa zabudowane, zaludnione po większej części przez talmudystów. Miejsce starożytnego Brześcia, znanego już za czasów piastowskich, który istniał nad Bugiem przy ujściu Muchawca, zajęła zbudowana przed kilkudziesięciu laty warownia, miasto zaś dzisiejsze powstało i rozrosło się na dawnem przedmieściu Kobryńskiem, nad Muchawcem.

Po parogodzinnych staraniach usłużnych faktorów stałem się za kilka rubli posiadaczem starej, na pół zgniłej, dużej łodzi i dodanych do niej wspaniałomyślnie akcesoryów żeglarskich, składających się z nadłamanego wiosła i szufelki (»korczaka«) do wylewania wody i dwóch wązkich ławek. Mieszczanin brzeski, wysłużony żołnierz, imieniem Prokop, który miał nam służyć za przewoźnika, zaledwie odszedł na kilka minut, aliści powrócił zaraz, niosąc dwie maty słomiane z jakiegoś galaru. Gdy zapytałem, co mam za takowe zapłacić, roześmiał się dobrodusznie i odrzekł: »Nic panoczku, bo ja te maty uchopił« (ukradłem). Zaczęliśmy go moralizować, ale słowa nasze nietylko nie wywołały żadnej w nim skruchy, lecz przeciwnie rodzaj podziwu nad naszą naiwną niepraktycznością. »Na wodzie — mówił — i na brzegu oryl może brać cudze rzeczy bez grzechu, wszystko, co tylko nie zamknięte. Ja nie taki głupi, żebym kupował, jak panowie kiedy udało się wziąć darmo. *Kto swego nie pilnuje, niechaj pożałuje,* a panowie potem zobaczą, jak te maty nam się w drodze przydadzą i będą mnie dziękowali«.

Ta głęboka wiara, że »co na wodzie i na brzegu niezamknięte, to brać można bez grzechu«, przyniesiona została przez flisów i orylów do Słowiańszczyzny z zachodnich brzegów morskich, i przypomina powszechne dawniej w zachodniej Europie *jus naufragii* o rzeczach rozbitków przez fale morskie na lądy wyrzucanych, a stających się prawną własnością ludzi, którzy takowe znaleźli i zabrali. Tylko dawne prawodawstwo polskie, może się tem pochlubić, że ze wstrętem odrzucało zasadę nieszlachetną, choć przez pojęcia praw zachodnich usankcyonowaną.

Kazimierz Jagiellończyk, odzyskawszy Pomorze po wojnie trzynastoletniej z Zakonem krzyżackim, zniósł niesprawiedliwe to prawo zaprowadzone tam przez Niemców. Statut Litewski pod karą wynagrodzenia w dwójnasób (»sowito«) wzbraniał zabierać rzeczy rozbitków (Rozdział IX, art. 31). Naród nie chciał, aby ktokolwiek bogacił się przez grabież mienia nieszczęśliwych rozbitków. Sprzeciwiało się to jego etyce chrześcijańskiej. Ludzkie to pełne miłości Chrystusowej zdanie ob-

jawili i obstawali przy niem: Zygmunt Stary, Zygmunt August i Stefan Batory. Oczywiście było ono wyrazem pojęć nietylko królów tych, ale i ówczesnego senatu i ogółu społeczeństwa.

Jak rozumne i zacne rzeczy wychodziły wówczas z kancelaryi królewskich, niech posłuży za przykład list Batorego do miasta Lubeki, w sprawie rozbitków: »Jeżeli nie jest w mocy ludzkiej odwrócić rozbicia okrętów, to ciągnąć z nich zyski jest niegodnem. Jeżeli burza nieszczęśliwemu nie wszystko zabrała, dlaczegóż mielibyśmy być okrutniejszymi od wichrów i mórz? Ani my, ani nasi poprzednicy, nie inaczej uważaliśmy rozbitków, jak za ludzi, którzy w nieszczęściu większe do naszej opieki mają prawo. Towary nieprzyjacielskich rozbitków powrócić, a ludzi wolno puścić kazaliśmy; bo sądzimy, że w rozbiciu nie byli nam nieprzyjaznymi, ani też szkodliwymi być mogli«.

Potępiono to nieludzkie prawo zachodnich narodów i za ostatniego panowania Stanisława Augusta, w przepisach dla księstw Kurlandyi i Semigalii, a mianowicie słowami: «Nikt także na potem ważyć się nie ma, używać owego nieludzkiego prawa opanowania dóbr rozbitych na morzu, lecz jeżeliby kto pomoc jaką w tem niebezpieczeństwie będącym przyniósł, sprawiedliwą nagrodą za pracę swoją ma się kontentować«. Oczywiście wrodzona naturze ludzkiej chciwość, sprzyjająca uprawnieniu grabieży, pojęciami korsarskiemi ludów zachodu, zaraziła żeglarzy (flisów i orylów) z nad rzek naszych. Pojęcia Prokopa były właśnie echem tego wpływu zachodniego, który prostą drogą przez ciągłe stykanie się flisów naszych z żeglarzami zamorskimi w miastach portowych, sięgnął nad Bug i Prypeć. Takiemi to drogami przenoszą się nieraz od narodu do narodu pojęcia i wierzenia ludowe, będące potem dla badaczów polem studyów etnograficznych. Za pojęciami idą zwyczaje i obrzędy, jak to wykazałem gdzieindziej, pisząc o »frycowem« (Wisła t. IX, str. 765), które jest prostem naśladowaniem średniowiecznego ceremoniału pasowania rycerzy, wprowadzonego do Polski przez Piastów, organizujących rycerstwo lechickie na wzorach Zachodu.

Gdy już wszystko było do drogi gotowe, przenieśliśmy na naszą łódź tłomoczki i puzderka z hotelu »Moskiewskiego«, którego właścicielka, tuszą swoją do kadzi zaciernej podobna, ale bardzo uprzejma, w rudej peruce i piramidalnym z żółtych wstążek czepcu, kazała nam za chwilowy odpoczynek w zaśmieconej izdebce zapłacić niepomiernie. Wsiedliśmy tedy na nasz korab'. Wobec jednak zielonych i mętnych wód Muchawca, przepełnionych ciekawym tłumem kąpiących się synów Izraela, wszelkie porównania naszej wyprawy do żeglarskich rapsodów z Homera, Byrona i Mickiewicza, umilknąć musiały. W dodatku rzeka pokrytą była szczelnie tratwami i galarami, które płynąc z Pińszczyzny i Prypeci »*Kanałem królewskim*« i Muchawcem do Bugu i Wisły, zatrzymane zostały tutaj z przyczyny nizkiego stanu wody i robót, w celu pogłębienia koryta wodnej drogi, prowadzonych.

Dopiero wśród okazałej twierdzy brzeskiej, brzegi Muchawca osadzone gęsto topolą i wierzbą, niezwykle piękny, choć posępny i poważny przedstawiają widok. Aby się przyjrzeć temu widokowi potężnych wałów i kazamat, potrzeba koniecznie płynąć Muchawcem, co zapewne oprócz orylów mało komu się przytrafia,

zauważyliśmy bowiem pewne zaciekawienie wojskowych, którzy z mostów i dróg nadbrzeżnych, spostrzegli nieznanych sobie wędrowców, wśród fortecy żeglujących.

O pół mili poniżej Brześcia, na gruntach należących do Rzeczycy (czy Reczycy), znajdują się na prawym brzegu piaszczyste wzgórza, nazwane przez oryli od barwy jasnego piasku *Białą górą*. Nadzieja odkrycia tu śladów pobytu przedhistorycznego człowieka, nie zawiodła mnie. Wstępując na pierwszą wydmę, znalazłem piękny bełt, czyli strzałkę krzemienną i kilka typowych okrzosków nożykowatych. Niestety od strony południowej szybko nadciągała ku nam czarna jak noc chmura ze złowrogim szumem gradowym. Gromy coraz bliżej uderzały, a kroplisty deszcz usiłował ochłodzić mój zapał do poszukiwań na *Białej górze*. Na wiorstę dokoła nie było ani chaty, ani drzewa, ani nawet zarośli, tylko pola, łąki i wydmy piaszczyste. Ponad głowy nasze przyszła wreszcie ulewa z piorunami i gradem, a my pomimo to snuliśmy się po piaskach, jak zmokłe wrony, bo cóż zresztą mieliśmy robić, kiedy nawet nie było łopianu, ani pokrzyw, żeby w nich choć nosy ukryć. Krzemyki zmoczone czerniły się wyraźniej na piasku, tak, że nawet podczas deszczu znalazłem kilka pięknych nożyków i tak zwanych »skrobaczek« (racloir).

Depcząc po tych szczątkach odległej przeszłości, myśl gubiła się w odtwarzaniu obrazu pierwotnego zasiedlenia tej ziemi. Poszukiwania moje nad Niemnem, Narwią, Wisłą, Wartą, Biebrzą, Sanem, Dniestrem, Horyniem, Dźwiną, Dnieprem, Bohem i Bugiem, dostarczyły mi mnogich już dowodów, że ludzie posługujący się krzemieniem, nie znali jeszcze wcale rolnictwa, ale tylko żyli z myślistwa, rybołostwa i zapewne dzikich owoców, że trzymali się głównie dolin rzecznych, które były szlakami ich wędrówek, że w granicach ziem lechickich palili zwłoki zmarłych i popioły zachowywali w popielnicach glinianych, niekiedy ozdabianych, a zwykle zakopywanych tuż obok siedlisk, gdzie mieli w pagórkach piaszczystych swoje mieszkania. Przy każdem ognisku domowem obrabiali krzemień z niepospolitą zręcznością, a kult ten użytku krzemienia trwać musiał liczne wieki. Ziemie dawnej Polski posiadają ciekawe i piękne zabytki z krzemienia, oraz mnogie ślady obrabiania go, które pozwalają na odpowiedniej karcie geograficznej zaznaczyć siedliska człowieka przedhistorycznego, co w połączeniu z opisem tych siedlisk i narzędzi oraz ilością pozostałych przy obróbce okrzosków, rzuci choć mglisty promyk światła na stan zasiedlenia w czasach pierwotnych.

Epoka stacyi krzemiennych nie ma żadnego związku z późniejszą dobą grodzisk, czyli zamków drewnianych, obwarowanych niegdyś wałami i palisadami. W dobie użytku krzemienia, która o wiele poprzedziła grodziska, ludzie nie tworzyli jeszcze wojennych drużyn i nie mieli takich zasobów, których zabezpieczenie wymagało budowania miejsc obronnych przed wrogiem. Powszednia ochrona zapasów żywności i odzieży polegać musiała na ukrywaniu ich w ziemi, do czego służyły najlepiej, jak i dla mieszkań ziemnych podczas zimy, pagórki piaszczyste.

Przemokli do nitki, ruszyliśmy po przejściu burzy w dalszą drogę, krętem łożyskiem Bugu, którego szerokość przy nadzwyczaj nizkim stanie wody wynosiła nie więcej przeciętnie, jak sążni 25 do 35, a w jednem miejscu pod Neplami,

tylko sążni 12. Dno rzeki zasute jest tu prawie wszędzie ruchomym miałkim piaskiem, zupełnie tak, jak w Bohu na Podolu. Piasek ten począwszy od *Białej góry*, ciągle tworzył mielizny, czyli tak zwane przez orylów »haki«, po których łódź nasza, mająca dno wypukłe i zanurzająca się dość głęboko w wodzie, zaczęła się czołgać i zatrzymywać dość często. Prokop przeciągał ją sam przez te mielizny, dopóki dostateczne były jego siły, ale gdy nie podołał, musieliśmy sami, zdjąwszy buty i część dolną ubrania, wchodzić razem z nim do wody, aby ulżyć statkowi i dopomagać w jego holowaniu, lub rozchodzić się po płytkiej rzece, szukając wśród mielizn głębszego przepływu Ponieważ wkładanie obuwia na mokre nogi powodowało mitręgę, odbywaliśmy więc odtąd wzorem bosych apostołów dalszą żeglugę i poszukiwania śladów starożytnego człowieka na wybrzeżach. Z początku okazał się ten nowy sposób wędrówki dość przyjemnym i wygodnym, ale później stał się powodem niemiłych skutków.

Szczęściem, że dno i brzegi nie są tu nigdzie żwirowe, jak nad Niemnem. A i pod względem topograficznym wielka między temi dwiema rzekami zachodzi różnica. Gdy Niemen ma brzegi przeważnie wysokie, strome, kamieniste, pobrużdżone głębokimi wąwozami, lub strojne rozkoszną zielenią krzewów na wyżynach, a cienistych olszeniaków po dołach, dno zaś żwirowe, lub roślinnością wodną zasłane — to Bug w okolicy Brześcia ma brzegi nagie, płaskie, bez krynic i kamieni. Na brzegach tych ciągną się suche błonia, łąki po przedwiecznych łożyskach rzeki, lub ławice piasku lotnego. Smutne te widoki szkicował ołówkiem pan Julian Maszyński w swym notatniku, z dziwną prawdą charakterystyki krajobrazu.

Pod wsią Kukurykami spotkaliśmy mnóstwo tratew, które osiadłszy tu przed kilku dniami na mieliznach, z powodu nazbyt nizkiego poziomu wody, zajmowały całą szerokość Bugu. Nie znalazłszy dla łodzi żadnego przejścia obok tratew, byliśmy w położeniu rozpaczliwem. Groziła nam mitręga najmowania paru wozów i kilkunastu ludzi do przewiezienia łodzi lądem poza tratwy. Mniejsza już o koszt, ale jakaż strata czasu, może dnia całego, gdy godzina strwoniona w życiu ludzkiem marnie, nikomu nigdy nie powraca. Oryle galicyjscy, puszczając kłęby niepachnącego dymu ze swych krótkich, glinianych fajeczek i warząc przed budkami swojemi na tratwach, w czarnych garnkach wieczerzę, przypatrywali się obojętnie naszemu kłopotowi. Jadący z nimi i sprzedający im gorzałkę i krupy »pisarz«, żydek galicyjski w pluszowym, czarnym kapeluszu, zakręcający sobie imponującej wielkości świderkowate pejsy, zdawał się jeszcze obojętniej na ambaras nasz zapatrywać. I nic dziwnego: miał on powód do większej, osobistej alteracyi, bo z całym towarem i setką najętych ludzi również siedział na »haku«.

Ale zwątpienie i rozpacz jest tylko udziałem niedołęgów. Poznawszy pomiędzy flisami po granatowym żupaniku i wysokim stożkowatym kapeluszu z pawiem piórkiem, Krakowiaka, zagadnąłem go: skąd był rodem? Objaśnił, że z Niepołomic. Znając dobrze strony krakowskie i akcent gwary ludu tamtejszego, wdałem się z Wojtkiem w rozmowę. Był pewien, że jestem także krakowianinem i uradował się ze spotkania ziomka w dalekiej stronie. Lud krakowski jest ochoczy i uczynny jeżeli ma dla kogo życzliwość. Wojtek przywołał Bartosza, Maćka i Staszka, a gdy im powiedział, że ten »pon jest z pod Krakowa, co nie może minąć się z drze-

wem« — gromadka flisów krakowskich, z życiem i ochotą, na jaką nigdy nie zdobyłby się Pińczuk czy Poleszuk, powyjmowała żwawo »*szryki*« (grube, brzozowe drągi, oskrobane z kory, na 10 łokci długie, do zatrzymywania tratew służące), porozwiązywała »*wici*« brzozowe (rodzaj postronków) między »*pasami*« drzewa i rozepchnąwszy »*płyty*« na znacznej długości, przeprowadziła szybko nasz statek. Żegnali nas potem serdecznie ci ludziska, życząc, abyśmy się spotkali kiedyś z nimi w Krakowie, pod Sukiennicami w niedzielę.

Płynęliśmy znowu swobodnie, wysiadając tu i owdzie na brzegi, gdy nagle



Chata we wsi Kuzawce (rys. Jul. Maszyńskiego).

przedstawił się nam niezwykły widok. O kilkaset kroków, na zielonem wybrzeżu, sześć niewieścich postaci w bieli, osłaniającej dość skąpo ich kształty, stojąc rzędem, pląsało bez przerwy na jednem miejscu. Miałyżby to być Rusałki lub Topielice bugowe, ukazujące się po burzy i nęcące zdradliwie wędrowców, którzy zabłądzili w to nieznane sobie ustronie? Stado białych, jak śnieg gąsek, szczypało trawkę u stóp tych nadbużanek, które niestety pomimo zbliżania się naszego, nie zdawały się zwracać na nas żadnej uwagi, ale wytrwale wciąż pląsały i pląsały nieznużone. Gdyśmy podpłynęli bliżej, przekonaliśmy się wówczas z pewnem rozczarowaniem, że to już były kobiety nie pierwszej młodości, które używając nóg

zamiast »kijanek«, prały w ten dziwny sposób bieliznę swoich mężów, dzieci, a może i wnuków. Zauważyliśmy przytem ubiór ich bardzo niehygieniczny, kobiety te bowiem miały pomimo pory lipcowej głowy szczelnie obwiązane chustkami, gdy przykrycie reszty ciała przedstawiało system bezwzględnej wentylacyi. Dziewczęta wiejskie otaczają tu głowę, niby wiankiem kolorową chusteczką, najczęściej czerwoną, złożoną w pasek, na dwa do trzech cali szeroki, co dość typowy i malowniczy strój przedstawia.

Po drodze spotykamy rybaków samotnych, siedzących w zadumie na swych czółnach przy brzegu rzeki i zapatrzonych na »spławki« kilku jednocześnie zarzuconych wędek. Te maleńkie, z jednego kloca spiczaste ich czółenka, mają w jednym końcu nizką budkę nakształt przewróconej niecki, dla ochrony podczas deszczu. Samotnicy zagadnięci przez nas o rybackie szczęście, narzekali na zły połów, zapewniając, że za lat dawnych Bug był daleko rybniejszy, a teraz przez dzień cały czekając cierpliwie na marną zdobycz, »czółno moknie, rybak sochnie«.

Nie licząc dwóch noclegów w Terespolu, pierwszy po nich w ciągu wodnej wędrówki, wypadł nam we wsi Kuzawce, pod Neplami. Zapytana wieśniaczka, czerpiąca wiadrami wodę, gdzieby można w Kuzawce zanocować, zaprosiła nas ze szczerą gościnnością do drugiej chaty z brzegu wioski. Słońce już zachodziło, gąski, bydełko i świnki powracały z pola do domu. Kilka dziewcząt przechodziło wbród przez rzekę, niosąc potężne kosze wodnego zielska na karm dla trzody chlewnej. Znużeni i do szczętu przemokli na owej *Białej górze*, udaliśmy się prosto na spoczynek do stodoły, pełnej bardzo siana. U wrót podwórka przywitał nas uprzejmie gospodarz, sympatycznej powierzchowności, nizkiego wzrostu, w płaskim, słomianym domowej roboty, z szerokiemi skrzydłami kapeluszu.

O wysuszeniu przemokniętej odzieży naszej przy ognisku, nie było mowy, bo ogień był zagaszony i cała rodzina wieśniacza udawała się już na spoczynek. Wieczór był chłodny po spadłym w okolicy gradzie, więc nie pozostało nic innego do zrobienia, jak nie rozbierając się wcale, zakopać w sianie po szyję i zasnąć, aby przez krótką noc rozgrzać się i wyschnąć. Razem z nami przyszło na to siano trzech wyrostków, synów naszego gospodarza. Najprzód uklękli chłopcy i dość długo szeptali pacierze, następnie poszli gdzie siano leżało najwyżej, w szczycie szopy, nakryli je rańtuchem i po chwili poczęli chrapać. Zanurzony w sianie i owiany jego miłą wonią, zasnąłem również szybko. Że jednak nie miałem na sobie suchej nitki, więc śniłem zaraz, że się pławię w jakiejś rozkosznej kąpieli rzecznej, której brzegi zasypane bezmiarem starożytnych krzemiennych narzędzi. Gdy kłopotałem się srodze, gdzie tyle skarbów podzieję, uczułem nagle na moim karku jakiś dławiący ciężar, sięgający jakby do mego gardła. Począłem przez sen krzyczeć i szukać rewolweru. Rozbudzony nareszcie przekonałem się, że był to jeden z owych chłopców, który śpiąc, stoczył się po pochyłości siana ku mnie.

O samym wschodzie słońca przyszedł gospodarz obudzić swoich synów i nam uprzejmie powiedzieć dzień dobry. Rozbudzeni chłopcy uklękli najprzód i rozpoczęli dzień od modlitwy, która jest istotnie tą olbrzymią i tajemniczą dźwignią etyczną i moralną, jakiej żadna inna zastąpić im nie może.

Po nocnym śnie, otrzeźwiwszy się zimną, kryniczną wodą, przyjrzałem się

stodole, w której mieliśmy nocny przytułek. W jednym jej rogu kmieć zagrodził sobie komorę na wymłócone ziarno. Na ścianie tej komory wisiały cepy. Cep mazowiecki z nad Wisły, składa się z *dzierżaka* i *bijaka*, tu na Podlasiu bijak nazywa się taksamo, ale dzierżak mianował nasz gospodarz *cepilkiem*. Na podwórku oglądaliśmy spore stadko dobrego bydełka, a w całej Kuzawce widać było zamożność i skrzętność jej mieszkańców. Nikt tu nie skarżył się ani na brak chleba, ani na panów, którzy jako dobrzy sąsiedzi tych kmieci, życzliwie przez nich byli wspominani.

Ja robiłem notatki, pan Julian tymczasem odrysował niebieloną chatę naszego gazdy z jej słomianą, o dużych okapach strzechą i narożnem podsieniem wspartym na słupie węgielnym. Ogródek otoczony był płotem plecionym porządnie z łozy, jak się plotą warkocze. W chacie na stole leżał bochen chleba białym obrusem domowej roboty przysłonięty, jako zawsze gotowy posiłek dla gościa lub ubogiego, który w progi domu wstępuje. Dawny to i piękny zwyczaj gościnności słowiańskiej.

Przy pożegnaniu ani gospodarz, ani dwunastoletni syn jego, który nam usługiwał, pomimo naszych nalegań, nie chcieli od nas przyjąć żadnej pieniężnej zapłaty. Gospodarz tłómaczył się nieśmiało, że brać pieniądze od gości i podróżnych, »to nie byłoby po katolicku«. Wieś Kuzawkę opuściliśmy pieszo, aby ułatwić Prokopowi przebycie mielizn, które widzieliśmy z daleka ponaznaczane przez retmanów »wiechami« z gałęzi zatkniętych i przyłamanych. Piasek tych mielizn był tak ruchomy, że niekiedy przez samo kołysanie łodzi zatrzymanej na nim, Prokop torował sobie dostateczne przejście na głębszą wodę. Z powodu tej ruchomości dna, Bug, choć mniej bystry niż Wisła, ma koryto równie niestałe i robi często flisom niespodzianki, zamieniając w ciągu jednego roku mielizny na głębiny lub odwrotnie.

Przy ujściu Krzny (inaczej Trzny) do Bugu, leży majętność Neple, z pięknym ogrodem i słynną ongi z gajów kameliowych kwiaciarnią, własność dawniej Mierzejewskich. Znaleźliśmy tu pierwszy od Brześcia wyniosły brzeg rzeki, z pięknym widokiem na zarzecze. Pan Julian odrysował ołówkiem części tych urwisk i zakątek pięknego lasu. Dalej widzimy znowu po raz pierwszy, obydwa brzegi rzeki strojne w rozkoszną zieloność leśną, wśród której Bug niezwykle szeroki, głęboki i spokojny, wygląda jak piękne jezioro szmaragdowe. A znowu dalej ma brzegi obnażone, gdzie na piaszczystej krawędzi stało rzędem pięć czapli zadumanych, jakby śpiących, a jednak dziwnie czujnych i ostrożnych. Liczne siwe rybitwy, mniejszego i większego gatunku, podobne ze zręcznego lotu do jaskółek, pląsały po nad cichem zwierciadłem Bugu, rzucały się z góry lotem strzały, bądź po małą rybkę, która nieostrożnie wypłynęła, bądź chwytając dzióbkiem wodę. Spostrzegłszy nas wydawały przeraźliwy krzyk trwogi. Inne znowu, widocznie dla ochłodzenia się, siadały stadkami na mokrym piasku nadbrzeżnym. Ptaków tych zauważyłem nie równie większą ilość nad Bugiem niż nad Niemnem. Za to nie widziałem tutaj litewskich »bibików«, gatunku dużej pliszki.

Przybywamy do Krzyczewa, wioski w dość malowniczem położeniu, a z mnóstwem drzew liściastych i drewnianą świątynią. Przy jednym z domów, zapewne

dworskich, stał pochylony z licznemi podporami, staroświecki sernik, owa tak zwana »sernica«, przypominająca soplicowską co:

......U dołu na jednym, wielkim słupie wsparta,
Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,
Groził upadkiem. Nieraz Sędziemu radzono,
Aby zrzucił budowę, wiekiem nadwątloną;
Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać,
Aniżeli rozrzucać, albo też przestawiać,
Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory...

Pan Julian odszkicował Krzyczew, przy którym na Bugu napotkaliśmy znowu wielkie mnóstwo tratew osiadłych na mieliźnie.

Wyładowano z nich na brzeg celem ulżenia, czyli »lichtowano« mnóstwo klepki dębowej, spławianej z nad górnego Bugu do Prus. Na jednej z tratew, zbudowana obszerna »skarbówka«, odznaczała się dużemi oknami i familijnym gankiem, na czterech słupkach. Budując ją, jakby przewidywano, że posłuży za mieszkanie przez czas dłuższy, dla osiadłych na mieliźnie.

Tu i owdzie pomiędzy Neplami, a Kołodnowem, napotykamy ogromne dęby zczerniałe w korycie rzeki. Wiele z nich wychylając potężne konary nad poziom wody, podobne są zdala do groźnych fantastycznych potworów, wynurzających się z głębin. Niektórzy przyrodnicy utrzymują, że dąb, aby nabrał hebanowej barwy i prawie kamiennej twardości, powinien około 3000 lat przeleżeć w wodzie. Czy koniecznie tak długo, tego twierdzić niepodobna, ale to wiemy na pewno, że dębowe pale mostu, postanowionego na Wiśle (wprost ulicy Mostowej) za Zygmunta Augusta, wydobywane z wody po latach trzystu, dopiero w połowie nabrały barwy czarnej. Ponieważ dęby napotkane przez nas w Bugu, były już czarne zupełnie, należy więc przypuszczać, że mogły pochodzić z epoki owych dębów celtyckich, z których zdejmowana jemioła, służyła Druidom do ofiar czynionych bogom, a w każdym razie były starsze od sławnego na Żmudzi Baublisa. Zmieniło się wszystko dokoła tych podwodnych olbrzymów, i czasy, i kraj i ludzie. Puszcze i bory legły pod toporem i pługiem, wiatr rozwiał zgliszcza starych siedlisk, a na nowych sadybach, nowe porozrastały się i postarzały się już wioski i mogiły. Dąb tylko podmyty niegdyś prądem wiosennej powodzi, w nadbrzeżnych puszczach przedwiekowych, runąwszy i zarywszy się konarami w łożysku rzeki, oparł się nurtom jej wód przez lat tysiąc, oparł chciwej ręce ludzkiej — i pozostał przez wieki zawsze groźny żeglarzom. Szkoda że niemy i nic opowiedzieć nam nie może! Niektóre dęby, podmyte i obalone w dawnych czasach sterczą ze stromych brzegów rzeki, z pod grubych napływowych warstw ziemi, na której już nowe porosły dęby, a podmywane znowu nurtem Bugu, choć jeszcze zielone, ale już nad wodą zawisły i oczekują pierwszej powodzi lub huraganu, który powali je znowu do topieli.

Na pagórkach nadbrzeżnych, poniżej Kołodnowa, gdzie rzeka robi zakręt ku

południowi, znalazłem rozsianą na powierzchni niezmierną ilość krzemienia, bez żadnych śladów, aby człowiek przedhistoryczny obrabiał z niego tu narzędzia. Pod Pratulinem mijamy znowu mnóstwo tratew, osiadłych »na haku« z ogromnym ładunkiem klepek dębowych i zboża. Przy nizkim stanie wody widzieć można tu i ówdzie wychylającą się z brzegów warstwę rudy żelaznej, której niewielki odłam, dla pokazania specyjalistom, wziąłem ze sobą. Burza długo nam groziła dalekimi piorunami i byskawicą, ale skończyło się podług przysłowia na małym deszczu. Mijamy pięknie położony folwark, Łozowicę, z brzegami Bugu, ocienionymi gęstwiną drzew, dalej ukośną w korycie rzeki starą groblę z kamieni, zapewne po odwiecznym młynie pozostałą.

Przebywamy okolicę, w której o kilka mil od Bugu, leży w Królestwie nad rzeką Krzną miasto Biała Radziwiłłowska, gdzie istniał słynny niegdyś zamek Radziwiłłów, w gubernii zaś grodzieńskiej, nad rzeką Pulwą, o dwie mile od Bugu leży miasteczko Wołczyn, dziedzictwo niegdyś książąt Czartoryskich i miejsce urodzenia Stanisława Poniatowskiego. W pobliżu ujścia Pulwy, kilkaset kroków od Bugu, odkryłem miejsce przedhistorycznej sadyby ludzkiej, gdzie na piaszczystej powierzchni nazbieraliśmy garść wiórów krzemiennych i ułamków takichże narzędzi.

Między wioskami Orlą i Sikwą, wybrzeże Bugu przypomina topograficznie Krzemionki na Podgórzu, pod Krakowem. Spotykamy tutaj, po raz pierwszy od Brześcia, granitowe głazy w łożysku rzeki, takie same, jakich nadzwyczajna ilość zanieczyszcza prawie całe koryto Niemna. Nad zachodem słońca płyniemy koło słynnych i rozległych pastwisk janowskich, na lewym brzegu Bugu położonych. Przedstawiają one piękny i dość niezwykły krajobraz. Ze wzgórz prawego wybrzeża, widzisz tam, za płową wstęgą rzeki, rozległe błonia i łąki ocienione tu i owdzie gajami olszowymi, wśród których pasą się swobodnie tabuny różnomaścistych źrebców i klaczy ze stada rządowego w Janowie. Gdyby nie długie szopy na siano, po szerokich błoniach tu i owdzie rozrzucone, to nie widząc ani pól uprawnych, ani domostw ludzkich, mógłbyś sądzić, że to obraz dziewiczej przyrody z czasów dawnych.

Nie mogliśmy jednak nasycać wzroku tym pięknym widokiem, bo ulewny deszcz przewidywany po parnym dniu lipcowym, nalał nam jak z wiadra wody za kołnierze i zamoczył tekę rysunkową pana Juliana. Zapadający mrok kazał myśleć o noclegu. Spojrzałem na mapę i znalazłem poniżej Janowa nad Bugiem, wieś Puczyce. Że zaś wiedziałem, iż znajomy mi dobrze z Warszawy zacny i zasłużony ziemianin Adam Goltz jest posiadaczem Puczyc w gub. Siedleckiej, byłem więc pewien, że dwór pana Adama leży nad Bugiem w tej okolicy, i że tam doznamy, pod jego dachem staropolskim, serdecznego przyjęcia. Miłą nadzieją podzieliłem się nietylko z panem Julianem, ale i z Prokopem. Wzięliśmy się zatem wszyscy na zabój do wioseł, aby zdążyć przed nocą w gościnne progi, ziemianina-literata. W wyobraźni przemokłych wędrowców gościnny dom Pana Goltza był jakby rajem Miltona, ziemią Chanaan Mojżesza, Eldoradem Orellana i Sybarysem rozkoszników Romy. Nadciągająca burza zmusiła nas jednak przed Puczycami, do schronienia się pod strzechę karczmy w Wieliczkowiczach. Zastaliśmy w niej starozakonnego arendarza, wykładającago arytmetykę, a mianowicie dodawanie i mnożenie kilku włoś-

cianom. Stał on przed drzwiami alkierza, na których liczne szeregi kresek, znaczonych kredą, przedstawiały »borgowane« im w ciągu tygodnia półkwaterki wody życia.

— Pana Goltza w tej porze żniw zapewne zastaniemy w domu? — zapytałem arendarza, zaciekawionego osobistościami podróżnych.

— A skąd ja mogę o tem wiedzieć? — odrzekł arendarz.

— Jakto, przecie do Puczyc nie macie więcej nad ćwierć mili?

— Ćwierć mili? Ja panu powiem, co jest od nas z Wieliczkowicz do Puczyc cztery tęgie mile, a potem jeszcze ćwierć mili i jeszcze jaki ogonek.

Osłupieliśmy. Wiadomość ta przeraziła nas naprawdę. Wzięliśmy po raz dziesiąty do rąk naszych szczegółową mapę tych okolic, na której najwyraźniej po raz dziesiąty znaleźliśmy, że za Wieliczkowiczami, nad Bugiem, pierwsza wieś nazywała się *Puczyce.*

— Cztery mile do Pana Goltza? — odrzekłem zdziwiony — wszak Bugiem powinniśmy tam zapłynąć w pół godziny?

Arendarz spojrzał szyderczo na naszą mapę i rzekł:

— Ten, co panom tę mapę pisał i kazał jechać wodą do pana Goltza to musiał być z *psieprosieniem* wielki łgarz. Tu u nas nad Bugiem jest wieś Buczyce a pan Goltz mieszka daleko od rzeki naszej i można do niego tylko *jechać z wozem.*

Nastąpiło tedy bolesne rozczarowanie i bankructwo dzisiejszych naszych nadziei. W nazwie wioski na mapie znajdowała się prosta omyłka w jednej literze: P zamiast B. Były Puczyce zamiast Buczyce.

Deszcz padał i wieczór się zmroczył, trzeba więc było myśleć o noclegu w Wieliczkowiczach. Jakiś chłopek słusznego wzrostu, tęgiej postawy, o sumiastych, polskich wąsach i szlachetnych, słowiańskich rysach twarzy, gościnnie zapraszał nas na siano do swojej stodoły i chciał ochoczo przenosić do siebie tłomoczki. Że jednak mieszkał na oddalonym końcu wioski, a deszcz lał jak z cebra, postanowiliśmy więc zanocować w przyległym domu, gdzie arendarz zapraszał nas do swoich starych rodziców i pocieszał gorącym samowarem, oraz cudownie jakoby wygodnym noclegiem.

W dużej, chędogo wyprzątniętej na dzień sabbatu izbie, siedziało samotnie dwoje bardzo starych żydów nad dostatnią wieczerzą świąteczną. Poorane głębokiemi bruzdami ich twarze, trzęsące się głowy i wyschłe ręce, starodawny czepiec i zawój chustki na głowie pochylonej »bałabuste«, a lisia, świadcząca o długoletniej, nie zawsze szczęśliwej walce z molami czapka i żupan, przepasany na biodrach starca czarnym, jedwabnym pasem, wskazywały, że ludzie ci należeli do pokolenia spoczywającego w grobach. Można się było domyślać, że staruszkowie, przyszedłszy do pewnego dostatku, czując niedaleki kres swego życia, spędzają ostatnie chwile na pobożnem odczytywaniu ksiąg talmudycznych. Ofiarowali nam uprzejmie dwie porcye szczupaka nadziewanego »po żydowsku« i dwie szklanki herbaty, która jednak mocno przypominała kolorem lekki rumianek, a wonią siano nadbrzeżne. Zamiast tedy na miłej gawędce, u pana Adama Goltza, szabasowaliśmy poważnie w Wiliczkowiczach. Ponieważ nie chcieliśmy przyjąć pościeli od zakłopotanych z tego powodu staruszków, odebrano więc ich krówce dwie wiązki

ciepłego posłania i urządzono nam w tej części izby, gdzie znajdowała się z desek podłoga, łoże z trawy i słomy, przykryte szabasowym obrusem. Spaliśmy jednak smaczniej, niż wielu może ludzi spało tej nocy na sprężynach i puchu.

Obudziły nas natrętne i ciekawe muchy, oraz jaskrawe promienie słońca. Zapytany przeze mnie gospodrz domu, czy w tej okolicy nie znajdowano »alte madbees« (numizmatów) odpowiedział, że nawet sam posiada kilkanaście »gładkich dziesiątek i krakusek« ale z powodu szabasu, sprzedać mi ich dziś nie może, chyba gdybyśmy się zatrzymali do jutra. Przypomniało mi to pewnego małomiasteczkowego jubilera, ze stron łomżyńskich, który całe życie przekuwał stare monety na pierścionki i zausznice dla małomiasteczkowych elegantek, a gdy mi raz pokazał garść różnych numizmatów, z których wybrałem tylko polskie, szwedzkich zaś i pruskich nie chciałem.

— »Nic nie szkodzi — rzekł do mnie z powagą — znajdzie się drugi pan z takim *defektem,* co kupi tamte«. Podany nam rachunek za nocleg i szabas był bardzo skromny i uczciwy, a że starzec ze względu na przepisy swej religii, pieniędzy w dniu tym dotknąć się nie mógł, przyniesiono więc jego małą prawnuczkę z drugiego domu i dano jej do ręki łyżkę, na którą położyliśmy należytość, a dziewczynka wysypała monety do szufladki w staroświeckim kantorku pradziadka. Tym sposobem stało się zadość i talmudowi i arytmetyce.

O pół mili poniżej Wieliczkowicz, między Buczycami i Bublem, z wysokiego i malowniczego, porosłego brzozami i leszczyną brzegu rzeki, roztaczał się na prawo daleki widok na katedrę dawnej dyecezyi Podlaskiej w Janowie, gdzie spoczywają zwłoki Naruszewicza. Dalej za Bugiem na łany, lasy i pagórki, na których prawdopodobnie możnaby odszukać zabytki przeddziejowych wyrobów ręki ludzkiej, gdyby nie stał na zawadzie brak czasu, nie pozwalający na wycieczki do miejsc zbyt oddalonych od brzegów rzeki. Trzeba było korzystać z prześlicznego poranku i iść dalej, bo dzień zapowiadał się upalny, a po nim może znowu ulewa, grad, burza? Minęliśmy niebezpieczną dla berlinek i tratew starą groblę z kamieni w ukos rzeki usypaną, pozostałą po jakimś przedwiecznym młynie, podobną nieco do rap niemnowych, a dalej bród, przez który wpław przejeżdżali wieśniacy wozami.

Bindugą lub *biendugą* zowie lud nadbużny, jak i wszędzie, miejsce, gdzie wywożone jest na brzeg rzeki z lasów okolicznych drzewo przeznaczone do spławu. Na takiej bindudze przed wsią Krynkami, odkryłem, acz nieliczne okazy starożytnych okrzosków i narzędzi krzemiennych. Przy wiosce powyższej, nad Bugiem napotkaliśmy piękny gaj olszowy, z którego tryskają do rzeki trzy krynice wybornej, zimnej wody. Od nich to niewątpliwie i nazwa Krynek otrzymała początek. W ilości nadbrzeżnych źródeł, wielka między Bugiem a Niemnem zachodzi różnica. Ponieważ dolina wyżłobiona przez Niemen jest znacznie głębsza, więc co kilkaset kroków napotkać tam w niej można u podnóża wyniosłych stoków obfite zdroje lub strumyki, spadające małymi wodospadami w koryto tej rzeki litewskiej. W płytkiej zaś dolinie Bugu, źródła i strumyki rzadko się spotykają, a takie »krynki« bodaj czy nie po raz pierwszy od Brześcia zauważyliśmy.

Na wzgórzach, ciągnących się w kierunku miasteczka Niemirowa, znale-

źliśmy znów małą stacyę krzemienną, w pobliżu dzisiejszego młyna wietrznego. Miano Niemirowa pochodzi od niegdyś znamienitej na Podlasiu rodziny Niemirów, których to miasteczko pierwotną było własnością i gniazdem, później zaś dziedzictwem książąt Czartoryskich. Województwo Podlaskie do r. 1569 należało do Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale gdy w czasie powyższym przyłączone zostało do Korony, tutaj właśnie była od roku powyższego granica między Koroną i Litwą, a w szczególności między województwem Podlaskiem i Brzesko-Litewskiem. Krynki i Bubel leżały jeszcze na Litwie w powiecie Brzeskim, a Niemirów i Gnojno już na Podlasiu, w ziemi Mielnickiej. Po trzecim podziale stykały się z sobą pod Niemirowem w ciągu lat 1795—1807, granice trzech państw podziałowych. Lewy brzeg Bugu należał do Austryi, a na prawym od Niemirowa, zaczynały się tak zwane Prusy »Nowo-wschodnie«.

Granica dawna Podlasia z Litwą nie stanowiła tu granicy dyalektu ludowego. Podlasie było pierwotnie pasem puszcz leśnych, ciągnącym się od okolic dzisiejszego Augustowa na północy aż pod Międzyrzecz i Parczów na południu. Do tych puszcz bezludnych napływali od zachodu Mazury, od południa i wschodu Rusini, a od północy plemię litewskie Jadźwingów, którzy korzystając z osłabienia Polski piastowej w dobie podziałów pomiędzy synów, wnuków i prawnuków Bolesława Krzywoustego, uczynili puszcze podlaskie szlakiem swoich napadów na żyzną Małopolskę. Po pogromie Jadźwingów dokonanym przez Leszka Czarnego, Mazurzy gromadnie kolonizowali Podlasie, a rozpraszając się i dalej na wschód i południe po ziemiach Rusi, wsiąkali szybko w jej żywioł miejscowy. Ciekawy tego przykład znalazłem w pamiętniku domowym Sasinów Kaleczyckich z wieku XVI. Oto Zygmunt I nadał r. 1524 Sasinowi, szlachcicowi mazowieckiemu, w województwie Brzeskim włość Kaleczyce, (od której Sasinowie przybrali nazwisko Kaleczyckich). Sasin, osiedlony na Rusi litewskiej synowi swemu daje już imię ruskie Siemen, a wnuka ma Wasila Kaleczyckiego. Ciż fundują w Kaleczycach cerkiew obrządku wschodniego, której tam pierwej nie było, i odbudowują drugą cerkiew we wsi Rohaczach. Rodowici Mazurzy cerkwie te hojnie uposażają, modlą się w nich, chrzczą swe dzieci i grzebią swoje ciała. Pod rok 1624 Wasil wnuk Sasina zapisuje po polsku: »Przebudowałem cerkiew rohacką i wszystko odnowiłem i aparata posprawiałem«, a dalej zleca synom swoim: Janowi, Danielowi, Andrzejowi i Stanisławowi, aby go gdy umrze, pochowali obok żony w cerkwi kaleczyckiej.

Na Podlasiu, poniżej Niemirowa, chaty wiejskie są nieco szersze i krótsze od litewskich, budowane z bierwion piłą ocieranych i bez narożnych podsieni; mają wyższe dachy, mniejsze okapy, a większe okna, jednem słowem nabierają wybitnego charakteru chat polskich. W ubiorze mężczyzn zobaczyć można *spencery*, czyli lniane kaftany, z barwnego, kraciastego płócienka, w domu tkanego. Czółna rybaków podlaskich mają końce więcej do góry zadarte, a mniej spiczaste. Bydło, które napotykamy na błoniach nadbużnych, jest dość rosłe i dobrze utrzymane, co świadczy o dobrobycie tutejszego ludu, równie widocznym w jego domach i gumnach.

Do Niemirowa trafiliśmy podczas nabożeństwa w dniu niedzielnym. Lud widocznie bardzo tu pobożny, bo wszystek znajdował się w kościele, a że żydzi

w południowy silny upał poukrywali się w domach, więc żywej duszy nie spotkaliśmy na ulicach. Podobny widok za dawnych czasów, musiały przedstawiać miasta w czasie »morowego powietrza«, gdy cała ich ludność, kierując się instynktem zachowawczym, uciekała w lasy.

Bug w okolicach Niemirowa, zanieczyszczony jest haniebnie odwiecznemi tamami kamiennemi, czyli groblami po starych młynach, stanowiącemi często niebezpieczne dziś przejście dla statków i tratew. Pod Krynkami, Gnojnem, Klepaczewem i Ostrowem znajduje się takich grobel kilkanaście.

Łożysko bugowe na trzech czwartych swej szerokości zawalone jest w podobnych miejscach ukośnym wałem kamieni, który zmusza całą rzekę do ścieśnionego przejścia, gdzie płynie ona nurtem wzburzonym i gwałtownym. Pokazało się, że nasz Prokop, o którym mniemaliśmy z początku, iż jako były wojskowy powinien być człowiekiem śmiałym, nie był wcale pewnym swego wiosła, w miejscach niebezpieczniejszych, nie umiał dobrze łodzią ciężką kierować i tchórzył. Tamy powyższe muszą oczywiście być dawniejsze, niż uchwała sejmowa z r. 1548 orzekająca, że Bug począwszy od Sokala, nie może być nigdzie żadnemi groblami hamowany, pod karą 200 marek srebra. W roku następnym uchwałę tę potwierdzono i oznaczono czas do zniesienia wszystkich grobli i jarów na Bugu, z wyjątkiem jednej tamy Mikołaja Ostroroga, w województwie Bełzkiem, która służyła do zabezpieczenia jego zamku. Obowiązano wszakże Ostroroga, aby obmyślał wszelkie środki ku wygodzie i bezpieczeństwu przepływających tamże statków. Musiało jednak znoszenie grobel bugowych iść opieszale, a nawet należy przypuszczać, że nadbrzeżni właściciele usiłowali wówczas budować tamy nowe, skoro konstytucyą sejmową z r. 1633 ponowiono ten rozkaz, zwiększając karę do 1000 marek, a w r. 1641 podnosząc ją jeszcze do 3000 i to bez żadnej apelacyi.

W każdym razie owo wytrwałe budowanie licznych i kosztownych grobli dla młynów, a potem uparte użytkowanie z tychże, dowodzi już niemałego zaludnienia okolic nadbrzeżnych, rozwinięcia w nich przemysłu młynarskiego i przedsiębiorczości szlachty polskiej w dawnych wiekach. Czyż opłaciłoby się bowiem ponosić tyle trudu i kosztu, gdyby nadbuże nie produkowało obfitości ziarna i młyny nie przynosiły pewnych dochodów, a z drugiej strony, czyż sejm uchwalałby tak surowe kary i zakazy, gdyby żegluga nie miała wysokiego, handlowego i przemysłowego znaczenia dla kraju, a mianowicie dla Wołynia i Rusi-Czerwonej położonej nad górnym Bugiem.

Bug był głównym traktem handlowym pomiędzy Wołyniem i Europą. Z pamiętników Wiktoryna Kuczyńskiego, kasztelana podlaskiego, (nie ogłoszonych dotąd drukiem, a przechowywanych przez rodzinę w Koreczewie na Podlasiu) widzimy, że Wołyń w XVII i XVIII wieku spławiał swoje zboże Bugiem i Wisłą do Gdańska. Spław ten odbywał się zwykle w porze wiosennej, z powodu najwyższego stanu wody. W r. 1720 »statki z Wołynia, które się opóźniły, *obesząły* w Kamieńczyku i w Mężeninie, pożyczyły żyto okolicznym mieszkańcom, a tym sposobem ludzie ubodzy uniknęli głodu, gdyż wcale już żyta nie było na Podlasiu, z powodu zeszłorocznego zapalenia i nieurodzaju«. W sześć lat później, t. j. roku 1726, tamże imć pan Wiktoryn Kuczyński zapisuje znowu, że z nastaniem suchej wiosny,

statki wołyńskie ze zbożem »*oschły*« na Bugu. W r. 1729 po głębokich śniegach »wielka woda na Bugu przystąpiła i spichrze ze zbożem pozabierała«. Każdy szlachcic możniejszy miał wówczas na Bugu własne statki, na których zboże swoje spławiał do Gdańska. Niektórzy jeździli tam sami sprzedawać swoje ziarno, więc i kasztelan podlaski, mimo że się już dorobił znacznej fortuny, niejedokrotnie tak czynił. Każda szkuta, albo kilka szkut razem żeglujących do Gdańska, miały swojego przywódcę, który nazywał się »szyprem«. Kuczyński narzeka na starych szyprów, iż wchodzili w konszachty z kupcami i doradza, »aby jednych i tych samych szyprów długo nie posyłać, bo się popsują«. Po sprzedaniu zboża zaopatrywano się w Gdańsku na rok cały w rozmaite zapasy kolonialne, towary łokciowe, cukier, wódki gdańskie i t. d. Zbytecznem byłoby dodawać, że tysiące flisów wołyńskich, żeglując przez Podlasie, Mazowsze i Kujawy, a nieraz dla małej wody, zatrzymując się przez czas dłuższy wśród ludu polskiego, przynosiło z powrotem w strony wołyńskie wiele pojęć, wyrażeń, piosnek i ubiorów z nad Wisły. Tak np. rogate czapki (samodziałowe), noszone powszechnie przez lud wołyński do siódmego dziesiątka lat, w wieku XIX, niewątpliwie przyniesione były przez flisów wołyńskich z Mazowsza nad Styr i Horyń.

Poniżej wsi Gnojna mijamy piękny, wyniosły brzeg Bugu, lasem pokryty, a za Klepaczewem uderza nas niezwykły w tych dotąd płaskich stronach widok, wzgórzysto-leśnej okolicy miasteczka Mielnika, przypominającej niektóre ustronia z nad Wilii i Niemna. Mielnik dziś równie, jak i Niemirów, nędzna mieścina, znanym jest w dziejach naszych, od czasów bardzo dawnych. Gdy organizowała się w tym kraju pierwsza niegdyś obronność i wyszukiwano stromych gór dla zakładania zamków, to dwie takie obrano najodpowiedniejsze ku temu celowi nad Bugiem: w Mielniku i Drohiczynie. Podobnym to wyniosłym miejscowościom, na których wznoszono zamki, (będące siedliskami władz pierwotnych i rycerstwa) zawdzięczają także swój początek: Kraków, Wilno, Lublin, Grodno, oraz setki miast innych.

Podług kronik i latopisów, Mielnik już w wieku XII był zamkiem obronnym. Później r. 1241 przez Mongołów, Batu-hana zburzony, dostał się z szerokim krajem nadniemeńskiej i nadbużnej Rusi, księciu litewskiemu Erdziwiłłowi. W r. 1390 Władysław Jagiełło podarował Mielnik prawem dziedzicznem Janowi, księciu Mazowieckiemu, co jednak bynajmniej nie zakończyło zatargów między Mazowszem i Litwą. Roku 1506 w grudniu, posłowie od narodu polskiego, po zgonie króla Aleksandra, przybywszy do Mielnika, ofiarowali koronę bawiącemu tutaj królewiczowi Zygmuntowi pierwszemu, wnukowi Jagiełły. Gdy w kilka lat później utworzono województwo Podlaskie, podzielono go na trzy ziemie: Bielską, Drohicką i Mielnicką. Ta ostatnia, ciągnąca się z północy na południe, pasem długim a wązkim, stanowiła południowo-wschodni kraniec Podlasia.

Góra zamkowa mielnicka, podobna jest do stromego, wyniosłego na kilkadziesiąt łokci kopca, z którego panował niegdyś nad doliną Buga stary zamek, a dziś stoi w tem miejscu kapliczka. Pan Julian Maszyński, odszkicował pamiątkowe grodzisko podlaskie. Ja wziąłem się do moich notatek, mając stały zwyczaj zapisywania w podróży wszystkiego pod wrażeniem chwili, a nie obarczania pamięci

szczegółami, które przybywając co chwila nowe, mogą być z pamięci uronione. Ponieważ i w dniu dzisiejszym musieliśmy przeciągać łódź naszą przez mielizny i wielokrotnie przez wodę wbród przechodzić, należało przeto być znowu boso i zajęcia nasze artystyczno-naukowe dopełniać w stroju pastersko-mitologicznym. Mogło to być trochę zabawnem i nawet przypominać czasy przedhistoryczne, gdyby nie okoliczność, że nogi nasze, nieprzyzwyczajone do ciągłego naprzemian moknięcia w wodzie i ogrzewania na upale słonecznym, tak obrzękły i obolały, że w tym stanie nie znosiły już w końcu na sobie żadnego obuwia, nawet bardzo obszernego.



Dwór w Klimczycach.

Spiżarnia nasza, obficie zaopatrzona w Brześciu, po trzydniowej podróży przy dobrym wędrowców apetycie, zaostrzonym trudami drogi i obcowania z wodą, przedstawiała smutny obraz pustkowia, któremu należało w Mielniku zapobiedz. Oj, ten żołądek, prozaiczny gospodarz zarówno filozofa, jak oryla, malarza jak etnografa, zaczął się wcale nie problematycznie domagać przyrodzonych praw swoich. Wysłaliśmy tedy naszego Prokopa z koszem, jak kucharkę warszawską, aby nam kupił spiesznie, co znajdzie najwykwintniejszego w sławnej stolicy dawnej ziemi Mielnickiej, gdzie 'podług słów dziejopisa onego czasu: »różne publiki i sądy odprawowano«. Wioślarz poszedłszy do miasta, wpadł tam, jak kamień

w wodę. Dopiero po całej godzinie niecierpliwego oczekiwania, spostrzegliśmy z radością, jak powracał z pełnym koszem. Rzecz tylko wydała nam się podejrzana, że nie podążał do nas w prostym kierunku, ale przechodził ustawicznie z jednej strony drogi na drugą, na co lud polski ma swoje wyrażenie mówiąc, że »kaczki zaganiał.« Zdaleka wyglądało to, jakby Prokop szukał czegoś po drodze, ale gdy podszedł bliżej, silna woń anyżówki, rozwiązała całą zagadkę. Kosz był wprawdzie napełniony, ale obwarzankami, których twardość nie wiele ustępowała starożytnym narzędziom krzemiennym. Ponieważ jednak na pół kopy obwarzanków kupionych dla nas, Prokop położył pół kopy śledzi, kupionych dla siebie, zatem nawet skosztowanie smaku obwarzanków mielnickich było zgoła niemożliwem.

Wśród pięknego lasu, ciągnącego się na lewym brzegu Bugu, ku Mierzwicom, pełnego dziwnie rozkosznej woni i malowniczych wąwozów, przypomniały się nam biblijne czasy »szarańczy i korzonków na puszczy«. Tym razem jednak, że głód silnie dokuczał w poetycznem ustroniu byliśmy zajęci segregowaniem obwarzanków, ofiarując Prokopowi wszystkie, które bliżej sąsiadowały z jego śledziami, a miały dla niego najwięcej wartości, z czego był widocznie bardzo zadowolony. I szliśmy znowu dalej pieszo, bo na łódce z chwiejącym się Prokopem chyba tylko na płytkich mieliznach mogło być bezpiecznie. Spotkaliśmy teraz po drodze mnóstwo ludzi, łowiących ryby na wędkę, gwoli poobiedniemu wczasowi dnia świątecznego. Pod Mierzwicami, na szczycie wysokiego, zielonego pagórka, tańczyła wesoło w białych koszulkach krzykliwa gromadka dzieci wiejskich. Dalej, na prawo, napotkaliśmy potężny na kilka stóp gruby pokład łąkowej rudy żelaznej, sterczący ze stromego brzegu, jak skała brunatna, pozioma. W tejże miejscowości widziałem po raz pierwszy w drodze z Brześcia kępę sitowia rosnącego w Bugu. Dla mnie, wzrosłego nad Narwią, która (w Tykocińskiem) cała zarośnięta jest bujnem sitowiem, było to miłe spotkanie, jak z towarzyszem lat dziecinnych. Czy może sąsiednia obfitość rudy żelaznej była przyczyną, że to sitowie, tak rzadko w Bugu napotykane, tu, a nie gdzieindziej wyrosło, niech na to odpowiedzą przyrodnicy.

Już po zachodzie słońca, przybyliśmy do wsi Mackiewicz na nocleg. Pod wioską, nad Bugiem, znajdowała się »binduga«, i tam stała na piasku opuszczona, na pół rozwalona, samotna buda, ze starych desek i opołów.

Był to szałas, postawiony przed kilku laty, widocznie przez orylów, którzy zbijali tu drzewo w tratwy do spławu. W bujnej wyobraźni wędrowców mógł on przedstawiać się, jak schronisko przedhistorycznych mieszkańców, do których staliśmy się naprawdę podobni, przez ogorzałość cery, czerwone nogi i zabłocony ubiór. Nawet co do trybu naszego życia, to wędrówka po dzikich manowcach i brodach rzecznych, śledzenie siedlisk ludzkich i rabunek znalezionych narzędzi krzemiennych, a przedewszystkiem obywanie się bez kuchni i przyzwoitego pożywienia, zbliżyło nas także do zwyczajów przeddziejowych.

Buda z każdego punktu swego wnętrza, przedstawiała w ścianach i dachu widoki na niebo, wioskę, las, a otwartą była na Bug, od strony którego, całej ściany nie posiadała. Z uzbieranych na bindudze butwiejących wiórów, rozniecliśmy niebawem ognisko i uczyniliśmy naradę gastronomiczną, co sobie ugotować

na wieczerzę? Mieliśmy rondelek i kawałek jeszcze buljonu oraz szynki, a Prokop kupił nam w Mackiewiczach tuzin jajek i dostał w dodatku do nich pół potężnego bochna chleba. Gospodynie bowiem w tej wiosce miały jeszcze dawny, słowiański wstręt do sprzedaży chleba, wymawiając się »że nie są żydówkami, aby chleb w domu sprzedawały«, więc podróżnemu, który kupił od nich jajka, udzieliły go hojnie, nie chcąc przyjąć zań pieniędzy. Prokop, jako stary żołnierz, wyzyskał chciwie tę gościnność »głupich bab«, jak je nazwał, spodziewając się, że go za



Śpichrz dworski w Klimczycach.

to pochwalimy, to też był trochę zdziwiony, gdy został w miejsce pochwały przez nas wygderany. Ponieważ nie mieliśmy ze sobą 365 obiadów ś. p. Ćwierczakiewiczowej, postanowiliśmy przeto coś zaimprowizować na wieczerzę. Gdy buljon rozgotował się we wrzątku, posoliliśmy go sowicie, później nakrajaliśmy do niego w kostkę szynki domowej, która nam jeszcze pozostała i zaczęliśmy tłukąc jajka, wlewać żółtka z białkami do rondelka. Ja tej operacyi dopełniałem, a pan Julian tymczasem mieszał tę dziwną polewkę. Spotkał nas tylko mały zawód co do jajek, bo w niektórych znalazły się zalęgnięte od wiosny kurczęta — tym razem niepożądane. Nareszcie otrzymaliśmy w rondelku preparat, podobny do makaronu, który mo-

żemy polecić autorkom układającym przepisy kuchenne dla turystów w naszym kraju. To, co się ugotowało, musiało być jednak znośne w smaku, skoro nic w rondlu nie zostało, zwłaszcza po oddaniu tego naczynia w połowie uczty Prokopowi.

Po tak osobliwej wieczerzy trzeba było pomyśleć o spoczynku. W lipcu o słomę i na wsi bywa trudno, bo nowej nikt jeszcze nie umłócił, a stara dawno poszła już na sieczkę i ściółkę. Siana nikt także na sprzedaż we wsi nie miał, uzbieraliśmy przeto nieco chwastów, wiorów i kory na bindudze i uczyniliśmy z tego posłanie na ziemi w naszej budzie, która do psiego legowiska stała się dziwnie podobną. U wejścia do budy, gdzie brakowało drzwi i ściany, położyliśmy poprzecznie naszego Prokopa, a lubo ze względu bezpieczeństwa, ta barykada nie wiele była obiecującą, zasnęliśmy jednak spokojnie.

Nie wiem czy spałem już godzinę, gdy usłyszałem przez sen jakieś bębnienie po dachu, podobne do dalekiego ognia karabinowego. Po chwili uczułem miarowe kapanie wielkich kropel wody na głowę, co przypominało dawny system leczenia ludzi obłąkanych. Był to deszcz, który bębnił po dachu coraz silniej, aż nareszcie uczułem i pod sobą zimną kąpiel napływającą z nadworza pod budę. Zerwałem się na równe nogi. Dach przeciekał cały jak rzeszoto. Nie było innej rady, tylko zgarnąć wióry i barłóg na kupę, a otworzywszy nad głową parasole, usiąść na takim pagórku. Tak się też wkrótce stało. Przez resztę krótkiej nocy deszcz siekł bez przerwy, a w budzie kiwały się trzy senne głowy ludzi siedzących na wiórach: dwie pod parasolami, a trzecia pod siermięgą.

Poranek wyglądał nie jak w lipcu, ale jak w głuchej jesieni. Chmury zasuły całe niebo, z którego mżył jesienny »kapuśniaczek«. Trzeba było pocieszać się starem przysłowiem, które nieraz z ust ojca mego słyszałem, że: »deszcz ranny, gniew panny, płacz wdowy i taniec starej baby nie długo trwają«, a za które obraziła się raz na mnie pewna dama w Warszawie, bo cytując to przysłowie w jej obecności nie wiedziałem, że jest wdową, że lubi pląsy namiętnie i że antypatycznie nienawidzi w języku polskim wyrazu: »baba«.

Tymczasem widząc, że deszcz ani myśli zastosować się do starego przysłowia, okryliśmy na łódce tłomoczki nasze matami i ruszyliśmy Bugiem w dalszą drogę. Nie wierząc, aby zły humor i nos spuszczony na kwintę mógł rozpraszać chmury i sprowadzać słońce i pogodę, nie traciliśmy pomimo deszczu dobrej miny, ale opowiadaliśmy sobie wesołe anegdoty i staropolskie fraszki, wyszukując coraz inne w zakątkach naszej pamięci. Pod względem usposobienia, różnił się od nas zupełnie brzeski argonauta, który często przeklinał niepogodę i spluwając w dłonie gdy brał za wiosło, mruczał coś pod nosem. Niektóre jego złorzeczenia tak były w trzeciej osobie wypowiedziane, że nie wiedzieć do kogo się odnosiły, czy do deszczu i chmurnego nieba, czy do nas? W każdym razie, Prokop uważał nas za ludzi »nie swego rozumu«, że zamiast siedzieć podczas deszczu w karczmie, nie mając żadnych po drodze interesów, spieszymy się niewiedzieć dla czego i mokniemy dobrowolnie. Daremnie pocieszałem go przysłowiem starych orylów, że: »Pan Bóg zmoczy, Pan Bóg wysuszy«. Eks-wojak był piecuchem, co się zowie i myśląc tylko o mahorce i siwusze, stawał się krnąbrnym i wreszcie chciał nas porzucić w połowie drogi.



Park w Korczewie.

W dawnem województwie Podlaskiem ziemia Mielnicka pod Mackiewiczami, nad Bugiem, graniczyła z Drohicką. Turna, Siemiatycze, Boratyniec ruski leżały już w ziemi Drohickiej. Na lewym zaś brzegu, ziemia Mielnicka podchodziła prawie pod sam Drohiczyn, bo do rzeczki Toczny, stanowiącej od wsi Dzięciołów do Bugu granicę pomiędzy temi ziemiami.

Moknąc ciągle na deszczu minęliśmy wieś Turnę, koło której koryto Bugu tak jest zanieczyszczone, jak nigdzie, przez liczne stare groble i przez głazy pojedyńcze. Przy nizkim stanie wody wiele kamieni wynurza się nad jej poziom. Gdy woda większa, wówczas głazy te, ukryte pod jej powierzchnią, stają się jeszcze niebezpieczniejsze dla statków, a tylko w czasie wielkiego wezbrania są już zupełnie obojętne dla żeglarzy. Takie ławice głazów w Niemnie pod Rumszyszkami i w Bugu pod Turną, zarówno tam lud litewski, jak tu podlaski, nazywa niekiedy *mostami dyabelskimi* i utworzenie tych rumowisk przypisuje sprawie i sile szatana, a krążące nad Niemnem i Bugiem baśnie ludu o tych zwałach granitowych i mostach czartowskich, nie różnią się w niczem od siebie.

Znajdujemy się obecnie na granicy dwóch dyalektów: polskiego i małoruskiego.

Lud ziemi Drohickiej, na obu brzegach, mówi już po polsku. Ścisłej atoli granicy tych dwóch dyalektów niema dla tego, że przy zetknięciu się, są tak zmieszane i tak do siebie podobne, iż wioski pograniczne nie wiedzieć do którego z nich zaliczone być powinny. Ponieważ w okolicy Drohiczyna, na prawym brzegu Bugu, t. j. w dzisiejszej gub. Grodzieńskiej, przeważał obrządek łaciński, ta więc połać północna ziemi Drohickiej nosiła od dawna nazwę »strony polskiej« lub »lackiej«, gdy przeciwnie południowa (w Królestwie Polskiem) gdzie przeważał obrządek słowiański, nazywaną była »stroną ruską«.

Jak położenie Nepel i Mielnika, należy do najpiękniejszych nad Bugiem, tak niezawodnie Klimczyce są najlepiej zamurowanym folwarkiem. Popęd do wznoszenia ozdobnych i kosztownych budowli dał na Podlasiu może niegdyś Wiktoryn Kuczyński, kasztelan podlaski, przez wybudowanie w r. 1731 pałacu w Korczewie. W nowszych czasach zasłynął pod tymże względem generał Szydłowski, który stąd o mil kilka w Patrykozach, pod Sokołowem, wzniósł oryginalny pałacyk, w kształcie zaczynającej jego nazwisko litery S. (dla patrzących z góry) a także wymurował kilkadziesiąt domów włościańskich w rozmaitych stylach.

Niegdyś szlachta polska kierowała się rozumną przestrogą ekonomiczną: »podpieraj, a zbieraj«. Miano uprzedzenie do murów, wierząc, że w nich mieszkać niezdrowo i opowiadano dykteryjkę o szlachcicu, który zmuszony wyjechać w ważnej sprawie do Włoch, dowiedziawszy się, że tam wszyscy mieszkają w murach, wziął z sobą cieślę Mazura, aby mu na czas jego pobytu w Italii, sklecił dworek drewniany. W dworkach takich, zwykle nizkich, szczupłych i zewnątrz niebielonych, a nieraz strzechą słomianą krytych, mieszkali nawet możni panowie i dygnitarze koronni. Gdy wszedłeś ongi do takiego dworku, uderzała cię mnogość: makat, sreber, tuter, rzędów i zbroi, ale nie wygód życia. Stan rycerski zahartowany na kulbace i nawykły do życia obozowego, lekceważył sobie wszelkie wygody, mieniąc je zniewieściałością i piecuchostwem. Dopiero gdy tradycye rycerskie znikały, gdy dawne życie domowe, skrzętne a skromne, przeszło do wspomnień, gdy



Wnętrze kościoła pp. Benedyktynek w Drohiczynie.

niwa równości szlacheckiej zarosła chwastem tytułów zagranicznych, wówczas zastąpiono dworki szlacheckie pałacami. Życie w pałacu i utrzymanie odpowiedniej do niego dworni, umeblowanie, stajnie, pojazdy i. t. d. zwykle odłużało ziemię i oddawało ją w ręce lichwiarzy lub parcelantów, wytwarzających wstrętną dla rolnictwa szachownicę zagonową.

Nawskróś przemokli, z przyjemnością powitaliśmy wielki ogień na kominie w mężeńskiej gospodzie. O ile jednak szynkarka była usłużna, o tyle jej spiżarnia pustą. Po wódce dawała każdemu gościowi na zakąskę surowy ogórek. A że Prokop pił wódkę, a my znaleśliśmy jeszcze w puzderkach naszych kilka tabliczek czekolady, ugotowaliśmy sobie przeto zupę czekoladową, którą nasza gosposia przez zbyteczną gościnność niespodzianie posoliła, a na zakąskę położyła przed nami, po surowym, żółtym ogórku.

Między Mężeninem a Drohiczynem byliśmy świadkami połowu ryb, uskutecznianego przez czterech rybaków, z których każdy siedział na małem czółenku, z jednej kłody wyciosanem. Niewód, składający się z wielkiego, kończastego worka siatkowego, zwanego »matnią« i dwóch dość długich »skrzydeł« rozwartych, zastawiony w rzece, trzymali przy końcach »skrzydeł« dwaj rybacy. Dwaj zaś inni, naprzeciw niewodu, wypłaszali wiosłami ryby z pod zatopionych przed wiekami gałęzistych dębów. Dotąd oprócz niewodów i wędek, nie spotkaliśmy na Bugu innych przyrządów rybackich, których taką rozmaitość posiadają np. rybacy nad górną Narwią.

Woda Bugowa, ani tak przeźroczysta i modra jak w Narwi, ani tak mętna i biała jak w Wiśle, podobna jest najwięcej barwą swą do niemnowej. Gdzie ujęta w ramy leśnych brzegów, tam przybiera malowniczy ton szmaragdu. Gdyśmy przepłynęli właśnie przez piękny las (tak rzadko już spotykamy nad Bugiem), ukazał nam się panujący nad okolicą z daleka jakiś gród okazały. Takie złudzenie robi Drohiczyn, położony na wyżynie, posiadający dawniej kilka dużych gmachów klasztornych i świątyń, dziś już przeważnie rozwalin. Przystanęliśmy, bo pan Julian Maszyński chciał odrysować Drohiczyn z oddalenia. Nie wiedzieliśmy bowiem, czy zbliska będzie można rysować.

Drohiczyn nie miał swojego historyka, któryby dzieje jego wyczerpał i w żywym obrazie przedstawił. Stroma góra nad Bugiem, nadawała się na warownię, więc już w wieku XI-ym są wzmianki o zamku tutejszym. W wieku XII-ym i XIII-ym, gród ten był wschodnią strażnicą Mazowsza. Gdy Polska w dobie podziałów osłabła przez wzajemne walki książąt piastowskich, Jadźwingowie, żyjący głównie z łupieży krajów rolniczych, posunęli się ze swych gniazd od jezior prusko-litewskich, puszczami Podlasia na południe ku Narwi i Bugowi, gdzie opanowywali nie raz i zamek drohicki. Wiadomość jednak, jakoby na tymże zamku koronował się Daniel Romanowicz na króla Rusi w r. 1256 jest mylną, bo koronacya ta odbyła się w innym Drohiczynie (dziś Drohobusku), w ziemi Chełmskiej.

W roku 1444, Kazimierz Jagiellończyk osobnym przywilejem zaliczył Drohiczyn do liczby 15-tu celniejszych miast Wielkiego Księstwa Litewskiego. Gdy potem Drohiczyn został stolicą ziemi Drohickiej, a w pewnej mierze i całego wo-



Ruiny kościoła pofranciszkańskiego w Drohiczynie.

jewództwa Podlaskiego, wybierał do swego zarządu 16 rajców i 2 burmistrzów. Jezuici wznieśli tu okazałe kollegium i utrzymywali szkoły, które po ich upadku objęli Pijarzy. Szkoły te, położone w środku Podlasia, zawsze licznie uczęszczane, były głównem źródłem oświaty dla województwa, mnogiej zagrodowej szlachty Podlaskiej i dla mieszczan. Wielu z nich rozgrzało się szlachetną żądzą wiedzy i poświęcenia, dla nauki i społeczeństwa. Dość wymienić tu tylko dwóch kapłanów: słynnego botanika, Kluka, oraz Falkowskiego, założyciela warszawskiego Instytutu głuchoniemych. Dziś Drohiczyn odznacza się ruinami. Dwa wielkie, dwupiętrowe gmachy po szkołach jezuickich, a następnie pijarskich miały jeszcze dachy, ale nie posiadały już drzwi i okien. Kościół po-franciszkański prawie już bez dachu, był dawniej gmachem stylowym i mógł być ozdobą większego miasta. Tutaj był zakonnikiem w zeszłym wieku Karol Zera, zbieracz fraszek i opowiadań humorystycznych (podanych po raz pierwszy do druku przeze mnie w r. 1893) Drugi kościół, dziś w ruinie, należał dawniej do panien Benedyktynek; był on mniejszy od franciszkańskiego, lecz z wnętrzem i ołtarzami równie stylowymi.

Góra po starożytnym zamku składa się z twardej, gliniastej opoki, osypującej się ciągle od strony Bugu, który ją u podnóża nurtem swoim podmywa i zniszczył już w znacznej części. W połowie jej wysokości od strony rzeki dostrzegliśmy duży otwór. Po spadzistej, a po deszczu nader trudnej do wyjścia pochyłości, dostaliśmy się do tego otworu, który wprowadził nas do ciekawej pieczary, wykutej w opoce. Pieczarę stanowił prosty, wązki na trzy kroki korytarz, długi na kroków kilkanaście. W obu jego bokach znajdowały się po dwie przeciwległe sobie nisze, czyli wgłębienia, co nadawało lochowi podobieństwo do wnętrza miniaturowego kościółka, z czterema kapliczkami. Pieczara ta wszakże w czasach dawnych, gdy na górze stał zamek (niewątpliwie drewniany) była najpewniej więzieniem, lub skarbcem, a nie świątynią. W każdym razie musiała być znacznie dłuższą, bo zaczynała się w części góry, już dziś nie istniejącej, ta zaś część pieczary, która obecnie pozostała, stanowiła tylko zakończenie, do którego woda z deszczów naniosła sporo ziemi zewnętrznej. Niszczenie góry od strony Bugu odbywa się powoli, bo opoka gliniasta, z której się góra składa, jest tak twarda, że na ścianach pieczary, znaleźliśmy nazwiska zwiedzających, zapisane tu przed laty dwudziestu. Jeżeli zważymy, że pomimo takiej oporności opoki, tak znaczna część góry, może połowa, podmytą i zniszczoną już została, a na pozostałym jej wierzchołku niema już miejsca na zamek, to musimy przyjść do przekonania, że tylko za bardzo dawnych czasów, zamek warowny mógł być na górze Drohickiej założony w tem miejscu.

Podanie miejscowe, będące zwykłą baśnią ludową, do wszystkich naszych zamków przywiązaną, powiada, że góra ta usypaną była rękoma jeńców wojennych, że we wnętrzu swojem zawiera podziemia pełne skarbów, że podziemia te pełne łączyły niegdyś zamek Drohicki z klasztorem Franciszkanów, w którego lochach miały znajdować się tajemne drzwi żelazne do tego przejścia na zamek. Gdy się słucha tych opowiadań prostaczków, a jednocześnie przypomni się ubóstwo naszego krajoznawczego piśmiennictwa, ogarnia nas przygnębiające uczucie pewnego wstydu; wstydu nie za prostaczków, którzy mają tę wyższość, że



Nawa boczna kościoła panien Benedyktynek w Drohiczynie

coś pamiętają i dzieciom swoim przekazują, ale za wrzekomą intelligencyę, która choć ma w ustach frazesy o tradycyach narodowych, sama o nich najmniej pamięta, nie zna dziejów i dzieciom swoim nie pokazuje ich znajomości.

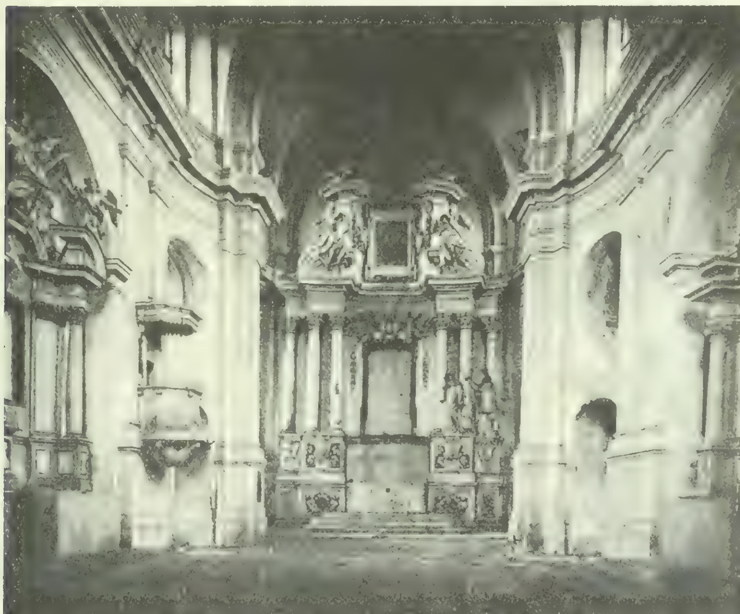
O takim np. Drohiczynie i podobnych stu innych miejscowościach, oprócz suchych powtarzanek w encyklopedyach, nie posiadamy wcale źródłowych, ani popularnym sposobem opowiedzianych monografii. Badacze naszych dziejów ogólnokrajowych są tak nieliczni i z tego powodu mają tak obszerną niwę do uprawy, że podobnych prac poszczególnych wymagać od nich nie można. Natomiast mamy tylu heraldyków i tylu wykształconych próżniaków, że ci zamiast kleić rodowody lub grywać co wieczór w winta, gdyby zechcieli przysłużyć się swemu społeczeństwu, mogliby opisywać dzieje historycznych miejscowości, czerpiąc materyał z kronik, pamiętników, lustracyi starostw i z archiwów domowych. Lud żyje baśnią, a intelligencya woli zasiąść na sześć godzin do winta, niż na trzy wziąć do ręki książkę dziejową, aby pouczyć z niej siebie, dziatwę swoją i domowników. Może się kiedy Bóg zlituje nad tą naszą posuchą umysłową i duch rozumnej, dobrej woli oświeci, jeżeli już nie nas, to choć potomków naszych, zrozumieniem, że niespełniony obowiązek oświecania bliźnich, jest grzechem sumienia społecznego, pociągającym karę strupieszałości.

Badacze przeszłości nie pogardzają nawet starymi śmietnikami, w których przechowały się wskazówki o sposobach codziennego życia odległych pokoleń i szczątki ich domowej kultury. W tym celu rozkopywane były szczegółowo na morskich brzegach śmietniki Danii, tak zwane »kiokenmedingi«, a we Włoszech »terra-mare«. Ponieważ przy zamkach naszych często obozowano, budowano gęsto domostwa, zakładano targowice, pobierano cła wodne i zagraniczne, zatem tworzyły się także odwieczne śmietniki, na jakie natrafiłem u podnóża góry zamkowej w Drohiczynie. Poszukiwania moje uwieńczone zostały dobrym skutkiem, bo oto na samym brzegu Bugu poniżej góry, znalazłem na kilka stóp grubą, ciekawą warstwę brunatnej ziemi, przepełnioną kośćmi jadalnych zwierząt, czerepami przedwiekowych garnków, węglami, ułamkami narzędzi i nożów żelaznych, i co najciekawsza, ołowianemi plombami z dawnych wieków, które to plomby tyle narobiły sensacyi ostatnimi czasy w świecie archeologicznym słowiańskim.

Drohiczyn leżał od wieków na skrzyżowaniu dwóch traktów handlowych. Z tych szlak lądowy łączył tędy Polskę z Litwą pogańską, a wodny idący Bugiem i Wisłą do Bałtyku, łączył Ruś z zachodem Europy. Tak było zwłaszcza od czasu, gdy Tatarzy owładnąwszy stepami Czarnomorskimi, przecięli stosunki handlowe Rusi z krajami położonymi nad Morzem Czarnem i Śródziemnem. Oprócz tych małych, a ciekawych znaczków i plomb ołowianych, któremi przepełniły się niegdyś śmietniki głównej zapewnie komory celnej, między dawną Polską, Rusią i Litwą, znalazłem tutaj także kilkanaście małych, gładko wytoczonych krążków, z łupku wołyńskiego, jakie również znajdowałem i przy innych takich grodziskach podlaskich.

Drohiczyn »lacki«, na prawym brzegu Bugu położony, wygląda z daleka od strony wsi Zabuża (z lewego brzegu rzeki) przynajmniej jak miasto wojewódzkie. Przybywszy do miasteczka, zobaczyliśmy w niem na każdym kroku rozwaliny

kościołów i upadek. Z dawnych czasów dochowało się jeszcze kilka dworków staropolskich, jakie stawiała sobie możniejsza szlachta w grodach, do których zjeżdżała na sejmiki i roki sądowe, po zamku żadnych śladów. Znalazłem tylko w podmurowaniu i brukach jednego z domów mieszczańskich, w pobliżu góry zamkowej, kamienie granitowe, obrabiane w sześciany, które prawdopodobnie z zamku dawnego pochodzą i byłyby w takim razie ważną wskazówką, że zamek ten miał baszty granitowe, jak liszkowski nad Niemnem i kilka innych na



Wnętrze kościoła pofranciszkańskiego w Drohiczynie.

Litwie w wieku XIV-tym i XV-tym. Z góry powyższej roztacza się szeroki widok na żyzną równinę dóbr Korczewskich za Bugiem, na daleki pałac i park.

O pół mili poniżej Drohiczyna, Bug robi wielki zakręt w kształcie podkowy. W łuku tym, brzeg rzeki prawy, zewnętrzny, stanowi tu na prawie milowej długości jedną »buchtę«. Kto nie świadom znaczenia wyrazu »buchta«, temu przypominamy, iż każda rzeka na zakręcie, silniejszy ma prąd przy brzegu zewnętrznym tego zakrętu. Brzeg ten jest podrywany prądem wody i nazywa się właśnie »buchtą«. Dokładne zbadanie tych fizycznych przekształceń koryta, mogłoby rzu-

cić pewne światło na olbrzymią przestrzeń czasu, potrzebną do ukształtowania takiego łożyska i całej doliny, jaką widzimy w obecnym jej stanie.

Bug od wsi Mogielnicy zwraca się bardziej na północ. Tu znowu jak pierwej, musimy co chwila walczyć z mieliznami i wysiadać boso do wody. Rzeka, która na wiosnę zalewa w wielu miejscach równinę milowej szerokości, dziś po dwumiesięcznej suszy, pomimo deszczów kilkodniowych, w wielu miejscach na całej szerokości nie jest głębsza nad *półtorej stopy*. Mijamy zaścianek Tąkiele, stare gniazdo podlaskiej szlachty Tąkielów. Przed Wasilewem, (rozsadnikiem szlachty Wasilewskich) napotykamy piękne wybrzeża z malowniczemi kępami brzóz i wierzb płaczących. Raz jeszcze ukazały się nam mury Drohiczyna, gdyśmy byli o jaką milę w prostej linii od miasta. Gdy mrok wieczorny już zapadał, zatrzymaliśmy się na nocleg w kościelnej wsi, zwanej Wierowem, lub Wirowem.

Właścicielem ówczesnym tej wioski był od niedawna p. Walery Leśniewski, syn Jana, bardzo dzielnego rolnika i zasłużonego niegdyś ziemianina w pow. Białostockim, znanego mi dobrze w mem dzieciństwie. Pana Walerego już nie znałem, ze względu jednak na dawne stosunki z ojcem, zamierzyłem wstąpić w podróży na noc do syna. Zamiar nie powiódł się, bo spotkany na ganku jegomość oświadczył, że dziedzica niema w domu, a on jest sekwestratorem podatkowym. Postanowiliśmy tedy szukać noclegu na plebanii Wirowskiej.

Zastaliśmy właśnie księdza proboszcza popijającego herbatkę i czytającego w »Gazecie Warszawskiej« opis napadu bandy Orłowskiego na pewną plebanię w gub. Piotrkowskiej. Pleban widocznie zostawał pod silnem wrażeniem opisanego wypadku. Spojrzał bowiem na nas niedowierzająco i trwożliwie. Nagłe zjawienie się dwóch ludzi nieznajomych w porze wieczornej wywołało silny w nim niepokój, tembardziej, że w ubiorach na pół flisackich, zabłoceni i ogorzali, z kijami podróżnymi w ręku, mogliśmy być istotnie trochę podobni do bandytów. Rekomendowaliśmy siebie wzajemnie, co nie mogło także obudzić w gospodarzu wielkiego do nas zaufania. Ja przedstawiłem proboszczowi pana Juliana, jako artystę-malarza, a pan Julian mnie, jako ziemianina, badającego przeszłość krajową. Któż mógł zaręczyć, że jedno i drugie było prawdą? Proboszcz chciał być tymczasem grzeczny, aby mieć czas zawiadomić o przybyciu obcych ludzi starą swoją gospodynię, kulawego organistę i dziada kościelnego. Dziwiło go to i budziło w nim niedowierzanie, żeby artysta wybrał się w takie deszcze i gdzie? do Wierowa, a ziemianin badał przeszłość krajową podczas żniwa, i gdzie? — w Wierowie.

Zdawało się jednak, że obudziliśmy nareszcie zaufanie plebana, bo już poczęstował nas tabaką, co dawało nadzieję, że i na nocleg zaprosi. Licho jednak skusiło mnie wymówić się, że wędrujemy z Brześcia. Brześć zaś miał tak niefortunną opinię u wszystkich posiadaczów lepszych koni na Podlasiu, (a proboszcze w tych stronach mieli konie bardzo poszukiwane przez handlarzy brzeskich), że pleban oświadczył nam otwarcie, iż pragnie poczęstować nas »kieliszkiem wódki na drogę, bo z powodu ciasnoty na noc nas nie zaprasza«. Podziękowawszy za uprzejmość ugoszczenia nas wódką i tabaką, poszliśmy szukać gospody, którą sobie już był znalazł nasz Prokop.

Na dość wyniosłej krawędzi wybrzeża Bugowego stała karczma stara, dre-



Góra zamkowa w Drohiczynie.

wniana, niebielona, duża, słomianą strzechą poszyta, szczytem zwrócona do rzeki. W obszernej szynkowni krzątała się kobieta średniego wieku, dobrej tuszy, sympatyczny typ zaściankowej gospodyni. Mąż jej z wąsami przygolonymi w poziomą, prostą linię nad wargami ust, w rogatej, z barankiem siwym pomimo pory letniej, czapce, był także typem szlachcica zagrodowego na zapadłem Podlasiu. Pokazało się, że Prokop, na kwaterze u zagrodowców wyszedł daleko lepiej, niż my na plebanii, bo siedział już nad potężną misą żytnich klusek, nagotowanych z mlekiem. Zapytaliśmy czy pani Wasilewska nie posiada drugiej podobnej porcyi klusek, a gościnna gosposia wzięła się z pośpiechem do ugotowania żądanego posiłku. Kluski takie, wielkości laskowych orzechów, z mąki żytniej z domieszką pszennej, zwane »szczypanemi«, są przysmakiem drobnej szlachty i kmieci na Podlasiu, a nam po kilkunastogodzinnej wędrówce tak smakowały, iż we dwóch podołaliśmy spożyć misę prawie tak imponującą, jak była misa Prokopa.

Wnętrze izby przedstawiało ustawione pod dwoma ścianami wązkie ławy, jeden kąt zajmował ogromny komin »z kucą« pod »trzanem« i »szabaśnik« do pieczenia chleba, w drugim przy drzwiach stała baterya pustych antałków, cebrów i wiader. Na ścianach rzędami wisiały wysoko obrazy świętych, a niżej patent akcyzny, szafa z paczkami tytoniu, papierosów i zapałek, a obok przylepione było kolorowane, pruskie wojsko, zabawka dziecinna, kupowana po trzy grosze arkusz u Węgrów, roznoszących po wsiach towary. Na szynkfasie stały baterye flaszek, garnców, kwart, półkwaterek blaszanych i kieliszek ze szkła zielonego w karby. Tu było właściwe źródło rozkosznej dla Prokopa woni anyżowej, skombinowanej z zapachem niedogonu i fuzlowego olejku gorzałki. Mieszkania wieśniaków naszych nie mogą się nigdy obejść bez przygarnięcia do swego wnętrza zwierząt domowych. Więc też i w gospodzie wierowskiej pod jedną ławą, nocowało liczne stado białych, zaszarganych w błocie kaczek, dopełniając charakterystycznego widoku izby karczemnej na Podlasiu. Prokop ułożył się do snu w miejscu najspokojniejszem, jakie było w gospodzie, to jest na ziemi, przy ścianie, pod ławą obok kaczek. Dla nas pozostał do spoczynku stół wysoki i wązki, bo z dwóch desek, ale za to tak długi, że mógł nas obu wzdłuż jednego za drugim pomieścić, pomimo że razem z panem Julianem Maszyńskim przedstawialiśmy sześć i ćwierć łokci długości.

Spaliśmy już twardo na tym stole, także bardzo twardym, gdy nagle o północy obudził nas gwałtowny grzmot pioruna, który zdawało się, że w naszą karczmę uderzył. Zerwałem się z panem Julianem ze stołu na równe nogi i spojrzałem przez okno. Nad okolicą szalała straszna burza, jedna z tych nielicznych, ale gwałtownych, jakiemi upamiętnił się rok 1875. Od piorunów trząsł się i gorzał w ustawicznych błyskawicach świat cały, a od huraganu trzeszczały stare wiązadła karczmy i zdawało się, że lada chwila wściekła trąba powietrzna zniesie razem z nami stare karczmisko, jak piórko, z wysokiej krawędzi brzegu do rzeki płynącej w dole. A Bug ten przed wieczorem taki cichy i nieśmiały, jak dziecko, wyrósł nagle na rozjuszonego potężnym gniewem męża. Miotał swoje spienione bałwany, jakby usiłował zburzyć nimi to, u podstawy stromego brzegu, czego miał dokonać wicher na górze. Wspaniałe światło elektryczne rozdzierało olbrzy-

mie czeluście niebios, jakby dla przekonania się wśród nocy, czy dzieło zniszczenia na ziemi już spełnione, i lawiną srebrnego blasku przez wybite w naszem schronieniu okno, zalewało wnętrze gospody, oświecając spokojne, klęczące i modlące się cicho postacie dwojga Wasilewskich.



Podobizna ryciny ks. Krzysztofa Kluka.

Prokop tylko jeden po szpagatówce spał jak zabity, pod ławą. Ja z panem Julianem przypatrywaliśmy się tej majestatycznej, malowniczej i potężnej grozie burzy, spodziewając się ciągle jakiejś z karczmą naszą katastrofy. Natura nie dała mi nerwów wrażliwych na odczuwanie niebezpieczeństwa, ale dużo zimnej krwi, potrzebnej do spokojnego oceniania piękna w potężnych wstrząśnieniach ży-

wiołowych. Niedawno doznawałem pewnego rozkosznego upojenia na rybackiej łódce, podczas łoskotu wzburzonych fal morskich na Bałtyku, a i teraz podlegałem mimowolnie niechrześcijańskiemu pragnieniu, aby burza trwała jak najdłużej.

Gdybym był królem i huragan zniósł ze mną karczmę do rzeki, to zapisanoby ten wypadek w księgach dziejów, jak naprzykład kronikarze węgierscy opisali pod rokiem 1069 śmierć Beli przytłoczonego własnym domem w czasie burzy, lub jak nasz Długosz opisał pioruny, które roku 1419 w lesie, pod wsią Tulczą w Wielkopolsce, uderzyły w karocę Władysława Jagiełły, nie czyniąc królowi żadnego szwanku. Będąc jednak na moje szczęście tylko zwykłym śmiertelnikiem, nie zadałbym żadnemu dziejopisowi trudu w opisywaniu dzisiejszej katastrofy. Gdy jednak podobne myśli snuły się po głowie, wpatrzonego w niebo, ziejące piorunami, stanęli mi nagle w oczach moi starzy rodzice, a w umyśle, największy z obowiązków społecznych, obowiązek małej mrówki, t. j. obowiązek oddania wszystkich dni pracy i życia dla swego mrowiska. I od tej chwili chciałem już żyć jak najdłużej.

Gromy uderzały coraz dalej, burza cichła, nareszcie odeszła, jak jej życzyli nasi starzy ojcowie »na suche bory i lasy«. Na świecie wstawał nieśmiało poranek chmurny, jakby się lękał przyjrzyć zniszczeniu, powodziom i ludzkiej niedoli. Najpierwej zaczęła się w izbie krzątać sama gosposia i siekać zielsko dla głodnych kaczek, które spostrzegłszy tysiące much na przykrytym siermięgą Prokopie, rozpoczęły pocieszne polowanie. Na pół śpiący, na pół przebudzony deptaniem po nim kaczek, sennymi ruchami nóg, rąk i głowy, Prokop odpędzał natrętne ptactwo i owady. Ale mucha ma to w swojej naturze, że odpędzana, powraca uparcie, bo będąc sama egoistką, nabiera przekonania, że smacznych rzeczy jej żałują. Gdy kaczki wskakiwały w pogoni za muchami na siermięgę, Prokop pod nią rzucał się gwałtownie, co śmieszny sprawiało widok. Odstraszone chwilowo ptaki wiedziały, że uspokoi się śpiący i czekały cierpliwie, aż znowu go muchy na dobre obsiądą.

Gdy rankiem wyruszaliśmy z Wierowa w dalszą drogę, silny wiatr wsteczny bałwanił nurty Bugu i pomimo największego wysiłku naszych wioseł zatrzymywał oporną i ciężką łódź naszą na miejscu, lub co gorsza, odpędzał ją w górę wody. Kto w podobną wichurę nie żeglował bez siły pary, ten nie ma pojęcia co to jest siła powietrza, która nawet na tak bystrych rzekach jak Wisła, sama bez pomocy ludzi i żagli, posuwa nieraz berlinkę w górę wody. Od rana do południa, to jest mniej więcej w ciągu sześciu godzin usilnego wiosłowania, posunęliśmy się zaledwie o trzy ćwierci mili w dół Bugu. Na tej przestrzeni natrafiłem prawdzie (w pobliżu wsi Wierzchnicy) na ślady pobytu człowieka w czasach starożytnego użytku krzemienia, ale podróż dalsza na łodzi okazała się wprost niemożliwą do czasu uspokojenia się wiatru północno-zachodniego. Że zaś nie można było przewidzieć, kiedy się wiatr ten uciszy, bo taki jest kierunek w kraju naszym najpospolitszy i zwykle słoty i burze przynoszący, byliśmy przeto zmuszeni zakończyć naszą wycieczkę po Bugowej dolinie i podarować łódź Prokopowi, a nająć sobie wózek do Czyżewa, stacyi kolei Petersbursko-warszawskiej.

Kres naszej wodnej podróży był we wsi Gródku, w owym Gródku, dawniej

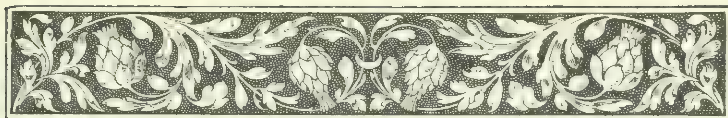
należącym do braci Chojeckich, z których Edmund zasłynął napisaniem powieści polskiej »Alkadar« i osiadłszy (od r. 1844) w Paryżu, dał się na szerszym świecie poznać, jako autor i publicysta francuski, piszący pod pseudonimem Charles Edmond. Przy ogrodzie dworskim znajduje się odwieczne w Gródku usypisko po zameczku, czyli gródku średniowiecznym, od którego poszła i nazwa wioski. W czasach Piastowskich i Jagiellońskich, królowie i książęta budowali zamki, czyli »grody«, a rycerska szlachta obwarowywała się w mniejszych »gródkach«. U stóp dawnego »gródka« zakończyliśmy właśnie naszą po Bugu żeglugę. Inny znowu Gródek znajduje się w tychże stronach powyżej Ciechanowca nad rzeką Nurcem.

W miejscu gdzieśmy łódź naszą i Prokopa pożegnali, stały zatrzymane od tygodnia »na haku« liczne tratwy z ogromnym ładunkiem pszenicy hrubieszowskiej, spławianej do Gdańska. Właśnie po ostatniej burzy i deszczach woda znacznie przybyła i oryle przybierali się już ochoczo do dalszej drogi, oczekując tylko zmniejszenia się wichury. My mieliśmy po za sobą dwadzieścia mil krętego, wodnego szlaku wybrzeży bugowych, zwiedzonych w ciągu dni pięciu od Kodnia i Kostomłotów do Gródka. Przed sobą zaś mieliśmy jeszcze sześć mil drogi najętym, chłopskim wózkiem do kolei w Czyżewie.

Pod wsią Granne przeprawiliśmy się promem z lewego brzegu rzeki na prawy, a podążając w stronę Ciechanowca, przez wieś Pełch, wyszukaliśmy jeszcze nad rzeczką tej samej nazwy, szczątki krzemiennych narzędzi obrabianych tu w starożytności. Popas wypadł nam w Ciechanowcu, miasteczku podlaskiem, słynnem dawniej z jarmarków na konie. Z zamku Ossolińskich pozostała tu jeszcze kilkopiętrowa wieża wjazdowa, do której Szczukowie, późniejsi dziedzice, dwór szlachecki dobudowali. Za czasów Stanisława Augusta proboszczem w Ciechanowcu był znakomity botanik polski, ks. Krzysztof Kluk, który przy plebanii tutejszej założył wówczas ogród botaniczny. Ogród ten oczywiście po śmierci jego zanikł. W kościele miejscowym nad zwłokami Kluka, znajduje się ozdobny nagrobek z popiersiem zmarłego i napisem:

»Ks. Krzysztofowi Kluk, kanonikowi kruszwickiemu, dziekanowi drohiczyńskiemu, proboszczowi ciechanowieckiemu, pierwszemu przyrodo-pisarzowi w języku polskim, urodzonemu w mieście Ciechanowcu r. 1739, zmarłemu tamże r. 1796, Stefan Ciecierski jednocześnie z posągiem przed tym kościołem nagrobek ten postawił, roku 1848«. Posąg wszakże na placu przedkościelnym dopiero dnia 25 kwietnia 1850 roku został odsłonięty po solennem nabożeństwie, wobec licznie zebranego duchowieństwa, obywatelstwa i ludu podlaskiego. Fakt powyższy uczczenia pamięci uczonego podlasianina, pragnąłem tu przypomnieć jako przykład godny naśladowania. Mamy bowiem setki innych ludzi zasłużonych na rozmaitych polach w toku dziejów, którzy nie mają nawet żadnych nagrobków, a zacne ich imiona giną w pamięci społeczeństwa przez naszą obojętość lub nieuctwo.

BIEBRZA



Do zakątków kraju mniej ogółowi naszemu znanych należy dolina rzeki Biebrzy, gdzie zapraszam z sobą cierpliwych czytelników na kilkodniową wędrówkę. Takie już bowiem mam dziwactwo, że zamiast szukać dalekich cudów przyrody, zamiast gonić za zgiełkiem po targowicach świata, doznaję największych rozkoszy, gdy wpatruję się w dno cichych strumieni i rzek, gdy przykładam ucho do starych mogił, których szeptu mrocznych dziejów nikt nie słucha.

Rzeka, o której dolinie mam mówić, zwana przez lud polski Biebrzą, a przez jego sąsiadów bliżej źródła *Bobrą* i *Biebrą* od wielkiej ilości bobrów, zamieszkujących niegdyś jej wybrzeża, jest największym z dopływów Narwi. Od bobrów poszły nazwy i wielu innych słowiańskich wód. Jest *Boberka*, lewy dopływ Dniestru; *Bóbr*, lewy dopływ Berezyny; *Bóbr*, przypływ Słuczy; *Bober* lub *Bobrawa*, lewy dopływ Odry; *Bobrowa*, lewy dopływ Dniepru; *Bobrunga*, przypływ Minogi, wpadającej do morza Baltyckiego; *Bobryk*, lewy dopływ Prypeci; *Bobryk*, lewy dopływ Teterowa, uchodzącego do Dniepru; trzeci *Bobryk*, pośredni przypływ Bohu; *Bobrzyca*, przypływ Czarnej Nidy i t. d.

Źródła Biebrzy leżą o dwie mile od Grodna, w okolicy miasteczka Nowego Dworu, w powiecie Grodzieńskim. W tejże okolicy Biebrza zaczyna stanowić granicę między gubernią Grodzieńską, a Królestwem Polskiem i tworzy ją na całej długości owego wązkiego przesmyku tej jakby szyi Królestwa Polskiego, stanowiącej połączenie dwóch gubernii: Łomżyńskiej i Suwalskiej. Przy podstawie tego przesmyku, gdzie Biebrza wpada do Narwi, obie te rzeki tworzą tak zwane w ludowej mowie »widła«, w których rozpostarły się szeroko łąki i trzęsawiska, a w samych prawie widłach leży kilkunastomorgowa jakby wyspa piaszczysta, na której w czasach starożytnego użycia krzemienia, znajdowała się jakaś znaczniejsza sadyba ludzka, w tem zlaniu się dolin Biebrzy i Narwi położona.

Dziś w miejscu powyższem, zwanem Kępą Giełczyńską, wznosi się z wieżyczkami, naśladującemi stary styl francuski gościnny dom państwa de Fleury. Tutaj to właśnie zamiłowany w archeologii właściciel Kępy przygotował naszą wycieczkę, która jest przedmiotem niniejszego opisu.

Ponieważ Biebrza płynie dość bystro, żeglowanie więc od jej ujścia, gdzieśmy się znajdowali, w górę rzeki, byłoby bardzo powolnem i uciążliwem. Postanowiono

przeto łódź naszą umieścić na sześciokonnym wozie i dobrawszy jeszcze inny jaki wehikuł, jechać w łodzi prawym brzegiem końmi aż do miasteczka Goniądza, tam spuściwszy statek na wody Biebrzy, powrócić na Kępę z biegiem rzeki. Pomysł ten podobał się wszystkim, a mnie dogadzał podwójnie. Mogłem bowiem końmi przejechać wzdłuż prawie całą dawną ziemię Wizką, ciągnącą się na prawym brzegu Biebrzy, a z powrotem wodą poznać dolinę i koryto tej rzeki.

Łódkę tedy, mogącą pomieścić osób kilkanaście, umieszczono na wozie, a w niej siedzenia dla ludzi i przybory podróżne. Tak przeprawiwszy się promem przez Biebrzę z Kępy Giełczyńskiej do wsi Wierciszewa, wjeżdżaliśmy łodzią na wyniosły i stromy prawy brzeg Biebrzy po stronie Królestwa Polskiego, skąd roztaczał się za nami rozległy widok na nieprzejrzane obszary łąk, na lewym brzegu Biebrzy i na rozsiane gęsto po nich tysiące stogów siana. Jeżeli jazda w łodzi na trzęsącym wozie, kamienistą drogą, sprawiała dziwne wrażenie jadącym, to w każdym razie daleko więcej wywoływała podziwu wśród ludzi spotykanych, nie umiejących sobie wytłómaczyć przyczyny tak niebywałej, tak osobliwej i zagadkowej peregrynacyi. Pracujący w polu, lub spotkani po drodze, na widok jadących w łodzi, otwierali szeroko oczy i gęby, ukazywali nas palcem jedni drugim i podbiegali bliżej, a niektórzy nawet, pod wrażeniem podziwu znak krzyża świętego czynili.

Dzień był słoneczny, bez najmniejszej chmurki na całym widnokręgu. Mijamy pięknie nad Biebrzą zabudowany folwark Sieburczyn. Była to w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku siedziba Andrzeja Rembielińskiego, syna po Stanisławie, sekretarzu królewskim. Rembieliński Andrzej, stary kawaler, słynny skąpiec i oryginał, był przytem człowiekiem zacnym, wykształconym i zamiłowanym w sadownictwie. Założony tu przez niego ogród na stoku wyżyny nadbiebrzańskiej słynął swego czasu doborem gatunków owocowych i obfitością róż. Róże sieburczyńskie przypominały mi opowiadanie mojej babki, że za jej młodości (w końcu XVIII wieku), każdy prawie ogród szlachecki w stronach tutejszych posiadał podostatkiem róż, z których przyrządzano domowym sposobem pachnącą wodę różaną, jako perfumę i do skrapiania podłóg wówczas jeszcze nie malowanych jak później, ale często mytych.

Ziemia Wizka jedna z dziesięciu, składających dawne województwo Mazowieckie (były niemi: Warszawska, Czerska, Liwska, Zakroczymska, Wyszogrodzka, Ciechanowska, Różańska, Nurska, Łomżyńska i Wizka), należała do tych pospolitych zresztą okolic nad Narwią, w których przed jakiemiś pięciu wiekami, nie było prawie zupełnie ludności kmiecej i poddańczej, tylko rzesza wolnej szlachty, składająca całą ludność miejscową. Drugiej, podobnej pod tym względem do Mazowsza krainy, nietylko nie było w Słowiańszczyźnie, ale któż wie, ażali była i po za jej granicami w Europie.

Posuwając się ku północy, mijamy wsie: Kościelny Burzyn, gniazdo niegdyś Burzyńskich; Brzostowo — Brzostowskich; Pluty — Plutów. Wszystko gniazda rozrodzonej, zagrodowej szlachty w ziemi Wizkiej, stanowiącej północno wschodni kąt Mazowsza po rzekę Biebrzę i Łękę, a rojącej się rzeszą: Rakowskich, Kossakowskich, Truszkowskich, Tyszków, Makowskich, Grądzkich, Karwowskich, Ba-

gińskich, Trzasków, Supińskich, Mocarskich, Wagów, Konopków, Glinków, Bzurów, Szczuków i innych, którzy byli już tu dobrze zasiedzieli, kiedy jeszcze o dzisiejszych nazwiskach arystokratycznych nikt nie słyszał.

Jedziemy ze szczegółową mapą w ręku, objaśniającą nam nazwy wiosek i kierunek najmniejszych drożyn. Woźnica nasz siedzący w dziobie łodzi nie radzi wierzyć »temu papierowi,« nie przypuszczając, aby w dalekiem mieście, gdzie mapę »nadrukowano«, mogli ludzie wiedzieć takie szczegóły, jakich nie wiedzą nawet niektórzy nad Biebrzą urodzeni parafianie. Ja patrzę w mapę i wskazuję kierunek, bo nie jedziemy żadnym traktem, woźnica nie wierząc w mapę, rozpytuje się o drogę ludzi. A ludzi nie brakuje. Na widok łodzi zaprzężonej w sześć gniadoszów i powożonej przez stangreta z galonem na czapce z walizkami i samowarem po środku, ludzie w domostwach cisną się do okien, dziatwa włazi na płoty i wrota, aby się lepiej dziwowisku przypatrzeć. Dziewczęta szlacheckie są może najciekawsze, ale która ładna, to się chowa za matkę, lub za węgieł swego domu. Takie bowiem widzą dziwo, że im przychodzi pewnie na myśl Antychryst, który będzie jeździł po świecie, jak zapowiadają stare baby.

Przejeżdżamy w kierunku północnym przez tak zwane »Biebrzańskie.« Gleba tu urodzajna, pola pagórkowate i niesłychanie kamieniste. Wioski drobnej szlachty wyłącznie posiadają domy drewniane i słomą kryte, są dość zacieśnione, a obejmują zwykle po kilkunastu, a nierzadko i po kilkudziesięciu dziedziców zagrodowych. Ulice wiejskie na szczęście nie brukowane, bo gdzie się zdarzy kawałek bruku, to nie wiadomo kędy go wyminąć. Domy stoją do ulicy przeważnie szczytami, jak w starych miastach naszych, bo taki był w dawnej Polsce zwyczaj powszechny. Nigdzie nie są budowane w słupy i t. zw. »łątki« ale zawsze z długich bierwion zacinanych na węgłach »w kier«, ociosywanych niegdyś gładko toporem, ale tylko w najstarszych budowlach, bo później wszędzie kłody obrabiane są piłą tracką. Domy te względnie dość obszerne, bo 20 do 30 łokci długie, a 12 do 16 szerokie, budowane prawie wszystkie na dwie strony, czyli jak tu mówią »dwuględne« t. j. z sienią nie w rogu domu jak w starych chatach włościańskich, ale w środku i dwoma wyglądami z izb po obu stronach sieni. Okna mają spore, a okienko nizkie nad drzwiami wchodowemi wyrzezane pod czapką uszaka łukowato lub esowato. Nigdzie nie są bielone, ale wszystkie mają kominy czyli dymniki murowane z cegły. Tak zwanych »zbrożyn« czyli dymników plecionych z chrustu i oblepionych gliną, z tych czasów, kiedy w zapadłych okolicach nie można było jeszcze dostać cegły, nigdzie już nie widzimy. W szczytach domów wygląda wszędzie nazewnątrz koniec wyrzynany podbelkowego »tramu« czyli »sietrzana«, należącego do tych szczegółów które nadają słowiańskiej chacie polskiej typ wyodrębiony i jeden z najcharakterystyczniejszych w rzędzie chat wieśniaczych u innych narodów.

Pod ścianami domów leżały kamienie do siedzenia, a w ogródkach pod szczytowemi oknami rosły *maki, boże drzewko*, żółte *nagietki*, pomarańczowy *szaraniec, piwonia* z liśćmi pachnącymi, *maruna i ruta* (do wianków ślubnych konieczna). Płotów i ogrodów wszędzie pełno. Niektóre płoty układane z kamieni polnych na mech bardzo porządnie jak mur wyglądają. Tu i owdzie w sadkach, między do

mami, widzimy drzewa owocowe: śliwy i wiśnie tradycyjne, częściej jednak dziką starą gruszę, sięgającą gałęźmi nad drogę, wiąz niegdyś przy domostwach na całem Mazowszu i Podlasiu tak powszechny, jałowiec w drzewo wyrosły, lub lipa, a pod nią pnie staroświeckie z pszczołami, czyli t. zw. *dzianki* ze starych sosen.

Na prawo mamy ciągle jeszcze widok bardzo rozległy na nizinę zabiebrzańską, czyli stronę podlaską. Tu bowiem Biebrza stanowi odwieczną granicę pomiędzy Mazowszem (na którem się w ziemi Wizkiej znajdujemy) i Podlasiem za Biebrzą, ciągnącem się z północy wązkim pasem od Rajgroda i Augustowa na południe pod Tykocin, Bielsk, Ciechanowiec, Drohiczyn i Międzyrzec. Za Biebrzą, w oddaleniu najmniej trzymilowem, spostrzegliśmy ogromną kolumnę dymu jakiś pożar zwiastującą. Ponieważ nie było najmniejszego wiatru, ani nad ziemią, ani w wyżynach powietrznych, dym więc wzbijał się niezmiernie prosto i wysoko tworząc majestatyczny kształt wysmukłego kielicha, cienkiego i czarnego u podstawy, a pod stropem firmamentu gorejącego w blasku słońca niby obłok złocisty, niby żałobna pochodnia czyjejś niedoli, zatknięta na zgliszczach wśród rozległej płaszczyzny. Mapa wskazywała nam, że to musi być pożar ogromnej i zamożnej wsi Długołęki w powiecie Białostockim.

Korab' nasz ziemnowodny zatrzymał się na chwilę u przeprawy nad rzeką Wissą, prawym dopływem Biebrzy. Właściwie nie było tu żadnej przeprawy, bo ani promu, ani mostu, tylko bród dość głęboki z dnem rzeki najeżonem kamieniami. Trakt nie prowadzi tu żaden, tylko przegon na pastwiska i do lasu przez który wypadała nam najbliższa droga. Pasterze i pasterki, powracający z za rzeki, przebywali heroicznie bród pieszo, na wzór pędzonych przed sobą *jałowic* i *nieuków*, unosząc tylko swoje tuniki wysoko, co jednak nie obrażało ich skromności, gdyż do pewnego stopnia ukrywały tę nagość ich postaci przeźroczyste nurty Wissy. Wjeżdżaliśmy w bród bezpiecznie, bo gdyby wóz nasz nie gruntował to siedząc w łodzi mogliśmy na niej wypłynąć. W rzeczywistości pokazało się jednak inne niebezpieczeństwo, gdyż wóz zanurzywszy się po osie, nagle wjechawszy na duży kamień podwodny nachylił się tak mocno, że chwilowo byliśmy już pewni iż z walizkami, a co najsmutniejsza z bigosem wziętym w drogę, zostaniemy wysypani w wodę rzeki i łodzią naszą nakryci.

Po godzinnym popasie w borku sosnowym za Wissą, ruszyliśmy dalej. Dróżyn dowolnie wyjeżdżonych przez ludzi wożących drzewo było w lesie bez liku, więc zbłądziliśmy niebawem, z czego woźnica nasz tryumfował: »a co — zrzędził, nie mówiłem ja panom, że ta mapa nie zastąpi ludzkiej gęby«. Na nieszczęście mrok wieczorny wśród gąszczów leśnych już zapadł, ciężki nasz wehikuł ziemnowodny ugrzązł w błotnistym parowie, a tu »ludzkiej gęby« do rozpytania o drogę ani na lekarstwo. Zaczęliśmy więc nawołując hukać po lesie i z prawdziwą radością usłyszeliśmy, jak odezwał się nam głos ludzki. Był to pastuszek goniący do domu swój dobytek. Wyjrzał z zarośli, ale spostrzegłszy w lesie łódź zaprzężoną w sześć koni, schował się szybko za krzaki. Musieliśmy tedy zrobić formalną obławę na jego cielęta jak na wilki i tym sposobem odszukać ich mentora. Ośmielony chłopak wyprowadził nas rychło do poblizkiej, dużej, porządnie zabudowanej, widocznie zamożnej wsi Karwowo, zamieszkanej wyłącznie przez cząstkową szlachtę

mazowiecką, a będącej, mówiąc nawiasem, od pół tysiąca lat rozsadnikiem Karwowskich w byłej rzeczypospolitej.

W piękny, księżycowy wieczór letni, drogą szeroką ruszyliśmy dalej z Karwowa i minąwszy Klimaszewnicę wjechaliśmy do wspaniałego, sosnowego boru, który w głębi stał się bardzo gęstym i ciemnym. Znowu więc drogi nie widzimy przed sobą, a tylko uczuwamy po biegu naszych koni, że zwierzęta te, ostrzejszym od ludzi obdarzone wzrokiem, mają pewną drogę pod kopytami. Łódź nasza zawadza często o sosny i co chwila każe się spodziewać, że nachylona w wybój, pozbędzie się ciężaru ludzi z ich pakunkami, samowarem, talerzami, bigosem i. t. d. Radziliśmy tedy, czy nie lepiej byłoby rozbić namioty i zanocować w głębi lasu. Właściwie nie mieliśmy z sobą żadnego namiotu, tylko dery końskie i prześcieradła do noclegu na sianie. Ale przedhistoryczni mieszkańcy z nad Biebrzy, których śladów mieliśmy poszukiwać, pewnie i takich przedmiotów zbytku nie posiadali. Stanęliśmy i zaczęliśmy z łodzi wyłazić. Bór szumiał poważnie i uroczyście. Był to wśród ciszy nocnej jakby potężny szept całego narodu wiekowych sosen, szept przeszłości do Boga i do gwiazd, na ciemnym błękicie nieba gęsto rozsianych. Z pod niebios dolatywały dzikie i przeciągłe wołania krążących nad borem puszczyków, jak złowieszczych duchów nocy i śmierci, bo istotnie polujących na drobne ptactwo leśne, a w mniemaniu ludu przepowiadających duszom ludzkim odlot z ziemi. We wrzosach migotały jak iskierki robaczki świętojańskie, które bujna wyobraźnia turystów poszukujących wrażeń, mogłaby powyrównać do ślepi wilków zewsząd otaczających nasz obóz.

Już obraliśmy sobie legowisko i zaczęto rozniecać na drodze wzbronione w lasach ognisko, w nadziei, że rządowi leśnicy (był to bowiem las skarbowy) nie mają zwyczaju pilnowania go po nocach, gdy nagle do uszu naszych doszło jakby dalekie wycie, a potem pewien niby łoskot, niby turkot, niby grzmot przeciągły, który to przycichał, to znowu wzrastał chwilami. Był to wreszcie zupełny tętent jakby kilku chorągwi pancernych, biegnących cwałem w naszą stronę po długim moście. Łoskot ten potężniał szybko i zmieniał się w huk groźny, gwałtowny, a świat drżał i zdawał się walić w przepaść. Nagle między sosnami ukazało się dwoje potężnie jaskrawych ślepi i buchnął nad nami snop iskier jak z paszczy Lucypera czy Belzebuba. Konie rzuciły się w bok, a woźnica wrzasnął: «Wszelki duch Pana Boga chwali«. Była to owa północ, uprzywilejowana doba duchów piekielnych, ale także i godzina w której pociąg kolei Brzesko-Grajewskiej przebiegał tędy z Goniądza do Grajewa. Ponieważ nie mogliśmy korzystać po zachodzie słońca z mapy, więc nie wiedzieliśmy, że już tak daleko posunęliśmy się w drodze i że jesteśmy o kilkadziesiąt kroków od plantu kolejowego. Było to odkrycie bardzo miłe, zaraz bowiem za liniją drogi żelaznej znajdowała się wieś Osowiec do której pragnęliśmy ściągnąć na noc i gdzie mieliśmy zastać drugi nasz wóz z wioślarzami i obrokami dla zdrożonych koni.

Ruszyliśmy zatem do Osowca, gdzie oczekiwał nas smutny zawód. Ludzie z furażem na umówione miejsce nie przybyli i można było tylko domyślać się, że nie przyjechawszy tutaj przed nocą, zbłądzili w lasach. W pośrodku Osowca i szerokiej ulicy wiejskiej, jak ratusz na rynku małego miasteczka, stała poważnie

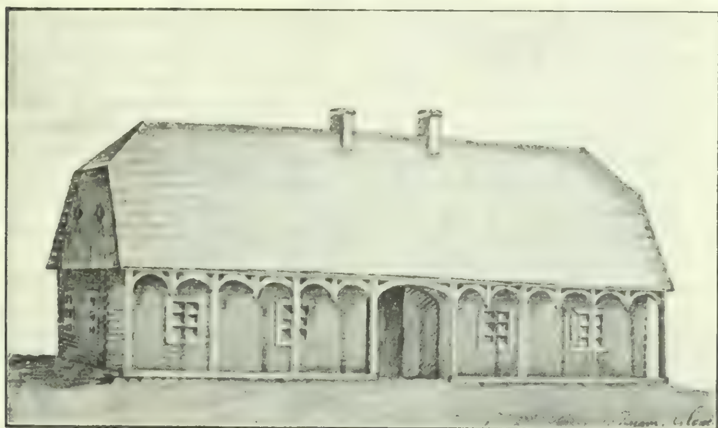
obszerna, staroświecka, z podsieniami gospoda. Nie byliśmy głodni, chodziło tylko o siano dla koni na popas, a dla nas na posłanie. Usłużny arendarz zaprosił nas do szopy, na której połowa starej strzechy była zdjęta, bo nową poszywano. Na górze tej szopy znajdowało się sporo siana, a że o noclegu w gospodzie z miliardem much, mowy nie było, radziliśmy tylko, jak się na owo siano dostać, gdyż o wschodach mowy nie było, a znaleziona w szopie drabina świadczyła, że niegdyś posiadała dziesięć szczebli, z których pięć brakowało, a drugie pięć było połamanych. Musieliśmy tedy przypomnieć sobie wszystkie nasze ćwiczenia gimnastyczne z czasów szkolnych, dzięki którym z energicznym wysiłkiem i wzajemną pomocą dostaliśmy się wreszcie na siano.

Jak drzewo na leśnym wyrębie, tak niebawem legliśmy wszyscy nieruchomi, w śnie twardym pogrążeni, z tą chyba tylko różnicą, że drzewo dopóki stoi, to szumi, a my leżąc, chrapaliśmy kwintetem, każdy odpowiednio do swego wieku, budowy gardła i nosa. W śnie powtarzają się zwykle widziadła, osnute na wypadkach dnia ostatniego. Więc i mnie przesuwały się w sennej wyobraźni korpulentne postacie Ondyn i Rusałek z nad Wissy, a potem nocleg w puszczy i walka z potworami ziejącymi na wzór lokomotywy ogniem, a gdym się zamierzył na jednego, wówczas krzyknął śpiący obok mnie sąsiad, któremu moja nader ciężka ręka na nos upadła.

Biebrza, wijąc się kręto wśród łąk zielonych i gęstych stogów siana, w brzasku porannym dymiła ławami oparów. Różowa łuna rannej zorzy zwiastowała dolinie rychłe przybycie z za lasu słońca, któremu przyroda zgotowała na powitanie nieporównaną woń świeżości łąk i gajów nadbiebrzańskich. Oddychałem głęboko całą piersią i myślałem sobie w tej chwili, jacy też to są biedni i godni politowania ci mieszczanie po wielkich miastach, którzy w swych okazałych kazamatach, w kajdanach puchowych pościeli i w zaduchu pachnideł, nigdy tak uroczego wschodu słońca nie widzą i krwi swojej wonią rosy porannej nie krzepią, ani duszy widokami tej dziewiczej natury, która wychowuje na niwie umysłu najszlachetniejszy ze wszystkich kwiatów, kwiat miłości do rodzinnej zagrody i domowego ogniska ojców swoich.

Wieśniacy w Osowcu wstają do pracy, tak jak wszędzie na Mazowszu i Podlasiu, bardzo rano. Z pierwszym brzaskiem ruch rozpoczął się we wsi na dobre. Otwierały się drzwi chat wiejskich, z których wychodzili boso gospodarze i gospodynie, otwierano chlewiki, z których wybiegały z kwikiem radości stada dezynfektorów wiejskich. Skrzypiały żórawie przy studniach. Mężczyźni wypędzali gęsi gęgające na pastwisko za wioskę. Widać było, że prawie w każdej chacie posiadano liczne stada gęsi, kaczek, nierogacizny, owiec i pięknego bydełka. Pomiędzy chatami wyróżniał się jeden dom nieco większy od innych, do wójta czy dzierżawcy folwarku tutejszego należący. O wschodzie słońca ukazał się w ganku tego dworku poważny, wąsaty mężczyzna, w bieliźnie, i z wielkiej tabakiery zażył tabaki, która wywołała niebawem skutki dynamitowe, bo tak gospodarz kichnął potężnie, po staropolsku, że aż wróble z naszej strzechy pierzchły w konopie, a z kilku punktów ulicy wioskowej odpowiedziano mu z życzliwością, głosem doniosłym jak grzmot: »Na zdrowie!«

Dokazawszy z prawdziwą zręcznością sztuki zejścia z szopy po drabinie bez szczebli, podążyliśmy do gospody. Gospoda osowiecka była jeszcze ciekawym typem drewnianego, polskiego budownictwa na zapadłem Mazowszu. Wzdłuż całego frontu, budynek miał podsienie, czyli krużganek wsparty na ośmiu wyrzynanych słupach, połączonych dwunastu łukami mniejszymi i jednym dużym (wprost bramy). Nad bramą, która wiodła do sieni wjazdowej na przestrzał, cieśla wyrzezał datę »Die 2 mai A. D. 1769«. Gospód podobnych już chyba niewiele w kraju pozostało. Przyniosłem więc papier i ołówek, aby zdjąć podobiznę staruszki trzymającej się jeszcze czerstwo i prosto. (W kilka lat później, w miejscu wsi Osówca i gospody, powyższej wzniesioną została forteca »Osowiecka«). Czynność moja wydała się mieszkańcom miejscowym niewytłómaczoną, i bardzo ciekawą. Więc



Gospoda w Osówcu zbudowana r. 1769.

otoczyła mnie rzesza dziatwy wiejskiej i żydziąt, podsunął się i arendarz, a pies jakiś usiadł naprzeciwko. Wszyscy bacznie śledzili każdy mój ruch i spojrzenie, zaglądali w papier, a starsi szeptali sobie, że muszę być »akcyźnikiem«. Starozakonny arendarz zdawał się podzielać te ostatnie podejrzenia, bo skoro wszedłem do szynkowni, wskazał mi siedzącą pod piecem zgrzybiałą babinkę i zapewniał że nie on ale ta chrześcijanka jest propinatorką i na jej imię są patenta, a on jest tylko u pana Gardockiego pachciarzem.

Teraz dopiero przyjechali nasi wioślarze którzy powinni byli wyprzedzić nas wczoraj w Osówcu. Opowiadali, że nic innego tylko »złe« wprowadziło ich na manowce i zbłąkanych wodziło przez noc całą po lasach. Niektórzy utrzymywali, że widzieli »na własne oczy« jak dyabeł biegł chwilami przed końmi w postaci psa czarnego, to znów czasem za wozem, lub niewiedzieć gdzie znikał.

Poszukiwania archeologiczne zaczęliśmy na piaskach pod Osówcem, gdzie odkryliśmy wprędce liczne zabytki krzemienne i ceramiczne po przedhistorycznych mieszkańcach tej miejscowości. Znalazły się tu t. zw. bełty, czyli ostrza od strzał łukowych, i nożyki krzemienne, i maleńkie skrobaczki, i rdzenie, czyli pozostałe ośrodki brył krzemiennych, liczne okrzoski czyli drzazgi z krzemienia, na kilkunastu morgach wydm piaszczystych rozsiane i czerwone czerepy z popielnic, lepione ręką bez koła gancarskiego, które były dawniej napełnione białemi, drobnemi, przepalonemi kostkami, ze szkieletów ludzkich. Gdzie wiatr wywiał przed laty taką popielnicę, tam dotąd pozostała większa część jej czerepów i mnogie kostki przepalone, zmięszane z piaskiem. Wszystko cośmy znaleźli było widocznie na miejscu łupane i wyrabiane, a nosiło na sobie wybitny i pospolity charakter stacyi krzemiennych, jakie od roku 1868 znajdowałem we wszystkich okolicach dawnej Lechii począwszy od Biebrzy aż po Wartę i górną Wisłę.

Na drodze z Osówca do linii kolei Brzesko-Grajewskiej i do starego boru, wiodącej przez owe wydmy piaszczyste, które nam dostarczyły tylu zabytków, spotkaliśmy dwie baby niosące w koszach coś nazbieranego. Zapytane przeze mnie co niosą? odpowiedziały jednogłośnie: »Babie uszy«. Przyznam się, iż najmniej spodziewałem się podobnej odpowiedzi, bo jeżeli wątpić należy, aby nawet w czasach pierwotnego kannibalizmu takie uszy poszukiwanym były przysmakiem, to tembardziej w dzisiejszych czasach wydelikaconego sybarytyzmu. Nie słyszałem zresztą nigdy o żadnym praktycznym użytku z uszu ludzkich, z wyjątkiem zwyczaju oficerów czarno-górskich, którzy odciąwszy uszy pobitym przez siebie Turkom, zasuszali takowe i ozdabiali niemi gorsy swoich koszul i żupanów na wielkie uroczystości. Z ciekawością też zbliżyliśmy się do koszów i pod przykryciem ujrzeliśmy coś istotnie nakształt pomarszczonej i starej, ciemnej skóry. Naprawdę były to smardze, które lud zna tutaj tylko pod nazwą: »babich uszu« i sam ich nie jada wprawdzie, ale dostarcza handlarzom na wywóz koleją Grajewską. Zaciekawione kobiety pytały nas wzajemnie czego poszukujemy na tych wydmach piaszczystych, a gdy im pokazaliśmy okrzoski i narzędzia krzemienne, mówiąc, że mają dla nas sto razy większą wartość od smardzów, przedsiębiorcze białogłowy ukryły zaraz w krzakach swe kosze ze smardzami i poczęły co żywo zbierać do zapasek swoich krzemienie, oczywiście nie te drobne, nałupane lub obrabiane przez mieszkańców starożytnych, ale co największe bryły samorodne, nie posiadające żadnej dla nikogo wartości. Chciałem wieśniaczki objaśnić o daremnym ich trudzie, ale baby, widocznie bojąc się, abysmy im nie odebrali krzemieni, trzymały się od nas z daleka i zwiększając gorączkowo pośpiech w zbieraniu, pomykały ku wiosce, unosząc ciężką zdobycz.

O niecałą milę powyżej Osówca, na wyżynach lewego brzegu Biebrzy, leży stare podlaskie miasteczko Goniądz, niegdyś w XIV tym wieku przedmiot sporów granicznych między Mazowszem i Litwą. Tutaj w wieku XVI-tym urodził się głośny polski aryanin, zwany pod nazwą Piotra z Goniądza.

Obecnie posiadał Goniądz, dwie jeszcze osobliwości, a mianowicie: uczonego proboszcza, kanonika Małyszewicza, wychowańca uniwersytetu wileńskiego, znakomitego hebraistę i bibliomana, obsługującego w ośmdziesiątym roku życia bez



Stary drewniany ratusz w Goniądzu

wikaryusza parafię goniądzką, liczącą 12,000 ludności katolickiej — i w pośrodku rynku starożytny ratusz drewniany, który już dawniej odrysowałem, jako ginący zabytek polskiego budownictwa minionych stuleci.

Przebrnąwszy od brzegu Biebrzy przez bardzo grzązkie bagno i przedarłszy się przez nadzwyczaj gęste zarośla, dotarliśmy do piaszczystych wydm i pagórków, pomiędzy którymi w kotlinach znowu lśnił się pod blaskiem słońca nałupany ręką przedhistorycznych ludzi krzemień i czerwieniły liczne czerepy pokruszonych popielnic, wyzierające z piasku. Były to ślady pierwotnej tego kraju kultury, a druga przeddziejowa siedziba ludzka, w dniu dzisiejszym przez nas odkryta.

Kilka pomiędzy znalezionymi tu przedmiotami, mianowicie bełty od strzał łukowych były prawdziwemi arcydziełami prastarej sztuki krzemieniarskiej, doprowadzonej do takiego szczebla doskonałości, że piękniejszych przedmiotów nad tutejsze nie posiadają najbogatsze w tym kierunku muzea w Sztockholmie, Kopenhadze, Dublinie, i Londynie.

Trzecią starożytną sadybę, ale już znacznie uboższą w krzemień, odkryliśmy tegoż dnia na drodze do Goniądza, pod wsią Szafrankami. A odkrycia te wszystkie poczynione były w samą porę, w roku bowiem następnym przystąpiono pod wsią Osówcem i stacyą kolei żelaznej Goniądzem do robót fortecznych i w miejscu powyższych stacyj krzemiennych wzniesiono potężne mury, wały i obszerną bardzo twierdzę »Osowiecką«.

Okolica Goniądza (stanowiąca dziś północną część powiatu białostockiego), była właśnie wązkim przesmykiem Podlasia, ciągnącego się z północy od Augustowa ku rzece Narwi i Bugowi — na południu. Obok rozległego starostwa Knyszyńskiego znajdowały się w tym przesmyku liczne wsie rozrodzonej, ale gniazdowej i starożytnej szlachty podlaskiej: Kramkowo, Niewiarowo, Świerzbienie, Ołdaki, Sobieszczki, Białosuknie, Downary i t. d. gniazda: Kramkowskich, Niewiarowskich, Świerzbieńskich, Ołdakowskich, Sobieszczków, Białosukniów, Downarów i Downarowiczów. Trzy wsie: Mońki, Moniuszki i Moniuszeczki, są pierwotnem gniazdem rodziny Moniuszków, z których Stanisław, dziad sławnego kompozytora, przeniósł był się z tutejszego Podlasia do ówczesnego województwa mińskiego.

We wsi Wroceniu nad Biebrzą, w starem gnieździe Wroceńskich vel Wroczyńskich, odrysowałem dwór drewniany z XVIII wieku, którego szkic tu dołączam, jako bardzo typowy, a z najzapadlejszego kąta Podlasia pochodzący.

O dwie mile od Goniądza w stronie północno-wschodniej, leży wieś, nosząca z dawnych czasów nazwę *Jaćwież*. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż nazwa taka niegdyś mogła być nadana tylko przez okoliczny lud czysto słowiański osadnikom, należącym do odrębnego prusko litewskiego plemienia, zwanego w mowie ludowej mazowieckiej i białoruskiej »Jaćwieżą«. Potwierdza to wymownie ten pewnik historyczny, iż kolebka pierwotna Jadźwingów nie leżała nigdy i znajdować się nie mogła wśród Słowian na południe od rzeki Biebrzy, Narwi i Bugu, ale na północ Biebrzy i jej dopływu, zwanego z dawnych czasów Łekiem i Łęką, gdzie się zaczynała kraina jezior prusko-litewskich, w okolicach dzisiejszego Ełku, Rajgrodu, Augustowa i Suwałk, stanowiąca kraj przez plemiona pogan jeszcze do XIII i XIV wieku zamieszkały. Od śmierci Bolesława Krzywoustego Jaćwież, żyjąca z myśli-

stwa i łupów zdobywanych na sąsiadach, przekroczyła Biebrzę ku południowi i przez całą dobę podziałów Polski koczowała w puszczach Podlasia, nad górną Narwią i średnim Bugiem, gdzie, jak wilk z kniei niedostępnej, napadać mogła na pogranicze Mazowsza, na Małopolskę i Ruś. Gdy Polska znowu do sił monarchii powracała, niedobitki Jadźwingów, tępionych jej orężem, uchodziły w głąb Litwy, pozostawiając na Podlasiu, w ziemiach Słowian, nieliczne po sobie ślady, takie n. p. jak nazwa wsi *Jaćwież* w Goniądzkiem, oraz kilka nazw uroczysk *Jadźwingi*, w okolicach Ciechanowca. Nawet pierwotna kolebka Jadźwingów nie mogła wówczas ostać się w ich ręku, bo nie byli narodem rolniczym, do ziemi przywiązanym, ale, jako łowcy i łupieżcy, żyjąc knieją i łupem, osaczeni w kniei, ginęli walecznie pokotem, lub szukali schronienia w innej puszczy. To też pług osadników mazowieckich w wieku XIV i XV dotarł do najdalszych kniei ich kolebki, odsłaniając z pod mchów pierwotnych chlebodajną glebę dla łaknącej ludzkości. Wówczas mowa polska sięgnęła za Hańczę w Suwalskiem, a dziś w Ełku drukuje się »Gazeta ludowa«.

Zgromadziwszy zdobyte w dniu dzisiejszym szczątki prastarej kultury krzemiennej do łodzi, spuszczonej już na fale Biebrzy, a sterowanej przez rybaka ze wsi Wierciszewa, nazwiskiem Dzieniszewskiego, płyniemy teraz z pod Goniądza w dół tej rzeki, mając przed sobą do jej połączenia się z Narwią przy kępie Giełczyńskiej, około ośmiu mil wodnej drogi.

O pół mili poniżej Osówca, leży wieś Sośnia na lewym brzegu Biebrzy, oddalona od tej rzeki około tysiąc kroków. Pomiędzy wioską a Biebrzą, pośród łąk i moczarów, znajduje się piaszczysta wyspa, kilkanaście morgów rozległa, nazywana przez lud okoliczny »*Szwedzkim mostem*«. Miano to pochodzi naturalnie z czasów wojen szwedzkich, kiedy Szwedzi, idąc z Prus książęcych w głąb Polski, przeprawiali się tutaj z Mazowsza na Podlasie, t. j. z ziemi Wizkiej do Bielskiej. Biebrza na całej długości trudna do przeprawy, bo mająca od swych źródeł do Goniądza brzeg prawy, a od okolicy Goniądza do połączenia z Narwią brzeg lewy bagnisty, posiada tylko pomiędzy Goniądzem i Sośnią obydwa brzegi dość przystępne, tworzące zatem przesmyk najdogodniejszy dla dróg, mostów i działań militarnych. I to właśnie wyjątkowe położenie stało się powodem, dla którego tu Szwedzi most zbudowali, a we dwa wieki potem kolej Brzesko-Grajewska tędy przeprowadzona, a następnie, przy stacyi Goniądz, twierdza Osowiecka na obu brzegach Biebrzy zbudowaną w tej okolicy została.

Od wsi Sośni do owej wyspy piaszczystej wśród błot, istnieje dotąd ślad sypanej w czasach dawnych grobli, ale od strony Biebrzy do tej wyspy niema już grobli ani śladu. Podjechawszy więc wodą o ile można było najbliżej, musieliśmy przebrnąć przez kilka bardzo grzązkich i gęsto zarosłych starych łożysk i wyciągając z błota jedni drugich, lub brodząc przez odnogi rzeczne, dotarliśmy nareszcie do celu, który wynagrodził nam sowicie nasze trudy i przeszedł wszelkie oczekiwania. Kilkunasto bowiem morgowa powierzchnia lotnych piasków tak była gęsto zasiana nałupanym w starożytności krzemieniem, że pod blaskiem promieni słonecznych lśniła się jakby szkłem posypana. Takiej obfitości okrzosków, powstałych przy obrabianiu narzędzi krzemiennych w starożytności, nie spotkałem jeszcze

nigdy, choć już w ciągu lat kilkunastu kilkaset tak zw. stacyi krzemiennych na przestrzeni od Karpat do Dźwiny wyszukałem. Widocznie miejscowość ta posiadała dla bytu i potrzeb pierwotnych mieszkańców warunki pierwszorzędne i musiała być w starożytności najznaczniejszą i najludniejszą w dolinie Biebrzy osadą. Ponieważ każdy silniejszy wiatr rozwiewa z tej wyspy tumany lotnego piasku na łąki i błota okoliczne, a w zamian nic z błot nie nawiewa, należy przeto przypuszczać, że osada w czasach przedhistorycznych pod względem topograficznym miała postać wzgórza, które w ciągu wieków znacznie się zniżyło. Krzemień tylko, jako znacznie cięższy, pozostał na miejscu, lubo także w późniejszych czasach użytku broni skałkowej, mógł być w części zabrany stąd na skałki do strzelb.

Pod wrażeniem pomyślnego odkrycia tak bogatej w zabytki krzemienne miejscowości, jeden z młodych towarzyszów naszej wycieczki rzekł do wieśniaka, który przyszedł z wioski i przyglądał się ciekawie naszym poszukiwaniom: »Albo wy wiecie, moi ludzie, jakie tu macie skarby na tych waszych piaskach!« Chłopek, usłyszawszy to, podążył co żywo do wsi i wiadomością o »*skarbach*« poruszył i zaniepokoił całą gromadę. Po chwili ujrzeliśmy kilkunastu ludzi, postępujących poważnie ku nam, zwolna, od strony Sośni. Idący na ich czele sołtys, chłop wysoki i barczysty, typ mazura o płowych włosach, niebieskich oczach i trochę orlim nosie, miał na piersi zawieszoną u guzika, na sznurku owalną blachę, jako urzędową oznakę swojej godności. Kilku innych zaopatrzyło się w kije, których jednak widocznie wstydzili się, bo postępowali z tyłu. Kiedy ludzie ci podeszli do nas, wystąpił sołtys i oznajmił tonem przyzwoitym ale stanowczym, że ponieważ nie pytaliśmy się gromady, czy nam pozwoli zbierać krzemienie na swych gruntach, więc gromada zabrania tego obecnie. Próbowaliśmy objaśniać wieśniaków, że te krzemienie nie posiadają dla nikogo wartości pieniężnej, że były tylko naszczepane w bardzo dawnych czasach, kiedy jeszcze kruszców nie znano, a zbieramy je przez prostą ciekawość i jako pamiątkę pracy ludzkiej z najdawniejszych czasów. Chłopi logicznie odpowiedzieli nam na to, że jako ludzie prości, nie posiadający nauki, nie mogą wiedzieć, co dla kogo ma jaką wartość, ale to rozumieją, że po przedmioty bez wartości nikt by z daleka nie przybywał i przez takie bagna nie brodził. »Wiadomo – odezwał się jeden z nich — że teraz ludzie na świecie umieją z każdej rzeczy grosz ciągnąć, stare szmaty przerabiają na sturublówki, a któż wie do czego i krzemienie się im nie przydadzą? Tembardziej, że dziadek podróżny, który przyszedł po żebranym chlebie z Osówca do Sośni, opowiadał przed chwilą, że dwie baby tamtejsze zarobiły od jakichś panów za kosz krzemieni więcej, niż przez cały tydzień zbierając po lesie »babie uszy«.

Chłopi czekali cierpliwie, aż opuścimy ich piaski, nie chcieli dozwolić zbierania krzemieni za ofiarowane im pieniądze i tylko przez wrodzoną słowiańskiej naturze gościnność, nie żądali oddania nazbieranych krzemieni, napełniających wszystkie nasze kieszenie i koszyki. Dopiero przebrnąwszy, obciążeni łupem, jak ludzie przedhistoryczni, przez te same grząskie oczerety i brody, poczęliśmy w naszej łodzi, jako w miejscu bezpiecznem od napaści, rozpatrywać, podziwiać i porządkować naszą obfitą zdobycz. Składała się ona z licznych ułamków narzędzi krzemiennych, kilkuset nożyków i tysiąca pospolitych okrzosków, czyli szczader



Dwór we Wroceniu pod Goniądzem.

krzemiennych, także kilkunastu strzałek o kształtach bardzo misternych, nieznanych dotąd na ziemiach słowiańskich, a natrafianych tylko, i to bardzo rzadko, na zachodzie Europy, z tak zwanych nukleusów, czyli rdzeni zużytych brył krzemiennych i t. d.

Biebrza należy do systemu kanału Augustowskiego, który wpadającą do niej w pobliżu Goniądza rzekę Nettę (czyli jak podobno dawniej nazywano, *Niętę*, albo *Miętę*), łączy z Hańczą, dopływem Niemna. Tym sposobem przez Hańczę Czarną, kanał, jezioro, Nettę, Biebrzę i Narew, można żeglować z Niemna do Wisły i odwrotnie. Dawniej, gdy nie było dróg żelaznych, ruch handlowy na tej drodze wodnej był większy, ale dziś stracił już swoje ogólniejsze znaczenie i posiada tylko lokalne dla gubernii Suwalskiej. Berlinki, któremi wywożono z Augustowskiego zboże do Gdańska i Królewca, a przywożono głównie sól, teraz już prawie nigdy kanału nie nawiedzają, a tylko raz na lat kilka zjawia się jakiś statek inżynierski parowy, jakby na dziwowisko dla okolicznych mieszkańców. Za to płyną liczne tratwy z lasów augustowskich na dopływy morskie, a dzisiaj właśnie mijamy na Biebrzy dużo drzewa, prowadzonego na Wisłę. Na niektórych »pasach« (tak nazywają tu tratwy), wszyscy oryle sprowadzeni są z Galicyi i Krakowskiego. Poznać ich można łatwo po pilśniowych, czarnych i popielatych kapeluszach (których lud na Podlasiu i Mazowszu łomżyńskiem nie nosi) po granatowych z guziczkami mosiężnymi żupanikach, po fajeczkach, których z ust nie wyjmują (gdyż lud nad Biebrzą i Narwią więcej zażywa tabaki, niż pali) i po akcencie mowy, i po temperamencie znacznie żywszym niż podlaski i mazowiecki.

Płyniemy teraz krajem samych łąk, krajem pustym, a jednak bardzo charakterystycznym i typowym. Dolina Biebrzy ma tu ogólny kierunek z północy na południe, z lekkim zwrotem ku zachodowi. Wśród niziny, stanowiącej rozległą równinę łąk, wije się kręto wstęga czystej, na kilkadziesiąt kroków szerokiej i na kilka łokci głębokiej rzeki, z dnem w niektórych miejscach piaszczystem, a nigdzie kamienistem. Nie spotykamy tu wśród łąk ani pagórków, ani lasów, ani wiosek lub pojedynczych siedzib ludzkich. Wszędzie tylko łąki i łąki, a na nich jakby całe miasta stogów pięknego siana, postawionych po świętym Janie Chrzcicielu, skrzętną ręką rolnika na podłożu z palików, żeby woda w razie powodzi nie uniosła stogu. Wioski tu dojrzeć jeno można na dalekich wyżynach, nie podlegających zalewom Biebrzy, a zamieszkują w nich na prawym brzegu Mazurzy, na lewym Podlasianie, tu i tam prawie sama drobna szlachta, nie różniąca się od siebie mową, ubiorem, ani obyczajem; lud dość zamożny, posiadający i ryby, i grzyby, i nabiał, bo siana i pastwisk podostatkiem. Wśród tego bezbrzeżnego stepu bujnych łąk, łódź naszą unosi bystry, przejrzysty i przeważnie dość głęboki, o twardem dnie nurt Biebrzy, stanowiący tu odwieczną granicę między Podlasiem i Mazowszem.

Płyniemy piękną jakby drogą, wśród dwóch szpalerów bujnych traw, kwiatów nadwodnych, wielkich liści i wpośród krzewów gęstej wikliny i łozy. Bóg nawet tej jednostajnej nizinie nie poskąpił wdzięku i piękna, które uderza w przyrodzie, tylko w jednych miejscach majestatycznym blaskiem promieni, a w innych płynie strugą bledszego światła. »Słońce — mówi Kraszewski — widzą wszyscy, nawet

trochę ślepi, gwiazdkę malutką dostrzeże oko, które po niebie szukać się jej nauczyło«.

Zdawałoby się, że płynąć kilka mil i nie spotkać ani wioski, ani rybaka, ani lasu, tylko widzieć samą wodę, łąki i stogi, to musi znużyć oko wędrowca. A jednak znużenia tego ja nie doznałem ani na chwilę. Przecudna wszędzie zieloność. Gdzie tylko spojrzysz okiem, rozmaitość bujnych kwiatów i roślin kąpiących się w słońcu, przeglądających się w wodzie, powietrze przesycone jakąś dziwną świeżością, wonią siana i ziół nadwodnych. Czasem zakwili jakimś smętnym głosem w gąszczu wikliny mały, samotny ptaszek, jakby duch zbłąkany, sierocy wśród pustkowia. W jednem miejscu, na bezludnym brzegu, stała wśród bujnego sitowia uwiązana u pala na łańcuchu zamkniętym kłódką, porządnie pomalowana na biało i niebiesko czyjaś łódka. Wioślarze objaśnili, że to łódka pana Haraburdy, właściciela Mroczek, posiadającego rozległe łąki nad Biebrzą.

Młodzi moi towarzysze bawią się strzelaniem kulami z pistoletów i rewolwerów, mierząc ponad samym poziomem wody wzdłuż koryta rzeki. Ciekawem zjawiskiem fizycznem jest wielokrotne rokoszowanie wystrzelonej kuli o wodę. Na przestrzeni około 300 kroków kula odpowiednio wystrzelona przeszywa naprzemian wodę i powietrze, co na spokojnem zwierciadle wody widzieć można. Ja tymczasem wypytuję się wioślarzy i sternika Dzieniszewskiego o podania i wierzenia ludowe o topielcach i duchach wodnych. Z tego, co mi opowiadają, przekonywam się, że nad Biebrzą mniemań podobnych jest mało, że stare przesądy wygasają, a te jakie zostały, ubogie są w wyobraźnię i poezyę. Opowiadają mi ludzie tutejsi na moje zapytania lakonicznie: że kto się utopi, to zostaje topielcem i wciąga potem kąpiących się pod wodę, ale że w Biebrzy bardzo rzadkie są wypadki utonięcia, bo nadbrzeżni mieszkańcy obojej płci od dziecka dobrze pływać umieją, że głębin w Biebrzy nie tak wiele, że nad Narwią, w której korycie wszędzie są znaczne głębiny i częstsze wydarzają się wypadki utonięcia, daleko więcej lud mówi o topielcach i wierzy w topielców, ale i tam księża wytępiają wśród ludu podobne zabobonne wierzenia.

Słońce staczało się z pogodnego obszaru nieba za dalekie wzgórza i lasy, a piękny wieczór letni zwolna przysłaniał mrokiem cichą, zieloną, rozległą dolinę Biebrzy. Na błękicie niebios ukazały się najprzód gwiazdy większe, jako śmielsze, potem zamigotały mniejsze, a w końcu wysypało się tyle tego mrowia na łan niebieski, że i rachmistrz koronny nie policzyłby wszystkich światełek. Okazały księżyc w pełni przeglądał się w spokojnej, tajemniczej, czarnej toni, jako wśród mroku nocnego stary jej powiernik. Noc była tak widna, że książkę można było czytać z łatwością; tak ciepła, że nie ochłodziła nas jeszcze po dniu skwarnym; a tak milcząca, że słychać było wybornie psów szczekanie i głos gęsi w wioskach o pół mili, a może i dalej odległych.

Mnogie stogi siana na brzegach i sterczące w stogach potężne drągi (»ściezory«) trzymały jakby straż wieczorną nad łożem ukołysanej, milczącej Biebrzy. Piersi nasze i usta zrywały się do pieśni. Więc szeroka dolina Biebrzy zabrzmiała chórem wśród nocnej ciszy, a odgłos piersi naszych biegł daleko po rosie łąk i po wodzie rzeki srebrzystej od jasnych promieni księżycowych.

Około północy przypłynęliśmy pod spotkany pierwszy raz w naszej podróży od Goniądza brzeg wyniosły nad rzeką, na którym drzemała snem pracowitych ludzi pierwsza spotkana dziś nad Biebrzą wieś zagrodowej mazowieckiej szlachty Brzostowo. Jest to stare gniazdo i rozsadnik wszystkich Brzostowskich po szerokiej ziemicy, i tych, którzy w karmazynie senatorskie zasiadali krzesła, i tych, którzy w szarych żupanach sejmikowali w Wiznie i własną ręką, nie mając nigdy poddanych, sami krajali sochą mazowiecką skiby rodzinnych zagonów pod bujne żyto, owies i pszenicę.

Wioślarze nasi oznajmili nam, że w Brzostowie znajduje się »karczma z żydem«, a że należał się nam wszystkim posiłek i odpoczynek, więc postanowiliśmy wstąpić do owej gospody. Jak w całej wiosce, tak i w karczmie było już od dawna ciemno i głucho, a nawet pies nigdzie się do nas nie odezwał. Zapukaliśmy do drzwi karczemnych raz, drugi i trzeci, ale nikt nam ich nie odsunął i światła w oknach nie ukazał. Wioślarze nasi mówili: »Żyd słyszy, tylko się utail, bo się rewizora boi«. Młodzież zawsze skora do pustoty, postanowiła nastraszyć arendarza, a przynajmniej mocno go czemś zaintrygować.

Otoczono więc karczmę dokoła i ustawiono wioślarzy z wiosłami i siebie pojedynczo przy wszystkich oknach, a potem na dany znak poczęto jednocześnie do wszystkich pukać. Sądzono, że propinator z rodziną swoją uczyni alarm, że pozapala światła, otworzy śpiesznie drzwi gospody, tymczasem wcale nic podobnego nie nastąpiło. W całym domu jak było, tak było ciemno i głucho. Ściany się trzęsły od kołatania, szyby brzęczały coraz mocniej, drzwi trzeszczały, ale nikt z nas nie dosłyszał najmniejszego szmeru, ani szeptu wewnątrz, gdzie nic nie zdradzało obecności czuwających dusz ludzkich i jakichkolwiek śladów życia. Sądzono, że sen tak twardy zmorzył całą rodzinę arendarza, więc podwojono siłę szturmu, ale bezskutecznie. Gdy to wszystko nie pomogło, zaczęto grzecznie prosić o otworzenie, ale niestety i prośba i groźba nic nie wskórały. Ostrożny gospodarz zalecił widocznie swej rodzinie i domownikom politykę nieprzebudzonego snu i milczenia, w której wytrwał do końca. Nie zdobywszy tedy twierdzy, musieliśmy odstąpić oblężenia. I wydarzyło się może po raz pierwszy, że potomkowie rycerskich Mazurów kapitulowali niejako przed synem Izraela i źli a smutni powracali do łodzi.

Z wyżyny Brzostowa roztaczał się piękny widok w noc księżycową na wijącą się u stóp wzgórza sino-srebrzystą, zwierciadlaną wstęgę Biebrzy i rozległą krainę nizin zabiebrzańskich w powodzi srebrnego światła, pod stropem ciemnej głębi lazuru nieba. Płynęliśmy dalej, siadłszy do łodzi, która sunęła się cicho, poważnie, bez plusku wioseł, jedynie unoszona prądem wody, bo zdawało się, że nikomu nie pilno do domu, że każdy pragnie, aby noc tak piękna i żegluga tak miła trwały jak najdłużej, bez końca.

Po gorącym i długim dniu, wieczór orzeźwił, a noc usypiała znużonych. Skłonność do snu objawiła się stopniowem ucichaniem wesołych rozmów. Niebawem obaj wioślarze nasi usnęli, a tylko sternik czuwał, kierując łódką w milczeniu. Sen zaciężył i na powiekach młodzieży. Młodzi ludzie, wychowani nie po miejsku, ani cudzoziemsku, ale rzetelnie po polsku, mają w sobie zawsze coś rycerskiego i nie potrzebują do snu żadnych wygód, czując głęboki wstręt do zniewieściałości.

Drzemiący Kazio miał za poduszkę samowar, a zwisła jego ręka sięgała do wody. Jaś miał pod uchem własną rękę, leżącą na wiośle, a Józiowi służyły wybornie za poduszkę worki z krzemykami i czerepami popielnic. Łódź przy świetle księżycowem przedstawiała jakby obraz pobojowiska, na którem cała załoga okrętowa poległa, oprócz sternika. Ani brak snu, ani długie sterowanie nie oddziaływały na Dzieniszewskiego, który jakby z żelaza ukuty, miarowym ruchem wiosła kierował łódką od dwudziestu godzin bez najmniejszego znużenia. Zaledwie teraz zdołałem go nakłonić, żeby oddał mi wiosło i sam choć trochę zasnął. Usłuchał wreszcie i siedząc z głową wspartą na dłoni, zasnął snem twardym. Łódź bez wioślarzy płynęła wolno, a ja sterując pozostałem jeden czuwający, nieruchomy, zadumany. I biegłem myślą moją w przestwór dziejów ludzkości, w przeszłość jej historyczną i w przyszłość możliwą, i na pole zadań i prac społecznych, których ta przyszłość będzie prostym wynikiem i owocem. W toku tych myśli przyszedłem do przekonania, że nizko upada siła geniuszu ludzkości w tych społeczeństwach, w których mała tylko liczba jednostek poczuwa się do obowiązku pracy dla ogółu, a masy żyją bez idei, bez nauki, bez samowiedzy żadnej.

Łódź nasza płynęła jak liść jesienny, rzucony na wody leśnej strugi, wreszcie stanęła cicha, nieruchoma, zatrzymana o gęsto pływające białe lilie wodne i szerokie liście żółto kwitnącego grzybieniu. Na wschodzie z poza gąszczów łozy i zrzadka rozsianych po nizinie krępych dębów, witał nas różowy brzask jutrzenki. Dzikie kaczki i cyranki, powracające z noclegu na szerszych wodach, do żerowisk błotnych, zaczęły wartkim szmerem swego lotu przerzynać głęboką ciszę przedświtu. Żarłoczny, stary szczupak, ten wilk wodny, rano do łowów wstający, w pogoni za zdobyczą rzucił się gwałtownie ponad wodę, roztaczając pierścienie fal od brzegu do brzegu, a Dzieniszewski, który już nie spał, jako stary rybak tej rzeki, twierdził, że szczupak ten ważyć może cały »kamień«, czyli funtów 25, a od wielu lat trzyma się tej miejscowości, czasem zaś pływające młode kaczki pożera. Stuletnia staruszka ze wsi najbliższej opowiada ludziom, że w miejscu tem utopił się niegdyś w Biebrzy złodziej, przeprawiający się z końmi ukradzionemi i został topielcem przemienionym w tego szczupaka, ale Dzieniszewski niedowierzał jej opowiadaniu i pragnął złowić topielca, w postaci tego olbrzymiego szczupaka, czego staruszka czynić mu nie radziła.

Niebawem majestatyczna tarcza słońca wychyliła szerokie, ogniste czoło z nad sinej krawędzi dalekich lasów, oparów, i ozłociła czuby stogów, dęby i kity bujnego oczeretu. Począwszy od Brzostowa, aż po ujście Biebrzy do Narwi, prawy (mazowiecki) brzeg Biebrzy jest już wszędzie wyniosły, pokryty wioskami i łanami bujnego żyta i pszenicy. Natomiast brzeg lewy (podlaski) stanowi aż do samej Narwi rozległą nizinę łąk, które co do wartości siana mają najlepsze gatunki traw w pobliżu brzegów rzeki, w miarę zaś oddalenia od jej koryta, przechodzą w trzęsawiska i łąki błotne, zwane przez lud tutejszy *bielami*. Ostatnia mila tych łąk nadbiebrzańskich, przed ujściem Biebrzy do Narwi, należała niegdyś do obszernego starostwa Tykocińskiego, które zachodnim krańcem swoim ciągnąc się po prawym brzegu Narwi, dosięgało tutaj Biebrzy, wypełniając owe widły, z dwóch rzek powyższych utworzone.

Na stokach brzegu mazowieckiego (dawnej ziemi Wizkiej), znalazłem pod wsią Szostakami małą wydmę piaszczystą, która była siedliskiem człowieka w czasach przedhistorycznych. Jak dzisiaj w małoludnych okolicach Ameryki można spotkać ludzi samotnych (zwanych skwaterami) lub pojedyncze rodziny kolonistów, tak i u nas zanim pierwotna ludność rozrodziła się lub powiązała w sioła, zanim powstały majętności i dwory szlachty, a przy nich czeladź służebna stała się zawiązkiem gromad wiejskich, istniało wielkie mnóstwo sadyb pojedynczych, rozrzuconych zrzadka nad brzegami rzek i po puszczach. Typowy nożyk krzemienny, strzałka, ułamek jakiegoś skrobacza, kilkanaście okrzosków i gliniany czerep z pierwotnego garnka, oto wszystko, co tutaj znalazłem na przestrzeni kilkunastu kroków, a co było pozostałością po odosobnionej, przedwiecznej sadybie człowieka. Nieco bogatszą stacyę z tychże czasów znalazłem dziś na piaskach pod Burzynem kościelnym, gdzie zdobyliśmy trzy strzały krzemienne, kilka nukleusów i parę garści nałupanego w starożytności krzemienia. Pomiędzy wsią Rutki-Nory a Sieburczynem znajdowało się również siedlisko ludzkie w prawiekach. Kilka znalezionych tu nukleusów, czyli rdzeni z brył krzemiennych, charakterystycznie przez wprawną rękę dokoła podłużnie oszczepanych, dawało wymowne świadectwo, że używano nad Biebrzą, jak i wszędzie, krzemienia miejscowego, a obrabiano go przy każdem ognisku, gdzie się tylko człowiek ówczesny zatrzymał. Pod Rutkami znalazłem i odłam siekiery krzemiennej, starannie szlifowanej.

W widłach Narwi i Biebrzy, gdzie na małem wzgórzu znajduje się nowożytny dworzec i ogród właściciela Kępy Giełczyńskiej (którego uprzejmości wszystkie ułatwienia niniejszej wycieczki zawdzięczam, który czynny brał w niej udział i przedhistoryczną przeszłością tej okolicy gorliwie się zainteresował), znajdowała się także w czasie kultu krzemienia jakaś znaczna osada, zapewne po owej przy *Szwedzkim moście* najludniejsza w dolinie Biebrzy. Przez troskliwe zbieranie wszystkich przedmiotów starożytnych, znajdowanych tu w ogrodzie, w otoczeniu dworskiem i na drodze poblizkiej, właściciel (hr. de Fleury) utworzył małe muzeum, w którem nie brakuje żadnego typu narzędzi krzemiennych.

Za doby Piastów, Mazowszanie tutejsi, granicząc z dziewiczemi puszczami Podlasia, w których tylko dziki zwierz miał swoje legowiska lub Jadźwing łupieżca podkradał się z północy, zabezpieczali swoją ziemię budowaniem warownych zamków, czyli »grodów«, po których dotąd pozostały potężne usypiska. Główne z nich, jakby stolica tych ziem, znajduje się przy miasteczku Wiźnie, na panującej nad Narwią »wyżynie« czyli »wyźni«; od której i nazwa tego grodu (Wizna) wzięła początek. O pół mili powyżej Wizny, właśnie wprost ujścia Biebrzy do Narwi, widzimy pod wsią Samborami mniejszy gródek, który był strażnicą bardzo ważną w owych czasach, gdy dzicz pogańska, w której puszczach brały początek Narew i Biebrza i skąd obie płynęły do Mazowsza, czyniła napady drogą wodną na kraj rolników, zaczynający się na wysokim brzegu Biebrzy i nad Narwią w okolicy Tykocina, gdzie (o ćwierć mili od tego miasta) usypali Mazurzy prawie równie potężny gród, jak pod Wizną. Dwa inne jeszcze grody z owej doby piastowskiej znajdują się w tych stronach. Jeden o parę mil na północ Wizny, pod wsią dro-



Narzędzia krzemienne i szczątki współczesnych im naczyń glinianych z nad Biebrzy.

bnej szlachty Pieńkami; drugi zwany niegdyś *Mieczsług*, o parę mil ku południo-wschodowi nad rzeką Rokitnicą pod wsią Godzkie.

Niestety, nie mieli Mazurzy swoich dziejopisów, którzy przekazaliby pamięć walk i zapasów ówczesnych ludu rolniczego na kresach północno-wschodnich ze światem pogan. Opiewano wówczas walki, zwycięztwa i wypadki głośniejsze pieśnią, ale pieśń szła z pokoleniami do grobu, bo nowe pokolenia nowe staczały boje i nowe tworzyły pieśni. Długosz zapisał, że Polacy lubowali się w takich pieśniach, z których tylko głośniejsze czas jakiś przetrwały, n. p. jedna o zwycięztwie Leszka Białego nad Romanem r. 1205 pod Zawichostem, którą jeszcze pamiętano za Długosza w wieku XV, ale i tej nikt nie zapisał, więc zaginęła bez śladu. Dziejopis ten w kronice swojej wspomina często o uprowadzaniu ludu mazurskiego w niewolę przez Litwinów. Pod r. 1253 powiada n. p.: »Przez powódź i napaści Litwinów ziemia Wizka zmieniona została w step dziki i pustynię«. Kronikarze krzyżaccy podają również wiadomości o napadach pogan na tutejsze Mazowsze, ale są to wiadomości, zaczynające się dopiero od końca wieku XIII, gdy Mazowsze tutejsze zostało już skutkiem długoletnich najazdów Jaćwieży i Litwy prawie do szczętu wyludnione i ludność uprowadzona przez pogan w głąb Litwy, gdzie ręką swoją rozszerzała prawie nieznane tam pierwej rolnictwo.



SPIS RZECZY.

